



**TESS GERRITSEN**

**Telefon po północy**

**Bez odwrotu**

# TESS GERRITSEN

## Telefon po północy

*Niespodziewany telefon przerywa spokojny sen Sarah Fontaine. Jest pewna, że usłyszy ciepły głos swojego męża, Geoffreya Fontaine'a, który pracuje w jednym z londyńskich banków. Ku jej przerażeniu pracownik Departamentu Stanu, Nick O'Hara, informuje ją o śmierci męża w pożarze hotelu w... Berlinie. Zszokowana Sarah nie wierzy w śmierć Geoffreya i rozpoczyna prywatne śledztwo. Z pomocą Nicka wkracza w sam środek międzynarodowego spisku szpiegowskiego, w który zaangażowani są wysoko postawieni przedstawiciele amerykańskiego rządu, CIA i Mossadu. Przemierzając kolejne europejskie miasta, odkrywa, że jej mąż nie był tym, za kogo się podawał. Szybko przekonuje się również, że jej życie jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie...*

## PROLOG

### *Berlin*

Wystarczy przez dwadzieścia sekund uciskać tętnicę szyjną, by człowiek stracił przytomność. Po kolejnych dwóch minutach następuje nieuchronna śmierć. Simon Dance nie nauczył się tego z żadnego podręcznika medycyny. Takie rzeczy znał z doświadczenia. Wiedział też, że garotę należy mocno zacisnąć i nie wolno jej rozluźnić. Najmniejszy dopływ cennej krwi do mózgu ofiary przedłuża jej opór. Taki brak profesjonalizmu może być niebezpieczny. Umierający człowiek potrafi wpaść w prawdziwą wściekłość.

Kucając w ciemnościach, Simon Dance owinał sobie garotę wokół dłoni i spojrzał na świecąca tarczę

## TELEFON PO PÓLNOCY

zegarka. Minęły dwie godziny, odkąd zgasił światło. Jego zabójca bez wątpienia jest człowiekiem ostrożnym i musi mieć pewność, że Dance mocno zasnął. Jeżeli jest zawodowcem, to wie, że podczas pierwszych dwóch godzin sen jest najgłębszy. Nadchodzi właśnie pora, by uderzyć. Podłoga na korytarzu lekko zatrzeszczała. Simon Dance znieruchomiał, a potem uniósł się powoli i czekał w ciemnościach przy drzwiach. Nie zwracał uwagi na mocne bicie własnego serca. Czuł znajomy przypływ adrenaliny, która pozwalała mu na błyskawiczne reakcje. Rozsunął dłonie, naciągając garotę.

Klucz wsuwał się do zamka powoli. Simon słyszał delikatny, metaliczny dźwięk. Klucz zachrząścił i zamek otworzył się z cichym trzaskiem. Przez uchylone drzwi wpadła z korytarza smuga światła. Zaraz potem jakiś cień zaczął przesuwac się powoli w kierunku łóżka, na którym widniał zarys śpiącej postaci. Cień uniósł rękę. Trzy kule, wystrzelone przez tłumik, głucho wbiły się w poduszki. Przy trzecim strzale Dance zaatakował.

Zarzucił garotę na szyję napastnika i szarpnął w górę i do tyłu. Lina zacisnęła się dokładnie na tętnicach szyjnych, tuż pod dolną szczęką. Pistolet upadł na podłogę. Mężczyzna rzucał się jak ryba złapana na haczyk, próbując się uwolnić. Wyciągnął ręce do tyłu, by dosięgnąć paznokciami twarzy Dance'a. Jego nogi i ręce zaczęły wykonywać gwałtowne chaotyczne ruchy, ale po kilku chwilach stały się

Tess Gerritsen

5

miękkie i bezwładne. Dance liczył upływające minuty, czuł ostatnie spazmy ciała, ostatnie próby walki umierających komórek mózgu. Nadal nie zwalniał ucisku.

Kiedy minęły trzy minuty, rozsunał pętlę. Ciało osunęło się na podłogę. Dance zapalił światło i wpatrywał się w mężczyznę, którego właśnie zabił.

Pokryta plamami twarz wydawała mu się znajoma. Może widział kiedyś tego człowieka w pociągu albo na ulicy, nie miał jednak pojęcia, jak się nazywa. Szybko przeszukał kieszenie mężczyzny, ale znalazł jedynie pieniądze, kluczyki od samochodu i trochę zawodowego wyposażenia: dodatkową amunicję, nóż sprężynowy oraz wytrych.

Bezimienny profesjonalista, pomyślał Dance, zastanawiając się przez chwilę, ile zapłacono mu za to zadanie.

Wciągnął ciało na łóżko i odsunął na bok trzy poduszki, które wcześniej ułożył pod kołdrą. Oceniał, że mężczyzna ma mniej więcej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, tak samo jak on. To dobrze.

Zamienił się z denatem ubraniami. Nie było to może konieczne, ale Dance zawsze starał się być dokładny. Potem zdjął swoją obrączkę ślubną i spróbował włożyć ją na palec mężczyzny. Nie chciała się przecisnąć przez zgrubiały staw, więc poszedł do łazienki i posmarował ją mydłem. Pomogło. Potem usiadł i wypalił kilka papierosów. Zastanawiał się, czy nie przeoczył jakiegoś istotnego szczegółu.

Jasne, jeszcze trzy kule. Przeszukał dokładnie

## 6

### TELEFON PO PÓŁNOCY

poduszki, ale udało mu się odnaleźć jedynie dwa pociski. Trzeci utknął pewnie w materacu. Już miał przystąpić do dalszych poszukiwań, kiedy na korytarzu usłyszał kroki. Czyżby zamachowiec miał pomocnika? Dance chwycił pistolet, wymierzył w drzwi i czekał. Kroki przybliżyły się, a potem ucichły. Fałszywy alarm. Mimo to uznał, że nie powinien dłużej zwlekać. Dłuższe pozostawanie w pokoju może być nierozsądne. Z szuflady komody wyjął butelkę z rozpuszczalnikiem. Palił się łatwo i nie pozostawiał śladów. Polał nim ciało, łóżko i leżący na podłodze chodnik. W pokoju nie było czujników przeciwpożarowych ani automatycznych zraszaczy. Właśnie dlatego wybrał ten stary hotel. Postawił popielniczkę obok łóżka, a do torby na śmieci wrzucił przedmioty należące do napastnika i butelkę po rozpuszczalniku. Potem podpalił łóżko.

Płomienie uniosły się z lekkim sykiem i niemal natychmiast objęły całe ciało. Dance poczekał jeszcze parę chwil, by upewnić się, że szczątki będą nie do rozpoznania. Wziął torbę i wyszedł z pokoju. Na końcu korytarza znalazł skrzynkę z alarmem pożarowym. Nie chciał zabijać niewinnych ludzi, więc zbił szybę i pociągnął za dźwignię. Potem zszedł na parter.

Stojąc w niewielkiej alejce po przeciwnej stronie ulicy, widział, jak płomienie wystrzeliwują przez okno. Goście hotelu zostali ewakuowani i ulica wypełniła się na wpół śpiącymi ludźmi zawiniętymi w koce. Po dziesięciu minutach pojawiły się trzy wozy strażac

Tess Gerritsen

7

kie. Do tego czasu jego pokój hotelowy zamienił się w płonące piekło. Ugaszenie pożaru zajęło godzinę. Do drżących z zimna gości hotelowych dołączały kolejne grupki gapiów. Dance przyglądał się ich twarzom i utrwał je w pamięci. W przyszłości widok jakiegokolwiek z nich będzie dla niego ostrzeżeniem.

Nagle zauważył czarną limuzyną jadącą wolno wzdłuż krawężnika. Rozpoznał mężczyznę na tylnym siedzeniu. A więc CIA też tu jest. Interesujące.

Wystarczyło mu to, co zobaczył. Robi się późno, a on ma jeszcze przed sobą drogę powrotną do Amsterdamu.

Trzy przecznice dalej wrzucił do śmietnika torbę z butelką po rozpuszczalniku. W ten sposób pozbył się ostatnich śladów. Udało mu się zrobić to, po co przyjechał do Berlina. Uśmiercił Geoffreya Fontaine'a. Teraz musi się rozplątać.

Pogwizdując cicho, zniknął w mroku.

*Amsterdam*

- Geoffrey Fontaine nie żyje. - Ta wiadomość obudziła starszego mężczyznę o trzeciej nad ranem.

- Jak? - spytał krótko.

- Pożar w hotelu. Podobno palił w łóżku papierosa.

- Wypadek? To niemożliwe. Gdzie jest ciało?

- W kostnicy w Berlinie. Niemal doszczętnie spalone.

To oczywiste, pomyślał starszy mężczyzna. Można

## TELEFON PO PÓŁNOCY

się było spodziewać, że zwłok nie da się zidentyfikować. Simon Dance jak zawsze dokładnie zaciera za sobą ślady. A więc znów go zgubili.

Ale starszy mężczyzna miał jeszcze jedną kartę do zagrania.

- Wspominałeś o jakiejś żonie w Ameryce - powiedział. - Gdzie ona mieszka?

- W Waszyngtonie.

- Trzeba ją śledzić.

- Ale dlaczego? Przecież on nie żyje.

- On żyje. Jestem tego pewien. A ta kobieta może wiedzieć, gdzie go szukać. Chcę znać każdy jej krok.

- Powiem moim ludziom...

- Nie. Poślę swojego człowieka. Kogoś, na kogo mogę liczyć.

Zapadła chwila ciszy.

- Zdobędę jej adres.

Starszy mężczyzna odłożył słuchawkę, ale nie mógł już zasnąć. Pięć lat oczekiwania. Pięć lat poszukiwań. Był już tak blisko i znów się nie udało.

A teraz wszystko zależy od tego, ile wie ta kobieta z Waszyngtonu.

Musi być cierpliwy i czekać, aż się z czymś zdradzi. Pośle do niej

Kronena, on go nigdy nie zawiódł. Kronen ma swoje metody zdobywania potrzebnych informacji - metody, którym trudno jest się oprzeć.



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Waszyngton*

Kiedy telefon zadzwonił, było już po północy. Jego dźwięk przebijał się do świadomości Sarah przez grubą zasłonę snu, jakby dochodził z odległego pokoju. Próbowwała się obudzić, ale utknęła w dziwnym świecie między snem a jawą. Musi odebrać ten telefon. To na pewno jej mąż, Geoffrey.

Cały wieczór czekała, by usłyszeć jego głos. Była środa, a Geoffrey zawsze dzwonił do domu w środy, kiedy wyjeżdżał w swoje comiesięczne służbowe podróże do Londynu. Sarah położyła się dziś wcześniej, kaszląc i kichając, pokonana przez wirus grypy, który niedawno pojawił się w Waszyngtonie.

**TELEFON PO PÓINOCY**

Był to wyjątkowo dokuczliwy szczep A-63 z Hongkongu. Z jego powodu ucierpiała już niemal połowa jej kolegów z laboratorium mikrobiologii. Sarah przez godzinę dzielnie walczyła ze snem, próbując czytać, ale połączenie leku przeciw grypie i ostatniego numeru „Journal of Microbiology” miało działanie silniejsze niż tabletki nasenna. W ciągu zaledwie kilku minut osunęła się na poduszki z okularami na nosie. Tylko na chwilę, mówiła sobie, to będzie tylko krótka drzemka. Ale sen był coraz bliżej i w końcu musiała mu ulec.

Obudziła się gwałtownie i zauważyła, że nocna lampka nadal się pali, a „Journal of Microbiology” leży na jej piersi. Zarys pokoju był rozmazany, więc poprawiła okulary i zerknęła na zegarek stojący na nocnym stoliku. Dwunasta trzydzieści. Telefon milczał. Czyżby jej się śniło?

Aż podskoczyła, gdy zadzwonił ponownie. Pospiesznie sięgnęła po słuchawkę.

- Czy pani Sarah Fontaine? - zapytał męski głos. To nie był Geoffrey.

Nagły lęk przeszył ją niczym

prąd elektryczny. Stało się coś strasznego. Usiadła na łóżku całkowicie rozbudzona.

- Tak, słucham - powiedziała.

- Mówi Nicholas O'Hara z Departamentu Stanu. Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale... - Zawiesił głos. Ta cisza najbardziej ją przeraziła. Była zaplanowana, wielokrotnie przećwiczona. Miała przygotować ją na uderzenie. - Mam dla pani złą wiadomość - dokończył.

Tess Gerritsen 11

Poczuła ucisk w gardle. Miała ochotę krzyknąć: „Niech mi pan natychmiast powie, co się stało!”, ale zdobyła się jedynie na cichy szept:  
~ Słucham pana.

- Chodzi o pani męża, Geoffreya - mówił dalej. - Miał wypadek. To nie może być prawda, pomyślała, zamykając oczy. Gdyby Geoffreypowi coś się stało, na pewno bym to wyczuła, na pewno bym wiedziała.

- To było jakieś sześć godzin temu - ciągnął mężczyzna. - W hotelu, w którym zatrzymał się pani mąż, wybuchł pożar. - Kolejna chwila milczenia. - Pani Fontaine, czy pani mnie słyszy? - zapytał z troską w głosie.

- Tak, proszę mówić dalej. Mężczyzna odchrząknął.

- Bardzo mi przykro, pani Fontaine. Pani mąż nie żyje.

Pozwolił jej na chwilę milczenia, kiedy próbowała zapanować nad bólem. Głupie irracjonalne poczucie dumy kazało jej zasłonić usta dłonią, by stłumić szloch. Nie chciała dzielić swojej rozpaczycy z tym obcym mężczyzną.

- Pani Fontaine, dobrze się pani czuje? - spytał cicho.

Udało jej się wreszcie zaczerpnąć powietrza.

- Tak - powiedziała szeptem.

- Nie musi się pani martwić o żadne... formalności. Załatwię wszystko z naszym konsulem w Berlinie. Oczywiście trzeba będzie trochę poczekać, ale kiedy

## TELEFON PO PÓŁNOCY

niemieckie władze wydadzą pozwolenie na odbiór ciała, nie będzie już żadnych...

- W Berlinie? - wpadła mu w słowo.
- Tak. Otrzymamy pełny raport, kiedy tylko berlińska policja...
- Ale to niemożliwe!

Nicholas O'Hara starał się zachować cierpliwość.

- Bardzo mi przykro. Potwierdziliśmy tożsamość. Nie ma wątpliwości, że...

- Geoffrey był w Londynie! - zawołała. Zapadło dłuższe milczenie.

- Pani Fontaine - powiedział wreszcie irytująco spokojnym głosem - wypadek wydarzył się w Berlinie.

- A zatem to jakaś pomyłka. Geoffrey pojechał do Londynu. Nie mógł zginąć w Berlinie.

Chwila milczenia była jeszcze dłuższa. Wydawało jej się, że teraz on jest zaskoczony. Z całych sił przyciskała słuchawkę do ucha i przez jakiś czas słyszała jedynie mocne bicie własnego serca. To na pewno jest pomyłka. Jakieś idiotyczne nieporozumienie. Geoffrey nie mógł zginąć.

Wyobraziła sobie, jak się śmieje z tej absurdalnej wiadomości o własnej śmierci. Tak, razem będą się z tego śmiać, kiedy on wróci do domu. Jeżeli istotnie wróci...

- Pani Fontaine - odezwał się wreszcie mężczyzna - w którym hotelu w Londynie zatrzymał się pani mąż?

- W Savoyu. Miałam tu gdzieś numer telefonu, chwileczkę...
- W porządku, sam go znajdę i zadzwonię. Spot

Tess Gerritsen

13

kajmy się jutro. - Starannie dobierał słowa, mówił pozbawionym emocji głosem biurokraty, który opanował sztukę nieujawniania niczego. - Może pani przyjechać do mnie do biura?

- Gdzie ono jest?

- Przyjedzie pani samochodem?

- Nie, nie mam samochodu.

- W takim razie przyślę po panią auto.

- To jakaś pomyłka, prawda? Przecież zdarza się wam popełniać pomyłki? - Prosiła go jedynie o odrobinę nadziei. O cienką linę, której mogłaby się przytrzymać. Tyle mógłby jej ofiarować, mógłby okazać jej choć trochę dobroci.

- Zobaczymy się rano - powiedział krótko. - Około jedenastej.

- Chwileczkę! Przepraszam, ale trudno mi zebrać myśli. Może pan powtórzyć swoje nazwisko?

- Nicholas O'Hara.

- Gdzie jest pańskie biuro?

- Proszę się nie martwić. Kierowca dowiezie panią na miejsce. Dobranoc.

- Panie O'Hara!

W słuchawce rozległ się ciągły sygnał i Sarah wiedziała, że mężczyzna już się rozłączył. Natychmiast wybrała numer hotelu Savoy w Londynie. Jeden telefon i wszystko się wyjaśni.

- Hotel Savoy - odezwała się recepcjonistka po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Sarah z trudem utrzymywała słuchawkę drżącą ręką.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Poproszę z pokojem pana Geoffreya Fontaine'a.
- Przykro mi, ale pan Fontaine wyprowadził się dwa dni temu - wyjaśnił kobiecie głos.
- Wyprowadził się? - krzyknęła. - Ale dokąd?
- Tego nie wiem. Ale jeżeli chce pani zostawić jakąś wiadomość, to prześlemy ją pod jego stały adres.

Nie pamiętała, czy w ogóle powiedziała do widzenia. Wpatrywała się w telefon, jakby widziała ten przedmiot po raz pierwszy w życiu. Zadrżała, czując, jak wzbierająca fala bólu podchodzi jej do gardła. Miała ochotę się rozplakać, ale łzy nie chciały płynąć.

Osunęła się na łóżko i schowała twarz w poduszkę. Czowała zapach Geoffreya. Zapach jego skóry, włosów, słyszała jego śmiech. Przycisnęła do siebie poduszkę i zwinęła się w kłębek na środku, tam gdzie zawsze leżał Geoffrey. Prześcieradło było lodowato zimne.

Geoffrey może już nigdy nie wrócić. Zaledwie dwa miesiące temu wzięli ślub.

Nick O'Hara opróżnił trzecią filiżankę kawy i gwałtownym szarpnięciem rozluźnił krawat. Po dwutygodniowych wakacjach, kiedy nosił jedynie plażowe spodenki, krawat uwierał go jak lina wisielca. Wrócił do Waszyngtonu zaledwie trzy dni temu, a już był rozdrażniony.

W Departamencie Stanu urzędował od ośmiu lat i miał dość tej pracy.

Kręcił się w kółko, jak statek pozbawiony steru. Jego kariera zatrzymała się w martwym punkcie, co nie do końca było jego winą.

Tess Gerritsen

15

Stopniowo tracił cierpliwość do różnych gier politycznych. Trzymał się jednak swojej pracy, wierząc, że ma ona jakąś wartość. Od pokojowych marszów, w których uczestniczył w młodości, po rozmowy pokojowe w wieku dojrzałym.

Ale jak szybko mógł się przekonać, ideały do niczego nie prowadzą. A już z pewnością dyplomacja nie działa zgodnie z ideałami. Działa zgodnie z protokołem i polityką wyznaczaną przez partie. Protokół udało mu się doskonale opanować, ale polityki nie rozumiał. Nie dlatego, że nie potrafił. Nie chciał.

Zdawał sobie sprawę, że to jest powód, dla którego nie nadaje się na dyplomatę. Niestety, przełożeni podzielali jego zdanie, dlatego powierzono mu w Waszyngtonie to nędzne stanowisko, a jego praca polegała na przekazywaniu wdowom złych wiadomości. To było jak policzek, i to niezbyt delikatny. Mógł oczywiście odmówić i wrócić do wygodnej pracy na uniwersytecie. Musiał to dokładnie przemyśleć.

Dlatego potrzebował dwóch samotnych tygodni na Bahamach.

Z westchnieniem otworzył teczkę z napisem Fontaine, Geoffrey H. Jedna rzecz nie dawała mu przez cały ranek spokoju. Od pierwszej w nocy wpatrywał się uważnie w ekran komputera, wyciągając wszystko, co się da, z pojemnych rządowych archiwów. Przez pół godziny rozmawiał przez telefon ze swoim starym kumplem, Wesem Corriganem, z konsulatu w Berlinie. Był coraz bardziej sfrustrowany. To miał być rutynowy telefon do wdowy z wyrazami współczucia, ale powoli sprawa się komplikowała. Zaczynała przy

## TELEFON PO PÓŁNOCY

pomiąć układankę, w której brakuje wielu elementów.

Tak naprawdę Nick dysponował jedynie szczegółami o śmierci Geoffreya Fontaine'a, a nie lubił układanek, które miały luki. Doprowadzało go to do szaleństwa. Jeśli chodzi o poszukiwanie brakujących informacji czy faktów, był niez mordowany. Teraz jednak, biorąc do ręki cienką teczkę Fontaine'a, miał wrażenie, że trzyma torbę wypełnioną powietrzem: nie było w niej nic konkretnego poza imieniem i nazwiskiem. I faktem śmierci.

Piekły go oczy. Odchylił się do tyłu na krześle i ziewnął. Był głodny. O szóstej rano wrzucił w siebie trzy pączki. Duża dawka cukru plus kawa dodały mu sił.

Podniósł wzrok. Do pokoju wszedł jego kolega, Tim Greenstein.

- Bingo! Znalazłem! - odezwał się od progu. Rzucił na biurko teczkę i posłał Nickowi swój

szeroki uśmiech. Z reguły uśmiechy te były skierowane do ekranu komputera. Tim miał niezwykłą umiejętność wyszukiwania danych, które nie znajdowały się tam, gdzie powinny.

- Mówiłem ci, że znajdę - obwieścił, opadając na skórzany fotel. -

Poprosiłem kumpla z FBI, żeby trochę poszperał, ale nic nie wykopał, więc musiałem się rozejrzeć na własną rękę. Przyznaję, nie było łatwo dobrać się do poufnych danych. Mają tam jakiegoś idiotę, który uparł się, żeby dobrze pracować.

Nick zmarszczył brwi.

- Musiałeś przejść przez zabezpieczenia?



Tess Gerritsen

17

- No. Jest tego jeszcze więcej, ale nie udało mi się zdobyć dostępu. Wywiad ma mnóstwo materiałów na temat tego twojego faceta. Nick otworzył teczkę i w zdumieniu wpatrywał się w jej zawartość. To, co zobaczył, wzbudzało jeszcze więcej pytań, na które nie było odpowiedzi.

- Co to do diabła znaczy? - mruknął.

- Dlatego nic nie mogłeś znaleźć na temat Geoffre-ya H. Fontaine'a - rzucił Tim. - Jeszcze rok temu ten facet nie istniał.

Nick aż otworzył usta.

- Znajdziesz mi coś więcej?

- Nick, coś mi się zdaje, że wkraczamy na nie swoje podwórko. Chłopaki z Firmy mogą się lekko wkurzyć.

- Więc niech mnie pozwą do sądu. - Wzmianka o CIA nie zrobiła na Nicku wrażenia. - Ja tylko wykonuję swoją pracę - powiedział, wzruszając ramionami. - Mam do czynienia z wdową pogrążoną w żałobie.

- Ale ta sprawa sięga naprawdę głęboko.

- Więc ty też tam sięgnij, Tim. Tim wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- O co chodzi, Nick? Postanowiłeś zostać detektywem?

- Nie, to zwykła ciekawość. - Popatrzył z niechęcią na dokumenty, którymi miał się zająć tego dnia. Kupa biurokratycznych bzdur, zmora jego życia, ale musi się z tym uporać. Sprawa Fontaine'a nie dawała mu spokoju. W zasadzie powinien jedynie poklepać wdowę po ramieniu, wygłosić zwyczajową formułkę

## TELEFON PO PÓŁNOCY

z wyrazami współczucia, a potem zapomnieć o wszystkim. Geoffrey Fontaine, czy jak tam się naprawdę nazywał, jest martwy.

Ale informacje Tima rozpałyły w Nicku niepoahowaną ciekawość.

Spojrzał na przyjaciela.

- A może znalazłbyś coś na temat jego żony, Sarah Fontaine? Może to nas gdzieś doprowadzi?

- Dlaczego sam nie poszukasz?

- To ty wiesz, jak się dobrać do różnych danych.

- A ty za to masz na głowie tę kobietę. - Tim skinął głową w kierunku drzwi. - Chyba sekretarka wymieniła jej nazwisko. Sarah Fontaine już na ciebie czeka.

Sekretarka była siwiejącą kobietą w średnim wieku, z jasnoniebieskimi oczami i wąskimi, zaciśniętymi ustami.

Na stoliku obok kanapy leżały czasopisma, które można było znaleźć w każdej poczekalni, oraz kilka numerów „Foreign Affairs” i „World Press Review” z nalepką z nazwiskiem odbiorcy: dr Nicholas O'Hara.

Kiedy sekretarka odwróciła się z powrotem do monitora, Sarah opadła na kanapę i wpatrywała się bezmyślnie w swoje dłonie splecione na kolanach. Nie pozbyła się jeszcze objawów grypy, było jej zimno i czuła się osłabiona. Jednak w ciągu ostatnich paru godzin ogarniało ją coraz większe odrętwienie, które jak ochronna skorupa oddzielało ją od tego, co widziała i słyszała.

Zdała sobie sprawę, jak beznadziejnie się ubrała. Poszczególne części garderoby w ogóle do siebie nie

Tess Gerritsen

19

pasowały. Chyba podświadomie wybrała rzeczy, które dawały jej jakieś ukojenie: ulubioną szarą wełnianą spódnicę, stary sweter i brązowe sportowe półbuty. Życie nagle stało się przerażające, więc potrzebowała wokół siebie czegoś, co dobrze знаła.

Z interkomu na biurku sekretarki rozległ się głos:

- Angie, zaproś panią Fontaine do mojego pokoju.

- Dobrze, panie O'Hara. - Sekretarka skinęła głową w stronę Sarah-. -  
Może pani wejść.

Sarah poprawiła okulary, podniosła się z kanapy i weszła przez drzwi z tabliczką „N. O'Hara”. Zatrzymała się na chwilę na grubym dywanie i spojrzała spokojnie na mężczyznę po drugiej stronie biurka.

Był wysoki i szczupły, ale miał nieco przygarbione ramiona - wyglądał na zmęczonego. Wstał, by się z nią przywitać. Ubrany był w pogniecioną niebieską koszulę, rozluźniony krawat zwiisał mu na szyi.

- Witam panią - odezwał się. -Nazywam się Nick O'Hara.

Natychmiast rozpoznała głos z telefonu. Głos, który sprawił, że jej świat rozpadł się na kawałki.

Wyciągnął do niej rękę w geście, który wydał jej się aż nazbyt automatyczny. Zawodowa uprzejmość okazywana wszystkim wdowom. Ale uścisk jego dłoni był mocny. Kiedy znalazł się dalej od okna, światło padło na jego twarz. Zauważyła pociągłe rysy, mocno zarysowaną szczękę i poważne usta. Wyglądał na trzydzieści parę lat, może nieco więcej. W jego ciemnych włosach przeświecały na skroniach nitki siwizny. Szare oczy były podkrążone z niewyspania.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Podprowadził ją do krzesła. Dopiero kiedy usiadła, dostrzegła w pokoju drugiego mężczyznę. Miał okulary i gęstą brodę. Zajmował fotel stojący w rogu. Przypomniała sobie, że widziała go, kiedy wcześniej mijał ją w recepcji.

Nick oparł się o krawędź biurka i spojrzał na nią.

- Bardzo mi przykro z powodu pani męża - powiedział łagodnie. - Wiem, że to dla pani szok. Większość ludzi nie może uwierzyć w taką wiadomość. Chciałem spotkać się z panią osobiście i zadać pani kilka pytań. Z pewnością pani też chciałaby o coś zapytać. - Wskazał głową na mężczyznę z brodą. - Nie ma pani nic przeciwko temu, że pan Greenstein będzie obecny przy rozmowie?

Zaprzeczyła, zastanawiając się przez moment, co pan Greenstein tu robi.

- Obaj pracujemy w Departamencie - ciągnął Nick. - Ja zajmuję się sprawami konsularnymi w służbie dyplomatycznej, a pan Greenstein jest w dziale technicznym.

- Rozumiem. - Zadrżała z zimna, więc otuliła się mocniej swetrem. Znów miała dreszcze, bolało ją gardło. Zastanawiała się, dlaczego w budynkach rządowych jest zawsze tak chłodno.

- Dobrze się pani czuje? - spytał Nick.

- Zimno tu u pana - powiedziała z wysiłkiem.

- Może napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję. Chciałabym porozmawiać o moim mężu. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Wciąż myślę, że zaszło jakieś nieporozumienie.

Tess Gerritsen

21

Nick pokiwał głową ze współczuciem.

- To typowa reakcja.

- Naprawdę?

- Zaprzeczenie. Każdy przez to przechodzi. Pani też.

- Ale nie zaprasza pan każdej wdowy do swojego biura na rozmowę.

Sprawa Geoffreya musi być szczególna.

- To prawda - przyznał.

Odwrócił się i sięgnął po teczkę z dokumentami. Wyciągnął z niej kartkę pokrytą notatkami. Pismo było ledwo czytelne. Pomyślała, że to muszą być jego notatki, bo tylko autor jest w stanie odczytać takie bazgroły.

- Po rozmowie z panią skontaktowałem się z naszym konsulem w Berlinie. Poruszyło mnie to, co pani powiedziała. Uznałem, że muszę sprawdzić parę faktów.

Zawiesił głos, więc podniosła na niego wzrok z wyczekiwaniem.

Zauważyła, że przygląda jej się z uwagą.

- Rozmawiałem z Wesem Corriganem, naszym konsulem w Berlinie.

Dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy. - Zerknął do notatek. -

Wczoraj, około ósmej wieczorem czasu berlińskiego, mężczyzna o nazwisku Geoffrey Fontaine wprowadził się do hotelu Regina. Zapłacił czekiem podróжным. Podpisy się zgadzają. Jako dokumentu tożsamości używał paszportu. Cztery godziny później, około północy, ktoś z hotelu wezwał straż pożarną. W pokoju pani męża

## TELEFON PO PÓŁNOCY

wybuchł pożar. Zanim go ugaszono, pokój spłonął doszczętnie. Oficjalny raport mówi, że pani mąż zasnął, paląc w łóżku papierosa. Obawiam się, że szczątki nie nadają się do identyfikacji.

- Więc skąd wiadomo, że to on? - wyrzuciła z siebie. Do tej pory słuchała słów Nicka z narastającą rozpaczą. Ale jego ostatnie zdanie otwiera wiele nowych możliwości. - Ktoś mógł ukraść jego paszport - zauważyła.

- Proszę pozwolić mi skończyć.

- Przecież powiedział pan, że nie byli w stanie zidentyfikować ciała.

- Postarajmy się myśleć logicznie.

- Ale ja myślę logicznie!

- Nie, to są emocje. To zrozumiałe, że wdowa chwyta się każdej nadziei, ale...

- A skąd pan wie, że ja w ogóle jestem wdową? Bezradnie uniósł ręce do góry.

- W porządku. Przyjrzyjmy się zatem dowodom. Po pierwsze, w pokoju znaleziono jego walizkę. Aluminiową, ognioodporną.

- Geoffrey nigdy nie miał takiej walizki.

- Zawartość walizki ocalała. Był w niej paszport pani męża.

- Ale...

- Jest jeszcze raport policyjny. Lekarz obejrzał ciało, a właściwie jego szczątki. Ten mężczyzna był tego samego wzrostu co pani mąż.

- To jeszcze nic nie znaczy.

- Wreszcie...

Tess Gerritsen

23

- Panie O'Hara...

- Wreszcie - powiedział z nagłą stanowczością - mamy ostateczny dowód znaleziony na ciele. Przykro mi, pani Fontaine, ale to musi panią przekonać.

Miała ochotę zasłonić sobie uszy dłońmi i krzyknąć, żeby przestał do niej mówić. Przedstawione do tej pory dowody nie zrobiły na niej wrażenia. Ale nie mogła już dłużej słuchać. Nie mogła pozwolić, by jej nadzieja legła w gruzach.

- Chodzi o obrączkę ślubną. Udało się odczytać napis. Sarah 14 II. -

Podniósł wzrok. - To jego obrączka, prawda?

Zarysy pokoju rozmazały się, kiedy łzy napłynęły jej do oczu. Pochyliła głowę w milczeniu. Okulary zsunęły jej się z twarzy i upadły na kolana. Niewiele widząc, zaczęła szukać w torebce chusteczki, ale Nick podsunął jej natychmiast całe pudełko.

- Proszę - powiedział miękko. Patrzył, jak wyciera z twarzy łzy i jak próbuje

dyskretnie wytrzeć nos. Pod jego uważnym spojrzeniem poczuła się głupia i niezdarna. Nawet palce odmówiły jej posłuszeństwa. Okulary spadły z kolan na podłogę, nie była w stanie zamknąć torebki. Chciała natychmiast wyjść, więc pozbierała jakoś swoje rzeczy i wstała z krzesła.

- Proszę usiąść, pani Fontaine, jeszcze nie skończyłem.

Jak posłuszne dziecko Sarah usiadła ponownie na krześle i wpatrywała się w podłogę.

- Jeżeli chodzi o szczegóły dotyczące pogrzebu, to...

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Nie, tym zajmiemy się później, kiedy już sprowadzimy ciało. Muszę jeszcze panią o coś zapytać. Po co mąż poleciał do Europy?
  - W sprawach służbowych.
  - Czym się zajmował?
  - Pracował dla Bank of London.
  - Dużo podróżował?
  - Co miesiąc wyjeżdżał do Londynu.
  - Tylko do Londynu?
  - Tak.
  - A zatem dlaczego znalazł się w Niemczech?
  - Nie wiem.
  - Nie domyśla się pani?
  - Nie mam pojęcia.
  - Czy zdarzało się, że nie mówił pani, gdzie jedzie?
  - Nie.
  - Więc po co pojechał do Niemiec? Musiał być jakiś powód. Może miał drugą pracę? Drugą...
- Spojrzała na niego ostro.
- Drugą kobietę? O to panu chodzi? Nie odpowiedział.
  - O to mnie pan pyta?
  - To całkiem uzasadnione podejrzenie.
  - Nie w przypadku Geoffreya.
  - W każdym przypadku. - Patrzył jej prosto w oczy, ale ona nie odwracała wzroku. - Byliście małżeństwem zaledwie dwa miesiące - zauważył. - Jak dobrze znała pani swojego męża?
  - Znałam? Ja go kochałam, panie O'Hara.



Tess Gerritsen

25

- Nie mówię o miłości, cokolwiek by to miało znaczyć. Pytam, czy dobrze pani знаła tego człowieka. Kim był, czym się zajmował? Jak dawno się poznaliście?

- Jakies sześć miesięcy temu. Poznałam go w kawiarni, niedaleko swojej pracy.

- Gdzie pani pracuje?

- W Narodowym Instytucie Zdrowia. Jestem mikrobiologiem i prowadzę badania naukowe.

Zmrużył oczy.

- Jakie badania?

- Nad genomami bakterii. Łączymy DNA.

- Czy te badania są tajne?

- Nadal nie rozumiem, po co...

- Czy są tajne?

Sarah wpatrywała się w niego, zaskoczona ostrym tonem jego głosu.

- Tak, część jest tajna - powiedziała cicho. Pokiwał głową i wyciągnął z teczki kolejną kartkę.

- Poprosiłem konsula w Berlinie, żeby przejrzał paszport pani męża - ciągnął spokojnie. - Przy każdym wjeździe do jakiegoś kraju w paszporcie pojawia się pieczętka z datą. Pani mąż miał kilka takich pieczętek. Londyn, Schiphol w Amsterdamie. I na końcu Berlin.

Wszystkie z ostatniego tygodnia. Domyśla się pani, po co tam pojechał?

Z osłupieniem potrząsnęła przecząco głową.

- Kiedy dzwonił do pani ostatnio?

- Tydzień temu. Z Londynu.

- Jest pani pewna, że z Londynu?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Nie. To było automatyczne połączenie.
- Czy pani mąż miał polisę na życie?
- Nie. To znaczy nie wiem. Nigdy o tym nie wspominał.
- Czy ktoś mógł skorzystać finansowo na jego śmierci?
- Chyba nikt.

Przyjął to ze zmarszczonymi brwiami. Usiadł ponownie na biurku, skrzyżował ramiona na piersi i na chwilę odwrócił wzrok. Sarah niemal widziała, jak w myślach przetrawia fakty i próbuje z nich złożyć jakąś całość. Była tak samo dezorientowana jak on. To wszystko zdawało się nie mieć sensu. Wydawało się wręcz niemożliwe. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Nick O'Hara nie ma racji. Geoffrey był jej mężem, ale czy naprawdę go znała? Może jedyne, co ich łączyło, to dom i łóżko?

Nie, to nieprawda. Ufała Geoffreyowi. Dlaczego miałyby wierzyć temu obcemu mężczyźnie? I dlaczego on jej to wszystko mówi? Ma w tym jakiś ukryty cel? Nagle poczuła do Nicka O'Hary antypatię.

- Jeżeli to już wszystko... - zaczęła, ponownie wstając z krzesła.

Spojrzał na nią, jakby na moment zapomniał o jej obecności.

- Jeszcze nie skończyłem.
- Źle się czuję. Chciałabym wrócić do domu.
- Ma pani zdjęcie męża? - spytał nagle. Zaskoczona tym niespodziewanym pytaniem, Sarah sięgnęła do torebki i wyjęła z portfela fotografię. Była

Tess Gerritsen

27

zrobiona na Florydzie podczas ich trzydniowej podróży poślubnej. Geoffrey patrzył swoimi niebieskimi oczami prosto w obiektyw. Miał jasne włosy, padające z boku światło słoneczne podkreślało jego rysy. Był niezwykle przystojny. Uśmiechał się. Od początku jego twarz ją pociągała. Chodziło nie tyle o sam wygląd, co o siłę i inteligencję widoczną w oczach.

Nick O'Hara wziął zdjęcie i przypatrywał mu się bez słowa. Przekazał na chwilę fotkę Greensteinowi, a potem oddał ją Sarah. Zamknęła torebkę i spojrzała na niego.

- Dlaczego pan mnie o to wszystko pyta?
  - Przykro mi, ale muszę. To bardzo ważne. Nie zna pani jeszcze raportu berlińskiej policji. Chodzi o okoliczności śmierci pani męża.
  - Powiedział pan, że to był wypadek.
  - Powiedziałem, że wyglądało na wypadek. - Mówiąc to, patrzył na nią uważnie, jakby starając się uchwycić każdą zmianę wyrazu twarzy, najmniejszy błysk w oczach. - Po mojej wcześniejszej rozmowie z konsulem w Berlinie wyszły na jaw nowe fakty. Podczas rutynowego przeszukania pokoju w materacu znaleziono pocisk.
- Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.
- Chce pan powiedzieć... Pokiwał głową.
  - Policja uważa, że to było zabójstwo.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Sarah chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Siedziała na krześle jak sparaliżowana.

- Uznałem, że powinna pani o tym wiedzieć - odezwał się Nick. -  
Zwłaszcza że teraz będziemy potrzebować pani pomocy. Policja w Berlinie chce się dowiedzieć, co robił pani mąż, czy miał jakichś wrogów i dlaczego ktoś chciał go zabić.

Pokręciła bezradnie głową.

- Nie rozumiem. To znaczy nie mam pojęcia... O Boże! - powiedziała szeptem.

Aż cofnęła się, czując na ramieniu delikatny dotyk

Tess Gerritsen

29

jego dłoni. Zauważyła, że Nick patrzy na nią z nieukrywaną troską. Boi się, że zemdleje, pomyślała. Boi się, że zrobi mi się niedobrze i pobrudzę ten jego gruby dywan. Z nagłą irytacją strząsnęła jego dłoń. Nie potrzebowała tego wyuczonego współczucia. Wstała niepewnie z krzesła. Nie zamierza zemdleć, na pewno nie tutaj.

Nick wziął ją za ramię i delikatnie próbował nakłonić, by ponownie usiadła.

- Jeszcze chwila. Zostało mi naprawdę niewiele.

- Chcę stąd wyjść.

- Pani Fontaine...

- Chcę wyjść.

Zaskoczył go ostry ton jej głosu. Puścił jej ramię, ale nadal stał tuż obok. Siadając, wyraźnie czuła jego bliskość.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Bałem się, czy...

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła coś - może stanowczość, a może siłę - co sprawiło, że instynktownie zapragnęła mu zaufać.

- Nie zamierzam zemdleć, jeżeli o to panu chodzi. Proszę mi pozwolić wyjść.

- Mam jeszcze parę pytań.

- A ja nie umiem na nie odpowiedzieć, rozumie pan?

Wahał się przez chwilę.

- W takim razie skontaktuję się z panią później - powiedział wreszcie. - Musimy omówić szczegóły dotyczące sprowadzenia ciała.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Sprowadzenia ciała - powtórzyła, mrugając gwałtownie, by powstrzymać łzy.

- Samochód zawiezie panią do domu. - Podszedł do niej wolno, jakby bojąc się, że ją przestraszy. - Przykro mi z powodu męża. Naprawdę. Proszę dzwonić, gdyby miała pani jakieś pytania.

Wiedziała, że te słowa nie płyną z serca, że nie kryje się w nich prawdziwe współczucie. Nicholas O'Hara jest dyplomata i mówi to, czego go nauczono. Amerykański Departament Stanu ma gotowe formułki na wszystkie okoliczności. Zapewne Nick mówił to samo setkom innych wdów.

Czekał na jej reakcję, więc zrobiła to, czego się po niej spodziewał. Szybko się opanowała. Podała mu rękę i podziękowała. Potem odwróciła się i wyszła.

- Myślisz, że ona wie?

Nick wpatrywał się w drzwi, które właśnie zamknęły się za Sarah Fontaine. Odwrócił się i zerknął na Tima Greensteina.

- Wie o czym?

- Że jej mąż był szpiegiem.

- Nawet my tego nie wiemy.

- Nick, przyjacielu, ta cała sprawa z daleka pachnie wywiadem. Geoffrey Fontaine jeszcze rok temu w ogóle nie istniał. Potem jego nazwisko pojawia się w akcie małżeństwa, ma nowiutki numer ubezpieczenia społecznego i paszport. FBI nic o nim nie wie. Ale za to wywiad ma na jego temat całą teczkę, i do tego utajnioną. Czy wyglądam na głupiego?

Tess Gerritsen

31

- Może to ja jestem głupi - mruknął Nick. Podszedł do biurka i opadł na swój fotel. Patrzył ze złością na teczkę Geoffreya Fontaine'a. Tim oczywiście ma rację. Ta sprawa śmierdzi na odległość. Wywiad? Międzynarodowa przestępczość? Świadek koronny, który musiał się ukryć?

Kim do diabła jest Geoffrey Fontaine?

Nick zgarbił się jeszcze bardziej. Był cholernie zmęczony. Ale myśl o Geoffreju nie dawała mu spokoju. A może raczej myśl o Sarah Fontaine. Zdziwił się, kiedy zobaczył ją w swoim gabinecie. Spodziewał się kobiety wyrafinowanej. Jej mąż poruszał się między Londynem, Berlinem i Amsterdamem. Taki mężczyzna powinien mieć elegancką żonę. Tymczasem w drzwiach stała chuda, nieśmiała istota, nawet ładna, ale nie przesadnie. Miała dość ostre rysy, wysokie, mocno zarysowane kości policzkowe, wąski nos i wysokie czoło. Piękne, miedzianorude włosy nosiła związane w koński ogon. Rozbawiły go jej okulary w rogowych oprawkach, które okalały duże oczy w kolorze bursztynu. Z pewnością miała trzydzieści parę lat, ale jej delikatna, blada, pozbawiona makijażu cera sprawiała, że wyglądała na młodszą.

Tim podniósł się.

- Od tych zmartwień robię się głodny. Chodźmy do bufetu.

- Nie do bufetu. Wyjdźmy gdzieś. Siedzę tu od rana i zaczynam mieć dość. -Nick włożył marynarkę. Minęli biurko Angie i poszli w kierunku schodów.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, uderzył ich w twarz

## TELEFON PO PÓŁNOCY

rześki, wiosenny wietrzyk. Pąki na drzewach wiśni były już nabrzmiałe. Za tydzień całe miasto utonie w białych i różowych kwiatach. To była pierwsza od ośmiu lat wiosna Nicka w Waszyngtonie. Zdążył zapomnieć, jak tu jest pięknie o tej porze roku. Wcisnął ręce do kieszeni i skulił ramiona, bo lekka marynarka nie chroniła przed chłodnym wiatrem. Zastanowił się przelotnie, czy Sarah Fontaine zdążyła już dojechać do swojego mieszkania. Co robi? Leży w łóżku i zalewa się łzami? Może był wobec niej zbyt szorstki. Ale nie miał wyjścia. Ktoś musiał skonfrontować ją z bolesną prawdą. Inaczej nigdy nie upora się ze swoim bólem.

- Dokąd idziemy? - spytał Tim.

- Może do Mary Jo?

- Tam gdzie podają sałatki? Chyba nie jesteś na diecie?

- Nie, ale tam jest cicho. Nie mam ochoty na głośną rozmowę.

Przeszli jeszcze dwie przecznice, weszli do restauracji i zajęli miejsca przy stoliku. Po kwadransie kelnerka podała im sałatki obficie polane domowym majonezem i posypane estragonem.

Tim popatrzył z westchnieniem na swój widelec z sałatą i rukolą.

- To żarcie dla królików. Następnym razem idziemy na porządnego hamburgera. - Włożył warzywa do ust i spojrzał przez stół na Nicka. - Co cię gryzie? Już masz dość nowej pracy?

- Wiesz doskonale, że to stanowisko jest dla mnie



Tess Gerritsen

**33**

jak policzek. - Nick opróżnił swoją filiżankę kawy i skinął do kelnerki po następną. - W Londynie byłem w ambasadzie kimś ważnym, a tu mam przekładać papiery.

- Więc czemu nie odejdziesz?

- Właśnie się nad tym zastanawiam. Po tej porażce w Londynie moja kariera jest skończona. A teraz będę miał nad głową tego łajdaka Ambrose'a.

- Kiedy on wraca?

- Za tydzień. Do tego czasu mogę pracować po swojemu. Bez tych wszystkich biurokratycznych bzdur. Jeżeli zaczniesz zmieniać moje raporty, żeby były „zgodne z polityką administracji”, to chyba zacznę rzygać.

Nick odłożył widelec i wpatrywał się ze złością w sałatkę. Wspomnienie szefa odebrało mu apetyt. Już pierwszego dnia pomiędzy nim a Ambrose'em zaiskrzyło. Charles Ambrose z wyraźną przyjemnością kręcił się na biurokratycznej karuzeli, podczas gdy Nick zawsze mówił wprost, co myśli, nawet jeżeli nie było to przyjemne. Ich starcie wydawało się nieuniknione.

- Problem polega na tym, że jesteś jajogłowy, ale nie gadasz żargonem, jak oni wszyscy. I dlatego nie wiedzą, o co ci chodzi. Nie lubią facetów, których nie rozumieją. A na dodatek jesteś wrażliwym liberałem.

- I co z tego? Ty też.

- Ale ja jestem oferumą z dostępem do poufnych danych, a oferty mają u nich względy. Poza tym zawsze mogę wyłączyć im komputery.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Nick roześmiał się, zadowolony z obecności starego przyjaciela. Podczas studiów mieszkali w jednym pokoju, a to tworzy silną więź. Kiedy spotkali się po ośmioletnim pobycie Nicka za granicą, Tim nadal był tak samo zarośnięty i tak samo sympatyczny.

Nick podniósł widelec i dokończył sałatkę.

- Co zamierzasz zrobić w sprawie tego Fontai-ne'a? - spytał Tim przy deserze.

- Zamierzam wykonywać swoje obowiązki.

- Powiesz Ambrose'owi? Będzie chciał o wszystkim wiedzieć. Tak samo jak chłopaki z Firmy, o ile jeszcze niczego nie wywąchali.

- Niech się dowiedzą sami. To moja sprawa.

- Mnie to wygląda na szpiegostwo, a takimi sprawami konsulaty się nie zajmują.

Nickowi wcale nie podobał się pomysł przekazania Sarah Fontaine w ręce jakiegoś urzędnika z CIA. Była na to zbyt delikatna, zbyt bezbronna.

- To moja sprawa - powtórzył. Tim uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem, chodzi ci o Sarah. Czyżby była w twoim typie? Chociaż tego akurat nie rozumiem. A tak naprawdę nie pojmuję, jakim cudem złapała takiego męża. Wyglądał jak złotowłosa Adonis. Tacy mężczyźni nie zwracają uwagi na kobiety w rogowych okularach. Domyślam się, że nie ożenił się z nią ze zwykłego powodu.

- Zwykłego? Masz na myśli miłość?

- Nie. Seks.

Tess Gerritsen

35

- O co ci do diabła chodzi?
- Nie denerwuj się. Spodobała ci się, co?
- Bez komentarzy.
- Coś mi się wydaje, że po rozwodzie twoje życie uczuciowe nie zbyło zbyt bogate.

Nick z trzaskiem odstawił filiżankę.

- Po co te wszystkie pytania?
- Chcę zrozumieć, co ci siedzi w głowie. No wiesz, męskie zwierzenia. To ostatnio bardzo modne.
- Przestań. Znowu byłeś na jakimś treningu wrażliwości.
- Aha. Świetne miejsce, żeby spotykać kobiety. Powinieneś spróbować.
- Dziękuję, nie skorzystam. Nie mam ochoty na sesję zbiorowego płaczu w towarzystwie grupy neuro-tyczek.

Tim popatrzył na przyjaciela ze współczuciem.

- Nick, musisz coś ze sobą zrobić. Chyba nie zamierzasz trwać do końca życia w celibacie?
- Czemu nie?

Tim wybuchnął śmiechem.

- Bo obaj wiemy, że nie jesteś typem księdza. Tim miał rację. Przez ostatnie cztery lata, od rozstania z Lauren, Nick unikał wszelkich związków z kobietami, nie tylko seksualnych. I zaczynało to być widoczne. Zrobił się drażliwy. Zajął się ratowaniem resztek swojej kariery zawodowej, ale praca, jak się przekonał, jest kiepskim substytutem tego, czego najbardziej potrzebował: dotyku miękkiego ciepłego ciała, śmiechu w nocy, zwierzeń w łóżku. Chcąc uniknąć

## TELEFON PO PÓŁNOCY

kolejnego zranienia, nauczył się żyć bez tych wszystkich rzeczy. Inaczej chyba by oszalał.

- Rozmawiałaś ostatnio z Lauren? - zapytał Tim. Nick spojrzał na niego z rozdrażnieniem.

- Tak, w zeszłym miesiącu. Powiedziała, że za mną tęskni. Ale tak naprawdę tęskni za życiem w ambasadzie.

- Więc zadzwoniła do ciebie. Brzmi obiecująco. Może to oznacza, że się pogodzicie.

- Raczej że coś się nie układa w jej najnowszym związku.

- Tak czy inaczej, żałuje rozwodu. Podtrzymałaś ten wątek?

Nick odsunął od siebie resztki ciasta czekoladowego.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie miałem ochoty.

- Nie miał ochoty! - Tim się roześmiał. - Cztery lata żalów i narzekań, że musiał się rozwieść, a teraz mówi mi coś takiego.

- Zrozum, za każdym razem, kiedy coś jej się nie układa, dzwoni do tego zawsze lojalnego durnia, starego dobrego Nicka. Mam już tego dosyć.

Powiedziałem, że nie chcę się wiązać. Ani z nią, ani z nikim innym.

Tim pokręcił głową.

- Więc postanowiłaś odżegnać się od kobiet. To zły znak.

- Od tego jeszcze nikt nie umarł - mruknął Nick,

Tess Gerritsen

37

wstając i rzucając na stół kilka banknotów. Nie zamierzał zaprzętać sobie teraz głowy kobietami. Ma wystarczająco dużo innych spraw. Nie potrzebuje kolejnego nieudanego romansu.

Kiedy jednak szli powrotną drogą wśród wiśniowych drzew, zauważył, że znów myśli o Sarah Fontaine. Nie o wdowie pogrążonej w żałobie, ale o kobiecie. To imię do niej pasowało. Sarah o bursztynowych oczach.

*Amsterdam*

Stary mężczyzna kochał róże. Kochał duszny zapach ich płatków, które często zrywał i rozcierał w palcach. Róże są piękne i pachnące, nie tak jak nudne tulipany, którymi ogrodnik obsadził sadzawkę dla kaczek.

Tulipany mają piękne barwy, ale są pozbawione charakteru. Wyrastają na wysokich łądygach, kwitną, a potem znikają. A róże! Trwają nawet zimą, nagie i kolczaste, jak gniewne stare kobiety przykucnięte w zimnie.

Zatrzymał się pomiędzy krzewami i oddychał głęboko, wciągając zapach wilgotnej ziemi. Za kilka tygodni pojawią się kwiaty. Jego żona pokochałaby ten ogród. Wyobraził ją sobie, jak stoi w tym samym miejscu i uśmiecha się do róż. Ma na sobie stary słomkowy kapelusz i fartuch z czterema kieszeniami. Niesie plastikowe wiadro. „To jest mój mundur - mówi. -Jestem żołnierzem, który wyrusza na bitwę z chrząszczami i ślimakami”. Pamiętał dźwięk sekatora uderza

## TELEFON PO PÓLNOCY

jącego w rytm jej kroków o wiadro, kiedy przechodziła obok ich starego domu. Moja kochana Nie-nke, pomyślał. Tak bardzo mi Ciebie brakuje.

- Mam dzisiaj chłodny dzień - odezwał się głos po holendersku.

Starzec odwrócił się i spojrzał na młodego jasnowłosego mężczyznę, który zmierzał w jego kierunku.

- Kronen - odezwał się. - Nareszcie jesteś.

- Przepraszam, *meneer*. Dzień spóźnienia, ale nic nie mogłem na to poradzić. - Kronen zdjął okulary słoneczne i spojrzał w niebo. Jak zwykle unikał patrzenia na twarz starego człowieka. Od wypadku wszyscy starali się nie patrzeć na jego twarz, co zawsze go złościło.

- Rozumiem, że w Basrze wszystko poszło dobrze

- rzucił starzec.

- Tak, pomimo pewnych opóźnień. Było też parę problemów z ostatnią dostawą... układy scalone w mechanizmie celowniczym. Jeden z pocisków nie chciał się domknąć.

- Wstyd.

- Tak. Rozmawiałem już z producentem.

Szli wśród różanych krzewów w stronę sadzawki dla kaczek. W zimnym powietrzu starego mężczyznę rozboleło gardło. Owinął je szczelniej szalikiem i zakasłał sucho.

- Mam dla Ciebie nowe zadanie - powiedział.

- Kobieta.

Kronen zatrzymał się z nagłym zainteresowaniem w oczach. W słońcu jego włosy były niemal białe.

Tess Gerritsen

39

- Kim ona jest?

- Nazywa się Sarah Fontaine. Jest żoną Geoffreya Fontaine'a. Sprawdź, dokąd nas doprowadzi.

Kronen zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem. Mówiono mi, że Fontaine nie żyje.

- Tak czy owak, masz ją śledzić. Wiem od swojego informatora w Ameryce, że ma skromne mieszkanie w Georgetown. Jest mikrobiologiem, ma trzydzieści dwa lata. Poza mężem nie ma innych związków z wywiadem. Chociaż tego nikt nie może być pewny.

- Mogę się skontaktować z tym informatorem?

- Nie, ze względu na jego stanowisko. Kronen skinął głową i natychmiast porzucił temat.

Pracował dla starca wystarczająco długo, by znać reguły. Każdy porusza się tylko po swoim terytorium. Nie wolno przekraczać granic.

Posuwali się wzdłuż brzegów sadzawki. Stary człowiek sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął torebkę z chlebem, którą przyniósł z domu. W milczeniu rzucił garść okruchów i patrzył, jak nasiakają wodą. Kaczki dziobały je pospiesznie. Kiedy Nienke żyła, przychodziła do parku każdego ranka, by karmić ptaki. Martwiła się, że te słabsze nie najedzą się do syta. „Spójrz tylko, Frans - mówiła. - Młode są coraz grubsze. Tuczą się na naszych okruchach”.

A teraz on rzuca chleb kaczkom, które go w ogóle nie obchodzą. Ale Nienke na pewno by je kochała. Uważnie złożył torebkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni. Uderzyło go, że ten gest jest smutny

## TELEFON PO PÓLNOCY

i bezsensowny. Po co chować do kieszeni starą torebkę?

- Poinformuj mnie o tej kobiecie. I nie zwlekaj z wyjazdem - powiedział, nie patrząc na Kronena.

- Oczywiście.

- Uważaj na siebie w Waszyngtonie. Mają tam coraz większą przestępczość.

Kronen roześmiał się.

- *Tot ziens, meneer.*

Stary człowiek skinął głową.

- Do zobaczenia.

Laboratorium, w którym pracowała Sarah, było idealnie czyste.

Wypolerowane mikroskopy, nieustannie dezynfekowane blaty i zlewy, wylegarki wycierane dwa razy dziennie. Przestrzeganie zasad aseptyki było tu koniecznością i Sarah bardzo zwracała na to uwagę. Teraz jednak, siedząc przy swoim stole i przeglądając najnowsze slajdy mikroskopowe, pomyślała, że sterylność tego pomieszczenia przeniosła się na całe jej życie.

Zdjęła okulary. Zewsząd otaczał ją blask nierdzewnej stali, na którą padało surowe, fluorescencyjne światło. Pokój był pozbawiony okien, więc nie docierało tutaj słońce. Siedząc tu, nie wiedziała, czy jest północ, czy południe. Ciszę zakłócał jedynie szum lodówki.

Włożyła okulary i zaczęła układać slajdy w pudełku. Na korytarzu rozległ się stukot damskich obcasów.

- Sarah? Co ty tutaj robisz?

Sarah odwróciła się i zobaczyła swoją przyjaciółkę



Tess Gerritsen

41

Abby Hicks, która, ubrana w laboratoryjny fartuch, wypełniała niemal całe drzwi.

- Próbuję nadrobić zaległości - odpowiedziała.
- Trochę się tego nazbierało.
- Na miłość boską, Sarah! Laboratorium da sobie radę bez ciebie przez parę tygodni. Już ósma. Sprawdź hodowle, a ty idź do domu.

Sarah zamknęła pudełko ze slajdami.

- Nie jestem pewna, czy chcę iść do domu - mruknęła. - Tam jest tak cicho. Wolę zostać tutaj.
- Tu też nie jest zbyt radośnie. Raczej jak w grobie.
- Abby ugryzła się w język. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat wciąż rumieniła się jak pensjonarka. - Chyba coś chlapnęłam.

Sarah uśmiechnęła się.

- Nic się nie stało.

Przez chwilę milczały. Sarah wstała i otworzyła wylegarkę, by zostawić w niej próbki, nad którymi pracowała. Po pokoju rozszedł się duszny zapach pożywki dla bakterii, którą wyłożone były płytki Petriego.

- Jak sobie radzisz? - spytała Abby łagodnie. Sarah zamknęła wylegarkę.
- Całkiem nieźle. Chyba.
- Wszystkim ciebie brakowało. Nawet stary Grubb mówi, że bez ciebie i bez twojej butelki z płynem dezynfekującym to zupełnie nie to samo. Oni chyba boją się do ciebie zadzwonić. Nikt nie wie, co powiedzieć w takiej sytuacji. Ale bardzo się o ciebie martwimy.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Sarah skinęła głową.

- Wiem. I dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Za te obiady, za kwiaty i kartki. Teraz muszę powoli stanąć na nogi. - Rozejrzała się ze smutkiem po pokoju. - Wydawało mi się, że powrót do pracy dobrze mi zrobi.

- Niektórzy potrzebują dawnej rutyny. A inni wręcz przeciwnie, wolą wyjechać gdzieś daleko.

- Może ja też powinnam wyjechać na trochę z Waszyngtonu. Daleko od miejsc, które mi go przypominają. - Udało jej się pohamować falę znajomego bólu. Spróbowała nawet się uśmiechnąć. - Siostra zaprosiła mnie do Oregonu. Od lat nie widziałam swoich siostrzeńców. Musieli bardzo urosnąć.

- Więc wyjedź! Jeszcze nie minęły dwa tygodnie. Jedź do siostry, popłaczcie sobie razem.

- Tyle dni już przepłakałam. Siedziałam w domu i zastanawiałam się, jak ja przez to przejdę. Wciąż nie mogę znieść widoku jego ubrań w szafie. - Sarah potrząsnęła głową. - I to nie jego strata boli najbardziej, ale cała reszta...

- Chodzi ci o Berlin? Sarah przytaknęła.

- Zwariuję, jeżeli będę więcej o tym myślała. Dlatego dziś tu przyszedłam. Żeby czymś się zająć. - Wpatrywała się w stos książek leżących obok mikroskopu. - Wiesz, to dziwne. Kiedyś kochałam to miejsce, a teraz zastanawiam się, jak wytrzymałam tu całe sześć lat. Te zimne szafki i stalowe zlewy. Mam wrażenie, że nie ma tu czym oddychać.

Tess Gerritsen

43

- To nie chodzi o laboratorium. Zawsze lubiłaś swoją pracę. Potrafiłaś sobie nucić, stojąc przy wirówce.
- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym tu pracować przez całe życie. Mieliśmy z Geoffreyem tak mało czasu dla siebie. Tylko trzy dni podróży poślubnej. A potem ja spieszyłam się do pracy, żeby wysłać to cholerne podanie o grant. Ciągłe byliśmy zajęci. Teraz nie da się już tego nadrobić.
- Wróciła do swojego stołu i zgasiła lampę przy mikroskopie. - I nigdy się dowiem, dlaczego... - Usiadła przy stole, nie kończąc zdania.
- Miałaś jakieś wieści z Departamentu Stanu?
- Ten facet znowu wczoraj dzwonił. Berlińska policja wydała zgodę na odbiór ciała. Trumna przyleci jutro. - Jej oczy napęłniły się łzami, ale udało jej się nie rozplakać. - Pogrzeb będzie w piątek. Przyjdziesz?
- Oczywiście. Wszyscy przyjdziemy. Zawiozę cię samochodem, dobrze?
- Abby podeszła do przyjaciółki i objęła ją serdecznie. - To wszystko jest wciąż bardzo świeże. Masz prawo płakać.
- Ten mężczyzna z Departamentu Stanu zadaje mi pytania, na które nie umiem odpowiedzieć. Wiem, że to jego praca, ale on wzbudził we mnie mnóstwo wątpliwości. Nie mogę przestać o nich myśleć.
- Byliście małżeństwem bardzo krótko. Ja i mój mąż rozstaliśmy się po trzydziestu latach, a ja i tak nie rozszyfrowałam tego palanta. Nic dziwnego, że nie wiedziałaś wszystkiego o Geoffreyu.
- Ale on był moim mężem!

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Abby zamilkła na chwilę, a potem zaczęła mówić z pewnym wahaniem:

- Zawsze było w nim coś... Miałam wrażenie, że trudno go naprawdę poznać.

- Był nieśmiały.

- Nie o to chodzi. Tak jakby nie chciał się z niczym zdradzić. Jakby... - Spojrzała na Sarah. - Zresztą to nieważne.

Ale Sarah już myślała o tym, co powiedziała Abby. Ona sama odniosła podobne wrażenie. Geoffrey był bardzo powściągliwy, nie lubił zwierzeń ani długich rozmów. Niewiele mówił o sobie. Zawsze interesował się nią: jej pracą, jej przyjaciółmi. Kiedy się poznali, to zainteresowanie sprawiało jej przyjemność. Był jedynym mężczyzną, który naprawdę umiał słuchać.

Nagle w jej myślach pojawiła się inna twarz. Nick O'Hara. Przypomniała sobie z niezwykłą wyrazistością, jak uważnie przyglądał się jej twarzy. On także umiał słuchać, ale to była jego praca.

Sarah założyła plastikową ochronę na mikroskop. Miała zamiar zabrać do domu zeszyt z wynikami badań, ale kiedy popatrzyła na otwartą stronę, przyszło jej do głowy, że kolumny danych świetnie symbolizują życie, jakie prowadziła. Równe, uporządkowane, nigdy nie wychodzące poza ustalone ramy.

Zamknęła zeszyt i odłożyła go na półkę.

- Chyba pójdę do domu - powiedziała. Abby skinęła głową z aprobatą.

- Świetnie. Zapomnij na jakiś czas o pracy.

- Myślisz, że sobie poradzicie?

Tess Gerritsen

45

- Jasne.

Sarah zdjęła z siebie laboratoryjny fartuch i powiesiła go przy drzwiach.

- Może po pogrzebień wezmę urlop. Tydzień albo nawet miesiąc.

- Ale nie za długo - rzuciła Abby. - Jesteś nam potrzebna.

Sarah rozejrzała się po raz ostatni, sprawdzając, czy zostawiła po sobie porządek.

- Wrócę - zapewniła. - Tylko jeszcze nie wiem kiedy.

Trumna zsunęła się po rampie i z głuchym uderzeniem zatrzymała na platformie. Nick zadrżał. Pomimo ośmiu lat pracy w Departamencie Stanu ten dźwięk nadal robił na nim wrażenie. Jak wszyscy ze służby konsularnej, miał swój własny sposób radzenia sobie z tym nieprzyjemnym uczuciem. Pójdzie na długi spacer, wróci do domu i naleje sobie drinka. Potem usiądzie w skórzanym fotelu, włączy radio i przeczyta gazetę. Dowie się, ile było trzęsień ziemi, ile katastrof samolotów, ile zamachów bombowych. Pojawi się większy obraz. Na jego tle ta pojedyncza śmierć straci swoje znaczenie. Prawie.

- Pan O'Hara? Proszę podpisać.

Mężczyzna w lotniczym mundurze podał mu dokumenty przewozowe. Nick rzucił na nie okiem, dostrzegając nazwisko zmarłego: Geoffrey Fontaine. Złożył podpis i oddał dokumenty. Odwrócił się, patrząc, jak trumna jest ładowana na czekający karawan.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Starał się nie myśleć o jej zawartości, ale przypomniał sobie zdjęcie, które kiedyś widział w jakimś magazynie: ciała Wietnamczyków, ofiar bombardowania. Spłonęli żywcem. Czy to samo znajduje się w trumnie Geoffreya Fontaine'a? Zwęglone resztki, których nie da się rozpoznać? Odrzucił od siebie to wspomnienie. Naprawdę musi się napić. Kiedy dotarł do domu, rzucił teczkę na kanapę i poszedł prosto do kuchni. Nalał sobie porządną porcję whisky, a do piekarnika wstawił porcję gotowego mrożonego dania. Oparł się o blat i popijając bursztynowy płyn, zastanawiał się, czy nie włączyć radia. Ale nie miał sił, by się ruszyć. Więc tak kończy się jego kolejny dzień w służbie publicznej. A to dopiero wtorek.

Usiłował sobie przypomnieć, ile czasu minęło, od kiedy ostatnio czuł się szczęśliwy. Miesiące? A może lata? Ale jedyne, co pamiętał, to dźwięki i obrazy. Błękit nieba, czyjś uśmiech. Ostatnim szczęśliwym wspomnieniem była jazda autobusem w Londynie. Właśnie wyszedł z ambasady i jechał do domu do Lauren.

Aż podskoczył na dźwięk dzwonka. Nagle zapragnął towarzystwa drugiej osoby, obojętne kogo, nawet listonosza. Podszedł do domofonu.

- Kto tam?

- Tim. Wpuść mnie.

Nick nacisnął przycisk. Czy Tim będzie miał ochotę na kolację? Głupie pytanie. On zawsze ma ochotę na kolację. Zajrzał do zamrażalnika i z ulgą znalazł tam

Tess Gerritsen

47

jeszcze dwie porcje mrożonki. Dorzucił jedną do piekarnika.

Stanął w otwartych drzwiach i czekał na przyjazd windy.

- Jesteś gotowy na nowe rewelacje? - rzucił Tim, gdy tylko drzwi się otworzyły. - Zgadnij, czego dowiedział się mój człowiek w FBI.

Nick westchnął.

- Nawet boję się zapytać.

- Ten Geoffrey Fontaine naprawdę nie żyje.

- Co to za nowość?

- Ale ja mówię o prawdziwym Geoffreyu Fontainie.

- Właściwie już skończyłem zajmować się tą sprawą - zaczął Nick. - Ale jeżeli chcesz zostać na kolację...

Tim wszedł za nim do mieszkania.

- Prawdziwy Geoffrey Fontaine zmarł czterdzieści dwa lata temu.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Nick odwrócił się i patrzył na przyjaciela.

- No i co? - Tim uśmiechnął się triumfalnie. - Wiedziałem, że to cię zainteresuje.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pachniało kwiatami. Na trawie u stóp Sarah leżał stos goździków, mieczyków i lili. Do końca życia ich zapach będzie przyprawiał ją o mdłości, przypominając to wzgórze, marmurowe tablice rozsiane na wy-strzyżonej trawie i wiszącą w dolinie mgłę. A przede wszystkim ból. Wszystko inne - słowa pastora, uścisk Abby, a nawet chłodne krople deszczu na twarzy - ledwo do niej docierało. Wobec tego bólu nic nie miało znaczenia.

Starala się nie zwracać uwagi na wykopaną przed nią ziejącą dziurę w ziemi. Patrzyła na wzgórza po drugiej stronie doliny. Przez mgłę widziała delikatne różowe plamki. Zakwitły drzewa wiśni. Dziś ten



Tess Gerritsen

49

widok przyprawiał ją o jeszcze większy smutek. Geoffrey tej wiosny już nie zobaczy.

Głos pastora brzmiał jak irytujące jednostajne brzęczenie. Chłodna mżawka osiadała Sarah na policzkach i przesłaniała szkła okularów. Nagle dotknięcie Abby przywróciło ją do rzeczywistości. Właśnie opuszczano trumnę. Sarah widziała twarze przyjaciół, ale z powodu bólu z trudem je rozpoznawała. Nawet Abby wydawała jej się kimś obcym. Automatycznym ruchem pochyliła się i podniosła garść ziemi. Była wilgotna, pachniała deszczem. Rzuciła ją do wykopanego grobu. Uderzenie grudek o trumnę spotęgowało ból.

Twarze przesuwały się przed nią we mgle jak duchy. Coś do niej mówiły. Stała w całkowitym odrętwieniu, świadoma jedynie zapachu kwiatów i dotyku mgły na policzkach, aż w pewnym momencie ocknęła się i zauważyła, że wszyscy już poszli. Przy grobie zostały tylko ona i Abby.

- Zaczyna padać. Powinnyśmy się napić herbaty -powiedziała Abby, obejmując Sarah swoim mocnym ramieniem.

Herbata stanowiła jej lek na wszystko. Pomogła przetrwać koszmarne rozwód i wyjazd synów na uniwersytet. Abby nie piła nic mocniejszego niż Earl Grey.

- A potem pogadamy - dorzuciła. Ruszyły powoli przez trawnik. - Wiem, że teraz trudno ci to zrozumieć, ale ból minie. Zobaczysz. My, kobiety, jesteśmy silne.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- A może ja nie jestem?
- Jesteś, musisz w to wierzyć. Sarah potrząsnęła głową.
- Teraz w nic nie wierzę. Ani nikomu.
- No cóż, kiedy będziesz w moim wieku, przekonasz się, że to wszystko jest... - Abby zatrzymała się gwałtownie. Sarah podążyła za jej spojrzeniem.

W ich stronę zmierzał jakiś mężczyzna.

Sarah zauważyła potargane wiatrem ciemne włosy i szary płaszcz.

Mężczyzna musiał tu być od dłuższego czasu.

- Dzień dobry - odezwał się.
- Witam, panie O'Hara.
- Wiem, że to zły moment, ale od dwóch dni próbuję się z panią skontaktować. Musimy porozmawiać.
- Sarah, kim jest ten mężczyzna? - przerwała mu Abby.

Nick zwrócił się w jej kierunku.

- Nick O'Hara z Departamentu Stanu. Jeżeli pani pozwoli, chciałbym porozmawiać z panią Fontaine na osobności.
- A jeżeli ona nie chce z panem rozmawiać? Znowu spojrzał na Sarah.
- To ważne.

Przez ostatnie dwa dni dzwonił do niej wielokrotnie, za każdym razem zostawiając wiadomość na sekretarce. Nie oddzwaniała. Jej ból był wystarczająco dotkliwy, a Nick O'Hara swoimi pytaniami jeszcze go podsycił.

Tess Gerritsen

51

- Bardzo panią proszę.

W jego spojrzeniu było coś takiego, że skinęła głową.

- Nie możecie tutaj zostać - zauważyła Abby. - Za chwilę całkiem się rozpada.

- Odwiozę ją do domu - zaproponował Nick, a widząc niepewne spojrzenie Abby, dodał: - Proszę się nie obawiać, wszystko będzie w porządku.

Abby uściśnęła Sarah i pocałowała ją w policzek.

- Zadzwoń wieczorem. Umówimy się na śniadanie. - Odwróciła się z wyraźną niechęcią i poszła do samochodu.

- To pani przyjaciółka? - zapytał Nick.

- Pracujemy razem od wielu lat.

Popatrzył w niebo, na którym gromadziły się burzowe chmury. Robiło się coraz zimniej.

- Pani koleżanka ma rację. Za chwilę będzie lalo. Chodźmy, tam stoi mój samochód.

Ruszyła za nim jak automat, pozwoliła się posadzić na miejscu dla pasażera. Nick usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi. Przez chwilę milczeli. Samochód był starym modelem volvo, bez dodatkowego wyposażenia. Wewnątrz było jeszcze ciepło, okulary Sarah natychmiast zaparowały.

- Musiała pani zmarznąć - zauważył Nick. - Zawiozę panią do domu.

Zapalił silnik. Ruszyli drogą wiodącą z cmentarza. W samochodzie robiło się coraz cieplej. Wycieraczki z piskiem przesuwały się po szybie.

Łagodnym skrętem wjechali na autostradę prowadzącą do miasta.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Sarah uznała, że Nick jest dobrym kierowcą, spokojnym i opanowanym.

- Dlaczego pani nie oddzwoniła? - zapytał.
- To nieładnie z mojej strony. Przepraszam.
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Dlaczego pani nie oddzwoniła?
- Miałam dość spekulacji na temat Geoffreya i jego śmierci.
- A jeżeli to nie były spekulacje, tylko fakty?
- Na razie dzielił się pan ze mną jedynie swoimi przypuszczeniami.
- Teraz mam w rękę fakty. Brakuje mi jedynie nazwiska.
- O czym pan mówi?
- O pani mężu. Powiedziała pani, że poznaliście się pół roku temu w kawiarni. A po czterech miesiącach wzięliście ślub. Zgadza się?
- Tak.
- Nie wiem, jak mam to powiedzieć, ale Geoffrey Fontaine, prawdziwy Geoffrey Fontaine, zmarł czterdzieści dwa lata temu. Jako niemowlę. Nie wierzyła własnym uszom.
- Nie rozumiem...
- Człowiek, za którego wyszła pani za mąż, przyjął nazwisko zmarłego dziecka - mówił ze wzrokiem utkwionym przed siebie. - Nie jest trudno to zrobić. Wystarczy, że znajdzie pani nazwisko zmarłego dziecka, które byłoby w podobnym wieku co pani. Potem trzeba zdobyć jego akt urodzenia, a z takim dokumentem można już wystąpić o numer ubezpieczenia czy

Tess Gerritsen

53

prawo jazdy. W ten sposób staje się pani tym dzieckiem, tylko że dorosłym. Nowa tożsamość. Nowe życie. I dokumenty, które to potwierdzają.

- Skąd pan to wie?

- Dziś wszystkie dane są w komputerach. Sprawdziłem, że Geoffrey Fontaine nigdy nie był zarejestrowany jako poborowy. Nie chodził do żadnej szkoły. Nie miał konta w banku. Dopiero rok temu jego nazwisko pojawiło się w paru miejscach.

Była tak zaskoczona, że nie mogła zaczerpnąć tchu.

- Więc kim on był? - spytała wreszcie szeptem.

- Nie mam pojęcia.

- Ale dlaczego miałby zaczynać nowe życie?

- Z wielu powodów. Najpierw pomyślałem, że był poszukiwany za jakieś przestępstwa. Jego odciski palców są w biurze wydającym prawa jazdy. Przepuściłem je przez komputer FBI. Nie mają go na liście.

- Więc nie był przestępcą.

- Nie ma na to dowodu. Inna możliwość to program ochrony świadków.

Dostał nowe nazwisko, żeby się ukrywać. Tego akurat nie mogę sprawdzić, bo dane są dobrze chronione. Ale to by wyjaśniało powód jego śmierci.

- Zabili go ludzie, przeciwko którym zeznawał.

- Właśnie.

- Ale dlaczego nic mi nie powiedział?

- I tu dochodzimy do trzeciego wyjaśnienia. Może nowe nazwisko i nowe życie pani męża wynikały z jego pracy? Przed nikim się nie ukrywał, po prostu miał takie zadanie.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Chce pan powiedzieć, że był szpiegiem? - spytała cicho.

Spojrzał na nią i skinął głową. Jego oczy były tak samo szare jak chmury na niebie.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- To wszystko prawda, niestety.

- Dlaczego pan mi o tym mówi? Może jestem z nim w zмовie?

- Nie sądzę. Widziałem pani teczkę.

- Więc ja też mam jakąś teczkę?

- Była przecież pani sprawdzana przez służby w związku ze swoją pracą.

Ale moje przypuszczenie wynika z intuicji. Proszę mnie przekonać, że mam

rację.

- Jak? Mam się podłączyć do wykrywacza kłamstw?

- Niech pani zacznie od opowiedzenia mi o sobie i Geoffreyu. Byliście zakochani?

- Naturalnie, że tak.

- Więc to było prawdziwe małżeństwo? Czy ze sobą... żyliście?

Zaczerwieniła się.

- Tak jak wszystkie normalne pary. Chce pan wiedzieć, jak często i kiedy?

- Nie jestem w nastroju do żartów. Nadstawiam za panią głowę. A może wolałaby pani, żeby sprawą zajęli się chłopcy z CIA?

- Nic pan im jeszcze nie powiedział?

- Nie. Nie podobają mi się ich metody pracy.

- Dlaczego pan się naraża?

Tess Gerritsen

55

Wzruszył ramionami.

- Z ciekawości. A może chcę się przekonać, co mogę zrobić sam.
- Ambicja?
- Trochę tak. Poza tym... - Spojrzał na nią i nagle zamilkł.
- Co poza tym?
- Nic.

Deszcz lał już strumieniami. Nick zjechał z autostrady i włączył się w miejski ruch.

- Nadal wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi - podjął znowu. - Może je pani znać, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.
- Nie znam żadnych odpowiedzi.
- Zaczniemy od tego, co pani wie. Potrząsnęła głową, nieco zbita z tropu.
- Byłam jego żoną, a nawet nie znam jego prawdziwego nazwiska.
- Nawet najlepszy szpieg musi się czasem wygadać. Może mówił coś przez sen? Może powiedział coś, co było niezrozumiałe? Sarah, zastanów się.

Zagryzła usta. Zauważyła, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu.

- Raz lub dwa razy powiedział do mnie Evie. Ale zaraz przeprosił i wyjaśnił, że to imię jego dawnej dziewczyny.
- A rodzina? Przyjaciele? Nic o nich nie wspominał?
- Powiedział, że urodził się w Vermoncie, a wychowywał się w Londynie. Jego rodzice pracowali

## TELEFON PO PÓŁNOCY

w teatrze. Oboje nie żyją. Nie mówił o innych krewnych. Był bardzo niezależny. Nie miał przyjaciół, nawet w pracy. W każdym razie ja ich nie poznałam.

- Rzeczywiście był na liście płac Bank of London. Miał nawet swoje biurko. Ale nikt dokładnie nie wie, czym się zajmował.

- Przynajmniej to było prawdą.

Sarah skuliła się w swoim fotelu. Po tym, co usłyszała, z jej małżeństwa niewiele zostało. Rozpłynęło się jak cień. Rzeczywistość była tuż obok: krople deszczu uderzające o samochód, jednostajny rytm wycieraczek. A przede wszystkim mężczyzna siedzący obok w milczeniu. On nie jest złudzeniem. Ledwie go знаła, ale to właśnie on stał się jedynym skrawkiem rzeczywistości, którego mogła się uchwycić.

Zacząła się nad nim zastanawiać. Chyba nie jest żonaty. Ale każda kobieta może uznać, że jest atrakcyjny. I nie chodzi jedynie o wygląd zewnętrzny. Coś jej podpowiadało, że ten mężczyzna czuje się samotny, jak człowiek bez własnego domu. To akurat mogłoby być prawdą. Praca w służbie dyplomatycznej jest nieustanną wędrówką z miejsca na miejsce. A do Nicka O'Hary nie pasuje domek na przedmieściach. Drżąc z zimna, zapragnęła znaleźć się znów w swoim mieszkaniu, w towarzystwie Abby, z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach. To już niedaleko, pomyślała, widząc znajome ulice. Connecticut Avenue lśniła w deszczu. Ulewa pozbawiła wiśniowe drzewka połowy różowych kwiatów.

Zatrzymali się przed jej domem. Zanim weszli do



Tess Gerritsen

57

holu, byli kompletnie przemoczeni. Zauważyła, że deszcz przykleił Nickowi włosy do czoła.

- Spodziewam się, że jest więcej pytań - powiedziała z westchnieniem, kiedy stanęli przy schodach.

- Jeżeli pyta mnie pani, czy chcę wejść na górę, to odpowiedź brzmi tak.

- Na herbatę czy na dalszy ciąg przesłuchania? Uśmiechnął się i wytarł krople ściekające po twarzy.

- Na jedno i drugie. Tak trudno się z panią skontaktować, że musimy dokończyć tę rozmowę.

Znaleźli się na szczycie schodów. Miała coś powiedzieć, ale kiedy spojrzała w głąb korytarza, zamarła.

Drzwi od jej mieszkania były otwarte. Ktoś musiał się tam włamać.

Cofnęła się instynktownie. Wpadła na Nicka i chwyciła go kurczowo za ramię. On też wpatrywał się z napięciem w otwarte drzwi. Gestem nakazał jej pozostać w miejscu, a sam ostrożnie ruszył do przodu.

Postąpiła krok za nim, ale posłał jej ostrzegawcze spojrzenie i natychmiast się zatrzymała.

Pchnął drzwi i smuga światła wylała się na zewnątrz, oświetlając jego twarz. Przez chwilę stał nieruchomo, nasłuchując, a potem wszedł do środka.

Sarah zamarła w wyczekiwaniu. Co tu się mogło dziać? Do drzwi zbliżył się jakiś cień. Czowała, że zaczyna ją ogarniać panika. Z ulgą zobaczyła w drzwiach twarz Nicka.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Nie ma nikogo.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Wbiegła do mieszkania i zatrzymała się w salonie zaskoczona.

Spodziewała się, że jej rzeczy znikły, tymczasem wszystko pozostało nietknięte. Nawet antyczny zegar tykał jak zwykle na półce.

Weszła do sypialni i zajrzała do kasetki z biżuterią. Naszyjnik z pereł leżał na swoim miejscu. Rozejrzała się po pokoju i ze zdumieniem popatrzyła na Nicka.

- Brakuje czegoś? - zapytał. Pokręciła głową.

- Nie. Może zostawiłam otwarte drzwi? Wszedł ponownie na korytarz i ukucnął przy framudze.

- Proszę spojrzeć - powiedział, pokazując na drzazgi i odpryski farby na dywanie. - Na pewno było włamanie.

- To przecież jest bez sensu. Kto by się włamywał do mieszkania, żeby nic nie zabrać?

- Może złodziej nie miał czasu, bo ktoś go spłoszył? - Wstał i popatrzył na nią. - Dobrze się pani czuje?

- Jestem nieco oszołomiona. Dotknął jej dłoni.

- Jest pani przemarznięta. Powinna pani zdjąć te mokre ubrania.

- Nic mi nie jest, naprawdę.

- Proszę zdjąć płaszcz - powiedział stanowczo. - Ja muszę zadzwonić w parę miejsc.

W jego głosie było coś takiego, że posłuchała. Pozwoliła, by zdjął z niej płaszcz, a potem usiadła na kanapie i patrzyła, jak sięga po telefon. Nagle poczuła,

Tess Genitsen

59

że straciła kontrolę nad tym, co robi. Jakby wraz z wejściem do mieszkania Nick O'Hara zaczął sterować jej życiem. W dziwnym akcie sprzeciwu podniosła się i poszła do kuchni.

- Co pani robi?

- Przygotuję herbatę.

- Nie chcę sprawiać kłopotu...

- Żaden kłopot. Przyda się nam obojgu.

Przez kuchenne drzwi widziała, jak wybiera numer. A kiedy napełniała czajnik, usłyszała jego głos.

- Poproszę z Timem Greensteinem. Mówi Nick O'Hara. Tak, poczekam.

Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Nick chodził w tę i z powrotem jak zwierzę w klatce. Ściągnął z siebie płaszcz i rozluźnił krawat. Jego zdenerwowanie zupełnie nie pasowało do jej małego uporządkowanego salonu.

- Może lepiej zadzwonić na policję? - zapytała.

- Za chwilę. Najpierw muszę porozmawiać nieoficjalnie z biurem. Jeżeli tylko dostanę połączenie.

- Z biurem? To znaczy z FBI? Ale dlaczego?

- Coś mnie w tym wszystkim niepokoi.

Jego słowa zagłuszył gwizd czajnika. Sarah napełniła imbryk i wniosła tacę z herbatą do pokoju. Nick nadal czekał na połączenie.

- Do diabła, Greenstein - mamrotał. - Gdzie ty się podziewasz?

Nalała herbatę i usiadła z filiżanką opartą na kolanach.

- Czy on pracuje w FBI? - spytała.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Nie, ale ma kolegę, który... Halo! Tim? Nareszcie. Przestałeś odbierać telefony?

W ciszy, która zapanowała, Sarah patrzyła, jak twarz Nicka tężeje.

Domyśliła się, że stało się coś złego.

- Jak do cholery Ambrose się o tym dowiedział? - rzucił z wściekłością do słuchawki, odwracając się tyłem do Sarah.

Znowu długa chwila milczenia. Patrząc na jego plecy, zastanawiała się, co mogło wywołać w nim aż taką złość. Do tej pory była przekonana, że całkowicie umie zapanować nad emocjami. Jego wybuch ją zaskoczył, ale jednocześnie upewnił, że są w nim ludzkie odruchy.

- Dobrze - rzekł do słuchawki. - Będę za pół godziny. Posłuchaj, wydarzyło się coś jeszcze. Ktoś się włamał do mieszkania Sarah. Możesz dać mi numer tego twojego znajomego z FBI? Spotkamy się za pół godziny w biurze Ambrose'a.

- Coś się stało? - spytała, gdy odłożył słuchawkę.

- Więc tak się skończyły moje wspaniałe lata w Departamencie Stanu - mruknął, chwytając płaszcz i podchodząc do drzwi. - Muszę iść. Zamknij drzwi na łańcuch. A najlepiej przenocuj u przyjaciółki. I zadzwoń na policję. Odezwę się, jak tylko będę mógł.

Wyszła za nim na korytarz.

- Ale proszę pana...

- Później - rzucił przez ramię, schodząc na dół. Po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Weszła do mieszkania i założyła łańcuch. Rozej

Tess Gerritsen

61

rzała się po pokoju. Na stoliku leżał stos czasopism. Wazon z bukietem peonii stał na półce. Wszystko było na swoim miejscu.

Niezupełnie. Coś się jednak zmieniło. Gdyby tylko wiedziała, co...

Nagle zauważyła. Brakuje ślubnego zdjęcia.

Krzyk wściekłości podszedł jej do gardła. Po raz pierwszy od chwili wejścia do mieszkania poczuła, że ktoś wtargnął na jej terytorium. To była tylko fotografia, dwie twarze uśmiechające się do kamery, ale dla niej znaczyła więcej niż wszystko, co posiadała. Tylko to zdjęcie pozostało jej po Geoffreyu. Nawet jeżeli ich małżeństwo było złudzeniem, to nie chciała zapomnieć, że go kochała. Dlaczego ktoś chciał ukraść właśnie tę fotografię?

Serce jej zamarło, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. To może być Abby. Podniosła słuchawkę.

Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszała, był szum typowy dla połączeń międzymiastowych. Znieruchomiała. Zauważyła, że wpatruje się w puste miejsce po fotografii.

- Słucham - powiedziała.

- Przyjedź do mnie, Sarah. Kocham cię.

Krzyk uwiązał jej w gardle. Pokój zaczął wirować. Wyciągnęła rękę, by się o coś oprzeć. Słuchawka wypadła jej z dłoni. To niemożliwe, myślała, Geoffrey nie żyje.

Rzuciła się na podłogę, żeby podnieść słuchawkę i usłyszeć głos, który mógł być głosem ducha.

- Halo! Halo! Geoffrey! - zawołała.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Szum zniknął. W słuchawce dźwięczała cisza, a po paru sekundach rozległ się ciągły sygnał.

Ale usłyszała wystarczająco dużo. Wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwóch tygodni, zbladło jak nocny koszmar wspomniany za dnia. Tamto nie było prawdą. Prawdziwy był głos, który słyszała przed chwilą, głos, który tak dobrze znała.

Geoffrey żyje.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- No i doczekał się pan! - Charles Ambrose stał przy zamkniętych drzwiach gabinetu i znacząco patrzył na zegarek. - Poza tym spóźnił się pan dwadzieścia minut.

Nick spokojnie odwiesił swój płaszcz.

- Przykro mi, ale nie mogłem wcześniej.

- Wie pan, kogo mam w swoim gabinecie?

- Kogo?

- Jakiegoś skur... - Ambrose nagle zniżył głos. - Tam jest facet z CIA.

Nazywa się van Dam. Dzwoni do mnie rano, żeby się dowiedzieć, co ze sprawą Fontaine'a. Pytam, jaka sprawa Fontaine'a? Musiał mi powiedzieć, co się dzieje w moim własnym wydziale! Do cholery, co pan wyrabia?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Nick nadal zachowywał spokój.

- Wykonuję swoje obowiązki.

- Pańskim obowiązkiem było okazanie wdowie współczucia i sprowadzenie ciała. Nic więcej, kropka. A van Dam mówi, że zabawia się pan w Jamesa Bonda z tą Sarah Fontaine.

- Przyznaję, że poszedłem na pogrzeb. I odwiozłem panią Fontaine do domu. Ale nie nazwałbym tego zabawą w Jamesa Bonda.

Ambrose odwrócił się i otworzył drzwi.

- Proszę do środka, panie O'Hara.

Nick wszedł do gabinetu. Żaluzje były rozsunięte i ostatnie promienie słońca padały na ramiona mężczyzny siedzącego przy biurku Ambrose'a. Miał czterdzieści kilka lat, był wysoki, milczący i, jak wszystko dzisiaj, pozbawiony koloru. Ręce złożył jak do modlitwy. W pokoju nie było śladu Tima Green-steina. Ambrose zamknął drzwi, przeszedł obok Nicka i usiadł na krześle obok biurka. Fakt, że został wyrzucony ze swojego zwykłego miejsca, mówił wiele o pozycji jego gościa. Ten facet z CIA, pomyślał Nick, to musi być niezła szycha.

- Proszę siadać, panie O'Hara - powiedział mężczyzna. - Nazywam się Jonathan van Dam. - Nie podał swojego stanowiska ani funkcji.

Nick sięgnął po krzesło. Nie miało to nic wspólnego ze słuchaniem poleceń. Po prostu nie chciał stać, kiedy będą go przepuszczać przez wyżymaczkę.

Przez chwilę van Dam przyglądał mu się w milczeniu, a potem wziął do ręki szarą teczkę.



Tess Gerritsen

65

- Mam nadzieję, że się pan nie denerwuje. Chodzi o drobiazg. - Zajrzał do dokumentów. - Widzę, że jest pan w Departamencie Stanu od ośmiu lat.

- Osiem lat i dwa miesiące.

- Dwa lata w Hondurasie, dwa w Kairze i cztery lata w Londynie. Cały czas w służbie konsularnej. Ma pan dobrą opinię, z wyjątkiem dwóch niepocholebnych notatek. Jedna mówi, że w Hondurasie okazywał pan nadmierną zyczliwość miejscowym obywatelom.

- Bo mierzyła mnie nasza polityka wobec tego kraju.

Van Dam uśmiechnął się.

- Nie tylko pana.

Ten uśmiech zaskoczył Nicka. Spojrzał podejrzliwie na Ambrose'a, który zapewne liczył na szybką egzekucję, a teraz wyglądał na rozczarowanego.

- Żyjemy w kraju, gdzie każdy może wyrazić swoje zdanie - ciągnął van Dam. - Szanuję ludzi, którzy myślą niezależnie, tak jak pan. Niestety, w służbach rządowych taka postawa nie zawsze przyjmowana jest przychylnie. Czy to było powodem powstania drugiej notatki?

- Rozumiem, że chodzi o tę sprawę w Londynie.

- Tak. Może pan powiedzieć coś więcej?

- Jestem pewien, że Roy Potter wysłał wam raport. W każdym razie swoją wersję wydarzeń.

- Chciałbym usłyszeć pańską.

Nick oparł się na krześle. Dawne wspomnienia nadal budziły w nim złość.

- Podczas jednego z licznych przyjęć dyploma

## TELEFON PO PÓŁNOCY

tycznych podszedł do mnie niejaki Władimir Sokołow, attache z rosyjskiej ambasady. Widywałem go już wcześniej. Zauważyłem, że zawsze był nieco nerwowy. No więc podszedł do mnie i powiedział, że chce prosić o azyl. Miał do zaoferowania jakieś informacje, moim zdaniem całkiem wartościowe. Przekazałem wszystko Potterowi. - Nick zerknął na Ambro-se'a. - Potter był szefem wywiadu. - Znów przeniósł wzrok na van Dama. - Ale Potter miał wątpliwości. Chciał, żeby Sokołow najpierw został podwójnym agentem. Próbowałem go przekonać, że temu człowiekowi grozi niebezpieczeństwo. Miał w Londynie rodzinę, żonę i dwoje dzieci. Potter jednak postanowił czekać.

- Doskonale go rozumiem. Sokołow miał powiązania z KGB. Też bym się zastanawiał nad jego motywami.

- Tak? Jeżeli był wtyczką KGB, to dlaczego po paru dniach dzieci znalazły go martwego? Nawet Rosjanie nie pozbywają się swoich agentów bez wyraźnych powodów. Wasi ludzie wystawili go na pożarcie.

- To niebezpieczny interes. Takie rzeczy czasem się zdarzają.

- Nie wątpię. Ale w tym przypadku czułem się za niego odpowiedzialny. Nie zamierzałem odpuścić Potterowi.

- Notatka mówi, że w ambasadzie doszło między wami do kłótni. - Van Dam potrząsnął głową i roześmiał się, czytając dokumenty. - Użył pan pod ad

Tess Gerritsen

67

resem Pottera wielu barwnych określeń. Jednego nawet ja wcześniej nie słyszałem. I wszystko odbyło się publicznie.

- Do tego akurat się przyznałem.

- Potter twierdzi, że był pan, jeżeli wolno mi zacytować, „wściekły i skłonny do przemocy”.

- Nie byłem skłonny do przemocy. Van Dam zamknął teczkę i uśmiechnął się życzliwie.

- Doskonale wiem, jak to jest, kiedy się pracuje z osobami niekompetentnymi. Nie mam na myśli jedynie wywiadu. Jestem wdowcem i po śmierci żony muszę się zajmować dużym domem. Niech pan sobie wyobrazi, że nie mogę znaleźć dobrej gosposi ani ogrodnika, który by pielęgnował moje azalie. Czasem w pracy mam ochotę podnieść ręce do góry i zawołać: „Dosyć tego! Będę postępował po swojemu. Do diabła z wszystkimi regułami”. Nie czuł się pan nigdy podobnie? Założę się, że tak. Jest pan nonkonformistą, tak jak ja.

Nick pomyślał, że dał się wciągnąć w jakąś idiotyczną rozmowę.

Gosposie? Azalie? Do czego ten facet zmierza?

- Słyszałem, że wcześniej pracował pan na uniwersytecie - zagadnął van Dam.

- Tak, byłem wykładowcą. Na lingwistyce.

- Na pewno wtedy był pan tak samo niezależny. Ambrose uważa, że nie pasuje pan do tego wydziału. Trzyma się pan na uboczu. Musi pan się czuć samotny.

- O co panu chodzi?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Samotny człowiek jest czasem skłonny wiązać się z innymi nonkonformistami. Pod wpływem złości może dać się przekonać do współpracy z obcymi...

Nick zeszywniał.

- Nie jestem zdrajcą, jeżeli to pan sugeruje - przerwał.

- Ależ skąd, wcale tego nie powiedziałem. Nie lubię słowa zdrajca. Poza tym definicja zdrajcy zmienia się wraz z orientacją polityczną.

- Wiem, co znaczy zdrajca, panie van Dam! Ale to, że często nie zgadzam się z naszą polityką, nie zwalnia mnie z obowiązku wierności.

- W takim razie może mi pan wyjaśnić swoje zaangażowanie w sprawę Fontaine'a?

Nick wziął głęboki wdech. Nareszcie doszli do sedna.

- Wykonywałem swoje obowiązki. Dwa tygodnie temu w Berlinie zmarł Geoffrey Fontaine. Dostałem rutynowe polecenie, żeby zadzwonić do jego żony. Ale zaniepokoiły mnie jej słowa. Dlatego chciałem sprawdzić dane o nim w komputerze. Natrafiłem na wiele białych plam.

Zadzwoiłem do znajomego...

- Tima Greensteina - dopowiedział van Dam.

- Jego zostawcie w spokoju. Wyświadczył mi przysługę. Ma kumpla w FBI, który zaczął szukać u siebie. Ale niewiele znalazł. Więc zwróciłem się bezpośrednio do wdowy.

- A dlaczego nie zwrócił się pan do nas?

- Nie wiedziałem, że prowadzicie działalność na

Tess Gerritsen

69

terytorium Stanów Zjednoczonych. Przynajmniej legalnie.

Po raz pierwszy przez twarz van Dama przemknął lekki grymas irytacji.

- Zdaje pan sobie sprawę, że mógł pan spowodować nieodwracalne szkody?

- Nie, nie zdaję sobie sprawy.

- Mieliliśmy wszystko pod kontrolą. A teraz obawiam się, że pan ją ostrzegł.

- Ostrzegłem ją? Ona wie tyle samo co ja.

- To wniosek szpiega amatora?

- Raczej przeczucie.

- Pan nie zna wszystkich implikacji.

- Jakich implikacji?

- Że śmierć Geoffreya Fontaine'a nie jest do końca pewna. Że jego żona może wiedzieć więcej, niż się panu wydaje. I że ta cała sprawa sięga dalej, niż pan podejrzewa.

Nick patrzył na niego zaskoczony. Co to znaczy? Czy Geoffrey Fontaine żyje? Czy Sarah Fontaine jest aż tak dobrą aktorką, że zdołała wyprowadzić go w pole?

- Czy Geoffrey Fontaine był szpiegiem? - zapytał. Van Dam zacisnął usta. Milczał.

- Mam tego dosyć - powiedział Nick. - Dlaczego jestem przesłuchiwany w zwykłej konsularnej sprawie?

- Panie O'Hara, to ja tu zadaję pytania, a nie pan.

- Przepraszam, jeżeli naruszyłem wasze standardowe procedury.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Jak na dyplomata, jest pan bardzo niedyploma-tyczny. - Van Dam odwrócił się do Ambrose'a. - Nie wiem, czy jest czysty. Ale zgadzam się na pański plan.

Nick zmarszczył brwi.

- Jaki plan?

Ambrose odchrząknął. Nick wiedział już, co to znaczy. Za chwilę usłyszy coś nieprzyjemnego.

- Po zapoznaniu się z opiniami na pana temat - zaczął Ambrose - i po pańskich ostatnich nierozważnych działaniach uważamy, że powinien pan udać się na przedłużony urlop. Nasze służby jeszcze raz pana prześwietlą. Pozostanie pan na urlopie, dopóki nie potwierdzimy, że nie zaangażował się pan we wrogą działalność. Jeżeli znajdziemy dowody, że dopuścił się pan czegoś poważniejszego niż brak rozwagi, będzie pan miał do czynienia z Departamentem Sprawiedliwości.

Nick nie potrzebował tłumaczenia, by zrozumieć, że właśnie uznano go za zdrajcę. Właściwie powinien zaprotestować i złożyć natychmiastową rezygnację. Ale do diabła, nie zrobi tego w obecności Jonathana van Dama.

Wstał sztywno i powiedział:

- Rozumiem. To wszystko?

- To wszystko.

Nick opuścił pokój. Więc to koniec, pomyślał, idąc korytarzem. Oto do czego doprowadziła go ciekawość. Ale najzabawniejsze jest to, że poza uznaniem go za zdrajcę, wcale nie przejął się utratą pracy.

Tess Gerritsen

71

Ogarnął go wręcz radosny nastrój, jakby zrzucił z siebie jakiś ciężar. Jest wolny.

Wreszcie zacznie nowe życie. Oszczędności wystarczą mu na najbliższe sześć miesięcy. Może wróci na uniwersytet? Dzięki doświadczeniom z ostatnich ośmiu lat będzie jeszcze lepszym wykładowcą.

Wszedł do swojego, do niedawna, gabinetu. Z uśmiechem zaczął porządkować biurko. Kolejno opróżniał szuflady i wrzucał ich zawartość do kartonowych pudeł. Pomyślał, że to świetna okazja, by wieczorem gdzieś pójść i się upić. Ale nie, wolałby nie mieć rano kaca. Nadal zbyt wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Musiał dotrzeć do prawdy. A w tym celu musi się znowu spotkać z Sarah Fontaine.

Ta perspektywa była nawet przyjemna. Nie miałby nic przeciwko długiej rozmowie, na przykład przy kolacji.

Pod wpływem nagłego impulsu sięgnął po telefon i wykrecił jej numer. Jak zwykle odezwał się głos automatycznej sekretarki. Przypomniał sobie, że poradził jej, by przenocowała u przyjaciółki. No cóż, nie ma z nią teraz kontaktu.

Wyciągnął się na krześle i pozwolił sobie na rzadką chwilę marzeń. Sarah. Dlaczego ze wszystkich kobiet na świecie myśli właśnie o niej? Dziś na cmentarzu, kiedy szła do niego we mgle, była taka wąła i bezradna. W samochodzie skuliła się jak mały, zziębnięty wróbelek. A potem zdjęła okulary i spojrzała na niego. Kiedy zajrzał w te ogromne, bursztynowe oczy, zauważył, jak bardzo się mylił. Na swój własny

## TELEFON PO PÓŁNOCY

niezwykły sposób, Sarah Fontaine jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkał.

Podobała mu się, co nie było zbyt rozsądne. Brak odpowiedzi na tyle pytań dotyczących jej męża i jej samej był wystarczającym powodem, by zachować wobec niej emocjonalny dystans. Ale nie mógł odsunąć od siebie obrazów, które czasem wyobraźnia podsuwa samotnemu mężczyźnie. Zobaczył ją w swoim mieszkaniu, w swojej sypialni, z miedzianymi włosami rozpuszczonymi wokół ramion. Patrzyła trochę nieśmiało, a trochę zachęcająco. Zimne ręce ogrzewała o jego ciepłą skórę. A potem...

- Nick! - Głośny okrzyk Tima Greensteina wyrwał go z zamyślenia. - Co ty tu jeszcze robisz?

- A jak myślisz? Zabieram swoje rzeczy.

- To znaczy, że cię wylali?

- Ujęli to inaczej. Mam się udać na przedłużony urlop.

- Nie jest dobrze. - Tim opadł na krzesło. Był niezwykle blady, jakby coś nim porządnie wstrząsnęło.

- Gdzie się podziewałeś? - spytał Nick. - Mieliśmy się spotkać w biurze Ambrose'a.

- Szef czegoś ode mnie chciał. A potem FBI. I jeszcze CIA. Grozili, że odbiorą mi prawo dostępu do komputerów. Tu trochę przesadzili.

Nick pokręcił głową z westchnieniem.

- To przeze mnie, prawda? Przepraszam. Chyba wstąpiliśmy na zakazany teren. Czy twojemu znajomemu z FBI też się dostało?



Tess Gerritsen

73

- Zabawne, ale on wyszedł z tego cało. Jego poszukiwania wprawiły CIA w pewne zakłopotanie. A za to w FBI dostaje się dodatkowe punkty. - Tim roześmiał się, ale coś w jego głosie Nicka zaniepokoiło.
  - Co się dzieje, Tim?
  - Zaczęliśmy grzebać w gnieździe os.
  - Już wcześniej mieliśmy do czynienia z wywiadem. Jest coś szczególnego w sprawie Geoffreya Fontaine'a?
  - Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.
  - Straciłeś ciekawość.
  - Tak, do cholery. Tobie radzę to samo.
  - Ta sprawa dotyczy mnie osobiście.
  - Daj sobie spokój, Nick. Dla własnego dobra. Zrujnujesz sobie karierę.
  - Moja kariera już jest zrujnowana. Zostałem zwykłym obywatelem. I chciałbym spędzić trochę więcej czasu z Sarah Fontaine.
  - Radzę ci jak przyjaciel, zapomnij o niej. Ona wcale nie jest taka niewinna.
  - Wszyscy mi to mówią. Ale tylko ja miałem okazję poznać ją bliżej.
  - Pomyliłeś się co do niej, zrozum to.
- Ostry ton w głosie Tima go zaskoczył. Pochylił się do przodu i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.
- Co mi chcesz powiedzieć?
  - Nabrała cię. Mój kumpel z FBI ma ją na oku. Co robi, z kim rozmawia. Przed chwilą zadzwonił i powiedział...

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Co powiedział?
- Że ona coś wie. Tylko tak można wytłumaczyć jej ostatnie zachowanie.
- Do cholery, Tim! Co się stało?
- Niedługo potem, jak od niej wyszedłeś, wezwała taksówkę i pojechała na lotnisko. Wsiadła do samolotu.
- Dokąd poleciała? - rzucił.

Tim spojrział na niego ze współczuciem.

- Do Londynu.

Londyn. Tam właśnie powinna zacząć. A przynajmniej tak jej się wydawało. Geoffrey kochał to miasto, jego zielone parki, brukowane alejki i ulice, na których mijali się dystyngowani mężczyźni w melonikach i sikhowie w turbanach. Opowiadał jej o katedrze Świętego Pawła, o dywanach żółtych i czerwonych tulipanów pokrywających Regent's Park, o Soho, zawsze rozbrzmiewającym głośną muzyką i śmiechem. Patrząc przez okno taksówki, widziała szerokie czyste ulice i czarne parasole na chodnikach. W powietrzu unosiła się delikatna mgła, w parkach kwitły pierwsze kwiaty. To jest miasto Geoffreya. Dobrze je znał. Gdyby miał jakieś kłopoty, na pewno ukryłby się właśnie tutaj. Taksówka zawiozła ją na Strand, do hotelu Savoy. Za blatem recepcji siedziała młoda kobieta ubrana w skromną marynarkę. Tak, powiedziała, mają wolne pokoje. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął.

- Mój mąż zatrzymał się u państwa dwa tygodnie

Tess Gerritsen

75

temu - rzuciła Sarah niedbale, wypełniając formularz meldunkowy.

- Naprawdę? - Recepcjonistka zerknęła na jej nazwisko. - Jest pani żoną Geoffreya Fontaine'a?

- Tak. Pamięta go pani?

- Oczywiście. Pani mąż często się u nas zatrzymywał. Bardzo miły człowiek. To dziwne, ale nie sądziłam, że jest pani Amerykanką. Czy mąż też przyjedzie do Londynu?

- Trochę później. - Sarah zawahała się na moment.

- Spodziewałam się jakiejś wiadomości. Może pani sprawdzić?

Recepcjonistka spojrzała na przegródki z korespondencją.

- Nic nie ma.

- Były może jakieś telefony?

- Przykro mi, ale nie. - Recepcjonistka wróciła do swoich papierów. - Ale gdyby była jakaś wiadomość

- odezwała się po chwili -jak zawsze wysłalibyśmy ją do Margate na państwa adres.

- Do Margate? - powtórzyła Sarah. Recepcjonistka była zbyt zajęta, by zauważyć jej zdziwienie.

- Tak.

Dlaczego do Margate? - zastanawiała się Sarah. Czy Geoffrey ma w Anglii dom, o którym jej nie powiedział? Patrzyła na swoje dłonie oparte o blat i modliła się, żeby jej kłamstwo zabrzmiało przekonująco.

- Nadal mieszkamy w Margate, ale miesiąc temu przeprowadziliśmy się do nowego domu.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Chwileczkę, sprawdzę, czy mamy państwa nowy adres. -

Recepcjonistka wyszła na zaplecze. Po chwili wróciła z kartą meldunkową. - Whitstable Lane dwadzieścia pięć. Zgadza się?

Sarah nie odpowiedziała, próbując za wszelką cenę zapamiętać adres.

- Pani Fontaine?

- Tak, wszystko w porządku. - Szybko chwyciła swoją walizkę i zaczęła iść w kierunku windy.

- Pani Fontaine, nie musi pani sama nieść bagażu. Zawołam...

Ale Sarah była już w windzie. Whitstable Lane dwadzieścia pięć, powtarzała w myślach, kiedy drzwi się za nią zamykały.

Fale rozbijały się o białe kredowe skały. Sarah patrzyła na nie, idąc wąską ścieżką. Słońce przedarło się już przez poranną mgłę. W przydomowych ogródkach kwitły kwiaty, jakby na przekór słonym wiatrom i słabej glebie.

Dom, którego szukała, stał na końcu Whitstable Lane. Właściwie była to niewielka chatka ukryta za białym płotem. W niewielkim ogródku krzewy róż mieszały się z niesfornymi nagietkami i chabrami. Z boku dochodził cichy trzask sekatora. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła starszego mężczyznę przycinającego krzewy.

- Dzień dobry! - zawołała. - Szukam Geoffreya Fontaine'a.

Mężczyzna uniósł głowę.

Tess Gerritsen

77

- Nie ma go w domu, panienko.

Ręce zaczęły jej się trząść. Więc Geoffrey tu był. Ale dlaczego ma dom tak daleko od Londynu?

- Gdzie go mogę znaleźć?

- Tego nie wiem.

- A wie pan, kiedy wróci? Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Ani on, ani pani nigdy mi się nie opowiadają.

- Pani? - powtórzyła głupio.

- Pani Fontaine.

- Jego żona?

Popatrzył na nią jak na idiotkę.

- Tak - powiedział wolno. - Na taką wygląda. Oczywiście przy odrobinie wyobraźni można by pomyśleć, że jest jego matką, ale jak dla mnie jest na to za młoda. - Wybuchnął nagłym śmiechem, jakby wydało mu się to całkiem absurdalne.

Sarah z całej siły ścisnęła sztchetę płotu. W uszach czuła narastający szum, jakby przewalała się przez nią ogromna fala. Drżącymi palcami wysupłała z torebki zdjęcie Geoffreya.

- Czy to pan Fontaine? - spytała ochryple.

- Tak, to on. Mam dobrą pamięć do twarzy. Trzęsła się teraz cała. Z trudem schowała fotografię

z powrotem. Inna kobieta. Ktoś już o tym wspominał. Kto to mógł być?

Ach tak, Nick O'Hara. On mówił o innej kobiecie. Kiedy nazwał to uzasadnionym podejrzeniem, była na niego zła.

Nick O'Hara miał rację. A ona była głupia i ślepa.

Nie wiedziała, jak długo stoi przy ogrodzeniu.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Straciła poczucie czasu i miejsca. Dopiero gdy mężczyzna zwrócił się do niej po raz trzeci, usłyszała jego głos.

- Panienko, czy coś się stało? Spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Nie, wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Tak. Muszę się spotkać z państwem Fontaine.

- Pani spakowała swoje rzeczy i wyjechała jakieś dwa tygodnie temu.

- Dokąd się wyprowadziła?

- Nie zostawiła adresu.

Sarah znalazła w torebce kawałek papieru i napisała na nim swoje imię i nazwę hotelu.

- Gdyby któreś z nich się pojawiło, niech natychmiast do mnie zadzwoni.

- Dobrze. - Mężczyzna nawet nie spojrzał na kartkę. Złożył ją i schował do kieszeni.

Potykając się jak pijana, ruszyła z powrotem. U wylotu Whitstable Lane zobaczyła rząd skrzynek pocztowych. Upewniwszy się, że mężczyzna na nią nie patrzy, sięgnęła do skrzynki z numerem dwadzieścia pięć.

Znalazła tam jedynie katalog londyńskiego domu towarowego zaadresowany do pani Eve Fontaine.

Evie.

Parę razy Geoffery zwrócił się do niej tym imieniem.

Wcisnęła katalog do skrzynki. Idąc drogą do stacji kolejowej w Margate, płakała.

Tess Gerritsen

79

Sześć godzin później, głodna i zmęczona, weszła do swojego hotelowego pokoju. Przywitał ją dzwonek telefonu.

- Słucham? - powiedziała.

- Czy to Sarah Fontaine? - Głos kobiety po drugiej stronie był niski i ochryply.

- Tak.

- Geoffrey miał znamię na lewym ramieniu. Jakiego było kształtu?

- Ale...

- Jakiego było kształtu?

- Półksiężyc. To ty, Eve?

- Pub „Pod Różą i Jagnięciem”. Na Dorset Road. O dziewiątej.

- Chwileczkę...

Rozmowa została przerwana. Sarah spojrzała na zegarek. Ma pół godziny, by dojechać na Dorset Road.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Kierowca taksówki wziął od Sarah banknot, mruknął coś niezrozumiale i odjechał. Została sama na ciemnej ulicy.

Z pubu „Pod Różą i Jagnięciem” dobiegał przytłumiony śmiech i brzęk szklanych naczyń. Okna świeciły żółtawym, zapraszającym blaskiem.

Sarah przeszła na drugą stronę i pchnęła drzwi.

W kominku trzaskał ogień. Przy mahoniowym barze dwóch mężczyzn pochylało się nad kufłami z piwem. Spojrzeli na nią, kiedy weszła, a potem równie szybko znowu opuścili wzrok. Sarah zatrzymała się przy kominku, by się ogrzać. Rozglądała się wokół, ale jedynie barmanka odwzajemniła jej spoj



Tess Gerritsen

81

rzenie i bez słowa skinęła głową w kierunku dalszej części pomieszczenia.

Sarah ruszyła w tamtą stronę. Wzdłuż ściany stały stoliki oddzielone od siebie przepierzeniami. Przy pierwszym siedziała zajęta sobą para. Przy drugim mężczyzna w tweedowej marynarce popijał whisky. Został ostatni stolik. Wiedziała, że znajdzie tam Eve. Z mroku wyłaniał się kłęb papierosowego dymu. Kiedy Sarah zatrzymała się przy stole, kobieta podniosła głowę. Spojrzały sobie w oczy i zrozumiały się od razu. Mimo mroku jedna widziała ból drugiej.

Sarah zajęła miejsce naprzeciwko kobiety. Eve nerwowo zaciągnęła się dymem i strząsnęła popiół. Była szczupła, miała jasne włosy. Z jej zielonych oczu wyzierało zmęczenie. Co chwila spoglądała na drzwi, jakby kogoś jeszcze się spodziewała.

- Wyglądasz inaczej, niż myślałam - odezwała się pierwsza. Sarah rozpoznała ochrypły głos z telefonu. - Nie jesteś taka brzydka. I młodsza, niż mi mówił. Ile masz lat? Dwadzieścia siedem? Dwadzieścia osiem?

- Trzydzieści dwa - odrzekła Sarah.

- Więc nie kłamał.

- Opowiadał ci o mnie?

Eve znów się zaciągnęła papierosem i skinęła głową.

- Oczywiście. To był mój pomysł.

Sarah otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Twój pomysł? Jak to?

- Niewiele o nim wiesz, prawda? - Spojrzała na Sarah zimno. - Zgadłam - ciągnęła z wyraźną

## . TELEFON PO PÓLNOCY

satisfakcją. - Ale sama się dowiedziałaś o moim istnieniu. A ja chciałam cię zobaczyć.

- Dlaczego?

- Chorobliwa ciekawość. Albo masochizm. Nie mogłam znieść myśli, że jest z tobą. Kochałam go. Byłaś z nim szczęśliwa?

Sarah skinęła głową, czując, że pieką ją oczy.

- Tak - szepnęła - ja byłam szczęśliwa. A jeżeli chodzi o Geoffreya, to nie wiem. Nic już nie wiem...

- Często się kochaliście? Codziennie? Raz w tygodniu?

Sarah zacisnęła usta.

- Ma to dla ciebie znaczenie? Przecież to była część twojego planu.

Spojrzenie Eve złagodniało na moment.

- Ty też go kochałaś, prawda? - spytała. - No cóż, obie go straciłyśmy - ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. - To się musiało kiedyś stać. Tak bywa w tym interesie.

- Jakim interesie?

Eve odchyliła się do tyłu.

- Lepiej, jak nie będziesz wiedziała. Na twoim miejscu zapomniałabym o wszystkim i wróciła do domu. Póki jeszcze możesz.

- Kim jest Geoffrey?

Eve wciągnęła głęboko dym i spojrzała przed siebie, jakby przywoływała wspomnienia.

- Poznaliśmy się dziesięć lat temu w Amsterdamie. Był wtedy zupełnie kimś innym, także w sensie wyglądu. Nazywał się Simon Dance. Oboje praco

Tess Gerritsen

83

waliśmy wówczas dla Mossadu. Tworzyliśmy trzyosobowy zespół. Naszym szefem była kobieta, najlepsza ze wszystkich. A potem zakochaliśmy się w sobie.

- Byliście szpiegami?

- Można to tak nazwać. - Wpatrywała się w smugi dymu unoszące się nad stołem. - Któregoś razu spieprzyliśmy robotę. Próbowaliśmy się wzajemnie chronić. A w naszej pracy to niedopuszczalne. Najważniejsze musi być wykonanie zadania. Inaczej wszystko może źle pójść. No i starzec nam się wymknął.

- Wymknął się? Mielicie kogoś aresztować? Eve roześmiała się.

- Aresztować? W naszym zawodzie nie robi się takich rzeczy. My likwidujemy.

Dłonie Sarah zrobiły się lodowato zimne. Czy ta kobieta naprawdę mówi o Geoffreyu? Ale przypomniała sobie, że wtedy to nie był Geoffrey, lecz Simon.

- Starzec przeżył. Nazywaliśmy go Magus. Po tej sprawie byliśmy skończeni. - Zdusiła papierosa w popielniczce i od razu przypaliła następnego. - Musieliśmy się wycofać. Wzięliśmy ślub. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Niemczech, potem we Francji. Dwa razy zmienialiśmy nazwisko. Ale czuliśmy się coraz bardziej osaczeni. Wiedzieliśmy, że Magus wydał wyrok śmierci na całą naszą trójkę. Postanowiliśmy wyjechać z Europy.

- Do Ameryki? Eve skinęła głową.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Znalazł sobie nowe imię i nazwisko. I dobrego chirurga plastycznego. Zmniejszył mu kości policzkowe i zwęził nos. Po tej operacji był nie do rozpoznania. Ja też zmieniałam wygląd. Geoffrey pojechał do Ameryki pierwszy, żeby stworzyć tam dla nas jakąś bazę.

- Dlaczego się ze mną ożenił?

- Potrzebował żony Amerykanki. Potrzebował twojego domu, konta bankowego, całej tej przykrywki. Ja nie mogłam uchodzić za Amerykankę. Akcent by mnie zdradził.

- Ale dlaczego wybrał właśnie mnie? Eve wzruszyła ramionami.

- Z wyrachowania. Byłaś samotna, niezbyt ładna. Szybko się zakochałaś, prawda?

Sarah skinęła głową, powstrzymując się od płaczu. Zanim poznała Geoffreya, wieczory spędzała samotnie w domu. Pragnęła związku z mężczyzną, ale praca zabierała jej większość czasu. Z każdym mijającym rokiem szanse na małżeństwo coraz bardziej topniały.

Wtedy pojawił się Geoffrey, który wypełnił tę pustkę. Zakochała się w nim natychmiast. A on przez cały czas widział w niej jedynie środek dla osiągnięcia swojego celu. Poczwała złość.

- Żadne z was nie pomyślało, że możecie kogoś zranić?

- Nie mieliśmy wyboru. Chodziło o nasze życie.

- Wasze życie? A co z moim?

- Mów ciszej.

- To było moje życie. Kochałam go. A ty uważasz, że nic się nie stało!

Tess Gerritsen 85

- Mów ciszej, ktoś może usłyszeć.

- No i co?

Eve wstała z miejsca.

- Chyba powiedziałam już wszystko.

- Zaczekaj! - Sarah chwyciła ją za rękę. - Zaczekaj - powtórzyła cicho. - Muszę znać całą prawdę.

Eve usiadła ponownie. Przez chwilę panowała milczenie.

- Prawda jest taka - zaczęła - że on cię nigdy nie kochał. Kochał tylko mnie. Dla mnie przyjeżdżał do Londynu. Meldował się w Savoyu, a potem wsiadał w pociąg do Margate. Co parę dni wracał do miasta, żeby do ciebie zadzwonić albo wysłać list. Te dwa miesiące, kiedy musiałam się nim z tobą dzielić, były straszne. Ale wiedzieliśmy, że to konieczne. Dzięki temu mieliśmy przeżyć. Aż wreszcie... - Spojrzała w bok oczami pełnymi łez.

- Co się stało?

Eve zakasłała, próbując się opanować.

- Nie wiem. Wyjechał do Londynu dwa tygodnie temu. Miał wziąć udział w operacji przeciwko Magu-sowi. Znów coś poszło nie tak. Śledzono go. Ktoś podłożył ładunek wybuchowy w jego pokoju hotelowym. Zadzwonił do mnie z Berlina i powiedział, że musi zniknąć. Ja też miałam się ukryć. Powiedział, że skontaktuje się ze mną, kiedy będzie bezpiecznie. Ale dzień przed moim wyjazdem z Margate miałam przecucie. Próbowałam zadzwonić do niego do Berlina. Wtedy dowiedziałam się o jego śmierci.

- Ale on żyje! - Sarah nie mogła się powstrzymać.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Papieros o mała nie wypadł z palców Eve.

- Co takiego?

- Zadzwoił do mnie dwa dni temu. Powiedział, że mnie kocha i żebym do niego przyjechała. Dlatego tu jestem.

- Kłamiesz.

- To prawda! - zawołała Sarah. - Poznałam jego głos.

- Na pewno jakaś sztuczka z nagraniem. On nie zadzwoniłby do ciebie - powiedziała Eve zimno.

Sarah zamilkła. Dlaczego ktoś miałby użyć głosu Geoffreya, żeby ściągnąć ją do Europy? Potem przypomniała sobie o innym niezrozumiałym wydarzeniu.

- Tego dnia, kiedy wyjechałam z Waszyngtonu, ktoś włamał się do mojego mieszkania. Zginęło jedynie zdjęcie.

- Czyje? Geoffreya? - spytała Eve ostro.

- Tak, z naszego ślubu.

Twarz Eve stała się kredowo biała. Gwałtownie zgasła papierosa i sięgnęła po swój sweter i torebkę.

- Dokąd idziesz? - spytała Sarah.

- Muszę wracać. Na pewno będzie mnie szukał.

- Kto?

- Geoffrey.

- Przecież mówiłaś, że on nie żyje! Oczy Eve rozbłysły nagle.

- Nie rozumiesz? Nie wiedzą, jak wygląda, dlatego ukradli zdjęcie. A to znaczy, że też go szukają. - Zarzuciła sweter i pobiegła do drzwi.

- Eve! - Sarah ruszyła za nią, ale kiedy wypadła na

Tess Gerritsen

87

zewnątrz, ulica była pusta. - Eve! - zawołała raz jeszcze.

Odpowiedziało jej milczenie.

Eve nie była jeszcze daleko. Przepęlniona nagłą nadzieją, biegnąc wśród mgły do najbliższej stacji metra, zapomniała o zwykłych środkach ostrożności, których nauczyła się podczas służby w Mossadzie. Simon żyje i tylko to się liczy. Była zbyt przejęta, by mylić tropy, nasłuchiwać kroków w pobliżu, zatrzymywać się w bramach i sprawdzać, czy przypadkiem ktoś jej nie śledzi.

Minęła dwie przecznice, kiedy jej oddech stał się ciężki. Lata tytoniowego nałogu sprawiły, że szybko się męczyła. Nie zatrzymywała się jednak, dopiero silny ból w klatce piersiowej kazał jej przystanąć.

Wiedziała, że wystarczy chwila odpoczynku, by ustąpił.

Oparła się o słup latarni. Ból powoli mijał, oddech się uspokajał.

Przymknęła na moment oczy.

Do jej świadomości przedostał się ledwo słyszalny dźwięk. Zamarła, próbując przeniknąć wzrokiem gęstą mgłę. Znowu ten dźwięk, zaledwie kilka metrów od niej. Czyjeś kroki. Ale z której strony?

Wyteżęła wzrok, ale nic nie mogła zobaczyć w mlecznych oparach.

Wyjęła z torebki pistolet. Poczowała się pewniej, czując w dłoni chłodną stal.

Zdała sobie sprawę, że oświetla ją blask latarni, więc przesunęła się w cień. Ciemność zawsze była jej sprzymierzeńcem.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Kolejny dźwięk sprawił, że odwróciła się w drugą stronę. Gdzie on jest? - zastanawiała się gorączkowo. Dlaczego go nie widać?

Zbyt późno zrozumiała, że ostatni odgłos miał jedynie zmylić jej uwagę. Za jej plecami coś się poruszyło. Zanim jednak zdążyła się odwrócić i wystrzelić, została rzucona na ziemię. Pistolet wypadł jej z dłoni. Na szyi poczuła ostrze noża.

Zobaczyła nad sobą uśmiechniętą twarz. Znała ją dobrze. Jasne włosy mężczyzny lśniły srebrzyście mimo ciemności.

- Kronen - wyszeptała.

Ostrze przesunęło się po jej szyi. Ten dotyk był tak delikatny jak pieśczoć. Chciała krzyknąć, ale z przerażenia głos uwiązł jej w gardle.

- Mała Eva - mruknął Kronen. Potem roześmiał się cicho.

Zrozumiała, że tej nocy nie przeżyje.

Nick opuścił oparcie fotela, choć wiedział, że nie uda mu się zasnąć.

Niemal wszyscy pasażerowie lotu numer 201 do Londynu smacznie spali.

W przyćmionych światłach kabiny zobaczył, jak stewardesa troskliwie otula kocem jakieś dziecko. Była pierwsza w nocy czasu waszyngtońskiego.

Zasnąć nie pozwalało mu zdenerwowanie. Wciąż wracał myślą do Sarah.

Wyglądała na taką niewinną i bezbronną. Świetna z niej aktorka.

Zasłużyła na Oscara. Udało jej się obudzić w nim wszystkie męskie instynkty. Chciał ją chronić, chciał ją przytulać.



Tess Gerritsen

89

Z jej powodu stracił pracę i naraził się na podejrzenia o zdradę. Zrobił z siebie głupca. Van Dam ma rację. Jako szpieg Nick jest zwyczajnym amatorem.

Im dłużej o niej myślał, tym bardziej był na nią zły.

Do diabła, jak tylko znajdzie się w Londynie, wydusi z niej całą prawdę. Musi oczyścić się z zarzutów, zanim na dobre porzuci służbę dyplomatyczną.

Na pewno ona się go w Londynie nie spodziewa. Wiedział, gdzie jej szukać. Sprawdził, że zatrzymała się w hotelu Savoy. Już sobie wyobrażał jej minę, kiedy otworzy drzwi i zobaczy, kto za nimi stoi. Niespodzianka! Przyjechał Nick O'Hara! Tylko że tym razem nie da się nabrać na jej kłamstwa.

Ale pod jego złością kryło się jeszcze inne uczucie. Głębsze i daleko bardziej niepokojące. Wciąż prześladował go obraz Sarah stojącej w jego sypialni i patrzącej na niego tymi swoimi bursztynowymi oczami. Chaos we własnych emocjach doprowadzał go do szaleństwa. Już sam nie widział, czy chce ją pocałować, czy udusić. Może jedno i drugie.

Ale jednego był pewien. Ten nagły lot do Londynu był najbardziej nieobliczalną rzeczą, jaką w życiu zrobił.

Stary człowiek na pewno nie będzie zadowolony.

Wycierając z ostrza noża ślady krwi, Kronen zastanawiał się, czy nie odłożyć telefonu o godzinę, może nawet o jeden dzień. A przynajmniej do czasu, aż zje porządne śniadanie i wypije parę piw. Ale

## TELEFON PO PÓŁNOCY

staruch czeka na wiadomość. Ostatnio źle znosi wszelkie frustracje. Od czasu tamtej tragedii zrobił się drażliwy i niecierpliwy.

Nie żeby Kronen się bał. Wiedział, że stary człowiek bardzo go potrzebuje.

Został przez niego zaadoptowany, kiedy miał osiem lat. Stary człowiek znalazł go na wysypisku śmieci w Dublinie. Może jego uwagę przyciągnęły niezwykle jasne, niemal białe włosy chłopca, a może kompletna pustka w jego oczach, znak, że w tej ludzkiej powłóce nie było już żadnej duszy. Już wtedy zrozumiał, że ten chłopiec będzie kiedyś niebezpieczny.

Człowiek bez duszy nie potrzebuje miłości, a jednocześnie może okazać się przydatny. Dlatego stary człowiek zajął się chłopcem, żywił go, kształcił, może nawet odrobinę kochał. Ale nigdy nie ufał mu do końca. Kronen, jeszcze jako dziecko, wyczuwał tę nieufność. I robił wszystko, by ją przełamać. Wykonywał wszelkie polecenia swojego opiekuna. Po trzydziestu latach stało się to u niego odruchem. Poczul się doceniany. Co więcej, lubił swoją pracę. Dawała mu przyjemność i satysfakcję. Zwłaszcza kiedy miał do czynienia z kobietami.

Tak jak dzisiaj.

Niestety, ta kobieta nie chciała mówić. Była bardziej wytrzymała na ból niż niejeden mężczyzna. Głośno krzyczała, co go denerwowało i podniecało jednocześnie. Ale nic nie wyjawiała. A potem, zupełnie niespodziewanie, umarła.

Tess Gerritsen

91

Nie chciał jej zabić. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Miał pecha, nie wiedząc, że jego ofiara choruje na serce. Wyglądała na całkiem zdrową. Wytarł do końca ostrze i spojrzął na telefon. Dalsza zwłoka nie ma sensu. Postanowił zadzwonić do Amsterdamu.

Słuchawkę podniósł stary mężczyzna.

- Eva nic nie powiedziała - zakomunikował Kronen.

Zapadła znacząca cisza. Starzec był wyraźnie rozczarowany.

- Więc ona nie żyje?

- Tak.

- A ta druga?

- Cały czas ją obserwuję. Dance jeszcze się nie pojawił.

- Nie mogę czekać w nieskończoność. - W głosie starego mężczyzny dźwięczało zniecierpliwienie. - Musimy go sprowokować.

- Jak?

- Musisz ją porwać.

- Ale CIA depcze jej po piętach.

- Zajmę się tym. Od jutra będzie czysta.

- Co potem?

- Sprawdź, czy ona coś wie. Nawet jeżeli nie wie nic, może być przydatna. Wyślemy ultimatum. Jeżeli Dance żyje, to się odezwie.

Kronen nie był tego taki pewny. W odróżnieniu od starego mężczyzny nie wierzył w coś tak idiotycznego jak miłość. Poza tym widział Sarah Fontaine. Żaden

## TELEFON PO PÓŁNOCY

mężczyzna, a już na pewno nie Simon Dance, nie pospieszyłby jej na pomoc.

Wszystko wróciło do niej we śnie. Sarah biegła ulicami za Geoffreyem, głośno wołając jego imię. Słyszała jego kroki, ale nie mogła go zobaczyć. Potem kroki rozległy się za nią. Teraz ją ktoś gonił. Przedzierała się przez mgłę, kroki były coraz bliższe. Serce biło jej jak oszalałe. Nogi odmówiły posłuszeństwa, nie mogła się poruszyć.

Drogę zastąpiła jej kobieta o zielonych oczach. Stała, śmiejąc się, na środku ulicy. Kroki zbliżały się nadal. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę. Znała go, miał szare zmęczone oczy. Kiedy wyłonił się z mgły, jej lęk zniknął.

Jest bezpieczna.

Obudziła się zrana potem. Ktoś pukał do drzwi. Zapaliła światło. Była czwarta nad ranem.

- Kto tam? - zawołała.

- Policja.

Pospiesznie wstała z łóżka, naciągnęła szlafrok i otworzyła drzwi.

Zobaczyła dwóch policjantów w mundurach i zaspanego recepcjonistę.

- Pani Sarah Fontaine?

- Tak, o co chodzi?

- Przykro nam, ale musimy zabrać panią na komisariat.

Patrzyła na nich z osłupieniem.

- To znaczy, że jestem aresztowana? Za co?

- Za zabójstwo Eve Fontaine.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Siedziała na twardym krześle, wpatrując się w drewniany stół. W pokoju było zimno, w szlafroku narzuconym na nocną koszulę czuła się pónaga. Przesłuchujący ją policjant zarzucał ją kolejnymi pytaniami, nie czekając nawet, aż skończy odpowiedź. Dopiero po wielu prośbach pozwolił jej pójść do łazienki, i to w towarzystwie policjantki.

Po powrocie do pokoju została sama. Pójdę do więzienia, myślała.

Zostanę tam do końca życia za zabicie kobiety, której nawet nie znałam.

Ukryła twarz w dłoniach, czując, że zbiera jej się na płacz. Nie usłyszała, że drzwi do pokoju się otworzyły,

## TELEFON PO PÓŁNOCY

ale dotarł do niej głos wymawiający jej imię. To jedno słowo było jak promień słońca. Uniosła głowę.

Przed nią stał Nick O'Hara. Jakimś cudem przedostał się przez ocean.

Jedyny przyjazny jej człowiek w Londynie.

Czy na pewno?

Od razu zauważyła, że coś się stało. Patrzył na nią z zaciśniętymi ustami.

Próbowała odszukać w jego spojrzeniu chociaż odrobinę ciepła, ale dostrzegła jedynie wściekłość. Powoli docierały do niej inne szczegóły:

pomięta koszula, luźny krawat, nalepka British Airways na walizce.

Musiał przyjechać prosto z lotniska.

Odwrócił się i zamknął drzwi. Niemalże rzucił walizkę na stół i spojrzał na nią gniewnie.

- Wpakowałaś się w niezły bałagan. Pociągnęła żałośnie nosem.

- Wiem.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

- Wydostaniesz mnie stąd? - zapytała cicho.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy to zrobiłaś.

- Nie zrobiłam tego!

Jej wybuch go zaskoczył. Po chwili milczenia oparł się o stół z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Sarah bała się na niego spojrzeć. Bała się, że zobaczy w jego oczach oskarżenie. Człowiek, którego uważała za swojego przyjaciela, nagle stał się kimś

Tess Gerritsen

95

obcym. Więc on też uważa, że jest winna? Jak może kogokolwiek przekonać o swojej niewinności, skoro nawet Nick O'Hara jej nie wierzy? Położyła zaciśnięte dłonie na stole. Była wściekła, że widzi jej bezradność, że tak bardzo się na nim zawiodła.

- Co robisz w Londynie? - spytała.

- Mógłbym cię zapytać o to samo. Ale tym razem powiedz prawdę.

- Prawdę? Nigdy cię nie okłamałam.

- Daj spokój! - syknął. - Chyba masz mnie za głupka. Najpierw twierdzisz, że nic nie wiesz, a potem nagle lecisz do Londynu. Właśnie rozmawiałem z policją. Teraz chcę usłyszeć twoją wersję. Wiedziałaś o Eve, prawda?

- Dowiedziałam się o jej istnieniu dopiero wczoraj. Ale to ty kłamałeś, a nie ja.

- O czym?

- O Geoffreyu. Powiedziałeś, że on nie żyje. Przedstawiłeś wszystkie dowody. Nawet zgrabnie je ułożyłeś. Uwierzyłam ci. Ale ty wiedziałeś od początku. Musiałeś wiedzieć.

- O czym ty mówisz?

- Geoffrey żyje!

Wyraz niedowierzania na jego twarzy był bardzo przekonujący.

- Musisz mi o wszystkim opowiedzieć, Sarah. Zdajesz sobie sprawę, że znalazłaś się w paskudnej sytuacji. Wszystkie dowody...

- To są poszlaki, a nie dowody.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Dowody są następujące: ciało Eve Fontaine znaleziono około północy o kilka przecznic od pubu „Pod Różą i Jagnięciem”. Nie będę się rozwodził nad tym, w jakim stanie było ciało. Ktoś musiał jej bardzo nie lubić.

Barmanka z pubu zapamiętała, że Eve spotkała się tam z jakąś Amerykanką. To byłaś ty. I pamiętała, że się kłóciłyście. Eve wybiegła, a ty za nią. Potem nikt już nie widział Eve Fontaine żywej.

- Po wyjściu z pubu ja też jej nie widziałam.

- Masz na to świadków?

- Nie.

- To niedobrze. Policja zjawiała się w domku Eve w Margate. Dozorca cię zapamiętał. Powiedział, że przekazał Eve twoją wiadomość przez telefon. Zachował też kartkę, którą mu dałaś.

- Chciałam, żeby do mnie zadzwoniła.

- Zdaniem policji miałaś wystarczający motyw. Zemsta. Dowiedziałaś się, że Geoffrey był bigamistą. Postanowiłaś wyrównać rachunki. To właśnie są dowody. Twarde i nie do obalenia.

- Ja jej nie zabiłam! Musisz mi uwierzyć.

- Dlaczego?

- Bo nikt inny mi nie wierzy. Nikt inny - powtórzyła, pochylając głowę. Nick patrzył na nią z mieszanymi uczuciami. Kiedy tak siedziała skulona przy stole, sprawiała wrażenie przerażonej i wyczerpanej. Cała złość z niego wyparowała. Delikatnie pogłaskał ją po głowie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział cicho. -Dlaczego uważasz, że twój mąż żyje?



Tess Gerritsen

97

Wzięła głęboki oddech i spojrzała mu w oczy.

- Zadzwoił do mnie - powiedziała. - Kiedy wróciłam do domu po pogrzebie.

- Jak to, do ciebie zadzwonił?

- Poprosił, żebym przyjechała.

- Skąd wiedziałaś, że masz lecieć do Londynu?

- Przeczucie.

- A kiedy dowiedziałaś się o Eve?

- Recepcjonistka w Savoyu pokazała mi adres na karcie meldunkowej Geoffreya. To był dom Eve w Margate.

Słuchał tego wszystkiego z coraz większym zdziwieniem. Przysunął sobie drugie krzesło i usiadł obok.

- Ten telefon od Geoffreya jest tak nieprawdopodobny, że chyba będę musiał ci uwierzyć.

- Ja mówię prawdę!

- W porządku. Wszelkie wątpliwości będą przemawiać na twoją korzyść. Na razie.

Niczego więcej nie potrzebowała. Ta odrobina zaufania znaczyła dla niej więcej niż cokolwiek. Dopiero teraz, po wszystkich przejściach ostatnich godzin, zaczęła płakać. Potrząsnęła głową i roześmiała się z zakłopotaniem.

- Co w tobie jest takiego, że zawsze przy tobie płaczę?

- Widocznie tak działam na kobiety. Podniosła głowę i zauważyła, że się uśmiecha. Cóż

za zaskakująca zmiana! Przed chwilą był obcy, a teraz stał się jej przyjacielem. Zapomniała już, że jest tak pociągający. Nie tylko w sensie fizycznym. Mówił do

## TELEFON PO PÓŁNOCY

niej tak, jakby mu na niej zależało. A może odnosiła tylko takie wrażenie? Wiedziała jednak doskonale, co się z nią samą dzieje, czuła, jak krew napływa jej do twarzy.

Z wahaniem, trochę niezdarnie, pochylił się w jej stronę. Zadrżała.

Natychmiast zdjął z siebie marynarkę i zarzucił jej na ramiona. Wtuliła się w nią, w jej zapach i ciepło.

Pomyślała, że nie stanie się jej nic złego, dopóki ma na sobie marynarkę Nicka O'Hary.

- Wydostaniemy cię, jak tylko pojawi się ktoś z konsulatu - oświadczył.

- To nie ty się tym zajmujesz?

- Niestety nie.

- To dlaczego tu jesteś?

Ale zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się na oścież.

- Nick O'Hara! Co ty tu, do diabła, robisz? - zawołał czyjś głos.

Nick odwrócił się do stojącego w drzwiach mężczyzny.

- Cześć, Potter - odrzekł po nieco kłopotliwej chwili milczenia. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Zbyt krótko jak dla mnie. - Potter wszedł do pokoju i zmierzył Sarah krytycznym spojrzeniem. - Sarah Fontaine to pani?

Sarah spojrzała pytająco na Nicka.

- To jest Roy Potter - wyjaśnił. - Pracuje w ambasadzie jako... Jak to się teraz nazywa? Oficer polityczny?

Tess Gerritsen

99

- Trzeci sekretarz - rzucił oschle Potter.
  - Czarujący eufemizm. A gdzie Dan Lieberman? Myślałem, że to on przyjedzie.
  - Dziś ja zastępuję konsula. Mam nadzieję, że dobrze panią traktowano - zwrócił się do Sarah.
  - Przykro mi, że musiała pani przez to przejść. Ale zaraz wszystko załatwię.
  - Załatwisz? - spytał Nick podejrzliwie. - Jak? Potter odwrócił się niechętnie do Nicka.
  - Może byś stąd wyszedł? W końcu jesteś na... urlopie.
  - Nie ma mowy. Zostaję.
  - O ile wiem, już u nas nie pracujesz.
  - Co to znaczy, że u was nie pracuje? - spytała Sarah, marszcząc brwi.
  - To znaczy - zaczął Nick spokojnie - że dostałem bezterminowy urlop. Widzę, że wieści szybko się rozchodzą.
  - Tak, o ile dotyczą bezpieczeństwa państwa
  - mruknął Potter zgryźliwie. Nick prychnął.
  - Nie wiedziałem, że jestem aż takim zagrożeniem.
  - Powiedzmy, że twoje nazwisko znalazło się na niezbyt pochlebnej liście. Nie wtrącaj się, jeżeli chcesz zachować pracę.
- Potter znów spojrzał na Sarah.
- Rozmawiałem z inspektorem Applebym. Mówi, że dowody przeciwko pani są zbyt kruche. Oskarżenie zostało wycofane. - Wyciągnął do niej rękę. - Gratuluje, jest pani wolna.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Sarah zerwała się na równe nogi i chwyciła jego pulchną dłoń.

- Bardzo panu dziękuję! Bardzo!

- Nie ma za co. Na przyszłość niech pani unika kłopotów, dobrze?

- Na pewno. - Sarah spojrzała z radością na Nicka, spodziewając się na jego twarzy uśmiechu.

Ale on był poważny.

- Chce mi pan jeszcze coś powiedzieć, panie Potter? - zapytała zaniepokojona.

- Nie, może pani wracać do hotelu. Odwiozę panią.

- Nie sprawiaj sobie kłopotu - odezwał się Nick. - Ja ją odwiozę.

Sarah przysunęła się do niego bliżej.

- Dziękuję, panie Potter. Pojadę z Nickiem. Potter skrzywił się i sięgnął po kapelusz.

- Dobrze. Życzę powodzenia, pani Fontaine. - Zerknął na Nicka. - Mam wysłać van Damowi raport. Na pewno go zaciekawia, że jesteś w Londynie. Kiedy wracasz do Stanów?

- Nie wiem.

Potter podszedł do drzwi. Na progu odwrócił się i posiał Nickowi ostatnie twarde spojrzenie.

- Masz za sobą niezłą karierę w dyplomacji, ale łatwo możesz ją spieszyć. Na twoim miejscu bardzo bym uważał.

Nick pokiwał głową.

- Zawsze uważam.

Tess Gerritsen

101

- Co to znaczy: bezterminowy urlop? - zapytała Sarah, kiedy jechali z powrotem do hotelu.

Nick uśmiechnął się niewesoło.

- Powiedzmy, że nie jest to awans.

- Zwolnili cię? Z mojego powodu? - zapytała cicho.

Skinął głową.

- Częściowo. Mają zastrzeżenia do mojego patriotyzmu. Osiem lat uczciwej pracy nic dla nich nie znaczy. Ale nie przejmuj się. Myślę, że w sposób podświadomy sam do tego doprowadziłem. Miałem dość.

- Przykro mi.

- Niesłusznie. Może to wcale nie jest najgorsze rozwiązanie.

Była dziesiąta rano, samochody jechały ciasno jeden za drugim.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - Im dłużej się nad wszystkim zastanawiam, tym mniej z tego rozumiem. - Zauważyła, że Nick zmarszczył brwi. - Co się stało?

- Sytuacja się zagęszcza.

- O czym ty mówisz?

- Patrz przed siebie. Nie oglądaj się. Ktoś nas śledzi.

Z trudem powstrzymała chęć, by spojrzeć w tylną szybę. Poczowała przyspieszone bicie serca.

- Co chcesz teraz zrobić?

- Nic.

- **Jak to nic?**

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Nie zwracał uwagi na przerażenie w jej głosie.

- Będziemy udawać, że nic się nie dzieje. Pojedziemy do hotelu, przebierzesz się, spakujesz swoje rzeczy i się wymeldujesz. A potem zjemy śniadanie. Umieram z głodu.

- Śniadanie? Przecież powiedziałeś, że nas śledzą.

- Gdyby chcieli cię dopaść, to mogli to zrobić wczoraj wieczorem. - Spojrzał w lusterko. - Trzymaj się. Zobaczymy, czy są tacy dobrzy. Skreślił gwałtownie w boczną uliczkę, minął rząd sklepów i kawiarni i nagle nacisnął hamulec. Jadący za nimi samochód wpadł w poślizg i zatrzymał się o kilka centymetrów od ich zderzaka. Sarah wbiła palce w deskę rozdzielczą.

- Nic ci nie jest?

Potrząsnęła głową, zbyt przestraszona, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Nie bój się. Chyba znam tych facetów. - Wystawił rękę przez okno, robiąc obsceniczny gest. Odpowiedzieli mu podobnie. - Miałem rację. To chłopcy z Firmy.

- Mówisz o CIA? - zapytała z wyraźną ulgą.

- Nie ma się z czego cieszyć. Nie ufam im. Ty też nie powinnaś.

Jej strach powoli ustępował. Dlaczego miałyby się obawiać CIA?

Przecież są po tej samej stronie. Dlaczego jednak ją śledzili?

Zastanawiała się, jak długo za nią chodzą. Jeżeli od jej przyjazdu do Londynu, to może wiedzą, kto zabił Eve?

Odwróciła się do Nicka.

Tess Gerritsen 103

- Co się stało z Eve? - zapytała.

Znów zatrzymali się na czerwonym świetle. Nick siedział nieruchomo, patrząc przed siebie.

- Znaleźli ją w bocznej uliczce - powiedział wreszcie. - Miała związane ręce i zakneblowane usta. Musiała krzyczeć, ale nikt jej nie słyszał. Ten, kto to zrobił, nie śpieszył się. Trwało to godzinę, może dłużej. Nie była to... dobra śmierć.

Spojrzeli sobie w oczy. Czują jego bliskość, ciepło i zapach jego marynarki na ramionach. Tamtą kobietę torturowano. Jakiś samochód ich śledził. Ale obecność tego mężczyzny dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Za nimi rozległ się klakson. Mieli zielone światło. Nick niechętnie przeniósł wzrok na samochody przed nimi.

- Dlaczego jej to zrobili? - spytała cicho.

- Policja mówi, że to wygląda na robotę jakiegoś zbrojnego, który czerpie przyjemność z zadawania bólu.

- Albo na zemstę - rzekła z zastanowieniem.

- Magus! - Widząc pytające spojrzenie Nicka, dodała:

- Tak nazywali pewnego mężczyznę. Eve mi o nim mówiła.

- Wyjaśnisz mi to później - przerwał jej Nick, zerknąwszy w lusterko. - Savoy jest za tą przecznicą. Nadał nas śledzą.

Półtorej godziny później siedzieli w jednej z kawiarni na Strandzie, kończąc jeść śniadanie. Jajka na bekonie i pieczone pomidory. Sarah wreszcie poczuła

## TELEFON PO PÓŁNOCY

się lepiej. Była najedzona, kubek z herbatą rozgrzewał jej dłonie. A co ważniejsze, miała na sobie spódnicę i wełniany sweter.

Zrozumiała, że trzymanie jej w szlafroku i nocnej koszuli było ze strony policji przemyślaną strategią. Ktoś tak obnażony i bezradny łatwiej przyznaje się do winy.

Nick słuchał opowieści Sarah, nieustannie zerkając na drzwi wejściowe. Zanim doszła do końca, kelnerka sprzątnęła puste talerze i postawiła przed nimi kolejny dzbanek z herbatą.

- Więc Eve też uważała, że Geoffrey żyje?

- Tak, przekonała ją o tym kradzież fotografii.

- Podsumujmy to, co mamy - zaczął z namysłem. - Według Eve ktoś chce zabić Geoffreya. Ktoś, kto zna jego nowe nazwisko, ale nie wie, jak wygląda. Geoffrey orientuje się, że ktoś go śledzi. Jedzie do Berlina, skąd dzwoni do Eve i mówi, żeby się ukryła. Potem upozorowuje własną śmierć.

- Ale to nie wyjaśnia, dlaczego ją torturowano.

- Nie wyjaśnia wielu innych rzeczy. Na przykład czyje ciało zostało pochowane. Ale wiemy już, dlaczego zniknęła fotografia.

- A po co nas śledzą? Spodziewają się, że doprowadzę ich do Geoffreya? Skinął głową.

- I tu dochodzimy do kolejnej rzeczy, która mnie niepokoi. Twoje zwolnienie z aresztu. Nie wierzę w tę bajkę, że policja miała za słabe dowody. Kiedy rozmawiałem z inspektorem Applebym, był gotowy ska



Tess Gerritsen

105

zać cię na dożywocie. A potem wkracza Potter i nagle puf! Wypuszczają cię, jak gdyby nigdy nic. Biedny inspektor musiał dostać rozkaz z samej góry. Komuś zależy, żebyś mogła się poruszać na wolności.

Twarz Nicka była szara ze zmęczenia. Pomyślała, że zapewne nie spał od wielu godzin. Pod wpływem nagłego impulsu wyciągnęła rękę, musnęła go po policzku i przesunęła palcem po szczęce pokrytej kilkudniowym zarostem. Ten dotyk go zaskoczył. Zawstydzila go, pomyślała, czując, jak krew napływa jej do policzków. Chciała cofnąć rękę, ale jego palce delikatnie zacisnęły się na jej dłoni. Poczowała, jak ciepło jego skóry rozlewa się po jej całym ciele.

- Wierzysz w to, że Geoffrey żyje? - spytała.

- Tak.

Patrzyła na ich dłonie splecione na stole.

- Ja nigdy nie uwierzyłam w jego śmierć - szepnęła.

- Co teraz do niego czujesz?

- Nie wiem. - Spojrzała na Nicka z napięciem. - Ufałam mu. Wierzyłam w niego. Myślisz sobie pewnie, że jestem naiwna. Może i tak. Ale każdy ma jakieś marzenia. A kiedy kobieta taka jak ja, trzydzies-todwuletnia, samotna i niezbyt ładna, spotyka mężczyznę, który mówi, że ją kocha, to bardzo chce mu wierzyć.

- Mylisz się, Sarah - powiedział łagodnie. - Jesteś bardzo ładna.

Wiedziała, że próbuje być uprzejmy. Co naprawdę o niej myśli? Że tylko mało atrakcyjna kobieta może być aż tak łatwowierna? Cofnęła dłoń i sięgnęła po kubek z herbatą.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

No cóż, Geoffrey umiejętnie wybrał cel. Głupiutka Sarah zakochała się szybko i do szaleństwa. Widziała to tak wyraźnie, jakby trzymała przed sobą lustro i patrzyła na siebie oczami mężczyzny. Niezbyt ładna, nieśmiała i niezdana. Takie kobiety nie pociągają mężczyzn w typie Geoffreya.

- To małżeństwo opierało się na kłamstwach - wróciła do swojego wątku.
- Teraz mam wrażenie, że to wszystko mi się śniło. Jakbym nigdy nie wyszła za mąż...
- Dobrze znam to uczucie.
- Też byłeś żonaty?
- Trzy lata. Rozwiedliśmy się cztery lata temu.
- Przykro mi. Spojrzał jej w oczy.
- Mówisz to szczerze, prawda?

Skinęła głową. Dopiero teraz dostrzegła w jego oczach smutek i ból podobny do tego, który sama czuła. Jego małżeństwo się rozpadło, jej - nigdy nie istniało. Oboje byli zranieni.

Ale wiedziała, że jej rana się nie zagoi, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na pytanie, dlaczego Geoffrey do niej zadzwonił.

- Tak czy inaczej pobyt w Londynie jest dla ciebie niebezpieczny. Jeżeli szukają Geoffreya, to ciebie też będą obserwować. Śledzono cię, przynajmniej od wczoraj. Doprowadziłaś ich do Eve.
- Przyczyniłam się do jej śmierci? - spytała ledwo dosłyszalnym szeptem.
- W pewnym sensie. Musieli iść za tobą aż do pubu.

Tess Gerritsen

107

- O Boże! - Pokręciła głową z rozpaczą. - Niemal ją znienawidziłam, kiedy dowiedziałam się o niej i o Geoffreyu. Ale nie chciałam jej śmierci.

- Nie możesz się za to obwiniać. To ona była profesjonalistką, a nie ty.

Zadrzała, więc otuliła się szczelniej swetrem.

- Zemsta - powiedziała cicho. - Dlatego ją zabili.

- To prawdopodobny motyw. Ludzie lubią wyrównywać rachunki. Ale mógł być też inny powód, bardziej... praktyczny.

Zrozumiała, co miał na myśli.

- Chcieli wyciągnąć od niej jakieś informacje?

- Może też się zorientowali, że Geoffrey żyje. Przystawili jej nóż do gardła, żeby zaczęła mówić. Ale nie wiemy, czy im coś powiedziała.

Sarah przypomniała sobie Eve, jej zielone oczy i twarde spojrzenie. Eve gotowa była zrobić wszystko, by przeżyć. Umiałyby zabić bez chwili wahania. Ale była też zakochana. Poprzedniego wieczoru Sarah zrozumiała, że Eve kochała Geoffreya tak samo jak ona. A może nawet jeszcze bardziej. Musiała wiedzieć, gdzie go szukać.

Tylko że żadne tortury nie były w stanie z niej tego wydobyć. Nigdy nie zdradziłaby Geoffreya.

Sarah pomyślała o ostrzu noża, o bólu przecinanej skóry. Czy ona umiałaby być taka dzielna? Zadrzała.

Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała tego udowodnić.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Odpowiedz na moje pytania, Dan. Zaczynij od tego, kto nakazał zwolnienie Sarah Fontaine i dlaczego.

Dan Lieberman, szef sekcji konsularnej, patrzył na Nicka z wyrazem twarzy osoby od dawna pracującej w Departamencie Stanu. Żadnych uczuć, żadnych emocji, jedynie uśmiech, który nic nie oznaczał. Jeśli się chciało zrobić karierę w służbie dyplomatycznej, trzeba było umieć zachować twarz pokerzysty w każdej sytuacji.

Jakiś instynkt podpowiadał Nickowi, że za tą u-grzeczną fasadą kryje się uczciwość, która czasem

Tess Gerritsen

109

próbuję dojść do głosu. Jednak w odróżnieniu od Nicka Lieberman nauczył się kontrolować swoje demony. Dzięki temu nadal miał pracę, i to na bardzo atrakcyjnej placówce w Londynie. Utrzymał ją, bo się nie wychylał. Nie wyrażał własnych opinii i nie pakował się w kłopoty. Ale to, czego przed chwilą dowiedział się od Nicka, wygląda na mały kłopot.

- Nastąpiło pewne złamanie zasad - przyznał Lieberman.

- Zaczynając od tego, że na policji pojawił się Potter.

Na tę uwagę Lieberman zareagował słabym uśmiechem.

- Zapomniałem, że ty i Potter dobrze się znacie. O co wam wtedy poszło?

- O Sokołowa. Nie udawaj, że nie pamiętasz.

- Rzeczywiście, sprawa Sokołowa. Pokłóciliście się na schodach. To był kiepski ruch, Nick. Została po tym paskudna notatka.

- Sokołów miał dwóch synów, mniej więcej dziesięcioletnich. W Nowy Rok zeszli do piwnicy, żeby poszukać tatusia. Znaleźli go z kulą w głowie. Miła noworoczna niespodzianka, prawda?

- Takie rzeczy się zdarzają. A ty zrujnowałaś sobie karierę.

- Na miłość boską, to były dzieci! Gdyby Potter mnie posłuchał, od dawna siedziałyby bezpiecznie gdzieś w Montanie. A teraz zapewne marzną na Syberii pilnowane przez KGB.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- On chciał uciec za granicę. Zaryzykował i przegrał. Daj spokój, to już przeszłość. Poza tym nie przyszedłeś tu, żeby się skarżyć na Pottera.
- Chodzi mi o Sarah Fontaine. Dlaczego Potter zajął się jej sprawą? Lieberman pokręcił głową.
- Ja nawet nie powinienem z tobą rozmawiać. Wszystkie wróble ćwierkają, że popadłeś w niełaskę. Więc zanim cokolwiek powiem, muszę wiedzieć, dlaczego tak interesujesz się sprawą Fontaine'a.
- Powiedzmy, że kieruje mną moralne oburzenie.
- A co cię tak oburzyło?
- Sarah Fontaine siedzi w moim pokoju hotelowym i zastanawia się, czy jest wdową, czy nie. Moim zdaniem jej mąż żyje. Ale nasi ludzie mówią coś wręcz przeciwnego. I radzą mi, żebym złożył jej wyrazy współczucia i o wszystkim zapomniał.
- To dlaczego nie zastosujesz się do ich rady?
- Nie lubię, kiedy się mnie okłamuje. I nie lubię powtarzać czyichś kłamstw. Jeżeli jest jakiś powód, żeby nie mówić jej wszystkiego, to chciałbym go znać. Jak mnie przekonacie, to się wycofam. Lieberman westchnął.
- Znowu walczysz z wiatrakami. Wiesz, jak cię nazywaliśmy? Don Kichot. Daj sobie spokój, wracaj do domu.
- Więc nie pomożesz mi?
- Nie, bo nie umiem odpowiedzieć na twoje pytania.
- Wiesz, dlaczego Potter pojawił się na komisariacie?

Tess Gerritsen

111

- To akurat mogę ci wyjaśnić. Dostałem telefon z góry, że to on przejmuje sprawę.

- Z jak wysokiej góry?

- Z bardzo wysokiej.

- Jak załatwiono jej zwolnienie?

- Polecenie przekazało brytyjskie kierownictwo. Ale oczywiście ktoś im musiał szepnąć parę słów.

- Angole? -Nick zmarszczył brwi. - Więc to jakaś wspólna operacja?

- Sam wyciągnij wnioski.

- Jaki udział ma w tym Potter?

- A kto to wie? Firma bardzo interesuje się tą twoją wdową. Na tyle, żeby wydostać ją z więzienia. A skoro posłali tam samego Pottera, to domyślam się, że stawka jest wysoka.

- Wiesz coś o Eve Fontaine?

- Niewiele. Słyszałem, że rok temu kupiła domek. Podobno była odludkiem. Nie wyjeżdżała z Margate. Ty wiesz z pewnością więcej niż ja. Mówiłeś, że wdowa jest u ciebie w hotelu?

- Tak. W tym pensjonacie na Baker Street.

- Ach tak, w Kenmore. - Lieberman rzucił to stwierdzenie, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Długo tam zostaniesz?

Nick podniósł się.

- Prawdopodobnie kilka dni.

- Sarah Fontaine zostaje z tobą?

Nick nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Gdyby to od niego zależało, zapakowałby ją do najbliższego samolotu do Waszyngtonu. Denerwował się

## TELEFON PO PÓLNOCY

na samą myśl o tym, że Sarah siedzi teraz sama w hotelu.

Właścicielka Kenmore, dawna znajoma Nicka, zapewniła go, że jej dwaj umięśnieni synowie w razie kłopotów dadzą sobie radę. Mimo to Nick chciał jak najprędzej wrócić do hotelu. Myśl o strasznej śmierci Eve Fontaine nie dawała mu spokoju.

- Jeżeli ona będzie chciała zostać w Londynie, to ja nie wyjadę.

Podali sobie ręce. Uścisk dłoni Liebermana był jak dawniej mocny i stanowczy. Budził zaufanie.

- Wiesz może, kim jest Magus? - spytał Nick, podchodząc do drzwi.

W twarzy Liebermana nie drgnął nawet muskuł.

- Magus? W języku biblijnym oznacza mędrca. Albo czarownika.

- Chodzi mi o kryptonim.

- Nie mam pojęcia.

- Jeszcze jedna rzecz. - Nick zatrzymał się na progu. - Możesz coś ode mnie przekazać Potterowi?

- Jasne. Tylko wyrażaj się przyzwoicie.

- Powiedz mu, żeby odwołał swoich ludzi. Albo niech przynajmniej będą bardziej dyskretni.

Lieberman po raz pierwszy wyglądał na zaskoczonego.

- Powiem. Ale na twoim miejscu najpierw upewniłbym się, że to rzeczywiście Firma za wami łązi. Bo inne towarzystwo mogłoby być dużo mniej przyjemne.

- Mniej przyjemne niż Firma? Wątpię.



Tess Gerritsen

113

Kiedy Nick wrócił do hotelu, Sarah głęboko spała. Leżała na łóżku w ubraniu, z głową wciśniętą w poduszkę. Okulary zsunęły się jej na podłogę, jakby zasnęła, trzymając je w ręku. Wpadające przez okno promienie słońca rozświetlały jej włosy miedzianym blaskiem.

Stał obok dłuższą chwilę i patrzył na nią. Nie miała klasycznej urody jak Lauren, jego była żona. Kiedy Lauren gdzieś się pojawiała, wszystkie głowy odwracały się w jej stronę. Przez jakiś czas było to dla Nicka powodem do dumy. Widział pełne zazdrości spojrzenia innych mężczyzn i uważał się za szczęściarza. Była idealną żoną dyplomaty: czarująca, dowcipna i błyskotliwa. No i była piękna. Zdawała sobie z tego sprawę. Może w tym tkwił problem.

Kobieta śpiąca na jego łóżku zupełnie nie przypominała Lauren. Sarah uważała się za przeciętną. Dziwiła się, że mężczyzna taki jak Geoffrey się z nią ożenił. Musiała bardzo cierpieć, kiedy okazało się, że jej małżeństwo było jedynie grą. Nick doskonale ją rozumiał. Podobny ból przeżył cztery lata temu. Po rozwodzie przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie pozwoli się zranić.

Na szczęście jego rozgoryczenie powoli się rozplynęło. Na szczęście zostały w nim jakieś ludzkie uczucia, skoro teraz patrzył na Sarah i myślał o przyszłości.

O jakiej przyszłości? Kogo chce oszukać? Nie ma żadnej przyszłości, przynajmniej do czasu, aż odkryją całą prawdę o Geoffreju Fontainie.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Sarah nie była jeszcze gotowa rozstać się z czymś, co uważała za szczęśliwe małżeństwo. Z pewnością nadal kochała Geoffreya. Nadal chciała mu wierzyć. Z jakichś niezrozumiałych przyczyn ta jej lojalność wydawała się Nickowi szczególnie pociągająca.

Odwrócił się i wyjrzał przez okno. Na ulicy stał ten sam czarny samochód. Chłopcy z Firmy wciąż ich obserwują. Pomachał do nich, zastanawiając się, gdzie się podzieli dawni dobrzy agenci. Potem zaciągnął zasłony i położył się na drugim łóżku.

Ale dzienne światło nie pozwalało mu zasnąć. Pomimo zmęczenia, leżał z zamkniętymi oczami i myślał.

Kiedy poprzedniego wieczoru wsiadał do samolotu, kierowała nim wyłącznie złość. Był przekonany, że Sarah go okłamała. Wbiła ostatni gwóźdź do trumny, w którym pochowana została jego kariera. Chciał ją dopaść i wydusić z niej prawdę. A tymczasem leży niecałe trzy metry od niej i wyobraża sobie przyszłość.

Po co się w to wszystko pakował? Rozsądek podpowiadał mu, że powinien wracać do domu i zostawić całą sprawę CIA. Ale nie wybaczyłby sobie, gdyby coś jej się stało.

Powoli zaczął zapadać w sen. W jego umyśle pojawił się senny obraz kobiety o bursztynowych oczach. Chciał jej dotknąć, ale ręce zaplątały mu się w jej długich włosach.

Sarah. Jak ktoś mógł pomyśleć, że nie jesteś piękna? Jego ręce poruszały się bezładnie, uwięzione

Tess Gerritsen

115

w coraz gęstszej sieci. Bezsilnie patrzył, jak jej postać powoli znika. Znowu był samotny.

Roy Potter siedział w jednym ze swoich pokoi w tylnej części ambasady.

- O'Hara wyszedł z biura Liebermana jakieś czterdzieści minut temu - mówił głos z radiowego odbiornika. - Teraz jest w Kenmore. Kobieta nie pokazała się od godziny. Zastony w oknach są zaciągnięte.

- Założę się, że ptaszki nie śpią - mruknął Potter do swojego asystenta.

Tarasoff ledwie się uśmiechnął. Nie miał za grosz poczucia humoru.

Ubierał się też bardzo poprawnie: szary garnitur, spokojny srebrzystoniebieski krawat, biała koszula. Wszystko bez najmniejszej plamki. Nawet sposób, w jaki jadł kanapkę z pieczoną wołowiną, był poprawny. Odgryzał niewielkie kawałki i po każdym wycierał sobie palce serwetką.

Za to Roy Potter jadł jak normalny człowiek. Po prostu wrzucał w siebie to, co miał do zjedzenia. Przełknął ostatni kęs kanapki i sięgnął po mikrofon.

- W porządku, chłopaki. Pilnujcie dalej. I uważajcie, czy ktoś się tam nie kręci.

- Jasne, szefie. Wiadomo coś o właścicielach Ken-more?

- Są czyści. Wdowa i dwóch synów. Zauważył was?

- Niestety tak. Nawet do nas pomachał. Tarasoff wydał z siebie odgłos, jakby się zakrztusił.

Ale kiedy Potter na niego spojrzał, zobaczył jedynie kamienny wyraz twarzy.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Jak to się stało? Poszliście mu się przedstawić?

- Zauważył nas w drodze z komisariatu.

- Dobra. Jest pierwsza trzydzieści. Za dwie godziny możecie się odmeldować.

Potter rozłączył się, zmiął papier po kanapce i rzucił go do kosza. Nie trafił, ale nie miał zamiaru wstać. Tarasoff podniósł papier.

- Może powinniśmy spojrzeć na Nicka O'Hare z nieco innej perspektywy?

- odezwał się.

- Co to znaczy?

- Może on wykonuje jakąś tajną misję. Potter wybuchnął śmiechem.

- O'Hara? To nie jest facet od wykonywania misji. Za ucziwy. Myśli, że wyruszył na poszukiwanie świętego Graala. To taki typ, który przejmuje się losem wielorybów. - Potter spoglądał łakomie na resztki kanapki

Tarasoffa. -Zamierzasz ją skończyć?

- Nie, proszę bardzo.

Potter odgryzł kęs i o mało się nie zakrztusił. Chrzan. Po co ludzie psują tym świństwem porządną pieczoną wołowinę?

- O'Hara jest za bardzo intelektualny - mówił z pełnymi ustami. - Tylko teoria, żadnej praktyki. Włada czterema językami. Nawet niezły z niego dyplomata. Ale on nie żyje w realnym świecie.

- W takim razie po co się w to wpakował? - Tarasoff nie dawał za wygraną. - Narobił sobie jedynie kłopotów. Nie rozumiem go.

- Byłeś kiedyś zakochany?

- Jestem żonaty.

Tess Gerritsen

117

- Pytałem, czy byłeś zakochany.

- Chyba tak.

- „Chyba tak” to nie jest miłość. Zakochany człowiek szaleje, gotów jest ryzykować własne życie. A może nawet się ożenić.

- Zakochał się w Sarah Fontaine? - Tarasoff pokręcił głową z powątpiewaniem.

Potter roześmiał się.

- Nigdy nie lekceważ mocy hormonów.

- To samo mówi moja żona. - Tarasoff zerknął nagle na rękaw Pottera. - Poplamił pan sobie marynarkę.

Roy Potter popatrzył na żółty kleks musztardy. Kolejny dzień, kolejna plama. Rozejrzał się w poszukiwaniu serwetki, ale sięgnął po kawałek papieru. Była na nim notatka, którą sam zapisał w zeszłym tygodniu: wysłać alimenty. Cholera, znowu się spóźnił.

Zmiał papier i cisnął nim do kosza. Tym razem też chybił. Z ciężkim westchnieniem wstał z krzesła. Pochylał się, by podnieść papier, gdy drzwi nagle się otworzyły.

- Czego? - warknął, ale zamilkł gwałtownie. Zaskoczony tym Tarasoff odwrócił się i zobaczył

w drzwiach Jonathana van Dama. Potter odchrząknął.

- Nie wiedziałem, że jest pan w Londynie. Jakaś nowa sprawa?

- Nie, raczej stara. - Van Dam beztrąsko usiadł na fotelu Pottera. - Dotarły do mnie dziwne informacje, których do końca nie rozumiem. Może pan mnie oświeci.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Jakie informacje?

- Kazałem założyć podsłuch na telefonie Sarah Fontaine. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że parę dni temu zadzwonił do niej jej mąż.

Zaskakujące, prawda?

Potter i Tarasoff spojrzeli po sobie.

- Mogę to panu wyjaśnić - zaczął Potter.

- Właśnie. Niech mi to pan wyjaśni - powiedział van Dam bez cienia uśmiechu.

Sarah i Nick stali na wysokim klifie wznoszącym się nad Margate. Stada mew pikowały w dół, a ich krzyki przecinały powietrze niczym płacz setek żałobników. Słońce świeciło jasno, odbijając się w wodzie jak w porozbijanym szkłe. W jego ciepłych promieniach Sarah czuła, że wraca jej chęć do życia.

Przez ostatnie dwa tygodnie jakby zapomniała, że wciąż żyje. Chciała umrzeć razem z Geoffreyem, a właściwie z kimś, kogo uważała za Geoffreya. Miała wrażenie, że podmuchy słonego wiatru na twarzy budzą ją z jakiegoś snu.

Przetrwała śmierć Geoffreya, teraz przetrwa jego zmartwychwstanie.

Przedtem bardzo go kochała, a dziś z trudem przypominała sobie to uczucie. Zostało jej jedynie parę obrazów, kilka zamrożonych wspomnień o człowieku, którego nawet nie zdążyła poznać.

Nick dotknął jej ramienia i skinął głową w kierunku ścieżki.

- Daleko jeszcze? - zapytał.

- Niedaleko. Na szczycie tego wzgórza.

Tess Gerritsen

119

Kiedy zaczęli iść w stronę Whitstable Lane, zauważyła, że mu się przygląda. Poruszał się bez wysiłku, jakby całe życie wspinał się po skałach.

Nick odwrócił się i popatrzył za siebie. Nikt nie szedł ich śladem. Byli sami.

- Ciekawe, dlaczego nas nie śledzą - odezwał się.
- Może są zmęczeni? Ruszyli w dalszą drogę.
- Nie lubisz CIA, prawda? - zapytała.
- Są z innej bajki. Nie ufam im. A zwłaszcza Royowi Potterowi.
- Co on ci zrobił?
- Mnie nic. Poza tym, że wysłał mnie z powrotem do Waszyngtonu.
- W Waszyngtonie jest tak źle?
- Tam się nie robi kariery dyplomatycznej.
- A gdzie się ją robi?
- Tam, gdzie coś się dzieje. W Afryce, Ameryce Południowej.
- To dlaczego pracowałeś w Londynie?
- To nie był mój wybór. Zaproponowali mi Kamerun, ale musiałem odmówić.
- Dlaczego?
- Z powodu Lauren. Mojej byłej żony.
- Aha.

Więc miała na imię Lauren. Sarah zastanawiała się, dlaczego się rozstali. Kolejne nieudane małżeństwo, w którym ludzie stopniowo oddalają się od siebie? Wzajemne znudzenie? Nie wyobrażała sobie, że Nick mógłby kogoś znudzić.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Minęli rząd skrzynek pocztowych na zakręcie do Whitstable Lane i zobaczyli mały biały dom ukryty za drewnianym parkanem. Starego dozorca nie było w pobliżu.

- To tu - powiedziała.

- Zobaczmy, czy ktoś jest w środku. - Nick podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek.

Nikt nie odpowiadał. Drzwi były zamknięte.

- Chyba nikogo nie ma. Nawet lepiej.

Przeszli do tylnego wejścia i Nick nacisnął klamkę. Tym razem drzwi się otworzyły. Promienie słońca padły na kamienną podłogę. Za progiem leżał potłuczony talerz z porcelany. Poza tym w kuchni panował porządek. Szuflady były pozamykane, miedziane rondle wisiały równo nad blatem. Na oknie stały dwie doniczki z kwiatami. Ciszę przerywało jedynie miarowe kapanie wody z kranu.

Sarah aż podskoczyła, kiedy Nick dotknął jej ramienia.

- Poczekaj tu - szepnął. Przeszedł przez kuchnię i zniknął w następnym pokoju.

Czekając na niego, Sarah rozglądała się dookoła. Więc to tu Eve gotowała, to tutaj razem jedli i rozmawiali. Nawet teraz czuła ich obecność.

- Sarah, przyjdź tutaj i popatrz! - zawołał Nick, stając w progu.

Weszła za nim do salonu. Półki na ścianach były wypełnione książkami, na kominku stała kolekcja porcelanowych figurek. Zachował się nawet popiół w palenisku.



Tess Gerritsen

121

Jedynie biurko było naruszone. Ktoś pootwierał i opróżnił szuflady, na podłodze wałały się sterty korespondencji, głównie rachunków i ulotek reklamowych.

- To nie była kradzież - zauważył Nick, wskazując na zabytkowy kielich stojący na półce. - Ktoś szukał tu informacji. Notesu z adresami albo numeru telefonu.

Sarah rozglądała się po pokoju. Musiało tu być bardzo przytulnie, zwłaszcza gdy w kominku płonął ogień. Wyobraziła sobie Eve siedzącą w skórzanym fotelu, otoczoną smugami papierosowego dymu. Grała wtedy jakaś muzyka?

O tak, na pewno Mozart albo Chopin. Zauważyła stos płyt obok starej fotografii. Popielniczka była nadal pełna niedopałków. Eve bała się, musiała palić jednego za drugim.

Parę metrów dalej Sarah dostrzegła uchylone drzwi. Jakaś dziwna siła ciągnęła ją w tamtą stronę. Wiedziała, co za nimi znajdzie, ale nie umiała się powstrzymać.

To była sypialnia. Ze łzami w oczach patrzyła na podwójne łóżko przykryte kwiecistą narzutą. Łóżko innej kobiety. Ile nocy spędzili tu razem? Ile razy kochali się ze sobą? Czy leżąc w tym łóżku, tęsknił czasem za nią?

Płacząc, wypadła z pokoju i wybiegła z domu. Zatrzymała się nad brzegiem urwiska i patrzyła na morze. Nawet nie usłyszała kroków Nicka.

Ale poczuła delikatny dotyk jego dłoni na ramionach.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Nic nie mówił. Po prostu stał obok niej. I właśnie tego od niego potrzebowała: ciszy i dotyku. Zamknęła oczy i poczuła we włosach jego oddech.

Była żoną Geoffreya, ale nigdy go nie знаła. Nicka spotkała zaledwie dwa tygodnie temu, a już ich losy są nierozzerwalnie związane. Nagle gwałtownie zapragnęła, by ją objął i mocno przytulił.

Zastanawiała się, jak to się mogło stać? Czy to jedynie samotność i ból po stracie? Była przerażona i bezbronna, a Nick stanowił jedyne bezpieczne oparcie na tym świecie. Niezbyt dobry powód, żeby się zakochać.

Staną naprzeciwko niego i spojrzała mu w oczy.

- Muszę odnaleźć Geoffreya - powiedziała. Jej głos gubił się wśród krzyków mew. -I muszę to zrobić sama.

- Nie możesz jechać sama. Wiesz, co się stało z Eve.

- Nic mi nie zrobią. Chcą dopaść Geoffreya, a ja jestem ich jedynym śladem.

- Jak zamierzasz go odszukać?

- On mnie znajdzie. Nick potrząsnął głową.

- To szaleństwo. Nie zdajesz sobie sprawy, co ci grozi.

- A ty wiesz? Jeżeli tak, to musisz mi powiedzieć. Nie odpowiadał.

Patrzył na nią, a jego oczy pociemniały jak matowe srebro.

Odwróciła się i ruszyła wzdłuż ścieżki. Nick szedł za nią z rękami wciśniętymi w kieszenie. Przystanęli

Tess Gerritsen

123

obok skrzynek pocztowych. Mężczyzna w mundurze listonosza uklonił im się i odjechał rowerem w kierunku Margate. Właśnie dostarczył listy. Sarah sięgnęła do skrzynki z numerem 25 i wyjęła pocztę: katalog i trzy rachunki zaadresowane do Eve.

- Czego się spodziewałaś? Że on do ciebie napisze? - rzucił Nick.

- Nie. Ale go znajdę - powtórzyła z uporem i wcisnęła rachunki do torebki.

- Jak? Poza tym CIA depte ci po piętach.

- Jakoś ich zgubię.

- A co potem? Jest jeszcze zabójca Eve. Myślisz, że sobie z nim poradzisz?

Zrobiła krok przed siebie, ale Nick chwycił ją za rękę.

- Pojadę z tobą.

- Dlaczego?

Jego odpowiedź kompletnie ją zaskoczyła. Pod wpływem nagłego impulsu objął ją i przyciągnął do siebie. Zanim pojęła, co się dzieje, poczuła jego usta. Krzyk mew gdzieś się rozplynął, miała wrażenie, że wiatr unosi ją ponad morskie fale. Wszystko straciło znaczenie, wszystko oprócz Nicka, smaku jego ust i zapachu soli na jego skórze.

Wrzask mew przywrócił ją do rzeczywistości. Gwałtownie wyzwoliła się z jego objęć. Był tak samo jak ona zaskoczony tym, co się wydarzyło.

- Chyba dlatego - powiedział cicho. Potrząsnęła głową zdezorientowana.

Pocałował ją.

To się stało tak szybko, tak nieoczekiwanie, że nadal

## TELEFON PO PÓŁNOCY

nie wszystko do niej docierało. Ale wiedziała, że go pragnie. Z każdą sekundą pragnęła go coraz bardziej.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- To się stało samo. Nie chciałem... - zawiesił głos, ale po chwili wybuchnął: - Cofam, co powiedziałem. Chciałem to zrobić.

Czuła, że kompletnie się pogubiła. Co się z nią dzieje? Jeszcze parę dni temu była przekonana, że kocha Geoffreya, a teraz jedynym mężczyzną, którego pragnęła, był Nick. Wciąż czuła smak jego ust, uścisk jego ramion i myślała tylko o tym, żeby to *wszystko* trwało nadal. Nie, nie może z nim wyjechać. Nie po tym, co zdarzyło się przed chwilą.

- Proszę, Nick, wracaj do Waszyngtonu. Muszę znaleźć Geoffreya i muszę to zrobić sama.

- Sarah, zaczekaj!

Ale ona ruszyła szybkim krokiem wzdłuż ścieżki. W milczeniu doszli do wioski. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystko byłoby prostsze, gdyby nadal pozostali jedynie przyjaciółmi.

Zanim dotarli do Margate, jeszcze bardziej utwierdziła się w swoim postanowieniu. Nic nie zmieni jej decyzji. Ale patrząc na niego, wiedziała, że będzie ją przekonywał. Widziała to w jego twarzy, w mocnym zaciśnięciu szczęki. On się łatwo nie poddaje. Czeka ich długa droga do Londynu.

Podeszli do wynajętego samochodu Nicka. Tuż za ich autem stał ten sam czarny ford, który jechał za nimi z Londynu. CIA. Nawet nie próbowali zachowywać

Tess Gerritsen

125

pozorów dyskrecji. To dobrze, łatwiej ich będzie mogła zgubić.

Za przyciemnianą szybą niewyraźnie rysowała się ludzka sylwetka. Sarah zerknęła w tamtą stronę, ale nie zauważyła żadnego ruchu. Nick też zwrócił na to uwagę. Zatrzymał się i zapukał w okno. Agent nie poruszył się. Czyżby zasnął?

- Coś mu się stało? - zapytała Sarah szeptem.

- Idź do samochodu - powiedział cicho. - Wsiądź do środka. - Ostrożnie dotknął klamki. - I nie ruszaj się stamtąd.

Jednak? ciekawość nie pozwoliła jej odejść. Stała za Nickiem na chodniku i patrzyła, jak powoli otwiera drzwi od strony pasażera.

Człowiek w środku nadal się nie ruszał.

Nick zawahał się przez moment, a potem gwałtownie otworzył drzwi na całą szerokość.

Ramię agenta opadło bezwładnie. Z nieruchomej twarzy patrzyły szeroko otwarte oczy. Nick cofnął się z przerażeniem. Na chodnik spadło kilka czerwonych kropli.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Sarah krzyknęła. W tej samej chwili rozległy się strzały. Oboje rzucili się na ziemię. Nick przykrył ją swoim ciałem. Nie mogła się poruszyć, nie mogła się odezwać, nie mogła nawet oddychać pod jego ciężarem.

Nick odsunął się na bok i popchnął ją do przodu.

- Do samochodu! - warknął.

Ostry ton jego głosu natychmiast ją otrzeźwił. Wczołgała się do ich auta.

Kule roztrzaskiwały szyby wystaw, ludzie wokół krzyczeli w panice.

Nick przecisnął się nad nią i opadł na miejsce kierowcy. W ręku już trzymał kluczyki.

Silnik zaskoczył natychmiast. Sarah próbowała zamknąć drzwi, ale Nick wrzasnął:

Tess Gerritsen

127

- Pochyl się, do cholery!

Zsunęła się na podłogę. Wrzucił wsteczny bieg i uderzył w forda. Zmienił bieg na jedynekę, skręcił w prawo i nacisnął pedał gazu. Samochód skoczył do przodu i gwałtownie przyspieszył. Słyszała wycie silnika i przekleństwa Nicka.

- Zamknij drzwi - rozkazał, wrzucając trzeci bieg. Spojrzała na niego.

Ręce miał przyklejone do

kierownicy, wzrok utkwiony przed siebie. Są bezpieczni. Nick nad

wszystkim panuje. Z dużą prędkością pędzili wąskimi uliczkami

Margate. Udało jej się zamknąć drzwi.

- Dlaczego chcieli nas zabić?

- Dobre pytanie.

- A tamten agent?

- Miał podejrzięte gardło.

- Boże!

Przed nimi pojawił się drogowskaz do Westgate. Nick jeszcze

przyspieszył. Margate zostało w tyle, za oknami przesuwaly się nagie pola.

- Kto to był, Nick? Kto próbował nas zabić? Nick zerknął we wsteczne lusterko.

- Mam nadzieję, że się nie dowiemy.

Z przerażeniem odwróciła głowę. Zbliżał się do nich niebieski peugeot.

Dostrzegła jedynie sylwetkę kierowcy, błysk światła w jego słonecznych okularach.

- Trzymaj się - rzucił Nick.

Wcisnął do końca pedał gazu i gwałtownym manewrem wyprzedził jadące przed nimi samochody.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Peugeot ruszył za nimi. Był jednak większy i cięższy, wjechał na niewłaściwy pas i o mało nie wpadł na ciężarówkę. Ten błąd kosztował go parę sekund. Został w tyle. Ale ruch powoli malał.

Nick wiedział, że na otwartej przestrzeni nie mają szans. Peugeot był za szybki.

- Nie zgubimy go.

Spojrzała na Nicka. Twarz miała nieruchomą, jedynie dłonie, z całych sił zaciśnięte na kierownicy, zdradzały jego uczucia.

Zbliżali się do rozwidlenia dróg. Nick gwałtownie skręcił w lewo, kierując się do Canterbury. Peugeot o mało nie przegapił skrętu, zahaczył o pobocze i w ostatniej chwili wy dostał się na właściwą drogę.

Usłyszała głos Nicka, niski i spokojny.

- Kiedy zaczną strzelać, masz się schylić. Postaram się jak najdłużej utrzymać nas na drodze. Jeżeli samochód się przewróci, natychmiast uciekaj. Silnik może wybuchnąć w każdej chwili.

- Nie zostawię cię!

- Zostawisz.

- Nie!

- Do cholery, zrobisz to, co powiedziałem! Peugeot był tak blisko, że Sarah widziała zęby kierowcy odsłonięte w koszmarnym uśmiechu.

- Dlaczego jeszcze nie strzelają? - zawołała. Peugeot uderzył w tył ich samochodu. Nick musiał mocno trzymać kierownicę, żeby nie wypaść na pobocze.



Tess Gerritsen

129

- Właśnie dlatego - powiedział. - Chcą nas zepchnąć z drogi. Kolejne uderzenie, tym razem z lewej strony. Nick rozpaczliwym manewrem utrzymał samochód na drodze. Usłyszeli ryk silnika peugeot. Teraz jechali już obok siebie.

Sparaliżowana strachem Sarah wpatrywała się w twarz zabójcy. Jego jasne, niemal białe włosy opadały na szkła przeciwsłonecznych okularów. Miał zapadnięte policzki obciągnięte matową skórą. Uśmiechał się do niej.

Jakimś skrawkiem świadomości zarejestrowała przeszkodę na drodze. Usłyszała gwałtowne westchnienie Nicka i spojrzała przed siebie. Pędzili wprost na stojący samochód.

Nick szarpnął kierownicą w prawo. Wpadli na przeciwległy pas ruchu. Rozległ się pisk opon, kiedy rozpędzone samochody próbowały ich omijać. Przed oczami mignęło jej zielone pole. Wpiła wzrok w dłonie Nicka, próbującego opanować kierownicę. Gdzieś z tyłu doszedł do niej metaliczny huk i brzęk tłuczonego szkła.

Świat nagle się zatrzymał. Stali na środku pola pośród stada zaskoczonych krów. Serce Sarah znów zaczęło bić, przestała wstrzymywać oddech. W tej samej chwili Nick nacisnął pedał gazu i wyjechał na drogę.

- To ich trochę zatrzyma - mruknął. Ta uwaga niemal ją rozbawiła. Spojrzała do tyłu. Peugeot leżał na boku. Mimo

## TELEFON PO PÓŁNOCY

sporej odległości widziała wykrzywioną grymasem wściekłości twarz jasnowłosego kierowcy. Szybko zniknął im z oczu.

- Nic ci nie jest? - zapytał Nick.

- Wszystko w porządku - zapewniła go. Usta miała kompletnie wyschnięte.

- Jedna rzecz jest pewna. Nie możesz pojechać dalej sama.

Sama? Aż zadrżała z przerażenia. Nigdzie nie pojedzie sama.

Droga znowu się rozwidlała. Znak na zachód kierował do Canterbury i Londynu. Nick skręcił na wschód do Dover.

- Dokąd jedziesz? - spytała zaskoczona.

- Nie możemy wracać do Londynu.

- Przecież potrzebujemy pomocy.

- Już mieliśmy pomoc. Nie bardzo się nam przydała. Mam dość takiej ochrony.

- W Londynie będzie bezpieczniej. Potrząsnął głową.

- Mylisz się. Właśnie tam będą nas szukać. A my nie możemy liczyć nawet na naszych własnych ludzi. Może spieprzyli sprawę, a może to coś znacznie gorszego.

Coś gorszego? Chodzi mu o zdradę? Wydawało jej się, że koszmar się wreszcie skończył, że zapukają do drzwi ambasady i znajdą się w bezpiecznych ramionach CIA. Nie przyszło jej do głowy, że ludzie, którym zaufała, mogą pragnąć jej śmierci.

- CIA nie zabija swoich ludzi - zauważyła.

Tess Gerritsen

131

- Zastanów się tylko. Żaden agent nie siedzi spokojnie, kiedy podrzyna mu się gardło. To musiał zrobić ktoś, kogo znał i komu ufał. Ktoś z Firmy. Potrząsnęła głową z rozpaczą.

- Co teraz zrobimy? - spytała bezradnie. Spojrzał na zegarek.

- Jest dwunasta trzydzieści. Zostawimy samochód i wsiądziemy w Dover na prom. W Calais złapiemy pociąg do Brukseli: A potem znikniemy. Przynajmniej na jakiś czas.

Patrzyła tępo przed siebie. Na jakiś czas? To znaczy na jak długo? Na zawsze? Czy tak jak Eve już do końca życia będzie musiała uciekać?

Zaledwie godzinę temu na klifie w Margate wiedziała, co ma robić.

Znaleźć Geoffreya i dowiedzieć się prawdy o ich małżeństwie. Teraz jej cel był inny, wprost fundamentalny, przy którym wszystko inne traciło znaczenie.

Musi ocalić życie.

Widziała, że Nick mocno zaciska dłonie na kierownicy. On także się boi.

To uświadomiło jej ogrom zagrożenia.

- Do kogo możemy mieć zaufanie?

- Do nikogo.

Ta odpowiedź potwierdziła jej najgorsze obawy.

Roy Potter chwycił słuchawkę po pierwszym sygnale i natychmiast włączył przycisk magnetofonu. Głos Nicka O'Hary przebijał się przez szumy i trzaski międzynarodowej centrali.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Mam ci jedną rzecz do powiedzenia.
- O'Hara? - krzyknął Potter. - Gdzie jesteś?
- Znikamy. Trzymaj się od nas z daleka.
- Nie możecie zniknąć! Potrzebujecie naszej pomocy.
- Do diabła z waszą pomocą!
- Bez nas nie uda wam się przeżyć.
- Mylisz się. Lepiej zacznij przyglądać się swoim ludziom. Chyba coś gnije w państwie duńskim. A jeżeli się okaże, że to twoja sprawka, to dobioreę ci się do dupy.
- Poczekaj...

Połączenie zostało przerwane. Z przekleństwem na ustach Potter odłożył słuchawkę i spojrzał niechętnie na Jonathana van Dama.

- Żyj! - oznajmił krótko.
- Gdzie są?
- Nie mówił. Ale namierzamy połączenie.
- Ujawnią się?
- Nie, będą się ukrywać.

Van Dam pochylił się nad biurkiem.

- Chcę ich mieć. I to natychmiast. Zanim ktoś inny ich dopadnie.
- On się boi. Nie ma do nas zaufania.
- Nic dziwnego po ostatniej wpadce. Macie ich znaleźć!

Potter podniósł słuchawkę, rzucając pod adresem Nicka wszystkie znane sobie przekleństwa.

- Tarasoff? - warknął. - Macie już numer? Co to znaczy gdzieś w Brukseli? Mnie interesuje konkretny adres. - Ze złością rzucił słuchawkę.

Tess Gerritsen

133

- Zwykła obserwacja. To był pański pomysł, nieprawdaż? - ironizował van Dam. - I co z tego wyszło?

- Posłałem za tą Fontaine dwóch dobrych agentów. Nie mam pojęcia, co się stało. Jeden zniknął, a drugi jest w kostnicy.

- Nie obchodzą mnie martwi agenci. Chcę mieć Sarah Fontaine.

Obstawiliście dworce i lotniska?

- Nasi ludzie w Brukseli już się tym zajęli. Ja sam dzisiaj tam polecę. Zaczęli wypłacać ze swoich kont duże sumy. Wygląda na to, że chcą zniknąć na dłużej.

- Obserwujcie konta. Wyślijcie ich fotografie do tamtejszej policji, do Interpolu, do wszystkich, którzy mogą nam pomóc. Nie zatrzymujcie jej, tylko zlokalizujcie. Potrzebny nam będzie portret psychologiczny O'Hary. Chcę znać jego motyw.

- O'Hary? - prychnął Potter. - Mogę panu wszystko o nim powiedzieć.

- Jaki będzie jego następny ruch?

- Jest nowicjuszem. Nie ma pojęcia, jak załatwić sobie nową tożsamość. Ale płynnie mówi po francusku, może się poruszać po Belgii, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń. I jest bystry. Możemy mieć kłopoty.

- A ta kobieta? Też się może tak łatwo wtopić?

- Nie zna żadnego obcego języka. Sama będzie kompletnie bezradna. Do pokoju wszedł Tarasoff.

- Mam ten adres. Budka telefoniczna w śródmieściu.

- Czy O'Hara zna kogoś w Belgii? - spytał van Dam. - Może ma tam jakichś zaufanych przyjaciół?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Potter zastanowił się.

- Musiałbym przejrzeć jego teczkę.
- Ten Lieberman z działu konsularnego może znać jego przyjaciół - wtrącił się Tarasoff.

Van Dam skinął głową z uznaniem.

- Dobry początek. Nareszcie ktoś zaczął myśleć.

Co dalej?

- Może powinniśmy wziąć pod uwagę inne wątki z jego życia. - Tarasoff zauważył, że Potter rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie. - Ale oczywiście pan Potter zna O'Hare' na wylot.

- Jakie inne wątki? - zainteresował się van Dam.

- Zastanawiam się, czy on dla kogoś nie pracuje.

- To niemożliwe - zaprotestował Potter.

- Pański człowiek ma celne spostrzeżenie - powiedział van Dam. - Może coś przeoczyliśmy, sprawdzając O'Hare'.

- Spędził cztery lata w Londynie. Mógł wtedy nawiązać liczne kontakty - zauważył Tarasoff.

- Ja go dobrze znam - upierał się Potter. - On działa na własną rękę.

Ale van Dam go nie słuchał. Potter miał wrażenie, że mówi do ściany.

Dlaczego zawsze czuł się lekceważony? Pracuje jak wół, żeby być dobrym agentem, ale to nie wystarcza, przynajmniej w oczach takich ludzi jak van Dam. Potterowi brakowało dobrego stylu.

Za to Tarasoff go ma. A van Dam - no cóż... Nosi garnitury z Savile Row i rolexy. Był na tyle mądry, żeby się bogato ożenić. Potter powinien był zrobić to

Tess Gerritsen

135

samo. Gdyby żenił się z bogatymi kobietami, to one płaciłyby mu teraz alimenty.

- Spodziewam się szybko jakichś rezultatów, panie Potter - rzucił van Dam, wkładając płaszcz. - Proszę mnie informować, jak tylko się czegoś dowiecie. To pańska sprawa, jak pan się zajmie O'Hara.

Potter zmarszczył brwi.

- Co to ma znaczyć?

- Niech pan z nim zrobi, co pan chce. Tylko proszę zachować dyskrecję.

- Van Dam opuścił

pokój.

Potter patrzył zaskoczony na zamknięte drzwi. Co to znaczy, że ma robić, co chce? Wiedział doskonale, co chciałby zrobić Nickowi O'Harze.

Jeszcze jeden zarozumiały dyplomata.

Zna ich wszystkich dobrze. Z wyższością patrzą na pracowników wywiadu. Żaden nie docenia czarnej roboty, którą Potter wykonuje. Ale przecież ktoś to musi robić!

Kiedy wszystko idzie dobrze, nikt go nie chwali. Ale jak coś się nie uda, czyja to jest wina?

Wciąż żywo pamiętał te wszystkie wyzwiska, którymi z O'Hara obrzucali się nawzajem. Nie mógł ich przeboleć, bo wiedział, że mimo wszystko O'Hara miał wtedy rację. To Potter był odpowiedzialny za śmierć Sokołowa.

Tym razem nie pozwoli sobie na żaden błąd. Już stracił dwóch agentów. Co gorsza, zgubił ślad Eve Fontaine. Ale więcej niczego już nie spieprzy.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Znajdzie ich, nawet jeżeli będzie musiał przeszukać wszystkie hotele w Brukseli.

Jonathan van Dam był równie zdeterminowany, by ich odnaleźć. Miał swoje własne powody. Temu O'Harze udało się zepsuć operację, która wydawała się całkiem prosta. Jego pojawienia się nikt nie mógł przewidzieć. Na dodatek słowa Tarasoffa zaniepokoiły van Dama. Może rzeczywiście O'Hara nie jest jedynie zakochany? Może rzeczywiście dla kogoś pracuje?

Van Dam wpatrywał się w talerz z grillowanym mięsem i rozważał ten wariant. Siedział samotnie przy stoliku w swojej ulubionej londyńskiej restauracji. Jedzenie mieli tu całkiem niezłe. Domowe kielbaski i jagnięce kotlety, miękkie i w sam raz wysmażone. Frytki były nieco za suche, ale i tak ich nigdy nie jadł. Lubił światła świec i delikatny szum rozmów. Lubił przyglądać się siedzącym wokół ludziom. Pomagało mu to skupić się na własnych problemach.

Skończył jeść i wygodnie oparty na krześle, sączył powoli porto. Tak, ten młody Tarasoff zwrócił uwagę na ważną kwestię. Nigdy nie należy sądzić, że jest tak, jak się wydaje. Van Dam doskonale o tym wiedział. Miał za sobą dwa lata małżeństwa, które wszyscy uważali za szczęśliwe. Przez dwa lata sypiał z kobietą, której nawet nie miał ochoty dotknąć. Znosił jej alkoholowe ciągi, awantury i następujące po nich wyrzuty sumienia. Nawet śmieszyły go głupie komentarze jej znajomych: „Przy tobie Claudia jest taka



Tess Gerritsen

137

szczęśliwa. Jesteś dla niej taki dobry. Oboje macie szczęście".

Śmierć Claudii była dla wszystkich zaskoczeniem. A największym chyba dla niej samej. Ta suka myślała, że będzie żyła wiecznie.

Porto jest naprawdę znakomite. Zamówił jeszcze jeden kieliszek.

Wrócił myślami do sprawy Sarah Fontaine. Wiedział, że w tak dużym mieście jak Bruksela odnalezienie O'Hary będzie niemożliwe. Facet za dobrze mówi po francusku. Ale Sarah to co innego. Wystarczy, że otworzy usta w niewłaściwym momencie.

Tak, lepiej skupić się na poszukiwaniach jej, a nie O'Hary. To jest znacznie łatwiejsze. Poza tym tak naprawdę to na niej mu zależy.

Sarah siedziała skulona na twardym materacu i po raz kolejny spozrzała na zegarek. Nicka nie mająż od dwóch godzin.

W pociągu z Calais na wszelkie sposoby starała się nie ulec panice.

Dreńczyło ją przeczucie, że za chwilę stanie się coś strasznego. Zmysły wyostrzyły się jej do granic możliwości. Słyszała każdy dźwięk, widziała każdy szczegół, nawet postrzępione nitki na mundurze konduktora. Ich życie może zależeć od małego drobiazgu.

Dotarli do Brukseli bez problemów. W miarę upływu czasu jej przerażenie słabło. Teraz czuła jedynie niepokój. Na razie jest bezpieczna.

Wstała i podeszła do okna. Nad miastem zapadał

## TELEFON PO PÓŁNOCY

zmrok. Dachy domów jak duchy zawisły w szarej mżawce.

Trąciła głową nagą żarówkę. Pokój był mały i zapuszczony, zwykła klitka na piętrze podrzędnego hotelu. Pachniał kurzem i pleśnią. Podwójny materac był zapadnięty w wielu miejscach. Na drewnianej podłodze leżał wytarty, poplamiony chodnik. Jeszcze kilka godzin temu nie zwracała na to uwagi. Teraz zamknięcie w czterech ścianach doprowadzało ją do szaleństwa.

Czuła się jak w pułapce. Było jej duszno, a przede wszystkim umierała z głodu. Zjadła dziś tylko śniadanie. Ale musi czekać na powrót Nicka.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi na dole. Wsłuchiwała się w odgłos kroków na schodach, a potem na trzeszczącej podłodze korytarza. Rozległ się zgrzyt klucza w zamku, drzwi zaczęły się powoli otwierać. Zamarła.

Na progu stał obcy mężczyzna.

Miał na sobie czarną rybacką czapkę, głęboko zsuniętą na oczy. Do ust przykleił mu się tłący niedopałek papierosa. Wraz z nim do pokoju wdarł się zapach ryb i wina, tak samo do niego pasujący jak marynarka niedbale przewieszona przez ramię.

Sarah przyglądała mu się przez moment, a potem roześmiała z ulgą.

- Nick, to ty!

- A kogo się spodziewałaś?

- To przez to ubranie...

Spojrzał z niesmakiem na marynarkę.

- Jest w sam raz. Pachnie tak, jakby poprzedni

Tess Gerritsen

139

właściciel w niej umarł. - Zgasił papierosa i podał jej paczkę zawiniętą w brązowy papier. - Twoja nowa tożsamość. Nikt cię w tym nie rozpozna.

- Aż boję się zajrzeć.

Rozdarła papier, wyjęła perukę z czarnych krótkich włosów, paczkę spinek i okropną wełnianą sukienkę.

- Chyba lepiej już wyglądała na owcy - westchnęła.

- Nie narzekaj. Ciesz się, że nie kupiłem ci minispódniczki i siatkowych pończoch. Poważnie się nad tym zastanawiałem.

Patrzyła z wahaniem na perukę.

- Czarna?

- Innych nie mieli.

- Nigdy nie nosiłam peruki. Jak to się zakłada?

- Odwrotnie. - Roześmiał się. - Założyłaś tył na przód. Pomogę ci.

Ściągnęła perukę z głowy.

- To się nie uda.

- Na pewno się uda. Przepraszam, że się śmiałem. - Podniósł z łóżka spinki. - Odwróć się. Najpierw trzeba coś zrobić z twoimi włosami.

Posłusznie odwróciła się i pozwoliła, by upinał jej włosy. Robił to bardzo niezdarnie, dużo lepiej poradziłaby sobie sama. Ale ciepły dotyk jego palców sprawiał jej przyjemność. Był kojący i niewiarygodnie zmysłowy.

Nick czuł, że jego ciało ogarnia coraz większe napięcie. Walczył ze spinkami, a jednocześnie patrzył na gładką skórę na karku Sarah.

Kosmyki jej włosów

## TELEFON PO PÓŁNOCY

parzyły go niczym ogień. Ich ciepło przenikało go do samego wnętrza. Powróciło dawne marzenie: Sarah stojąca w jego sypialni z rozpuszczonymi włosami.

Z wysiłkiem skupił się na swym zajęciu. Co on takiego miał zrobić? Aha, peruka. Niezdarnie zaczął wpinać spinki.

Założył jej perukę na głowę i odwrócił do siebie. Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy, będący połączeniem wątpliwości i rezygnacji.

- Wyglądam w tym głupio, prawda? - spytała z westchnieniem.
- Wyglądasz inaczej. I o to właśnie chodziło.
- Wyglądam głupio - powtórzyła.
- Teraz włóż sukienkę.
- Co to za rozmiar? - spytała, podnosząc ją do góry.
- Wiem, że jest za duża, ale nie miałem wyjścia.
- Rozumiem, innych nie mieli. - Zaśmiała się.
- Ale przynajmniej będziemy do siebie pasowali.
- Popatrzyła na jego zniszczone ubranie. - Kim ty właściwie jesteś?

Włóczęgą?

- Sądząc po zapachu, jestem pijanym rybakiem. Ty będziesz moją żoną. Nikt inny nie mógłby wytrzymać z takim brudasem.

- Dobrze, jestem twoją żoną. Ale bardzo głodną. Możemy coś zjeść?

Nick wyjrzał przez okno.

- Jest już dość ciemno. Przebierz się.

Zaczęła się rozbierać. Patrzył ciągle przez okno, starając się nie zwracać uwagi na kuszące dźwięki:

Tess Gerritsen

141

szelest bluzki zsuwającej się z ramion, odgłos spódnicy opadającej na podłogę.

Nagle rozśmieszył go komizm tej sytuacji.

Przez cztery lata udało mu się wytrwać i skutecznie odgradzać od własnych emocji wobec kobiet. Aż nagle pojawiła się Sarah Fontaine i akurat ona zrobiła wyłom w tym murze. Sarah, bez wątpienia wciąż zakochana w Geoffreyu.

Poznał ją zaledwie dwa tygodnie temu, a już zdążył z jej powodu stracić pracę, znaleźć się pod ostrzałem i o mało nie postradać życia w wypadku.

Naprawdę spektakularny początek znajomości.

Z niecierpliwością czekał, jaki będzie dalszy ciąg.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Siedzieli w zadymionej tawernie przy butelce burgunda. Wino było cierpkie i kwaśne. W sam raz dla pijanych rybaków, pomyślała, wychylając trzeci kieliszek. Zrobiło jej się ciepło.

Przy sąsiednim stoliku jacyś mężczyźni pili piwo i opowiadali sobie zabawne historie, co chwila wybuchając śmiechem. Pośród krzesłami przechadzał się kot i popijał mleko z miseczki stojącej przy barze. Sarah chłonęła w siebie wszystkie dźwięki i obrazy. Cudownie było wyjść z kryjówki chociaż na trochę.

Zauważyła, że Nick się do niej uśmiecha. Z opuszczonymi ramionami wyglądał na kogoś, kto ciężko pracował przez całe życie. Jednodniowy zarost przy

Tess Gerritsen

143

ciemnil mu szczękę i policzki. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam elegancki mężczyzna, którego poznała w biurze dwa tygodnie temu.

- Musiałaś być naprawdę głodna - powiedział, wskazując na pusty talerz. -

Lepiej się czujesz?

- Bez porównania. Umierałam z głodu.

- Kawy?

- Za chwilę. Dokończę wino.

Nick sięgnął przez stół i zabrał jej kieliszek.

- Wystarczy. Musimy zachować ostrożność. Popatrzyła na niego ze złością. Znowu mówi jej, co

ma robić. Nie zamierzała go słuchać. Postawiła kieliszek przed sobą.

- Nigdy się nie upiłam - oświadczyła.

- To nie jest dobry moment, żeby zrobić to po raz pierwszy.

Wypiła łyk, nie spuszczając z niego wzroku.

- Sprawia ci to przyjemność?

- Nie rozumiem.

- Wydawanie wszystkim poleceń. Odkąd się poznaliśmy, przejąłeś pełną kontrolę.

- Nad tobą czy nad sytuacją?

- Nad jednym i drugim.

- Wątpię. To ty wpadłeś na pomysł wyjazdu do Londynu.

- Nie powiedziałeś, dlaczego pojechałeś za mną. Byłeś zły?

- Byłem wściekły.

- To dlatego wsiadłeś do samolotu? Chciałeś mnie rozszarpać?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Szczerze mówiąc, rozważałem to. - Uniósł kieliszek, podniósł go do ust i popatrzył na nią przez szkło. - Ale zmieniłem zdanie.

- Dlaczego?

- Bo na posterunku policji byłaś taka bezbronna.

- Jestem silniejsza, niż myślisz. Jestem dorosła. Mam trzydzieści dwa lata. Umiem dawać sobie radę.

- W to nie wątpię. Jesteś inteligentna. Masz opinię świetnego naukowca.

- Skąd wiesz?

- Widziałem twoją teczkę.

- Racja, jest przecież tajemniczateczka. I czego się z niej dowiedziałeś? Odchylił się do tyłu.

- Sarah Gillian Fontaine, absolwentka uniwersytetu w Chicago.

Współpracowała przy kilku projektach naukowych z dziedziny mikrobiologii. W ciągu ostatnich dwóch lat z powodzeniem zdobywała fundusze na badania. Duży sukces w czasach cięć budżetowych. Jesteś bardzo inteligentna.

Zamilkł, a potem dokończył spokojnie:

- I potrzebujesz mojej pomocy.

Przerwali rozmowę, bo kelner przyniósł im rachunek. Kiedy jednak znalazł się poza zasięgiem ich głosów, Nick wrócił do tematu.

- Potrafisz dać sobie radę. W zwykłych okolicznościach. Ale to nie są zwykłe okoliczności.

Sarah musiała się z nim zgodzić.

- To prawda - powiedziała z westchnieniem. - Boję się. I mam dosyć zachowywania ostrożności przez



Tess Gerritsen

145

cały czas. Rozglądania się po ulicy. Zastanawiania się, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Ale to nie znaczy, że zamierzam się poddać. Zrobię wszystko, żeby przeżyć.

- To dobrze. Bo zanim się to wszystko skończy, będziesz musiała zamienić się w wiele innych kobiet. Już nie jesteś Sarah Fontaine.

Przynajmniej w miejscach publicznych. Na razie lepiej o niej zapomnij.

- Ale jak?

- Wymyśl sobie nową postać. Z najdrobniejszymi szczegółami. Stań się tą osobą. A teraz mi ją opisz.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Jestem żoną rybaka... Ledwo wiązę koniec z końcem...

- Mów dalej.

- Moje życie nie jest lekkie. Mam sześcioro dzieci. Wszystkie ciągle wrzeszczą. Mój mąż... - Spojrzała nagle na Nicka. - To znaczy ty... ciągle nie ma cię w domu.

- Nie tak ciągle, skoro mamy sześcioro dzieci

- zauważył z uśmiechem.

- Mieszkamy w ciasnym mieszkaniu. Ciągle się ze sobą kłócimy.

- Jesteśmy szczęśliwi?

- Nie wiem.

- Skoro jesteśmy parą, to mam prawo dołożyć swój grosz do tej historii. -

Zamyślił się na moment.

- Tak, jesteśmy szczęśliwi. Kocham swoje dzieci, pięć córek i syna.

Kocham swoją żonę, ale dużo piję. I potrafię być niemiły.

**L**

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Bijesz mnie?

- Tylko kiedy na to zasłużysz. Ale potem bardzo cię przepraszam.

Patrzyli sobie w oczy, jak dwoje obcych ludzi, którzy nagle dostrzegają, że znają się bardzo dobrze. Jego spojrzenie złagodniało. A ona zaczęła zastanawiać się, jak by to było leżeć pod nim na ich twardym materacu, czuć jego ciężar na swoim ciele. Geoffrey był delikatnym kochankiem, ale wyczuwała w nim wiele chłodu pozbawionego namiętności. Nick z pewnością był jego przeciwieństwem.

Drżącą ręką sięgnęła po kieliszek.

- Długo jesteśmy małżeństwem?

- Od czternastu lat. Kiedy braliśmy ślub, miałem dwadzieścia cztery lata, a ty... zaledwie osiemnaście.

- Mojej mamie musiało się to nie podobać.

- Mojej też nie. Ale to nie było dla nas ważne. - Musnął lekko jej dłoń. - Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani.

Coś w jego głosie sprawiło, że nie odpowiedziała. Ta zabawa w udawanie, jeszcze przed chwilą bez znaczenia, nagle się zmieniła.

Słyszała szum krwi w uszach, wszystko wokół - sala pełna ludzi, śmiech, dym papierosów - rozplynęło się. Została tylko twarz Nicka i jego oczy.

- Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani - powtórzył tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Brzęk jej kieliszka przewróconego na stole przywrócił ją do rzeczywistości. Patrzyła w zdumieniu na

Tess Gerritsen

147

strużkę burgunda cieknącą po obrusie. Nagle buchnął gwar tawerny. Nick poderwał się z miejsca z serwetką w dłoni. Patrzyła oniemiała, jak wyciera wino. Jestem pijana, skoro się tak zachowuję, pomyślała.

- Sarah, co się stało?

Wstała gwałtownie i wybiegła na zewnątrz. Chłodne powietrze podziałało na nią jak uderzenie w policzek.

W połowie ulicy usłyszała za sobą kroki Nicka. Biegł za nią, ale ona się nie zatrzymywała. Dogonił ją szybko, chwycił za ramiona i odwrócił do siebie.

- Sarah, posłuchaj...

- To tylko zabawa, Nick - powiedziała, próbując wyrwać się z jego uścisku. - Nic więcej, jedynie wymyślona historyjka.

- To już nie jest wymyślona historyjka. Przynajmniej nie dla mnie.

Przyciągnął ją do siebie tak gwałtownie, że nie miała czasu się opierać. Wydawało jej się, że zapada się w ciemność. Nie zdążyła nawet zaczerpnąć kolejnego oddechu. Nick miał smak wina, cierpkiego burgunda.

- To nie zabawa. To się dzieje naprawdę - powiedział ochryple, kiedy wreszcie oderwał się od jej ust.

- Boję się, że popełnię kolejny błąd. Tak jak z Geoffreyem.

- Ale ja nie jestem Geoffreyem. Jestem zwyczajnym facetem w średnim wieku, niezbyt bogatym. Może nawet niezbyt byстрыm. Nie mam żadnych

## TELEFON PO PÓŁNOCY

sekretów do ukrycia. I jestem samotny. Od bardzo dawna.

Przywarła mocno do niego, wtuliła twarz w wełnianą marynarkę, ale nie zwracała już uwagi na jej zapach. Ważne było jedynie to, że Nick miał ją na sobie, że mogła opierać głowę na jego ramieniu.

Mżawka zamieniła się w deszcz, gęste krople padały na uliczny bruk.

Sarah i Nick ze śmiechem przebiegli wzdłuż wystaw, minęli parę skuloną pod parasolem i piekarnię, z której dochodził zapach kawy i świeżego pieczywa.

Kiedy znaleźli się w pokoju, byli kompletnie przemoczeni. Nick zamknął drzwi i patrzył, jak Sarah zdejmuje perukę. Wilgotne rude włosy opadły jej na ramiona.

Podszedł do niej i delikatnie ją pocałował. Znów poczuła smak wina, a potem deszczu, który spływał mu z policzków. Sięgnął do guzików jej sukienki i zaczął je powoli rozpinać.

Drżeli oboje. Zrzucił z siebie marynarkę. Poczowała na piersiach lodowate zimno jego mokrej koszuli. Osunęli się na łóżko, które zatrzeszczało pod ich ciężarem. Gwałtownymi ruchami ściągnął z siebie koszulę i rzucił ją na podłogę. Przypomniała sobie, co pomyślała wcześniej: że Nick nie będzie delikatnym kochankiem, za dużo w nim było dławionej namiętności.

Była tak samo spragniona miłości jak on. Ale czy naprawdę tego chce? Musiał zauważyć jej wahanie, bo odsunął się od niej lekko i spojrzał jej w oczy.

Tess Gerritsen

149

- Cała drzysz - szepnął. - Co się stało?

- Boję się.

- Czego? Mnie?

- Chyba siebie, swoich wyrzutów sumienia. - Zamknęła oczy. - Boże, co ja robię? Przecież mój mąż żyje.

Delikatnie ujął jej twarz w dłonie, chcąc, by na niego spojrzała.

Przyglądał się jej uważnie, jakby próbował zajrzeć do jej wnętrza. Jego wzrok zdierał z niej wszystkie obronne zasłony - po raz pierwszy w życiu ktoś tak na nią patrzył.

- Jaki mąż? Simon Dance? Geoffrey? A może duch, który nigdy nie istniał?

- To nie był duch.

- To też nie było prawdziwe małżeństwo.

- Wiem, nie jestem idiotką.

- Zapomnij o wszystkim. - Pocałował ją w czoło. - Zaczynaj nowe życie.

- Pokochałam złudzenie - powiedziała z westchnieniem. - On był marzeniem, niczym więcej. Ale chciałam, żeby był prawdziwy. I nawet w to uwierzyłam, bo bardzo go potrzebowałam. - Potrząsnęła głową ze smutkiem. - To, że kogoś potrzebujemy, zaczyna nas niszczyć. Zaślepia nas. A ja teraz potrzebuję ciebie.

- To źle?

- Sama siebie nie rozumiem. Zakochałam się w tobie? A może tak mi się tylko wydaje, bo bardzo cię potrzebuję?

Powoli, niechętnie Nick zaczął zapinać jej sukienkę.

1 150

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Nie będziesz tego wiedziała, dopóki nie będziemy bezpieczni. Wtedy będziesz mogła ode mnie odejść i sama się przekonasz.

Dotknęła jego ust.

- Wiesz, że bardzo cię pragnę. Tylko że... - Zawiesiła głos.

Widział w jej oczach wewnętrzną walkę. Pragnął jej tak samo mocno, ale wiedział, że moment nie jest odpowiedni.

Sarah wciąż nie otrząsnęła się z szoku. Ale nawet gdyby nie miała męża, wiedział, że nie należy do kobiet, które łatwo idą do łóżka z jakimkolwiek mężczyzną.

- Jesteś rozczarowany - powiedziała cicho. Zmusił się do uśmiechu.

- Przyznaję, że tak.

- To wszystko dlatego, że...

- Już dobrze - przerwał jej. - Nie musisz się tłumaczyć. Po prostu przytul się do mnie.

Wtuliła twarz w jego ciepłe ramię.

- Jesteś moim aniołem stróżem. Roześmiał się.

- Dobrze, że wyczyściłem sobie aureolę.

Przez dłuższą chwilę leżeli obok siebie w milczeniu.

- Co my teraz zrobimy, Nick? - szepnęła.

- Właśnie się zastanawiam.

- Nie możemy się bez przerwy ukrywać.

- To prawda. I to nie dlatego, że nie starczyłoby nam pieniędzy. - Spojrzał na nią z poważną miną.

Tess Gerritsen

151

- Musisz zamknąć za sobą tamten rozdział. Ale żeby to zrobić, musimy odnaleźć Geoffreya.

Równie dobrze mógłby powiedzieć, że polecą na księżyc. Byłoby to równie prawdopodobne. Mieliby przemierzać całą Europę w poszukiwaniu jednego człowieka? A do tego jeszcze uważać, żeby się nie dać schwytać?

W tej grze są nowicjuszami, nie znają zasad, nie znają przeciwników. Wiedzą jedynie, że stawką jest ich życie.

- Musiałem dziś zaryzykować - powiedział. - Zadzwoiłem do Roya Pottera.

Poruszyła się gwałtownie w jego ramionach.

- Zadzwoiłeś do niego?

- Z budki telefonicznej. On i tak wiedział, że jesteśmy w Brukseli. Na pewno sprawdzają nasze konta. Wypłaty, które zrobiliśmy po południu, już są w komputerach CIA.

- Ale dlaczego? Przecież mu nie ufasz?

- To prawda, ale mogę się mylić. Przynajmniej dałem mu do myślenia. Zacznie uważniej patrzeć na swoich ludzi.

- Będzie nas tutaj szukał.

- Bruksela to duże miasto. Poza tym możemy wyjechać. - Spojrzał na nią z uwagą. - Sarah, tak naprawdę wszystko zależy od ciebie. Byłaś żoną Geoffreya. Zastanów się. Gdzie on mógłby pojechać? Może zostawił ci gdzieś jakąś wiadomość? Sprawdziłaś wszędzie?

- Mam tylko swoją torebkę.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- No to zacznijmy od niej.

Wysypała zawartość torebki na łóżko. Były w niej jedynie kobiece drobiazgi oraz rachunki, które wyjęli ze skrzynki Eve. Sarah włożyła okulary i rozdarła koperty. W pierwszej był rachunek za elektryczność, w drugiej wyciąg z karty kredytowej. W ciągu ostatniego miesiąca Eve korzystała z niej tylko dwa razy. Płaciła nią za zakupy w Harrodsie. Trzecia koperta zawierała rachunek telefoniczny. Sarah zerknęła na listę połączeń i już miała odłożyć kartkę, gdy jej wzrok padł na jedno słowo umieszczone na samym dole: Berlin. Rozmowa miała miejsce przed dwoma tygodniami.

Sarah chwyciła Nicka za ramię.

- Spójrz, to ostatnie połączenie.

- Tego dnia, kiedy wybuchł pożar - zauważył, przypominając sobie daty.

- Eve próbowała zadzwonić do niego do Berlina. Musiała wiedzieć, gdzie go szukać.

- Ale dlaczego była taka nieostrożna? Przecież to wyraźny trop.

- Może to jakaś skrzynka kontaktowa? Ciekawe, czyj to numer.

- Nie uda nam się tego teraz sprawdzić. Telefon z zagranicy mógłby się wydać tej osobie podejrzany. Pojedziemy do Berlina.

Wrzucił wszystkie jej rzeczy z powrotem do torebki.

- Wsiądziemy jutro w pociąg podmiejski, a z Dusseldorfu złapiemy ekspres. Sam kupię wszystkie bile



Tess Gerritsen

153

ty. Będzie lepiej, jeżeli wsiądziemy do pociągu oddzielnie. Spotkamy się dopiero w środku.

- A co zrobimy w Berlinie?

- Zadzwonimy i zobaczymy, kto odbierze. W berlińskiej konsulacie pracuje mój przyjaciel, Wes Corrigan. Powinien nam pomóc.

- Możemy mu zaufać?

- Chyba tak. Byliśmy razem na placówce w Hondurasie. Poza tym nie mamy innego wyjścia. Musimy zaryzykować. Stawiam na dawną przyjaźń.

Nagle dostrzegł niepokój w jej oczach. Bez słowa wziął ją w ramiona i ułożył obok siebie na poduszkach. Chciał w ten sposób chociaż trochę ukoić jej strach.

- To straszne nie mieć przed sobą przyszłości - szepnęła. - Kiedy patrzę przed siebie, widzę jedynie Eve.

- Ale ty nie jesteś Eve.

- I to mnie przeraża. Ona wiedziała, co robi. Ja mam niewielkie szanse.

- Jeżeli to cię jakoś pocieszy, to masz mnie. Uśmiechnęła się i dotknęła jego twarzy.

- Tak, mam ciebie. Dlaczego spotkało mnie takie szczęście?

- To wiatraki.

- Nie rozumiem.

- Lieberman powiedział, że nazywali mnie Don Kichot, bo ciągle walczyłem z wiatrakami.

- Czyżbym była kolejnym twoim wiatrakiem?

- Ty jesteś teraz kimś więcej. - Musnął ustami jej włosy.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Nie musisz ze mną zostawać, Nick. To mnie szukają. Gdybyś wyjechał, zrozumiałabym, naprawdę.

- A co byś sama zrobiła? Nie mówisz po niemiecku, twój francuski jest dość... nieporadny. Potrzebujesz mnie.

Znowu to słowo: potrzebować. Ale ma rację, ona rzeczywiście go potrzebuje.

- Poza tym nie mogę cię teraz zostawić - dodał.

- Dlaczego? Roześmiał się cicho.

- Bo jestem bezrobotny. A kiedy to wszystko się skończy, zamierzam przejść na twoje utrzymanie.

Uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego.

- Mój ty słodki Don Kichocie. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. - Za Berlin - szepnęła.

- Za Berlin - powtórzył i przyciągnął ją do siebie.

Był piękny, jasny poranek. Stalowe szyny, jeszcze przed chwilą szare i mokre, rozblęły w promieniach słońca złotem. Unosiły się nad nimi delikatne pasemka mgły.

Sarah stała na peronie pełnym dojeżdżających do pracy ludzi. Większość pozdejmowała już swoje płaszcze i szaliki. Dzień zapowiadał się ciepły.

Dziewczęta w szkolnym mundurkach wystawiały twarze do słońca. Zima w Belgii była długa i mokra, wszyscy tęsknili za wiosną.

Nick i Sarah stali w odległości kilku metrów, wymieniając między sobą jedynie krótkie spojrzenia.

Tess Gerritsen

**155**

W czapce naciągniętej na oczy i z papierosem w ustach Nick był nie do rozpoznania.

Z oddali dobiegł stukot nadjeżdżającego pociągu. Ten dźwięk poderwał podróżnych z ławek. Jak morska fala przesunęli się na skraj peronu, przy którym zatrzymywał się już pociąg do Antwerpii. Z otwieranych drzwi wylał się strumień wysiadających pasażerów, wśród których byli biznesmeni w wełnianych garniturach, studenci w dżinsach i z plecakami, elegancko ubrane kobiety, które potem będą wracać do domu z torbami pełnymi zakupów.

Ze swojego miejsca na końcu kolejki Sarah widziała, jak Nick przydeptaje swój niedopałek i wsiada do pociągu. Po kilku sekundach jego twarz pojawiła się w oknie. Nie patrzyli na siebie.

Kolejka powoli malała. Jeszcze kilka metrów i znajdzie się w pociągu. Wtem, gdzieś na obrzeżach pola widzenia, zauważyła jasny błysk. Nagłe przeczucie kazało jej powoli odwrócić głowę w tamtą stronę. To było odbicie słońca w słonecznych okularach.

Zamarła. Przy budce z biletami stał jasnowłosy mężczyzna ze wzrokiem utkwionym w drzwi pociągu. Widziała go tylko częściowo, ale rozpoznała natychmiast. Ten sam człowiek patrzył na nią przez szyby niebieskiego peugeota. Jeszcze chwila i na pewno ją zauważy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki i zniknąć w tłumie podróżnych, ale to by tylko przyciągnęło jego uwagę. Musiała posuwać się do przodu, licząc na to, że mimo wszystko jej nie rozpozna.

Szukała okna, w którym widziała wcześniej twarz Nicka. Gdyby tylko mogła dać mu jakiś sygnał! Niestety, okno zostało daleko za nią.

Żeby nie ulec panice, przypominała sobie postać, w jaką się dzisiaj wcieliła. Słabowita żona belgijskiego rybaka. Spuściła oczy i przycisnęła do siebie torebkę. Niemal słyszała łomot własnego serca. Czarna peruka była jak tarcza chroniąca przed wzrokiem

Tess Gerritsen

157

mężczyzny. On szukał kobiety o rudych włosach. Może jej nie zauważy...

- Madame!

Poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Jakiś człowiek szarpał ją za rękaw i mówił coś do niej po francusku. Wyrwała mu się, ale ruszył za nią, machając szalikiem. Powtórzył swoje pytanie, wskazując na ziemię. W nagłym zrozumieniu pokręciła przecząco głową: nie, to nie ona zgubiła szalik.

Niemal ze łzami w oczach odwróciła się, by wsiąść do pociągu. Ale coś zagrodziło jej drogę. Podniosła głowę i zobaczyła swoją przerażoną twarz odbitą w szkle przeciwsłonecznych okularów.

Jasnowłosa mężczyzna znów się uśmiechał.

- Madame - powiedział cicho. - Proszę...

- Nie - szepnęła, postępując krok do tyłu.

Ruszył w jej kierunku. W jego dłoni błysnął stalowy przedmiot. Niemal poczuła ból rozcinanej ostrzem skóry. Miała wrażenie, że zaczyna lecieć w tył, gdy zorientowała się, że to pociąg wolno rusza.

Drzwi pociągu, jej ostatnia szansa ucieczki, znajdowały się już pięćdziesiąt metrów od końca peronu. Mężczyzna przysuwał się coraz bliżej. Był przekonany, że jego ofiara odwróci się i rzuci do ucieczki.

Rzeczywiście, Sarah ruszyła biegiem, ale w przeciwnym kierunku.

Minęła zaskoczonego mężczyznę i popędziła za odjeżdżającym pociągiem. Ta niespodziewana reakcja dała jej ułamek sekundy przewagi. Pociąg nabierał prędkości. Jeszcze tylko kilkanaście metrów i nie zdoła go dogonić. Czowała, że nogi ma

## TELEFON PO PÓŁNOCY

jak z ołowiu, słyszała za sobą coraz bliższe kroki mężczyzny.

Szaleńczym zrywem przebiegła ostatni kawałek i zacisnęła palce na chłodnej poręczy. Z największym trudem podciągnęła się i wczołgała po stopniach do środka. Padła na podłogę, dysząc ciężko ze strachu i wysiłku. Ból w gardle powoli ustępował i zamieniał się w szloch ulgi.

Udało mi się, myślała, udało się...

Nagle światło przesłonił cień. Stopnie wagonu zatrzeszczały pod czyimś ciężarem. Poczwała na ramionach lodowate zimno, jak zapowiedź własnej śmierci. Nie miała już sił, by walczyć, nie miała gdzie uciekać.

Nagle, gdzieś z tyłu, usłyszała pomruk wściekłości. Bardziej wyczuła ruch, niż go zobaczyła - mocne uderzenie buta w ludzkie ciało. Wiszący nad nią cień poleciał z jękiem do tyłu.

Wydawało jej się, że mężczyzna z jasnymi włosami zawisł na długie sekundy, jakby znieruchomiał w nieuchronnym upadku. Okulary gdzieś spadły, słońce oświetlało jego ziemistą skórę. Wreszcie oderwał się od schodów, jego przekleństwa wchłonał stukot kół. Kątem oka zobaczyła jeszcze, jak niezdarnie podnosi się z nasypu.

Silne ręce uniosły ją do góry i odsunęły od krawędzi. Drżąc, wtuliła się w Nicka tak mocno, że czuła bicie jego serca.

- Już wszystko dobrze - powtarzał. - Wszystko w porządku.

Tess Gerritsen

159

- Kim on jest? - zawołała. - Dlaczego nas prześladowuje?

- Sarah, posłuchaj. Słuchaj, co do ciebie mówię! Musimy wysiąść z pociągu, zanim nas dopadną.

A co potem? Miała ochotę krzyknąć. Spojrzał na szybko przesuwany się krajobraz. Nie uda im się wyskoczyć przy takiej prędkości.

- Następna stacja - powiedział. - Dalej pójdziemy na piechotę albo złapiemy jakąś okazję. Jak tylko minimy holenderską granicę, wsiądziemy do pociągu i pojedziemy na wschód.

Przywarła do niego kurczowo, nie do końca rozumiejąc, co do niej mówi. Groźne jej niebezpieczeństwo nabrało nagle straszliwych rozmiarów. Mężczyzna w słonecznych okularach wydał jej się pozbawionym ludzkich cech monstrum.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak czeka na nią na każdej kolejnej stacji. Nawet Nick nie może jej przed nim obronić.

Patrzyła na tory i modliła się, by stacja była jak najbliżej. Muszą wysiąść, zanim pułapka się zamknie. Pociąg wydał jej się stalową trumną, wiozącą ich prosto w ręce zabójcy.

Kronen patrzył w lustro na swoją posiniaczoną twarz. Rosła w nim wściekłość. Już drugi raz tej kobiecie udało się uciec. Niemal dopadł ją na peronie, ale zaskoczyła go, uciekając w przeciwnym kierunku, niż się spodziewał. Najbardziej jednak rozzłościło go, że dał się zrzucić ze schodów wagonu.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Uderzył pięścią w lustro. Nick O'Hara dwukrotnie wszedł mu w drogę.

Kim on jest, do cholery? Człowiekiem CIA? Przyjacielem Simona

Dance'a? Tak czy owak, nie przeżyje następnego spotkania.

Kronen włożył okulary. Siniak na prawym policzku jest dobrze widoczny. Upokarzający dowód, że dał sobie z nim radę ktoś tak słaby jak Sarah Fontaine.

Ale to już nie potrwa długo. Stary człowiek ma kontakty we wszystkich miejscach na świecie. Na pewno ją znajdą.

Obudziło ją trzepotanie ptasich skrzydeł nad głową. Otworzyła oczy. W łagodnym świetle zmierzchu zobaczyła kamienne ściany i obracające się powoli skrzydła wiatraka. Gołębie z głośnym gruchaniem obsiadły okienny parapet.

Leżąc w słomie, patrzyła na to wszystko z zachwytem i jednocześnie z lękiem, że czeka ją już niewiele takich chwil. A przecież tak bardzo chciała żyć. Nigdy dotąd nie czuła tak zachłannego pragnienia.

Obserwując gołębie fruujące w gasnącym słońcu, uświadomiła sobie, jak cenny jest każdy moment życia. A zawdzięcza to wszystko Nickowi. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Spał w słomie obok niej, z rękami założonymi pod głowę. Biedny, zmęczony Nick. Udało im się złapać samochód, który przewiózł ich przez holenderską granicę, potem szli całymi kilometrami na piechotę. Został im niewielki kawałek do najbliższej stacji kolejowej.

Nick zdecydował, że poczekają, aż zrobi się ciem



Tess Gerritsen

161

no. Znaleźli schronienie w starym wiatraku. Zagrzebali się w słomie i natychmiast zasnęli.

Przytuliła się do Nicka i wsłuchiwała w jego miarowy oddech. Obudził się po chwili i otoczył ją ramieniem.

- Chciałbym tu zostać na zawsze - szepnął. Westchnęła ciężko.

- Ja też.

Nick roześmiał się niespodziewanie.

- To zabawne. Dzielny Don Kichot ukrywa się w wiatraku. Już sobie wyobrażam, jak by się z tego śmiali w Londynie.

- Dlaczego mieliby się śmiać?

- Bo głupi O'Hara znów wpakował się w kłopoty. Uśmiechnęła się.

- W kłopoty może tak, ale na pewno nie głupi.

- Dzięki za poparcie. Przyglądała mu się z uwagą.

- Chyba przemawia przez ciebie zgorzknienie. Czy w służbie dyplomatycznej jest tak źle?

- Nie, to świetna praca. O ile umie się uciszyć sumienie. Na początku trzeba podpisać dokument, który mówi mniej więcej tyle: przysięgam podporządkować się polityce państwa. Podpisałem.

- I to był błąd?

- Właśnie. Kiedy pomyślę o naszej idiotycznej polityce, którą musiałem popierać... No i jeszcze te ciągłe przyjęcia. Co wieczór trzeba było krążyć po salonie i starać się zachować trzeźwość. A te nasze gierki z Rosjanami! Mówiliśmy o tym: wbić bramkę

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Iwanowi. Byliśmy jak dzieci, które próbują wykraść czyjeś tajemnice.

- No cóż, dyplomacja to piekło. Uśmiechnął się.
  - Mimo wszystko lepsze niż wojna.
  - Myślałam, że jesteś zwyczajnym biurokratą.
  - Tak, całymi dniami przekładałem papiery.
  - Nick, jesteś najmniej biurokratycznym mężczyzną, jakiego znam. A spotkałam już kilku.
  - Mężczyzn?
  - Nie, głuptasie, biurokratów. Tych facetów w Waszyngtonie, którzy przyznają pieniądze na badania. Ty jesteś inny. Jesteś... zaangażowany.
  - To prawda, jestem cholernie zaangażowany -zgodził się ze śmiechem.
  - Nie chodzi tylko o mnie. Większości ludzi nie obchodzi nic poza ich własnym życiem. A ty potrafisz walczyć w słusznej sprawie.
  - Kiedyś może potrafiłem. Na studiach wiele rzeczy mnie obchodziło. Z Timem Greensteinem spędziliśmy nawet noc w zimnym areszcie. Zatrzymali nas za nielegalną demonstrację przed siedzibą rektora. Ale dziś jest inaczej. Może się zestarzeliliśmy. -Dotknął jej twarzy. - A może mamy ważniejsze sprawy.
- Gołębie zerwały się nagle do lotu. Żdźbła słomy zaczęły spadać z okna jak złoty deszcz. Usiedli i zaczęli wyjmować słomę z włosów.
- A ty jaka byłaś na studiach? - zapytał. - Założę się, że grzeczna.
  - Raczej pilna. I odporna na różne szaleństwa.

Tess Gerritsen

163

- To znaczy na mężczyzn?

Z uśmiechem trąciła go lekko w nos.

- To znaczy na mężczyzn. A teraz myślę o tym, co straciłam - dodała po chwili szeptem.

- Robiłaś to, co było dla ciebie ważne. Przecież lubiłaś swoją pracę, prawda?

Skinęła głową. Podeszła do drzwi i spojrzała na świeżo zaorane pola.

- W obrazie, który widać w mikroskopie, jest coś wspaniałego. Jednym ruchem soczewki można go przybliżać i oddalać. Jest w tym jakieś poczucie bezpieczeństwa i kontroli. Wiesz, dopiero niedawno dotarło do mnie, że w moim laboratorium nie ma okien, przez które można wyjrzieć.

- Potrząsnęła głową z westchnieniem. - A teraz nic już nie zależy ode mnie. Ale nigdy jeszcze nie doświadczałam życia tak wyraźnie. I nigdy nie bałam się umrzeć.

- Nawet o tym nie myśl. - Podeszedł do niej i odwrócił w swoją stronę. - Jesteś silna, pod pewnymi względami silniejsza ode mnie. A ja dopiero teraz rozumiem, że... - Pocałował ją długo i namiętnie.

Dzienne światło już znikło, nad polami zapadła ciemność. Wypuścił ją niechętnie z objęć.

- Jak tak dalej pójdzie, to spóźnimy się na pociąg. Co nawet nie byłoby takie złe, ale... - Pocałował ją jeszcze raz. - Musimy ruszać w drogę.

Gotowa?

Wzięła głęboki wdech i skinęła głową.

- Tak, jestem gotowa.

Stary człowiek miał sen.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Nienke stała przed nim z włosami związanymi granatową chustką. Jej twarz zdobiły smugi ogrodowej ziemi oraz lekki uśmiech.

- Frans - powiedziała. - Musisz zrobić kamienną ścieżkę wśród krzewów róż, żeby nasi przyjaciele mogli podziwiać kwiaty. Teraz trzeba chodzić dookoła, a najładniejsze kwiaty są w środku. W ogóle ich nie widać.

Musisz zrobić kamienną ścieżkę, taką jaką mieliśmy koło domu w Dordrechcie.

- Dobrze, powiem ogrodnikowi.

Nienke uśmiechnęła się i podeszła do niego. Ale kiedy wyciągnął do niej ręce, granatowa chustka nagle zniknęła, a zamiast włosów pojawiła się ognista aureola.

Próbował ją zedrzyć, zanim ogień ogarnie jej twarz, ale w palcach zostawały mu jedynie kępy włosów i płatki żywego ciała. Rozpaczliwie starając się ocalić żonę przed płomieniami, rozrywał ją jedynie na kawałki.

Spojrzał na swoje ręce. Były całe w ogniu. Nie czuł jednak bólu. Do gardła podchodził mu niemy krzyk. Nienke zniknęła na zawsze.

Wes Corrigan otworzył drzwi po dobrych pięciu minutach. Stał w progu w piżamie i szlafroku, ze zdumieniem patrząc na dwójkę nocnych gości. W pierwszej chwili myślał, że to ktoś obcy. Mężczyzna był wysoki, siwowłosy, z kilkudniowym zarostem na twarzy. Kobieta miała na sobie niepozorny sweter i szary kapelusz.

Tess Gerritsen

165

- Gdzie twoja dawna gościnność? - spytał przybysz.
- Nick, na miłość boską, to ty?
- Możemy wejść do środka?
- - Jasne! - Wciąż zdumiony Wes zaprosił ich gestem do kuchni i zamknął drzwi.

Przyglądał się swoim gościom, wciąż kręcąc głową ze zdziwienia.

Zatrzymał wzrok na siwych włosach Nicka.

- Naprawdę minęło tyle lat? Nick roześmiał się.
- To tylko talk. Ale zmarszczki są prawdziwe. Jesteś sam?
- Nie, z kotem. Nick, co tu się dzieje?

Nick nie odpowiedział, minął go i wszedł do salonu. Wes odwrócił się więc do Sarah, która właśnie zdjęła kapelusz.

- Nazywam się Wes Corrigan. Kim pani jest?
- Mam na imię Sarah.
- Miło mi. To przebranie to jego pomysł?
- Ulica jest czysta - obwieścił Nick, wchodząc do pokoju.
- Pewnie, że czysta. Zamiatają ją w każdy czwartek.
- Chodzi mi o to, że nikt cię nie śledzi. Wes był kompletnie zaskoczony.
- Mów wreszcie, co jest grane. Nick westchnął.
- Mamy małe kłopoty.

Wes Corrigan pokiwał głową.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Zacząłem się tego domyślać. Kto was ściga?

- Firma. I chyba ktoś jeszcze. Wes spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Szybko

podszedł do kuchennych drzwi, wyjrzał na zewnątrz i przekręcił zamek.

- Szuka was CIA? Sprzedaliście jakieś państwowe tajemnice?

- To długa historia. Będziesz musiał nam pomóc. Wes pokiwał głową.

- Tego się obawiałem. Siadajcie, proszę. Zaparzę kawy. Jesteście głodni?  
Sarah i Nick spojrzeli po sobie.

- Potwornie.

Wes podszedł do lodówki.

- Zaraz podam jajka na bekonie. Opowiedzenie wszystkiego zajęło im pół godziny.

Przez ten czas opróżnili dzbanek z kawą i zjedli po porządnej porcji jajek, a Wes zdążył się całkiem rozbudzić.

- Dlaczego uważasz, że Roy Potter macza w tym palce? - spytał Nicka.

- To on prowadzi sprawę. Wystarczyło jego słowo, żeby policja wypuściła Sarah. Zapewne kazał agentom jechać za nami do Margate.

Firma może i nie działa bezbłędnie, ale w zaważeniu tak prostej sprawy ktoś im musiał pomóc. Ten ktoś kazał zabić agenta, a potem otworzyć do nas ogień.

- Mężczyzna w okularach słonecznych. - Wes pokręcił głową. - Nie podoba mi się to wszystko.

- Mnie też nie.

Tess Gerritsen

167

Wes Corrigan wyglądał na zatroskanego.

- Więc chcesz, żebym sprawdził teczkę na temat Magusa. Może być ciężko. Jeżeli to są ściśle tajne informacje, to do nich nie dotrę.

- Zrobisz, co będziesz mógł. My musimy pozostać w ukryciu, dopóki Sarah nie znajdzie Geoffreya.

- No cóż, nie zazdroszczę wam. Odprowadził ich do drzwi. Na jasnym niebie błyszczały gwiazdy.

- Gdzie chcecie przenocować? - zapytał Wes.

- Znaleźliśmy pokój niedaleko Ku'damm.

- Możecie przespać się u mnie na podłodze.

- Zbyt ryzykowne. Mieliśmy szczęście, że udało nam się przejść ze wschodniego Berlina. Na pewno już wiedzą, że jesteśmy w mieście. Jeżeli są sprytni, zaraz zaczną obserwować twój dom.

- Jak mam się z tobą skontaktować?

- Zadzwoń do ciebie. Przedstawię się jako Barnes. Oddzwonisz do mnie z budki. Lepiej, żebyś nie wiedział, gdzie jesteśmy.

- Nie ufasz mi? Nick zawahał się na progu.

- Wiesz, że nie o to chodzi. Ale to śmierdząca sprawa. Lepiej, żebyś się w nią za bardzo nie angażował.

- Właśnie mnie w nią zaangażowałeś, stary - powiedział Wes cicho.

Niebo za oknem powoli się rozjaśniało. Sarah leżała wtulona w ramiona Nicka. Pomimo zmęczenia

## TELEFON PO PÓŁNOCY

żadne z nich nie mogło zasnąć. Zbyt wiele zależało od tego, co dziś miało się wydarzyć.

Nick odwrócił głowę, a ona poczuła jego ciepły oddech w swoich włosach.

- Czy to się kiedyś skończy? - spytała szeptem. - Czy kiedyś jeszcze wrócę do domu?

- Wrócimy razem, zobaczysz.

- Naprawdę?

- Obiecuję. A Nick O'Hara zawsze dotrzymuje obietnic.

Wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia.

- Tak bardzo cię pragnę. Już sama nie wiem, czy jestem ślepa, przerażona czy zakochana. Ty jesteś pewien swoich uczuć?

- Jeżeli chodzi o ciebie, to tak. Może to głupie, ale wydaje mi się, że doskonale cię znam. Jesteś pierwszą kobietą, o której tak mogę powiedzieć.

- A twoja żona? Nie znałeś jej?

- Lauren? Tak, poznałem ją. Kiedy już się rozstaliśmy.

- Dlaczego wam się nie ułożyło? Oparł się wygodniej o poduszki.

- Jak to się mówi, każda prawda ma dwie strony. Tak było i z naszym małżeństwem. Gdybyś zapytała Lauren, to pewnie powiedziałaaby, że to moja wina, bo nie rozumiałem jej potrzeb.

- A gdybym zapytała ciebie?

- W miarę upływu czasu zaczyna się patrzeć na pewne sprawy z innej perspektywy. Dlatego teraz powiedziałbym, że to nie była niczyja wina. Ale nie



Tess Gerritsen

**169**

potrafię zapomnieć o tym, co zrobiła. - W jego głosie zadźwięczało niemal namacalne cierpienie. - Byliśmy wtedy trzy lata po ślubie. Podobało jej się w Kairze, wciągnął ją wir życia w ambasadzie. Niestety, pojawiła się propozycja wyjazdu do kraju, którego ona nie uważała za cywilizowany.

- To znaczy do Kamerunu?

- Właśnie. Chciałem tam pojechać, ale ona stanowczo odmówiła. Potem zaproponowano mi Londyn. I może wszystko dobrze by się ułożyło, gdyby... - Zawiesił głos. Sarah poczuła, jak jego ramię sztywnieje.

- Nie musisz mi mówić, jeżeli nie chcesz.

- Podobno czas leczy rany. Ale nie zawsze. Zaszła w ciążę. Dowiedziałem się, bo lekarz z ambasady dopadł mnie na korytarzu i pogratulował, że zostałem ojcem. Owszem, zostałem ojcem, na całe sześć godzin.

Cieszyłem się tak, że mało nie chodziłem po suficie. A potem przyjechałem do domu i dowiedziałem się, że ona nie chce dziecka. Sarah nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie mam dużej rodziny i bardzo chciałem tego dziecka - ciągnął, - Niemal o nie błagałem. Ale Lauren nazwała je komplikacją.

Komplikacją, rozumiesz? I co ja miałem powiedzieć? Wtedy dotarło do mnie, że jej wcale nie znam. Zaczęliśmy się o wszystko kłócić. Ona wkrótce poleciała do Stanów, żeby... załatwić sprawę. A po miesiącu przysłała mi papiery rozwodowe. To było cztery lata temu.

- Tęsknisz za nią?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Nie. Kiedy dostaliśmy rozwód, poczułem ulgę. Od tego czasu jestem sam. Tak jest łatwiej. Żadnego bólu, żadnych rozczarowań. - Dotknął jej twarzy, a na jego ustach pojawił się uśmiech. - A pewnego dnia w moim biurze pojawiłaś się ty. Miałaś na nosie te śmieszne okulary. Nie zwróciłem uwagi na twój wygląd, ale kiedy je zdjęłaś, zobaczyłem twoje oczy. I chyba wtedy się w tobie zakochałem.

- Miałam zamiar te okulary wyrzucić.

- W żadnym wypadku. Uwielbiam je. Roześmiała się. Po raz pierwszy w życiu poczuła się naprawdę piękna.

Przez okno wpadł powiew wiatru, przynosząc z ulicy słaby zapach spalin, dźwięki klaksonów i warkot samochodów. Berlin budził się ze snu.

- Myślałaś o tym, co się stanie, kiedy go odnajdziesz?

- Nie wybiegam tak daleko w przyszłość.

- Nadal go kochasz. Pokręciła przecząco głową.

- Sama nie wiem, kogo kochałam. Na pewno nie Simona Dance'a. Może mężczyzna, którego kochałam, nigdy nie istniał naprawdę.

- Ale ja istnieję - szepnął Nick. - I w odróżnieniu od Geoffreya nie mam nic do ukrycia.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Autobus jechał najpierw szerokimi czystymi alejami, a potem węższymi ulicami, na których sklepikarze w porannym słońcu zmiatali chodniki.

Pół godziny wcześniej zadzwonili pod numer z rachunku Eve i dowiedzieli się, że należy do kwaciarni.

Kobieta po drugiej stronie była bardzo uprzejma. Wyjaśniła im, jak mają do niej trafić. Musieli pojechać autobusem parę kilometrów na północ.

Przystanek znajdował się zaledwie przecznicę od sklepu.

To nie była dobra część miasta. Potłuczone szkło zaśmiecało ulice, wzdłuż których stały opuszczone, zrujnowane domy. Dzieci bawiły się na chodnikach, starzy ludzie siedzieli beczynn timer na progach. Czy

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Geoffrey ukrywa się w którymś z tych domów? Czekają na nią na zapleczu kwiaciarni?

Wysiedli na rogu i za kolejną przecznicą znaleźli właściwy adres. Był to mały sklep z brudnymi szybami wystawowymi. Na chodniku na zewnątrz stały plastikowe wiadra róż. Kiedy otworzyli drzwi, rozległ się dźwięk mosiężnego dzwonka.

Otoczył ich zapach kwiatów. Pulchna kobieta około pięćdziesiątki uśmiechnęła się do nich zza lady zawalonej stosem wstążek i róż. Przez moment przyglądała się uważnie Sarah, a potem przeniosła wzrok na Nicka.

- *Guten tag* - powiedziała. Nick skinął głową.

- *Guten tag*.

Zaczął niedbale rozglądać się po sklepie. Szyby chłodni na kwiaty były zaparowane, na półkach stały rzędy wazonów, porcelanowych figurek i plastikowych bukietów. Wieniec pogrzebowy, zawinięty w celofan, czekał przy drzwiach na swojego odbiorcę. Kobieta obcinała kolce róż i owijała łądy kolorową wstążką. Nuciała sobie cicho, niez mieszana milczeniem gości. Podniosła wreszcie wzrok i spojrzała Sarah w oczy.

- *Ja?* - odezwała się cicho.

Sarah wyciągnęła zdjęcie Geoffreya i położyła je na ladzie. Kobieta patrzyła na nie, nic nie mówiąc.

Wskazując na fotografię, Nick zapytał o coś po niemiecku. Kobieta pokręciła głową.

- Geoffrey Fontaine - odpowiedział. - Simon Dance.

Tess Gerritsen

173

Kobieta patrzyła na niego bez słowa.

- Przecież musi go pani znać! - zawołała Sarah gwałtownie. - To mój mąż, muszę go odnaleźć. Jeżeli pani wie, gdzie on jest, to niech mu pani powie, że przyjechałam.

- Sarah, ona nie rozumie.

- Musi rozumieć! Nick, zapytaj ją o Eve.

Ale na pytanie Nicka kobieta odpowiedziała jedynie wzruszeniem ramion. Może rzeczywiście nic nie wiedziała o Geoffreyu, a może nie chciała powiedzieć.

Sarah poczuła, jak cała jej nadzieja rozsypuje się w gruzy. Przejechali pół Europy, żeby znaleźć się w ślepej uliczce!

Kobieta spokojnie zajęła się zawijaniem bukietów w zielony papier.

- I co dalej? - spytała Sarah, patrząc bezradnie na Nicka.

- Nie wiem.

- Dlaczego Eve tutaj zadzwoniła? Musiała mieć jakiś powód. - Podeszła do chłodni, w której stały róże i goździki. Od zapachu kwiatów zaczęło jej się robić niedobrze.

Przypominały jej tamten bolesny poranek na cmentarnym wzgórzu.

- Nick, chodźmy stąd - powiedziała cicho. Nick spojrział na kobietę za ladą.

- *Danke schoen* - rzucił na pożegnanie.

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła na Sarah. W wyciągniętej ręce trzymała różę z lodygą owiniętą kolorową bibułą.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- *Auf wiedersehen* - powiedziała i podała różę Sarah.

Ich spojrzenia zetknęły się na ułamek sekundy, ale Sarah zrozumiała, że kobieta przekazała jej jakąś wiadomość, przeznaczoną jedynie dla niej.

Kiwnęła głową i wyszła za Nickiem ze sklepu.

Idąc ulicą, kurczowo ścisnęła różę w dłoni. Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymywała się, by nie zedrzeć bibułki i nie przeczytać wiadomości, której była pewna. Ale w spojrzeniu kobiety odczytała wyraźny sygnał, który mówił: „Grozi ci niebezpieczeństwo. Jest blisko ciebie”.

Ale blisko niej był jedynie Nick. Mężczyzna, któremu ufa i którego kocha. Odkąd Geoffrey zniknął, Nick stał się jej jedynym przyjacielem i obrońcą. Był przy niej zawsze, gdy go najbardziej potrzebowała.

Zwykły przypadek? A może precyzyjny plan? Jeżeli tak, to wybrali do tego zadania właściwą osobę. Wiedzieli, że będzie samotna i przerażona, że będzie chciała komuś zaufać. I wtedy, jak za sprawą czarów, Nick pojawił się w Londynie. Od tamtej pory nie rozstawali się niemal na chwilę. Dlaczego?

Nie chciała przyjąć tej myśli, ale odpowiedź nasuwała się z oślepiającą jasnością: mają śledzić.

Nie, to niemożliwe. Poza tym się w nim zakochała.

Jednak ostrzegawcze spojrzenie kobiety wtopiło jej się w pamięć. Nie umiała o nim zapomnieć.

Gdy tylko znaleźli się w hotelu, pobiegła do łazienki na końcu korytarza. Zamknęła za sobą drzwi i drżącymi palcami zaczęła odwijać bibułkę. W świat

Tess Gerritsen

175

le nagej żarówki wiszącej nad umywalką odczytała wiadomość. Była napisana po angielsku. „Potsdamer Platz, godzina pierwsza jutro. Nie ufaj nikomu”.

Wpatrywała się w trzy ostatnie słowa. Ich znaczenie było oczywiste. Stała się zbyt nieostrożna. Nie wolno jej popełnić kolejnego błędu. Od tego może zależeć życie Geoffreya.

Podarła bibułę na drobniutkie kawałki i spuściła z wodą w muszli.

Wróciła do pokoju, do Nicka.

Nie może go jeszcze opuścić. Najpierw chciała się upewnić. Kochała go i gdzieś w głębi serca wiedziała, że on nigdy by jej nie skrzywdził. Ale musi wiedzieć, dla kogo pracuje.

Dowie się wszystkiego jutro na Potsdamer Platz.

- Już się baliśmy, że nie przyjdiesz - powiedział Nick.

Wes Corrigan siedział przy stoliku naprzeciwko Nicka i Sarah. Był wyraźnie zdenerwowany.

- Ja też się bałem - przyznał, oglądając się przez ramię.

- Jakież kłopoty? - spytał Nick.

- Nie jestem pewien. I to mnie martwi.

Szukali jakiegoś dyskretnego miejsca, więc umówili się w tej mrocznej kawiarence. Ich stolik oświetlał blask pojedynczej świecy. Ludzie wokół mówili przyciszonymi głosami, zajęci wyłącznie własnymi sprawami.

Nikt nie zwracał uwagi na kobietę i dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku w rogu.

Niemal instynktownie Sarah rozejrzała się po sali

## TELEFON PO PÓŁNOCY

w poszukiwaniu awaryjnego wyjścia. W razie niebezpieczeństwa powinna mieć jakąś drogę ucieczki. Drzwi były wyraźnie oznaczone, ale musiałyby przebiec pomiędzy stolikami. Najwyżej trzy sekundy. Wiedziała, że gdyby do tego doszło, będzie musiała liczyć jedynie na samą siebie.

- I muszę przyznać, że mam stracha - odezwał się Wes, kiedy już zamówi! piwo.

- Co się stało?

- Po pierwsze, miałeś rację. Ktoś mnie śledzi. Niedługo po waszym wyjściu przed mój dom podjechała furgonetka. I stoi tam do tej pory. Musiałem wymknąć się tylnym wyjściem. Nie nawykłem do takich rzeczy.

- Masz coś dla nas?

Wes po raz kolejny rozejrzał się dookoła, a potem zniżył głos.

- Najpierw chciałem przejrzeć moje notatki i dokumenty na temat śmierci Geoffreya Fontaine'a. Kiedy rozmawialiśmy dwa tygodnie temu, miałem je przed oczami. Wyniki oględzin ciała, raport policyjny, fotokopię paszportu.

- No i co?

- Nie ma ich. - Zerknął na Sarah. - Wszystko zniknęło. Nie tylko dokumenty, ale i wszelkie ślady w komputerze. Nie ma nic na temat Geoffreya Fontaine'a. Jakby taka osoba nigdy nie istniała.

Przestali rozmawiać, kiedy kelnerka przyniosła im jedzenie: świeży chleb, ślimaki skwierczące w maśle czosnkowym i kawałki sera gouda.



Tess Gerritsen

177

- A Magus? - spytał Nick. Wes wytarł sobie masło z brody.  
- Właśnie do tego zmierzam. Kiedy okazało się, że nie ma nic o Geoffreyu, zacząłem rozglądać się za Magusem. Ale znalazłem jedynie kilka biblijnych odniesień. I to wszystko na temat tej postaci.

- Dość oczywiste - zauważył Nick.

- Nie mam dostępu do najbardziej tajnych informacji. A Magus chyba należy do tej właśnie kategorii.

- Więc zostaliśmy z niczym - westchnęła Sarah.

- Niezupełnie.

Nick zmarszczył brwi.

- Czego się dogrzebałeś?

Wes sięgnął do kieszeni i rzucił na stół kopertę.

- Znalazłem Simona Dance'a.

Nick chwycił kopertę. W środku znajdowały się dwie kartki.

- Mój Boże! Spójrz tylko - rzekł do Sarah. Była to kopia formularza wizowego sprzed sześciu

lat ze zdjęciem paszportowym. Oczy wydawały się Sarah znajome, ale gdyby spotkała tego mężczyznę na ulicy, nie zwróciłaby na niego uwagi.

- Więc to jest Geoffrey - powiedziała cicho. Wes skinął głową.

- A przynajmniej tak wyglądał sześć lat temu. Kiedy jeszcze nazywał się Dance.

- Jak to znalazłeś? - spytał Nick.

- Wyczyścili teczkę Geoffreya Fontaine'a, ale zostawili Dance'a. Może uznali, że skoro zmienił wygląd i nazwisko, to te rzeczy nie mają już znaczenia.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Sarah spojrzała na drugą kartkę. Jak zauważyła, Simon Dance miał niemiecki paszport z berlińskim adresem. Był żonaty. W rubryce zawód wpisano: architekt.

- Dlaczego wystąpił o wizę? - spytała.

- To była wiza turystyczna - zauważył Wes. - Może zamierzał podróżować.

- Albo zbadać na miejscu różne możliwości - dodał Nick.

- Sprawdziłeś ten berliński adres? - spytała Sarah.

- Tak. Dom został zburzony w zeszłym roku.

- Więc nie mamy żadnych tropów.

- Zostało mi jeszcze jedno źródło - ciągnął Wes. - Znajomy, który pracował dla Firmy. Zrezygnował w zeszłym roku. Miał dość szpiegowania. Może coś wie o Simonie Dansie albo o Magusie.

- Wes podniósł się z miejsca. - Muszę już wracać. Mam przed domem ten cholerny samochód. Zadzwoń do mnie jutro koło południa. Powinienem już coś wiedzieć.

- Znów przedstawię się jako Barnes.

- Dobrze, tylko daj mi jakiś kwadrans na dotarcie do budki. - Spojrzał ze współczuciem na Sarah.

- Mam nadzieję, że wszystko wkrótce się wyjaśni. Musisz być tym wykończona.

Sarah skinęła głową. Patrząc na obu mężczyzn, pomyślała, że to nie brak snu czy nieustanny strach są najbardziej wyczerpujące, ale niepewność, komu może zaufać.

Tess Gerritsen

179

- Jesteś wyjątkowo milcząca - zagadnął Nick. - Coś się stało?

Wracali ulicą do hotelu. Zapadła noc, ale miasto jarzyło się jaskrawymi światłami wystaw i kolorowych neonów.

- Sama nie wiem - westchnęła. Zatrzymała się i odwróciła do Nicka.

- Czy naprawdę mogę ci zaufać?

- Idiotyczne pytanie.

- Gdybyśmy poznali się w normalnych okolicznościach...

Dotknął jej twarzy gestem, który miał rozwiać jej wątpliwości.

- Ale stało się to, co się stało. Nie masz wyjścia, musisz mi zaufać.

- Ufałam Geoffreyowi - szepnęła.

- Ja nazywam się Nick O'Hara.

- Czasem zastanawiam się, kim jest Nick O'Hara. Czy jest człowiekiem z krwi i kości i czy w pewnym momencie nie zniknie z mojego życia.

- Daj spokój. - Przyciągnął ją do siebie. - Niedługo przestaniesz się zastanawiać. Przekonasz się, że istnieję naprawdę. To może potrwać rok albo dwa, albo nawet dłużej. Ale w końcu zaczniesz mi ufać.

Ufać? - pomyślała z goryczą. To dzieci są ufne, żeby mogły czuć się bezpiecznie. Ale zaufanie jest jedynie bolesnym złudzeniem. Już z niego wyrosła. Już wiedziała, że tak naprawdę każdy jest samotny.

Ale jej pożądanie nie było złudzeniem.

Kiedy niedługo potem stali w pokoju, zachłannie

## TELEFON PO PÓŁNOCY

utrwałała w pamięci jego uśmiech, zapach jego skóry i ciepło jego dłoni, bojąc się, że to mogą być jej ostatnie wspomnienia. Gdzieś w budynku rozległ się dźwięk starej gramofonowej płyty. Niemiecka piosenka, śpiewana kobiecym zachrypłym głosem.

Nick zgasił światło. Melodia nabrzmiewała smutkiem. Kobięcy głos śpiewał o rozstaniu. Sarah wiedziała, że ta piosenka zostanie z nią do końca życia. Nick podszedł do niej w ciemnościach. Przytuliła się do niego z nieoczekiwaną gwałtownością. Jak bardzo chciałyby mu o wszystkim powiedzieć! Kocha go. Zrozumiała to właśnie teraz, kiedy jej zaufanie zostało wystawione na najcięższą próbę.

Muzyka cichła powoli, wreszcie umilkła. Słyszeli jedynie swoje przyspieszone oddechy.

- Chcę się z tobą kochać - szepnęła. Delikatnie ujął jej twarz w dłonie.
- Sarah, co się stało? Nie rozumiem...
- Nie pytaj o nic. Chcę się z tobą kochać, chcę o wszystkim zapomnieć.
- Zapomnisz, obiecuję.

Poczuła, że zatapia się w smaku jego ust. Pożądanie, które do tej pory ukrywał za chłodną fasadą, wybuchło z całą siłą. Jego dłonie zsunęły się w dół, do zapięcia bluzki. Materiał rozchylił się i poczuła na piersiach najpierw jego niecierpliwe palce, a potem usta. Spódnica opadła jej z bioder na podłogę.

Położył Sarah na łóżku i przycisnął swoim ciałem.

- Tak bardzo cię chcę - szeptał, przeczesując palcami jej włosy. - Od pierwszego dnia marzyłem,

Tess Gerritsen

181

żeby mieć cię tak blisko siebie. - Zaczął pospiesznie rozpinąć koszulę. Robił to tak gwałtownie, że jeden z guzików urwał się i spadł na jej nagi brzuch. Odsunął go, pocałował to miejsce, a potem zrzucił z siebie resztę ubrania.

W nikłym świetle wpadającym przez okno widziała jedynie zarys jego pochylającej się nad nią postaci. Ich ciała zetknęły się, usta odnalazły drogę do siebie. Był to szalony, namiętny pocałunek, daleki od delikatności.

Wszedł w nią powoli, z wahaniem, jakby obawiał się, że może sprawić jej ból. Ale szybko pozbył się wszystkich zahamowań. Wyzwoliło się w nim coś najbardziej dzikiego i pierwotnego, a jednocześnie w tym zapamiętaniu była czułość i troska. Dopiero kiedy oboje dotarli do końca i leżeli obok siebie, Nick przypomniał sobie o dzisiejszym dziwnym zachowaniu Sarah. Widział, jak bardzo go pragnęła, jej namiętność przekroczyła nawet jego fantazje i marzenia.

Coś jednak jest nie tak. Dotknął jej policzka i poczuł, że jest wilgotny. Coś się między nimi zmieniło.

Zapyta ją o to później. Rano, kiedy minie ich pierwsza wspólna noc. Sarah nie jest jeszcze gotowa. A on znów jej pragnie. Tak bardzo, że nie chciał dłużej czekać. Kiedy połączył się z nią po raz drugi, zapomniał o wszystkich pytaniach. Zapomniał o wszystkim. Liczyła się tylko Sarah, jej ciepło i miękkość. Jutro sobie przypomni, o co ją miał zapytać.

Jutro.

1 182

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Dzień dobry, panie Corrigan, chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów.

Już po samym tonie głosu Wes zorientował się, że nie jest to wizyta towarzyska. Podniósł wzrok znad stery papierów i zobaczył dwóch mężczyzn stojących w drzwiach. Jeden był tęgi i dość niechlujny, drugi - wysoki i zbyt elegancki, nawet jak na standardy Firmy. Żaden się nie uśmiechał.

Wes odchrząknął.

- Witam. Czym mogę panom służyć? Wyższy usiadł i spojrzał Wesowi prosto w oczy.

- Gdzie jest Nick O'Hara?

Wes poczuł, że głos zamiera mu w gardle. Udało mu się po chwili opanować, ale było już za późno. Wiedział, że się zdradził.

- Nick O'Hara... chybajest nadal w Waszyngtonie

- powiedział, odsuwając papiery na bok.

Drugi mężczyzna zachnął się.

- Dość tych żartów, Corrigan.

- Wcale nie żartuję. A kim panowie są, jeśli wolno wiedzieć?

- Nazywam się van Dam. A to jest Roy Potter

- wyjaśnił ten wysoki.

Firma, pomyślał Wes. No nieźle, wpakowałem się w kłopoty.

Wstał z krzesła, starając się zachować obojętność.

- Dziś jest sobota, a ja mam jeszcze mnóstwo pracy. Może umówimy się na przyszły tydzień.

- Niech pan siada, Corrigan.

Wes sięgnął do telefonu, by wezwać ochronę, ale

Tess Gerritsen

183

Potter chwycił go za rękę, zanim zdążył dotknąć słuchawki. Wes po raz pierwszy poczuł strach. To już nie jest jedynie słowna agresja. Ci faceci nie zamierzają się z nim patyczkować. Wes nie lubił przemocy, zwłaszcza kiedy była skierowana przeciwko niemu.

- Szukamy O'Hary - powiedział Potter.

- Nie umiem wam pomóc.

- Gdzie on jest?

- Już powiedziałem, w Waszyngtonie. Nawet rozmawiałem z nim dwa tygodnie temu w sprawach konsularnych. - Wes spojrzał na swoją uwięzioną dłoń. - Czy byłby pan uprzejmy mnie puścić?

Van Dam westchnął.

- Dość już tych bzdur. Wiemy, że jest w Berlinie. Wiemy też, że na jego prośbę szukał pan wczoraj czegoś w komputerze. Musiał się z panem skontaktować.

- To są jedynie czyste speku...

- Ktoś z pańskim kodem dostępu przeszukiwał dane. - Van Dam zajrzał do małego notesu. - Niech sprawdzę. Wczoraj o siódmej rano szukał pan czegoś pod hasłem Geoffrey Fontaine...

- Parę tygodni temu wysłałem raport o jego śmierci. Chciałem ponownie przejrzeć kilka faktów.

- O siódmej trzydzieści wpisał pan hasło Simon Dance. Dziwne nazwisko. Miał pan jakiś powód?

Wes zamilkł.

- Wreszcie o dwunastej zaczął pan szukać informacji o kimś lub o czymś pod nazwą Magus. Interesuje pana Stary Testament?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Wes nie odpowiadał.

- Niech pan da spokój, panie Corrigan. Wszyscy wiemy, że szukał pan tych informacji dla O'Hary, prawda?

- Musimy go znaleźć! - wtrącił się Potter niecierpliwie.

- Dlaczego?

- Boimy się o jego bezpieczeństwo — wyjaśnił van Dam. - A także o bezpieczeństwo kobiety, która z nim jest.

- Nie wątpię.

- Niech pan posłucha, Corrigan. - Potter mówił już spokojniej. - Jego życie zależy od tego, czy go znajdziemy.

- Ciekawa bajeczka.

Van Dam pochylił się do przodu, patrząc twardo na Wesa.

- Wpakowali się w paskudny interes. Potrzebują ochrony.

- Dlaczego miałbym wam wierzyć?

- Jeżeli nam pan nie pomoże, będzie pan miał ich śmierć na sumieniu.

Wes pokręcił głową.

- Nie umiem wam pomóc.

- Nie umie pan czy nie chce?

- Nie umiem. Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Przysięgam.

Potter i van Dam wymienili ze sobą spojrzenia.

- W porządku - powiedział van Dam. - Niech pan powiadomi swoich ludzi.



Tess Gerritsen

185

Potter skinął głową i wyszedł z pokoju. Wes ponownie podniósł się z krzesła, ale van Dam nakazał mu gestem, żeby usiadł.

- Obawiam się, że przez jakiś czas nie będzie pan mógł wyjść. Jeżeli coś się panu przypomni, to proszę mówić.

- Co się tu do diabła dzieje? Van Dam lekko się uśmiechnął.

- Nic takiego, panie Corrigan. Posiedzimy i zobaczymy, kiedy zadzwoni pański telefon.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sarah wysiadła z taksówki przy Potsdamer Platz za dziesięć pierwsza. Była sama. Pozbycie się Nicka okazało się łatwiejsze, niż myślała. Pół minuty po tym, jak wyszedł z hotelu na spotkanie z Wesem Corriganem, Sarah chwyciła torebkę i pobiegła na postój taksówek.

Idąc przez plac, starała się nie myśleć o Nicku. Przeglądała wcześniej mapę i zauważyła, że na Potsdamer Platz zbiegały się trzy sektory Berlina: brytyjski, amerykański i sowiecki. Mur przecinający plac na dwie części niemal przytłaczał swoją obecnością, przyciągał wzrok każdego przechodnia. Niektórzy

Tess Gerritsen

187

ludzie zatrzymywali się w wiosennym słońcu i patrzyli na niego, jakby chcieli przeniknąć wzrokiem na drugą stronę.

Przystanęła obok szkolnej wycieczki i udawała, że przysłuchuje się słowom przewodnika, ale przez cały czas szukała wzrokiem znajomej twarzy. Gdzie ta kobieta może być? Serce biło jej coraz mocniej.

Nagle usłyszała cichy głos.

- Proszę iść za mną.

Obejrzała się i zobaczyła kobietę z kwaciarni. Oddalała się od niej obojętnie, trzymając w ręku siatkę z zakupami. Można ją było wziąć za jedną z wielu gospodyń domowych wypełniających codzienne obowiązki. Niespiesznym krokiem szła na północny wschód, w kierunku Bellevuestrasse.

Sarah ruszyła za nią w bezpiecznej odległości.

Za trzecią przecznicą kobieta zniknęła w sklepie ze świecami. Sarah zatrzymała się z wahaniem na chodniku. W oknie wystawy wisiały zasłony, odgradzając wnętrze od ulicy. Weszła do środka.

W sklepie panował półmrok, pachniało lawendą i sosnowym olejkiem. Na stolikach stały przedziwne figurki z wosku. Ale kobiety nie dostrzegła.

Nagle za ladą pojawił się starszy mężczyzna. Skinął na Sarah głową.

- *Geradeaus* - odezwał się po niemiecku. Kiedy spojrzała na niego pytająco, wskazał na zaplecze i powtórzył:

- *Geradeaus*.

Zrozumiała, że ma pójść w tamtą stronę. Z sercem

## TELEFON PO PÓŁNOCY

w gardle minęła mały magazyn i wyszła przez tylne drzwi.

Oślepiło ją światło słoneczne. Drzwi zamknęły się za nią z głośnym trzaśnięciem zamka. Stała na wąskiej bocznej uliczce. Gdzieś z prawej strony dobiegały odgłosy ulicznego ruchu, ale kobiety nadal nie było. Odwróciła się gwałtownie, słysząc warkot samochodu. Wprost na nią jechał czarny citroen. Nie miała gdzie uciekać. Drzwi były zamknięte, uliczka wyglądała jak długi tunel, ciasno zastawiony po obu stronach rzędami domów.

Przerażona przywarła do ściany, wpatrując się w lśniącą maskę auta. Samochód zatrzymał się gwałtownie.

- Wsiadaj! - syknęła kobieta przez otwarte drzwi. - Szybko!

Sarah oderwała się od ściany i wskoczyła do auta.

- *Schnell!* - rzuciła kobieta w stronę mężczyzny za kierownicą.

Samochód skoczył do przodu, skręcił w lewo w najbliższą przecznicę, potem w prawo, a potem znów w lewo. Sarah straciła orientację. Kobieta przez cały czas patrzyła do tyłu. Wreszcie, uznawszy, że nikt ich nie śledzi, odwróciła się do Sarah.

- Teraz możemy porozmawiać. Czego pani chce?

- Kim pani jest?

- Przyjaciółką Geoffreya.

- Więc wie pani, gdzie on jest?

Kobieta powiedziała coś do kierowcy po niemiecku

Tess Gerritsen

189

ku, a ten skręcił w spokojną alejkę prowadzącą do parku. Po chwili zatrzymali się wśród drzew. Kobieta trąciła Sarah w ramię.

- Przejdziemy się trochę.

Ruszyły przez trawnik. Nad miastem unosiła się delikatna mgiełka, nadająca niebu srebrzystoniebieski kolor.

- Skąd pani zna mojego męża? - zapytała Sarah.

- Pracowaliśmy razem wiele lat temu. Wtedy miał na imię Simon. Był najlepszy z nich wszystkich.

- Więc pani też w tym... pracuje?

- Pracowałam. Przestałam pięć lat temu. Trudno było sobie wyobrazić tę kobietę jako kogoś

innego niż pulchna gospodyni domowa. Miała siwiejące włosy i okrągłą twarz. Ale może ten niepozorny wygląd dawał jej przewagę?

- Wiem, że wcale na to nie wyglądam - powiedziała, jakby czytając w myślach Sarah.

Szły parę kroków w milczeniu.

- Należałam do najlepszych, podobnie jak Simon - odezwała się. - Ale nawet ja się teraz boję.

Zatrzymały się i spojrzały na siebie. Oczy kobiety były jak dwie brązowe rodzyнки wciśnięte w pulchne ciasto.

- Gdzie on jest? - spytała Sarah.

- Nie wiem.

- Więc po co mnie pani wezwała?

- Żeby panią ostrzec. Przysługa dla starego przyjaciela.

- To znaczy dla Geoffreya?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Tak. Jeżeli w tym interesie ma się jakichś przyjaciół, to się ich ceni ponad wszystko.

Ruszyły znowu przez trawnik. Sarah zauważyła, że czarny citroen nadal stoi w parkowej alejce.

- Widziałam go ostatnio ponad dwa tygodnie temu - ciągnęła kobieta. - To był szok zobaczyć go po tylu latach. Wiedziałam, że Simon się wycofał, a tu nagle zjawia się w Berlinie. Był zdenerwowany. Uważał, że został zdradzony przez ludzi, dla których pracował. Postanowił zniknąć.

- Zdradzony? Przez kogo?

- Przez CIA.

Sarah aż zatrzymała się ze zdziwienia.

- Pracował dla CIA?

- Zmusili go. Bez jego wiedzy i doświadczenia ich operacja nie miała szans na powodzenie. Ale wszystko zaczęło się sypać i Simon musiał uciekać. Załatwiłam mu nowy paszport i inne dokumenty, których mógł potrzebować, żeby wydostać się z Berlina. - Pokiwała ze smutkiem głową. - Dziwnie się toczą koleje życia. Miał w portfelu pani fotografię, dlatego panią wczoraj rozpoznałam. Powiedział, że jest pani bardzo... wrażliwa. I że jest mu przykro, że mógł panią skrzywdzić. Obiecał mi, że się jeszcze kiedyś zobaczymy. Tej samej nocy dowiedziałam się o pożarze.

- Myśli pani, że on nie żyje?

- Gdyby naprawdę nie żył, to nikt by pani nie śledził.

- Ta operacja CIA, o której pani wspomniała, miała coś wspólnego z Magusem?

Tess Gerritsen

191

Na twarzy kobiety pojawiło się lekkie zdziwienie.

- Nie powinien być mówić pani o Magusie.

- To nie on, to Eve.

- Więc wie pani także o Eve. - Kobieta spojrzała na Sarah uważnie. - Mam nadzieję, że nie jest pani zazdrosna. - Uśmiechnęła się. - Mała Eva. Musi się zbliżyć do czterdziestki. I pewnie nadal jest piękna.

- Nic pani nie wie?

- O czym?

- Eve nie żyje.

Kobieta zamarła. Cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Jak to się stało? - zapytała szeptem.

- W bocznej uliczce w Londynie. Parę dni temu.

- Ktoś ją torturował?

Sarah skinęła głową, czując, jak robi jej się niedobrze na tamto wspomnienie.

Kobieta rozejrzała się dookoła, ale oprócz mężczyzny w citroenie nie było w pobliżu nikogo.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała. - Na pewno po mnie przyjdą.

Niech pani słucha uważnie. Nigdy więcej się nie zobaczymy. Kiedy pani mąż pojawił się u mnie dwa tygodnie temu, był w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Magus?

- Tak. Pięć lat temu nasza trójka dostała zadanie. Mieliśmy zlikwidować Magusa. Simon założył ładunek wybuchowy w samochodzie, którym ten staruch jeździł do pracy. Ale tamtego dnia za kierownicą usiadła jego żona. Zginęła natychmiast. Po wybuchu on wybiegł z domu i próbował ją wyciągnąć z płonące

## TELEFON PO PÓŁNOCY

go samochodu. Ledwie przeżył. Od tego czasu nas szuka.

- Więc o to mu chodzi - szepnęła Sarah. - Chce się na was zemścić.

- Tak. Dopadł już Eve. A pani jest dla nich jedynym tropem prowadzącym do Simona.

- Więc co ja mam teraz zrobić? Wracać do domu?

- Być może nigdy nie będzie pani mogła wrócić do domu.

- Nie mogę się wiecznie ukrywać! Nie jestem jedną z was. Potrzebuję pomocy. Niech mi pani powie, gdzie go mogę znaleźć.

Kobieta przyglądała się Sarah przez chwilę, jakby oceniając jej szanse przeżycia.

- Jeżeli Simon nadal żyje, to na pewno jest w Amsterdamie.

- W Amsterdamie? Dlaczego?

- Bo tam jest Magus.

Po drugiej stronie nikt nie odbierał telefonu. Nick bębnił nerwowo palcami o ścianę budki. Gdzie do diabła jest ta telefonistka?

- Halo, tu konsulat amerykański.

- Chciałbym rozmawiać z Wesem Corriganem.

- Proszę poczekać. - Nastąpiła dłuższa przerwa, a potem rozległ się inny głos. - Obawiam się, że pan Corrigan wyszedł na lunch. Poszukam go, proszę się nie rozłączać.

Czekał ponad pięć minut. Już miał odwiesić słuchawkę, gdy głos odezwał się ponownie.



Tess Gerritsen

193

- Bardzo mi przykro, nie mogę go znaleźć. Ale za parę minut powinien pojawić się na spotkaniu. Chce pan zostawić wiadomość?

- Tak, proszę mu powiedzieć, że dzwonił Steve Barnes. Chodzi o mój paszport.

- Jaki jest pański numer telefonu?

- On zna mój numer. - Nick rozłączył się.

Tak jak się umówili, powinien poczekać piętnaście minut, aż Wes będzie mógł wyjść z ambasady i od-dzwonić z jakiegoś automatu. Ale cała rozmowa go zaniepokoiła. Zwłaszcza ta długa przerwa. Spojrzał na zegarek. Czternaście minut po pierwszej. Postanowił, że poczeka do wpół do drugiej.

Ktoś zapukał w drzwi budki. Jakaś młoda kobieta pokazała mu gestem, że chce natychmiast zadzwonić. Tłumiąc w ustach przekleństwo, wyszedł na dwór. Czas mijał, a kobieta nadal rozmawiała. Dochodziła pierwsza dwadzieścia pięć. Pokazał jej zegarek, ale ona tylko odwróciła się do niego plecami.

Spojrzał na ulicę i zrozumiał, że i tak czekał zbyt długo.

Z tłumu pieszych stojących na rogu wyłonił się mężczyzna w szarym garniturze i szedł w jego stronę. Nagle zatrzymał się, płynnym ruchem sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nick zobaczył wymierzoną w siebie lufę pistoletu.

- Nie ruszaj się, O'Hara! - Głos Roya Pottera dochodził gdzieś z tyłu.

Nick rzucił się w prawo z nadzieją, że uda mu się uciec ruchliwą ulicą, ale tam też zobaczył agentów.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Poczuł, jak stalowa lufa wpija mu się w bok. Przez kilka sekund nikt się nie poruszył. Nagle z piskiem opon zatrzymała się przed nimi czarna limuzyna. Drzwi otworzyły się szeroko.

Nick odwrócił się powoli w stronę Pottera, który nadal mierzył z pistoletu w jego głowę.

- Odłóż to, do cholery, bo zaczynam się denerwować.
- Wsiadaj do samochodu - rozkazał Potter.
- Gdzie jedziemy?
- Na krótkie spotkanie z Jonathanem van Damem.
- A co potem?

Uśmiech Pottera był wyjątkowo nieprzyjemny.

- Potem wszystko zależy od ciebie.
- Gdzie jest Sarah Fontaine?

Nick zgarbił się i posłał van Damowi spojrzenie mówiące: idź do diabła.

Właściwie był zdziwiony, że siedzi w wygodnym skórzanym fotelu.

Spodziewał się lampy świecącej w oczy i twardego krzesła.

- Panie O'Hara, zaczynam się niecierpliwić - powiedział van Dam. - Gdzie ona jest?

Nick wzruszył jedynie ramionami.

- Sama nie przeżyje nawet tygodnia. Musimy ją tu natychmiast sprowadzić - nie ustępował van Dam.
- Po co? Żeby ją komuś wystawić?
- Ona potrzebuje naszej pomocy. Tylko my możemy zapewnić jej bezpieczeństwo.
- Tak samo jak zapewniliście jej w Margate? Wam

Tess Gerritsen

195

zależy na Geoffreyu Fontainie, a nie na niej. Myślicie, że was do niego zaprowadzi.

- Myli się pan. Nie szukamy Fontaine'a.

- Już w to wierzę!

Potter nie wytrzymał i uderzył pięścią w stół.

- Do cholery, Nick, zrozum wreszcie! Fontaine pracował dla nas!

Nick był tak zaskoczony, że na chwilę odebrało mu mowę.

- Więc gdzie on jest? - zapytał.

- Nie żyje. - W głosie Pottera słychać było zniechęcenie.

Nick zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Więc przejechali pół Europy, szukając martwego człowieka?

- Zdaje się, że moja wiedza ma istotne luki - odezwał się wreszcie. - Kto szuka Sarah?

Potter spojrzał na van Dama.

- Nie mamy wyjścia. Musimy mu o wszystkim powiedzieć.

Van Dam wzruszył ramionami.

- No cóż, skoro pan tak uważa.

Potter zaczął nerwowo przemierzać pokój.

- Pięć lat temu jednym z najlepszych agentów Mossadu był Simon Dance.

Pracował w trzyosobowym zespole z Eve Saint-Clair i Helgą Steinberg.

Dostali zadanie zlikwidowania pewnej osoby, ale operacja się, niestety, nie udała. Ich cel przeżył, zginęła jego żona.

- Dance był płatnym zabójcą?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Potter zatrzymał się i spojrzał ze złością na Nicka.

- Czasem wroga trzeba zwalczać jego własną bronią. Facet, o którym mowa, był szefem terrorystycznego kartelu. A oni nie kierują się ideologią, za pieniądze zrobią wszystko. Za sto tysięcy dolarów wysadzą budynek w powietrze. Za trzysta tysięcy zatopią statek. Jeżeli jesteś samotnym kowbojem, dostarczą ci potrzebny sprzęt: skrzynię pełną uzi albo rakiety ziemia-powietrze. Żeby ich pokonać, trzeba posługiwać się ich metodami. Zespół Dance'a był do tego najlepszy.

- Ale cel im się wymknął.

- Niestety. Na dodatek sami musieli zacząć się ukrywać. Podejrzewamy, że Helga Steinberg jest gdzieś w Niemczech. Eve Saint-Claire i Dance zniknęli. Dopiero jakieś trzy tygodnie temu jeden z moich londyńskich agentów, siedząc w pubie, usłyszał znajomy głos. Pracował z Dance'em parę lat wcześniej. W ten sposób dowiedziałem się, że Dance zmienił nazwisko na Geoffrey Fontaine.

- Jak go przekonałeś, żeby dla was pracował?

- Miał już dość życia w ciągłym strachu. Powiedziałem mu, że jedynym sposobem, żeby się od niego wyzwolić, jest dokończenie zadania i zabicie Magusa. Przez wiele lat sam próbowałem go namierzyć, ale dotarłem jedynie do Amsterdamu. Tam trop mi się urwał. Potrzebowałem Dance'a.

- Sam nie mogłeś nic zrobić, więc dla dobra kraju posłużyłeś się płatnym mordercą.

- Jasne. W podobnych sytuacjach twoja staroświecka dyplomacja jakoś się nie sprawdza.

Tess Gerritsen

197

- Ale dlaczego twój płatny zabójca zawiódł i tym razem?

Potter pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. W Amsterdamie Dance czegoś się przestraszył.

Poleciał do Berlina i zatrzymał się w tamtym hotelu. O pożarze już wiesz.

- Jesteś pewien, że to jego ciało znaleziono w pokoju?

- Nie mam danych o użębieniu, żeby to potwierdzić na sto procent. Ale jestem przekonany, że tak. Policja berlińska nie miała w tym czasie żadnych meldunków o zaginięciach.

Nick zmarszczył brwi.

- Skoro Dance nie żyje, to kto zadzwonił do Sarah?

- Ja. Złożyłem wiadomość z kilku nagranych rozmów. Mieliliśmy podsłuch w jego pokoju hotelowym w Londynie.

Nick z całej siły zacisnął palce na oparciu, by nie stracić panowania nad sobą.

- Chcesz mi powiedzieć, że Sarah potrzebna wam była w Europie jako przynęta?

- Dotarły do nas informacje, że Magus nie wierzy w śmierć Dance'a i nadal na niego poluje. Musieliśmy go przekonać, że Sarah coś wie.

Dlatego ściągnęliśmy ją do Europy. Liczyliśmy, że to wywabi Magusa z kryjówki. Cały czas mieliśmy ją na oku. To znaczy, dopóki ty się nie wmieszalesz.

- Ale z was łajdaki. Posłużyliście się nią bez żadnych skrupułów! - syknął Nick.

- Chodziło o ważniejsze sprawy.

sip A43

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Nick zerwał się na równe nogi.

- Mam gdzieś wasze ważniejsze sprawy! Van Dam poruszył się niespokojnie na krześle.

- Proszę usiąść, panie O'Hara. Niech pan spojrzy na to z szerszej perspektywy.

Nick odwrócił się do van Dama.

- To był pański wspaniały pomysł?

- Mój - przyznał Roy Potter.

Nick spojrział na niego z wściekłością.

- Mogłem się domyślić. Jakie masz dalsze plany? Będziesz się nadal przyglądał, jak ucieka przed Ma-gusem?

Potter potrząsnął głową.

- Nie, zakończyliśmy operację - rzekł spokojnie. - Dlatego van Dam chce ją odnaleźć.

- A co potem?

- Wkrótce dla wszystkich będzie jasne, że Fontaine naprawdę nie żyje. Zostawią ją w spokoju. A Magusa jeszcze kiedyś dopadniemy.

- Co się stanie z Wesem Corriganem?

- Nic. Nie będzie o tym najmniejszej wzmianki w jego teczce personalnej.

Nick powoli się uspokajał. Jego decyzja i jej późniejsze konsekwencje zależą od tego, na ile może zaufać Potterowi. Zresztą nie ma wyjścia.

Sarah jest teraz sama. Nie uda jej się uciec przed zabójcą bez ich pomocy.

- Jeżeli to wasze kolejne oszustwo...

- Nie musisz mi grozić, Nick. Wiem dobrze, do czego jesteś zdolny.

Tess Gerritsen

199

- Jeszcze nie wiesz. I lepiej, żebyś nie musiał się przekonać.
- Gdzie mam go szukać w Amsterdamie? - spytała Sarah. Powoli zmierzały przez trawnik w kierunku citroena.
- Jest pani pewna, że chce go pani odnaleźć? - spytała kobieta.
- Tak. Tylko do niego mogę się zwrócić o pomoc. Poza tym on na mnie czeka.

- Wie pani, że to grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem?  
Sarah zadrżała.

- I tak się boję przez cały czas. Wciąż myślę o tym, jaki mnie może czekać koniec. Co pani by zrobiła na moim miejscu?

Kobieta popatrzyła na nią uważnie.

- Chyba to samo. Próbowałabym odszukać Simona.
- Więc niech mi pani pomoże.

Kobieta nadal patrzyła na Sarah, jakby próbowała ocenić jej szanse.

- W Amsterdamie - powiedziała wreszcie - jest klub pod nazwą Casa Morro. Na ulicy Oude Zijds Voorburgwal. Właścicielka ma na imię Corrie. Jest naszą przyjaciółką. Jeżeli Simon jest w Amsterdamie, będzie wiedziała, jak go znaleźć.

Drzwi citroena otworzyły się. Wsiadły do środka. Kierowca ruszył w stronę Kurfurstendamm.

- Podrzucimy panią do hotelu - odezwała się kobieta. - Wiemy, gdzie się zatrzymaliście.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Sarah skinęła głową. Żeby dostać się do Amsterdamu, będzie potrzebowała pieniędzy. Nick ma przy sobie niemal całą ich gotówkę. Postanowiła, że w nocy wyjmie mu pieniądze z portfela i wyjedzie z Berlina. Zanim Nick się zorientuje, ona już będzie daleko.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedziała kobieta. - Niech pani uważa, komu pani ufa. Jak się nazywa ten mężczyzna, z którym pani przyszła?

- Nick O'Hara.

Kobieta zmarszczyła brwi, jakby próbując dopasować gdzieś to nazwisko.

- On też może być niebezpieczny. Dawno go pani zna?

- Parę tygodni. Kobieta pokiwała głową.

- Niech pani mu nie ufa i jedzie sama. Tak będzie bezpieczniej.

- Komu mogę zaufać?

- Tylko Simonowi. Niech pani nikomu nie mówi, czego się pani ode mnie dowiedziała. Magus ma wszędzie swoich ludzi.

Dojeżdżali do hotelu. Samochód zaczął zwalniać. Sarah sięgnęła do klamki, ale kierowca zaklął nagle i wcisnął pedał gazu.

- *Nach rechts!* - krzyknęła kobieta. Na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Co się stało? - zawołała Sarah.

- CIA! Są wszędzie!

Mijali właśnie budynek hotelu. Wyglądał jak wszystkie inne domy na tej ulicy: pudełko z szarego



Tess Gerritsen

**201**

betonu. Jedyne, co go wyróżniało, to jaskrawoczerwone grafitti na ścianie. Na chodniku stało dwóch mężczyzn. Sarah natychmiast ich rozpoznała. Roy Potter patrzył wprost na nich. Obok niego stał Nick z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Kiedy na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały, chwycił Pottera za ramię. Obaj mężczyźni rzucili się na ulicę, próbując w ostatniej chwili dopaść drzwi samochodu. W tym momencie Sarah zrozumiała.

Nareszcie wszystko jasne.

Nick od początku współpracuje z Potterem. Obaj wymyślili i przeprowadzili ten chytry plan. Odegrali swoje role tak znakomicie, że z łatwością dała się nabrać. Nick pracuje dla CIA. Jego obecność tam na chodniku jest tego najlepszym dowodem. Kiedy wrócił do hotelu i nie zastał jej w pokoju, musiał wszczać alarm.

Osunęła się na oparcie siedzenia w kompletnym szoku. Cała jej siła gdzieś zniknęła. Czuła się jak zaszczute zwierzę. Ściga ją CIA, ściga ją ten potwór Magus. Miała wrażenie, że sieć coraz bardziej się zacieśnia.

- Zawieziemy cię na lotnisko - powiedziała kobieta. - Jeżeli natychmiast wsiądziesz do samolotu, to może cię nie zatrzymają.

- A wy gdzie jedziecie? - zawołała Sarah. - Jak was odnajdę?

- Już się nie spotkamy.

- Nie znam nawet pani imienia.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Jeżeli znajdziesz męża, powiedz mu, że przysłała cię Helga.

Wkrótce pojawił się znak lotniska Tegel. Samochód stanął przy krawężniku. Musi wysiąść. Nawet nie zdążyła pożegnać się z Helgą.

Ledwo stanęła na chodniku, drzwi za nią się zatrzasnęły i citroen ruszył z dużą szybkością w drogę powrotną.

Została sama.

Idąc przez halę lotniska, zajrzała do portmonetki. Pieniądzy wystarczyłoby jej za ledwie na skromny posiłek. Nie ma wyjścia. Musi zapłacić za bilet kartą kredytową.

Po dwudziestu minutach siedziała w samolocie lecącym do Amsterdamu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Czarny citroen jechał na północ w kierunku Kurfur-stendamm. Helga musiała wstąpić w jedno miejsce, zanim na zawsze opuści Berlin.

Wiedziała, że wiele ryzykuje. Agenci CIA widzieli jej tablice rejestracyjne i do tej pory muszą już znać jej adres.

Zostawi samochód i wsiądzie do pociągu do Frankfurtu. Stamtąd pojedzie do Włoch albo do Hiszpanii. To nie jest w sumie ważne. Najważniejsze jest wyjechać bezpiecznie z Berlina. Zanim spotka ją los Eve.

Ale nawet szpiegdy bywają sentymentalni. Helga nie mogła opuścić miasta bez paru drobiazgów. Dla innych być może bezwartościowe, jej wydawały się bezcenne. Zdjęcie siostry i rodziców, parę listów od

## TELEFON PO PÓŁNOCY

chłopaka, którego nigdy nie zapomni, i srebrny medalion jej matki.

Te przedmioty stanowiły dowód jej człowieczeństwa. Nie wyjechałaby bez nich nawet pod groźbą śmierci.

Kierowca rozumiał doskonale, dlaczego muszą zatrzymać się pod domem. Czekał w samochodzie, podczas gdy ona wbiegła do środka, by spakować swoje rzeczy.

Ze skrytki w sypialni wyjęła najcenniejsze drobiazgi. Razem z pistoletem ułożyła je pod fałszywym dnem niewielkiej torby podróżnej. Na wierzch wrzuciła trochę starych ubrań, które tak lubiła właśnie dlatego, że nie rzucały się w oczy.

Zamknęła okno i zeszła na dół. Ostre światło słoneczne raziło ją w oczy, więc zatrzymała się na chwilę na ganku, by odzyskać ostrość widzenia.

Tych parę sekund uratowało jej życie.

Na ulicy rozległ się pisk opon. Niemal równocześnie ciszę rozdarła seria z karabinu maszynowego. Kule wbijały się w karoserię citroena. Helga rzuciła się w tył, szukając osłony za rzędem glinianych donic.

Przeczisnęła się pod balustradą i stoczyła na klomb, ciągnąc za sobą torbę.

Wiedziała, że zabójca wróci, by dokończyć dzieła. Usłyszała trzaśnięcie drzwi jego samochodu. Miała kilka sekund. Spod fałszywego dna w torbie wyjęła pistolet.

Kroki były coraz bliżej. Ktoś wszedł po schodkach na ganek. Za chwilę strzeli w kierunku klombu.

Ale Helga była na to przygotowana. Podniosła

Tess Gerritsen

205

pistolet i nacisnęła spust. Nad prawym okiem mężczyzny pojawiła się szkarłatna plama. Siła pocisku odrzuciła go do tyłu, przeleciał przez barierkę i bezwładnie opadł na taczkę z ogrodniczymi narzędziami. Helga nawet się nim nie zainteresowała. Wiedziała, że nie żyje. Jego współnik nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Tajemniczy samochód natychmiast odjechał z piskiem opon.

Rzut oka w kierunku Citroëna powiedział jej, że kierowca nie mógł przeżyć. Poczowała lekki żal. Nie byli kochankami, ale przez ostatnie pięć lat ze sobą pracowali.

Chwyciła torbę i ruszyła szybkim krokiem wzdłuż ulicy. Nie powinna pozostawać w Berlinie ani chwili dłużej. Popełniła błąd, a mimo to udało jej się przeżyć. Następnym razem może nie mieć takiego szczęścia.

Krew była wszędzie.

Nick przepychał się przez tłum gapiów w kierunku potrzaskanego kulami Citroëna. Po drugiej stronie ulicy, na chodniku, załoga ambulansu pochylała się nad zwłokami. Nick chciał do nich podejść, ale drogę zastąpił mu policjant.

- Potter! - zawołał, ale jego głos utonął w ulicznym hałasie i dźwiękach syren.

Zamarł, wpatrując się jak inni w plamy krwi.

- O'Hara! - Potter machał do niego z drugiej strony ulicy. - Nie ma jej tu! Jest tylko kierowca i ten drugi obok ganku. Obaj nie żyją.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Więc gdzie ona jest? - krzyknął Nick w odpowiedzi.

Potter wzruszył ramionami i odwrócił się do nadchodzącego Tarasoffa. Zły z powodu własnej bezsilności, Nick ruszył bez celu przed siebie. Nie mógł więcej patrzeć na krew. Przecież równie dobrze to ciało Sarah mogło teraz leżeć na chodniku.

Po kilku metrach zatrzymał się i usiadł na krawężniku z twarzą ukrytą w dłoniach. Nic już nie może zrobić.

Wszystko teraz zależy od zdolności i umiejętności człowieka, któremu nigdy nie ufał, i od organizacji, którą zawsze pogardzał. Potter nigdy nie zwracał sobie głowy moralnymi dylematami. Robił to, co do niego należało. Zasady się nie liczyły, jedynie skuteczność. Po raz pierwszy w życiu Nick docenił takie podejście. Jeśli chodzi o życie Sarah, nie ma znaczenia, co zrobi Potter, byle tylko ona była bezpieczna.

- O'Hara! - Potter machał do niego. - Chodź tu, mamy trop!

- Jaki? - Nick ruszył za Potterem i Tarasoffem do ich samochodu.

- Linie KLM. Zapłaciła kartą kredytową.

- Wyjeżdża z Berlina? Roy, musisz zatrzymać ten samolot!

- Za późno. Wylądował w Amsterdamie dziesięć minut temu.

W oknach holenderskich domów nie ma zasłon.

Tess Gerritsen

207

Holendrzy mówią, że zaciągnięte zasłony oznaczają, że ktoś ma coś do ukrycia. Dlatego wieczorem, kiedy w domach palą się światła, każdy, kto idzie ulicą, może zajrzeć do środka. Zobaczy wówczas nakryte do kolacji stoły, dobrze ułożone dzieci, czekające spokojnie, aż mama nałoży im na talerz porcję zapiekanki z ziemniaków. Po paru godzinach dzieci pójdą do łóżek, rodzice zasiądą w swoich fotelach, będą czytać albo oglądać telewizję.

Zasłon nie ma nawet w dzielnicy Wallen, gdzie przedstawicielki najstarszego zawodu świata pokazują swoje wdzięki. Siedzące w oknach domów publicznych kobiety robią na drutach, czytają powieści albo uśmiechają się do przechodzących mężczyzn. Dla nich to tylko praca, nie mają nic do ukrycia.

W takiej okolicy Sarah znalazła Casa Morro. Zapadał już zmierzch, kiedy szła przez mały most nad kanałem. Zatrzymała się i rozejrzała dookoła. Słyszała delikatny plusk wody odbijającej się od łodzi. Minał ją mężczyzna o wyniszczonej twarzy narkomana. W oknie naprzeciwko widziała ofertę Casa Morro, cztery kobiety w skąpym negliżu. Przez pół godziny obserwowała wchodzących i wychodzących mężczyzn. Trzy kobiety zniknęły z wystawy, na ich miejsce pojawiły się dwie nowe.

Wreszcie zdecydowała się wejść do środka.

Kiedyś musiał tu być elegancki siedemnastowieczny dom. Na górę prowadziły wąskie, ciemne schody. Wytarty perski dywan tłumił odgłos jej kroków. Przeszła przez hol i znalazła się w niewielkim saloniku.

## TELEFON PO PÓLNOCY

Zza biurka spojrzała na nią ciemnowłosa, wysoka kobieta około czterdziestki.

- *Kon ik u helpen?*

- Szukam Corrie.

Po krótkiej chwili kobieta skinęła głową.

- Jesteś Amerykanką, prawda? - odezwała się czystą angielszczyzną.

- Przysłała mnie Helga.

Twarz kobiety nadal pozostawała bez wyrazu.

- Szukam Simona.

- A jeżeli on nie chce, żeby go znaleźć?

- To ważne.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Wszystko, co dotyczy Simona, jest ważne.

- On chciał się ze mną spotkać.

- Po co?

- Jestem jego żoną. Mam na imię Sarah.

Po raz pierwszy kobieta wyglądała na lekko zdenerwowaną. Usiadła za biurkiem i uderzając ołówkiem o blat, przyglądała się Sarah z uwagą.

- Daj mi swoją obrączkę - powiedziała wreszcie. - Przyjdź o północy.

- On też tu będzie?

- Simon jest bardzo ostrożny. Zanim się pojawi, będzie potrzebował dowodu.

Sarah zdjęła obrączkę i podała ją kobiecie.

- Wrócę o północy.

Corrie odczekała parę chwil, a potem wyszła na ulicę. Za następną przecznicą skierowała się wprost



Tess Gerritsen

209

do budki telefonicznej. Wykręciła amsterdamski numer. Po drugiej stronie ktoś natychmiast podniósł słuchawkę.

- Właśnie była u mnie kobieta, o której wspominała Helga. Długie włosy, ciemne oczy. Mam jej obrączkę. Złota, z napisem Geoffrey 14 II.

Przyjdzie znów o północy.

- Jest sama?

- Nie widziałam z nią nikogo.

- A ten mężczyzna, o którym mówiła Helga, O'Hara. Dowiedziałaś się o nim czegoś?

- Nie jest z CIA. Chyba kierują nim względy... uczuciowe.

Przez dłuższą chwilę Corrie słuchała instrukcji, potem rozłączyła się i wróciła do Casa Morro. Obrączkę położyła na wystawie w widocznym miejscu.

Sarah siedziała w małej kawiarni i wpatrywała się w płomień świecy stojącej na stole. Jej całe życie skurczyło się do tego miejsca. Na zewnątrz świat zajmował się własnymi sprawami. Trąbiły samochody, kobiety i mężczyźni uśmiechali się do siebie, prowadzili głośne rozmowy.

Sarah próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądało kiedyś jej życie.

Przez ostatnie dwa tygodnie kompletnie oderwała się od tego, co było jej drogie i bliskie. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie swoją sypialnię,

mahoniowy stolik, mosiężny zegar, lampę na porcelanowej podstawie.

Rozkoszowała się każdym detalem, jak ktoś oglądający ukochaną fotografię. To było jej dawne życie.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Ze zdziwieniem pomyślała, jak szybko człowiek się uczy. Prawie nie miała już pieniędzy, była sama, nie wiedziała, jak się poruszać w obcym mieście. A mimo to przeżyła.

Zdrada Nicka ugodziła ją najgłębiej. Takie rany nigdy się nie goją. Pomimo bólu znalazła jednak siłę. Chęć przetrwania wyzwoliła w niej niemal atawistyczne odruchy. Pozbyła się dawnych złudzeń i marzeń o miłości. Teraz miała przed sobą jeden cel: nie dać się zabić, dopóki ten koszmar się nie skończy.

Za parę godzin będzie znowu z Geoffreyem. On znajdzie dla niej jakieś bezpieczne miejsce. Nawet jeżeli jej nie kochał, to przynajmniej trochę się o nią troszczył. To była jej ostatnia nadzieja.

Opuściła głowę w potwornym zmęczeniu. Przeszła ulicami Amsterdamu wiele kilometrów. Jej dusza

i ciało były obolałe. Ale kiedy zamknęła oczy, znów wróciły wspomnienia: smak pocałunków Nicka, jego głos, kiedy się ze sobą kochali.

Ze złością odrzuciła je od siebie. Jej miłość zamieniała się w zimną wściekłość. Na Nicka za to, że ją zdradził. I na siebie, że nie umiała o nim zapomnieć.

- Żadnej wieści o Sarah. - Potter wszedł do hotelowego pokoju Nicka z dwoma kubkami kawy i nogą zatrzaskał za sobą drzwi.

Podał kawę Nickowi i ciężko opadł na fotel. Obaj byli śmiertelnie zmęczeni. I głodni. Od czasu wyjazdu z Berlina pili jedynie mocną kawę. Potter chyba po raz pierwszy w życiu zapomniał o kolacji. Nick kilkoma

Tess Gerritsen

211

łykami opróżnił swój kubek i wrzucił go do kosza. Mieli przed sobą bezsenłą noc.

- Uspokój się, O'Hara - odezwał się Roy Potter.

- Jak będziesz tak szybko pił, to to świństwo przeżre ci żołądek.

- Nie martw się o mój żołądek - burknął Nick.

- Jasne, a potem będziesz miał do mnie pretensje, że dostałeś wrzodów. - Potter zerknął na zegarek.

- Cholera! Delikatesy naprzeciwko sajuż zamknięte. Mogłem sobie kupić kanapkę.

Wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę krakersów.

- Chcesz trochę?

Nick potrząsnął głową, wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Zamiast wpadać w załamanie nerwowe, lepiej się zdrzemnij - poradził Potter, wsypując sobie do ust ostatnie okruszki.

- Nie mogę. - Nick zatrzymał się przy oknie i spojrzał na zewnątrz. - Ona gdzieś tam jest. Gdybym tylko wiedział, gdzie jej szukać.

Potter zapalił papierosa i podniósł się po popielniczkę. Po szesnastu godzinach pracy jemu też zaczęły puszczać nerwy, ale starał się tego nie pokazywać. Znany był z tego, że nigdy się nie poddaje. W Firmie mówili o nim buldog. Zajadły buldog w pomiętym garniturze z taniego materiału.

- Połóż się spać, Nick - powiedział, zaciągając się głęboko dymem. - Sami ją znajdziemy.

Nick nie odpowiadał.

- Nadal nam nie ufasz?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- A dlaczego miałbym wam ufać?

- Wiesz, nie rozumiem ani ciebie, ani innych facetów ze służby dyplomatycznej. Jeździcie po świecie i narzekacie na tych idiotów w Waszyngtonie. Ale publicznie zawsze jesteście patriotami. Nic dziwnego, że nasza polityka zagraniczna wygląda tak, jak wygląda. Zajmują się nią schizofrenicy.

- A wywiadem rządzą psychopaci. Potter roześmiał się.

- Jesteśmy po równo. Może cię zainteresuje, czego się dowiedziałem o tych dwóch trupach w Berlinie.

- Kim oni byli?

- Kierowca citroena to Niemiec, kiedyś powiązany z Mossadem. Sąsiedzi uważali, że on i Helga Steinberg byli rodzeństwem.

- A ten drugi?

Potter wypuścił z siebie duży kłęb dymu.

- Tamten był Holendrem.

- Miał jakieś związki z Helgą?

- Żadnych. Wykonywał zadanie. Ale to ona go dopadła. - Uśmiechnął się.

- Świetny strzał. Chciałbym ją kiedyś spotkać. Oczywiście nie w ciemnej uliczce.

- Co wiecie o tym zabójcy?

- Niewiele. Według dokumentów był przedstawicielem handlowym legalnej firmy mającej siedzibę w Amsterdamie. Dużo podróżował. Ale znaleźliśmy jedną interesującą rzecz. Myślę, że warto pójść tym tropem. Dwa dni temu na jego konto wpłynęła duża suma pieniędzy. Przelew wyszedł z firmy niejake

Tess Gerritsen

213

go F. Berkmana, także z Amsterdamu. Handel kawą. F. Berkman działa od dziesięciu lat. Ma biura w kilkunastu miastach. Ale prawie nie wykazuje zysków. Ciekawe, prawda?

- Kim jest ten F. Berkman?

- Nikt nie wie. Firmą zarządza rada dyrektorów. Żaden z nich nie widział właściciela na oczy.

Nick patrzył na Pottera. Obu zaświtała podobna myśl.

- Magus - powiedział Nick cicho.

- Też się nad tym zastanawiałem.

- Sarah znalazła się na jego terenie! Na jej miejscu uciekałbym stąd jak najdalej.

- Tak, tylko że ona nie zachowuje się wcale jak przestraszona panienka.

- To prawda - przyznał Nick, siadając ciężko na łóżku. - Ona nie jest przestraszoną panienką. Jest dużo sprytniejsza.

- Zakochałeś się w niej.

- Chyba tak.

Potter popatrzył na Nicka z lekkim zdziwieniem.

- Jest zupełnie inna niż Lauren.

- Pamiętasz Lauren?

- Pewnie. Wszyscy w ambasadzie ci zazdrościli. Szkoda, że się rozwiedliście.

- To był jeden wielki błąd.

- Rozwód?

- Nie, małżeństwo. Potter roześmiał się.

- Zdradzę ci pewien sekret. Po dwóch rozwodach

## TELEFON PO PÓŁNOCY

zrozumiałem, że mężczyźni nie potrzebują miłości. Potrzebują, żeby ktoś im gotował i prasował ich koszule. No, może jeszcze potrzebują trochę ruchu trzy razy w tygodniu. I to wszystko. Nick potrząsnął głową.

- Jeszcze niedawno sam tak myślałem, ale...

Przerwał mu dzwonek telefonu stojącego przy łóżku. Sięgnął po słuchawkę. Po chwili ciszy odezwał się męski głos:

- Czy to Nick O'Hara?

- Tak.

- Przyjdź po nią do Casa Morro. O północy. Masz być sam. Zabierz ją z Amsterdamu jak najszybciej.

- Kto mówi? - zawołał Nick.

Ale mężczyzna już się rozłączył. Nick rzucił słuchawkę i podbiegł do drzwi.

- Gdzie idziesz? - krzyknął za nim Potter.

- Do jakiegoś Casa Morro. Ona ma tam być.

- Zaczekaj! - Potter chwycił słuchawkę. - Zawiadomię van Dama. Będą nam potrzebne posiłki.

- Tym razem pójdę sam.

- O'Hara!

Ale Nicka już nie było.

Pięć minut po tym, jak Nick wybiegł z hotelu, stary człowiek odebrał telefon. To był jego informator.

- Ona jest w Casa Morro.

- Skąd wiesz?

- Ktoś zadzwonił do O'Hary. On już tam pojechał, za chwilę ruszą chłopcy z Firmy. Macie niewiele czasu.

Tess Gerritsen

215

- Wyślę tam Kronena. On się zajmie i nią, i O'Hara.

Jonathan van Dam odwiesił słuchawkę i pospiesznie wyszedł z budki telefonicznej. Wieczór zapowiadał się ciepły, ale nadciągnęła mgła i zrobiło się zimno. Zapiął szczelnie płaszcz. Kusiło go, by natychmiast wrócić do hotelu, jednak wiedział, że najpierw powinien zajrzeć do apteki. Potrzebował drobnej wymówki, która usprawiedliwiłaby jego nocne wyjście. Na przykład jakiś środek na niestrawność.

Znalazł aptekę otwartą całą noc. Siedzący za ladą kasjer ledwo na niego spojrzął, zajęty oglądaniem kolorowych pism. Van Dam zaczął przeglądać półki w poszukiwaniu lekarstwa. Zadzwoił dzwonek przy drzwiach i do sklepu wszedł kolejny klient. Mężczyzna ubrany na czarno. Kaszłąc głośno, zatrzymał się przy lekach na przeziębienie.

Van Dam zdjął z półki butelkę Maaloxu, zapłacił za nią osiem guldenów i wyszedł na dwór. Po dziesięciu minutach był już w hotelu. Otworzył butelkę, wylał odmierzoną porcję do umywalki i przebrał się w piżamę. Usiadł na łóżku, czekając na telefon.

Nie chciał myśleć o tym, co za chwilę rozegra się w Casa Morro. Przez wszystkie lata pracy w Firmie nigdy nie posunął się do przemocy. Nigdy nikogo nie zabił. To znaczy nie własnymi rękami. Wydawał jedynie rozkazy. Nawet śmierć swojej żony Claudii zaaranżował z bezpiecznej odległości drugiego kontynentu. Kiedy wrócił do domu, ślady krwi były już

## TELEFON PO PÓŁNOCY

uprzątnięte, podłoga świeżo wywoskowana. Tak jakby nic się nie zmieniło. Poza tym, że wreszcie był wolny i bardzo bogaty.

Ale po miesiącu dostał list. „Viking wszystko mi powiedział”. Tylko tyle. Viking to człowiek, który pociągnął za spust.

Van Dam wpadł w przerażenie. Chciał wyjechać na koniec świata, do Meksyku albo do Południowej Ameryki, ale wiedział, że trudno będzie mu zrezygnować z wygodnego życia. Więc czekał. A kiedy stary człowiek wreszcie się do niego odezwał, van Dam był gotowy do zawarcia układu.

Miał jedynie przekazywać informacje. Na początku niezbyt istotne, jak budżet jakiegoś wydziału konsularnego czy plan startów samolotów transportowych. Nie miał specjalnych wyrzutów sumienia. W końcu stary człowiek jest tylko przedsiębiorcą i nie interesuje się polityką. Skoro nie można go uważać za wroga, to i van Dama nie można uważać za zdrajcę. Ale wymagania stawały się coraz większe. Pojawiały się bez ostrzeżenia. Dwa dzwonki telefonu i cisza. Van Dam wiedział wtedy, że ma odebrać przesyłkę z jednej z umówionych skrytek. Nigdy nie spotkał starego człowieka osobiście. Wiedział, że znalazł się w rękach prześladowcy bez imienia i bez twarzy. Ale nie narzekał. Jest bezpieczny. Zachował swój dom, eleganckie garnitury i drogie koniaki.

Stary człowiek jest łaskawym panem.

- Północ minęła- zauważyła Sarah. - Gdzie on jest?



Tess Gerritsen

217

Corrie odgarnęła włosy z twarzy.

- Najpierw musi mieć dowód.

- Widział przecież obrączkę.

- A teraz chce zobaczyć ciebie. Z bezpiecznej odległości. Idź na górę, drugi pokój po prawej. W szafie znajdziesz coś do przebrania.

- Nie rozumiem.

Kobieta uśmiechnęła się. Światło lampy padało na jej twarz i dopiero teraz Sarah zauważyła zmarszczki wokół jej oczu i ust.

- Zrób, co mówię.

Sarah weszła na piętro. Drzwi pokoju były otwarte. W środku stało szerokie mosiężne łóżko i szafa pełna jedwabnych szatek. Włożyła na siebie zieloną krótką sukienkę i spojrzała w lustro. Cienka tkanina przykleiła się jej do ciała, uwidaczniając kształt piersi i sterczące brodawki. Ale nawet nie poczuła wstydu. Aby przeżyć, gotowa była założyć na siebie wszystko.

Na dole Corrie spojrzała na nią krytycznie.

- Ale jesteś chuda. I zdejmij okulary. - Gestem wskazała wystawę. - Usiądź tam, twarzą do ulicy. To nie potrwa długo.

Corrie rozchyliła aksamitną zasłonę. Sarah stanęła w oknie.

- Siadaj. - Jedna z dziewcząt podsunęła jej krzesło i podała książkę.

Sarah otworzyła ją na pierwszej stronie. Ścisnęła ją z całych sił, nie mogąc przeczytać nawet słowa. Ale to była jej tarcza obronna, chroniąca przed spojrzeciami obcych mężczyzn z ulicy.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Wydawało jej się, że siedzi tak całą wieczność. Nerwy miała napięte do ostatnich granic. Gdzie on jest? Dlaczego tak długo nie przychodzi? Nagłe usłyszała, że ktoś wymawia jej imię. Książka wypadła jej z rąk. Kiedy spojrzała przez szybę, poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy. Po drugiej stronie stał Nick.

Zareagowała błyskawicznie. Szarpnęła aksamitne zasłony i rzuciła się do ucieczki. Biegła po schodach do pokoju, w którym się wcześniej przebierała, ale Nick zdołał chwycić ją za ramię. Wyrwała mu się i zatrzasnęła przed nim drzwi, ale on wdarł się do środka. Cofała się przed nim, aż wreszcie jej nogi zderzyły się z ramą łóżka. Znalazła się w pułapce.

- Wynoś się stąd! - zawołała histerycznie. - Nienawidzę cię!

Był coraz bliżej. Rzuciła się na niego, jej palce zostawiły na jego policzku czerwone ślady. Chciała go uderzyć po raz drugi, ale chwycił ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie.

- Uspokój się - powiedział. - Posłuchaj mnie!

- Wykorzystałeś mnie! Było ci przyjemnie, czy spełniałeś jedynie przykry obowiązek?

- Przestań!

- Jesteś zwyczajnym draniem. A ja cię kochałam! Chcąc mu się wyrwać, szarpnęła się mocno do tyłu.

Oboje stracili równowagę i upadli na łóżko. Trzymał ją za oba nadgarstki i przygniatał swoim ciężarem. Nie miała siły, żeby go z siebie zrzucić. Nick uwolnił jej ręce i pocałował delikatnie w usta.

Tess Gerritsen

219

- Dalej cię nienawidzę - powiedziała cicho.

- A ja wciąż cię kocham.

- Nie kłam.

Pocałował ją, tym razem dłużej.

- Nigdy cię nie okłamywałem.

- Cały czas byłeś z nimi.

- To nieprawda. Złapali mnie. A potem wszystko mi powiedzieli. Sarah, to koniec. Nie musisz się ukrywać.

- Muszę, dopóki go nie znajdę.

- Nigdy go nie znajdziesz. On nie żyje.

Te słowa podziały na nią jak fizyczny cios.

- Niemożliwe, przecież do mnie zadzwonił.

- To było nagranie zmontowane przez CIA. Geoffrey zginął w pożarze.

Zamknęła oczy, czując bolesne znaczenie tych słów.

- Nic z tego nie rozumiem.

- CIA chciała cię użyć jako przynęty, żeby wywabić Magusa. Liczyli na jakiś nierozważny krok z jego strony.

- A co teraz?

- Operacja została odwołana. Możemy wracać do domu.

Dom. To słowo brzmiało jak z jakiejś bajki, jak z nieprawdziwego snu.

Ale ciepłe ramiona Nicka były prawdziwe. On cały był prawdziwy.

Podniósł się i pomógł jej wstać z łóżka.

- Wracamy do domu - szepnął. - Polecimy pierwszym porannym samolotem.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Przyciągnął ją do siebie i czule pocałował. Ten pocałunek przekonał ją, że jest bezpieczna. I że zawsze będzie bezpieczna, dopóki Nick O'Hara będzie blisko niej.

Wyszli z pokoju i znaleźli się na szczycie schodów. Widać stąd było cały hol na dole. Nagle Nick zatrzymał się w pół kroku. Nie zrozumiała, o co chodzi. Dostrzegła jedynie przerażenie malujące się na jego twarzy.

Spojrzała w miejsce, gdzie utkwiał wzrok. Pod nimi ciemna plama krwi wsiąkała w błękitny perski dywan. Obok leżało martwe ciało Corrie.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jakiś cień padł na ścianę holu. Robił się coraz większy, potężniał w miarę zbliżania się do schodów. Ktoś chodzi po saloniku na dole. Gdyby chcieli wybiec na zewnątrz, musieliby natknąć się na zabójcę. Pozostała im jedynie ucieczka korytarzem na piętrze.

Nick chwycił Sarah za rękę i pociągnął za sobą w kierunku tylnej klatki schodowej. Z dołu rozległ się krzyk kobiety, a potem głuchy odgłos dwóch kul wystrzelonych przez tłumik.

W panicznym niemal strachu wspinali się po wąskich schodach. Dotarli na strych. Nick cicho zamknął za nimi drzwi pozbawione zamka. Nie zapalali światła.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

W słabym blasku padającym przez niewielkie okno majaczyły przed nimi niewyraźne kształty pudeł, starych mebli, wieszaków na ubrania. Nick wepchnął Sarah za duży kufer i ukucnął obok niej.

Z dołu rozległ się trzask otwieranych kopniakiem drzwi. Ktoś wdzierał się w ten sposób kolejno do wszystkich pokoi. Nieubłaganie zbliżał się do schodów prowadzących na strych.

Nick przycisnął ją do podłogi.

- Zostań tu - syknął.

- Co chcesz zrobić?

- Kiedy pojawi się szansa, uciekaj - szepnął i zniknął w ciemnościach.

Kroki były coraz bliżej. Sarah niemal przykleiła się do podłogi, bojąc się nawet oddychać.

Drzwi otworzyły się gwałtownie na całą szerokość. Przez prostokątny otwór wpadło światło z klatki schodowej. W tej samej chwili Sarah usłyszała uderzenie pięści w ludzkie ciało, a potem łoskot padającego na podłogę ciężaru.

Wyjrzała ponad krawędź kufra i zobaczyła Nicka mocującego się z jakimś nieznanym mężczyzną. Nick wymierzył mu kolejny cios, ale jego pięść minęła policzek przeciwnika. Nie był wyszkolonym bokserem, jego początkowa przewaga wynikała jedynie z zaskoczenia.

Zabójca uwolnił się z jego uścisku i zadał mu potężny cios w żołądek.

Nick skulił się z bólu i potoczył do tyłu. Napastnik schylił się błyskawicznie po leżący na podłodze pistolet i skierował go prosto w twarz Nicka.

Tess Gerritsen

223

Sarah nie miała nawet czasu pomyśleć. Wyskoczyła zza kufra i niezdarnie kopnęła w dłoń zabójcy. Pistolet przeleciał szerokim łukiem i upadł gdzieś między pudłami. Morderca stracił równowagę, a wtedy Nick wymierzył mu kolejny cios w szczękę. Z wyrazem zaskoczenia na twarzy mężczyzna upadł do tyłu i uderzył głową o kant kufra. Jego ciało osunęło się bezwładnie na podłogę.

Nick zerwał się na równe nogi.

- Biegiem!

Ruszyła w dół po schodach, a potem wzdłuż korytarza na pierwszym piętrze. Nick był parę kroków za nią. Dotarła do schodów prowadzących na parter. Pokonywała po dwa stopnie naraz. Z przerażeniem pomyślała, że będzie musiała przebiec przez plamę krwi obok ciała Corrie.

Kiedy dostrzegła sylwetkę mężczyzny czekającego na dole, było już za późno. Rzucił się nią błyskawicznym ruchem i zamknął w żelaznym uścisku. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Kątem oka zobaczyła dłoń w rękawiczce trzymającą pistolet. Broń nie była wycelowana w nią, lecz w stojącego na schodach Nicka.

Usłyszała strzał.

Nick przechylił się gwałtownie w tył, jak po mocnym ciosie w klatkę piersiową. Na jego koszuli pojawiła się krew. Sarah zaczęła krzyczeć. Krzyczała histerycznie, kiedy mężczyzna ciągnął ją w kierunku drzwi. Uderzyło w nią zimne nocne powietrze. Niedaleko świeciły jasno latarnie.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Napastnik rzucił ją na tylne siedzenie samochodu i zatrzasnął drzwi. Podniosła wzrok. Za wymierzoną w siebie lufą pistoletu zobaczyła twarz Kronena, jego jasne włosy i makabryczny uśmiech.

Van Dam nadal siedział na łóżku, kiedy zadzwonił Tarasoff z informacjami o tym, co się stało w Casa Morro. O'Hara był w szpitalu, Sarah Fontaine nie udało im się znaleźć. Van Dam wyraził swoje zaskoczenie, mając nadzieję, że zdenerwowanie w jego głosie zabrzmiało przekonująco.

Odłożył słuchawkę i zaczął chodzić po pokoju. Naprawdę miał powód do zdenerwowania. Chodzi o ten nowy trop prowadzący do firmy F. Berkmana. Przelew pieniędzy na konto zabójcy okazał się nieostrożnym posunięciem. Teraz Potter poczuł krew, a ten uparty łajdak nigdy się nie poddaje. Nie bez powodu mówią o nim buldog. Kiedy zacisnął szczęki na ciele ofiary, to nie wypuszczał jej do końca. Van Dam będzie musiał coś z nim zrobić. Od tego zależy jego przyszłość.

Stary człowiek z pewnością jest pragmatykiem. Jeżeli dostanie się w ręce CIA, wykorzysta każdy atut, by wytargować sobie wolność. Miał co położyć na stole: informacje i nazwiska. Van Dam byłby jednym z pierwszych na tej liście.

Wypadki zaczęły toczyć się zdecydowanie za szybko. Oby tylko miał czas na ucieczkę.

Postanowił się spakować, tak na wszelki wypadek. Przemyślał plan działania. Zamknął drzwi. Złapać



Tess Gerritsen

225

taksówkę. Pojechać wprost do rosyjskiej ambasady. To rozwiązanie zostawił sobie jako ostateczność.

Z niechęcią myślał o tym, że resztę życia musiałby spędzić w jakimś mieszkaniu w Moskwie. Ale to było lepsze niż więzienie. No i Rosjanie z pewnością nie zrobią mu krzywdy. Z reguły dobrze traktowali tych, którzy przeszli na ich stronę. Dawali im mieszkania i inne przywileje. Na pewno nie pozwolą mu umrzeć z głodu.

Był tak zajęty swoimi myślami, że nie usłyszał kroków na korytarzu. Aż podskoczył na dźwięk pukania do drzwi.

- Kto tam?

- Ostatni raport, sir. Mogę wejść? Van Dam odetchnął z ulgą i zawołał:

- Właśnie rozmawiałem z Tarasoffem. Chyba że macie coś nowego...

- Jest coś nowego, sir.

Jakiś przebłysk instynktu kazał van Damowi założyć łańcuch. Uchylił nieznacznie drzwi.

W tej samej chwili drzwi odskoczyły z hukiem, uderzając go w twarz. Na dywan posypały się drzazgi. Van Dam zatoczył się do tyłu, niemal tracąc z bólu przytomność.

Usiłował skupić wzrok. W drzwiach zobaczył ubranego na czarno mężczyznę. Człowieka, który powinien być martwy.

Spojrzenie van Dama przykuł przedmiot, który mężczyzna trzymał w dłoni. Cały wszechświat skurczył mu się do rozmiarów niewielkiego kółka. Wylotu lufy pistoletu.

- To za Eve - powiedział spokojnie mężczyzna.

## TELEFON PO PÓLNOCY

Trzykrotnie nacisnął spust. Klatkę piersiową van Dama rozerwały trzy kule.

Sarah siedziała skulona na podłodze, przyciągając kolana do piersi. Wokół panowały ciemności. Jedyne słabe światło księżyca padało z wysoko umieszczonego okna. Zastanawiała się, która może być godzina. Trzecia? Czwarta?

Straciła poczucie czasu. Przeważenie wydłużało każdą godzinę w nieskończoność.

Przed oczami miała wciąż obraz Nicka z krwawą plamą na koszuli. Poczowała w piersiach ból, który podnosił się do gardła, aż wreszcie wylał się z niej w postaci łez. Wcisnęła głowę między kolana. Boże, proszę, nie pozwól mu umrzeć, powtarzała bezgłośnie.

Ale nawet gdyby Nick żył, nie mógłby przyjść jej z pomocą. Już nikt nie może jej pomóc. Kiedy to do niej dotarło, poczuła niezwykle spokój. Jej los jest przesądzony, dalsza walka nie ma sensu. Wiedziała, że czeka ją śmierć, ale była niezwykle spokojna.

Bez strachu i paniki zobaczyła swoje położenie z wyjątkową precyzją i jasnością. Tak jakby patrzyła na bakterie przez soczewkę mikroskopu. Doszła do wniosku, że jej sytuacja jest beznadziejna.

Znajdowała się w niewielkim pokoju na trzecim piętrze jakiegoś starego magazynu. Jedyne wyjście stąd były drzwi zamknięte na mocny rygiel. Małe okienko znajdowało się zbyt wysoko, by mogła je dosięgnąć. Wszędzie rozchodził się zapach kawy. Przypomniała sobie, że na parterze zauważyła piece

Tess Gerritsen

227

do palenia kawowych ziaren i płócienne worki z napisem F. Berkman, Koffie, Hele Bonen.

Zamarła, słysząc dźwięk czyichś kroków. Ktoś wchodził po schodach. Potem rozległ się trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Przez ścianę doszły ją głosy z sąsiedniego pomieszczenia. Dwóch mężczyzn rozmawiało po holendersku.

Jednym z nich był Kronen. Głos drugiego mężczyzny, niski i ochryply, był ledwo słyszalny. Kroki zbliżały się coraz bardziej. Zamarła, słysząc skrzypienie przekręcanego zamka.

Jasne światło wdarło się przez otwarte drzwi. Dwaj mężczyźni stanęli w progu. Przez chwilę widziała jedynie ich sylwetki, bo twarze mieli pograżone w cieniu. Kronen wyciągnął rękę do wyłącznika w ścianie. To, co zobaczyła w blasku fluorescencyjnej lampy, wprawiło ją w przerażenie. Stał nad nią mężczyzna pozbawiony twarzy.

Jego jasne oczy bez rzęs były nieruchome jak dwa kamienie. Dopiero gdy zaczął się jej przyglądać, poruszyły się. Zrozumiała, że wpatruje się w maskę zrobioną z gumy w kolorze skóry. Jedynie oczy i usta były prawdziwe. Nagą czaszkę porastały rzadkie kępki siwych włosów.

Jasnoczerwony jedwabny szalik zawiązany na szyi był makabrycznym dodatkiem do tej całości.

Bezrzęse oczy zatrzymały się na jej twarzy. Zanim się odezwał, wiedziała już, kim jest. To Magus. Człowiek, którego Geofferey miał zabić.

- Więc to jest żona Simona Dance'a - powiedział

## TELEFON PO PÓŁNOCY

głosem brzmiącym jak ochryply szept. Jego struny głosowe musiały ucierpieć w ogniu nie mniej niż jego twarz. - Wstań, żebym mógł cię lepiej zobaczyć. Skuliła się, kiedy chwycił ją za nadgarstek.

- Ja nic nie wiem, naprawdę.

- Coś jednak musisz wiedzieć. Dlaczego wyjechałaś z Waszyngtonu?

- CIA wprowadziła mnie w błąd. Myślałam, że znajdę Geoffreya, to znaczy Simona. Proszę mnie wypuścić.

- Wypuścić cię? Niby dlaczego?

Sarah wpatrywała się w niego bez słowa. On ją z pewnością zabije. Żadne prośby i błagania nie mają sensu.

Magus odwrócił się do Kronena, który wyglądał na bardzo rozbawionego.

- To o tej kobiecie mówiłeś? - spytał z niedowierzaniem. - To jej nie mogłeś znaleźć przez dwa tygodnie?

Uśmiech Kronena zniknął.

- Miała pomoc.

- Ale znalazła Eve bez żadnej pomocy.

- Jest dużo sprytniejsza, niżby się wydawało.

- Niewątpliwie. - Odwrócił się znów do Sarah. - Gdzie jest twój mąż?

- Nie wiem.

- Znalazłaś Eve i Helgę. Z pewnością wiesz, gdzie jest twój mąż.

Opuściła głowę i wpatrywała się w podłogę.

- Nie żyje.

Tess Gerritsen

229

- Kto ci tak powiedział? CIA?

- Tak.

- I ty im uwierzyłaś?

Widząc jej potakujący gest, mężczyzna zwrócił się z wściekłością do Kronena:

- Ona jest bezwartościowa. Niepotrzebnie traciliśmy czas. Dance byłby głupi, gdyby po nią wrócił.

Sarah zeszywniała, słysząc pogardę w jego głosie. Dla Magusa jej życie było tyle samo warte, co życie robaka. Zabiłby ją bez najmniejszej litości. Poczula, jak budzi się w niej złość. Jeżeli ma umrzeć, to na pewno nie śmiercią robaka. Uniosła dumnie brodę i spojrzała na Magusa wyzywająco.

- Jeżeli mój mąż się tu pojawi, to mam nadzieję, że wyśle was wprost do piekła.

W jasnych oczach pojawił się błysk zdziwienia.

- I tak się tam z nim spotkam, prędzej czy później. Spędzimy ze sobą całą wieczność. Ale ja przynajmniej wiem, co to znaczy znaleźć się w płomieniach. - Zamilkł na chwilę, po czym zwrócił się do Kronena: - Przed świtem przenieś ją w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Gdzie nikt nie będzie jej słyszał. Jeżeli Dance nie pojawi się przez dwa dni, zabij ją. Powoli. Wiesz, jak masz to zrobić.

Kronen znów się uśmiechał. Pochylił się i wziął w palce kosmyk włosów Sarah.

- Tak - powiedział cicho. - Wiem. - Nagle jego ciało zeszywniało.

W budynku rozległ się alarm. Nad drzwiami zaczęła migać czerwona lampka.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Oczy Magusa rozbłysły. - To musi być Dance.

Kronen wyszarpnął pistolet z kieszeni i obaj wybiegli z pokoju. Drzwi zatrzasnęły się, rygiel wskoczył na swoje miejsce.

Sarah jak zahipnotyzowana wpatrywała się w migające światło. Jeszcze parę minut temu ze spokojem przyjmowała nieuchronność własnej śmierci. Teraz jednak, pod wpływem strachu, poczuła nagły zastrzyk adrenaliny. Chciała żyć!

W panice rzuciła się do drzwi. Były zrobione z solidnego dębu. Tę drogę z pewnością ma zamkniętą. Oparła się o nie plecami i zaczęła rozglądać się po pokoju.

W rogu piętrzył się stos kartonowych pudeł. Zajrzała do nich, ale znalazła jedynie pomiętą fakturę. Potem zauważyła, że największe pudło owinięte jest taśmą do pakowania. Ściągnęła ją i naciągnęła mocno kilka razy.

Właściwie użyta, mogła udusić człowieka. Sarah nie wiedziała, czy miałyby odwagę to zrobić, ale w jej sytuacji każda broń, nawet kawałek starej taśmy, była darem niebios.

Spojrzała na okno. Jest za małe. Z tej drogi ucieczki też musi zrezygnować. Pozostają jej jedynie drzwi. Tylko jak je sforsować?

Widok krzeseł stojących jedno na drugim podsunął jej pewien pomysł. Kolejna broń. Cała piramida krzeseł była tak ciężka, że ledwo udało jej się przeciągnąć ją po podłodze. Ale w związku z tym jej plan ma szanse powodzenia.

Tess Gerritsen

**231**

Z największym wysiłkiem ustawiła krzesła po jednej stronie drzwi. Do nogi na dole przywiązała jeden koniec taśmy. Trzymając drugi koniec w rękach, ukucnęła po drugiej stronie. Podniosła taśmę kilka centymetrów nad podłogę i naciągnęła. Tak, we właściwym momencie powinna zadziałać jak pułapka. Będzie miała kilka cennych sekund na ucieczkę. Kilkakrotnie wyobraziła sobie swoje ruchy. Chciała je tak utrwalić w umyśle, by móc działać w mroku. Musi się udać. To jest jej jedyna szansa. Staneła na jednym z krzeseł i wykręciła żarówkę. W ciemnościach ma przewagę. Zeskakując z krzesła, usłyszała grzmot strzałów niosących się echem po budynku. Potem rozległy się krzyki i kolejne strzały. Usłyszała tupot nóg na schodach. Przeniosła krzesło pod drzwi i schyliła się, by odnaleźć koniec taśmy. Chwyliła ją, kiedy drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem. Ledwo zdążyła ją naciągnąć. Siła szarpnięcia była tak duża, że z trudem utrzymała taśmę w dłoniach. Mężczyzna zachwiał się i runął płasko na podłogę. Próbował od razu wstać, ale Sarah chwyciła krzesło i zamierzyła się z całej siły. Bardziej poczuła, niż usłyszała głucho uderzenie w czaszkę. Mężczyzna znieruchomiał. Przerażona tym, co zrobiła, Sarah wypuściła krzesło. Ale kiedy zaczęła przeszukiwać jego kieszenie, jęknął niewyraźnie. Pistoletu nie znalazła. Uznała, że nie może tracić czasu na szukanie go w ciemnościach na podłodze. Musi uciekać.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Wybiegła z pokoju i zarygłowała za sobą drzwi. Jeden mniej, pomyślała z okrutną satysfakcją, zastanawiając się, ilu ludzi jest jeszcze na dole. Trzeba wydostać się z budynku. Trzy piętra na dół, potem bieg do głównego wejścia. Czy uda jej się pokonać tę drogę i pozostać niezauważoną? Nie miała czasu na myślenie ani na układanie planu. Była jak zwierzę, którym kieruje jedynie instynkt.

Przebiegła przez przylegające do magazynu biuro i zaczęła schodzić po schodach. Po kilku krokach zamarła. Z dołu doszły ją jakieś głosy. Były coraz bliżej. Słyszała okrzyki Kronena. Jej jedyna droga ucieczki została odcięta.

Wróciła do biura i zarygłowała za sobą drzwi. Te jednak nie były zrobione z solidnego drewna, mogły wytrzymać najwyżej kilka minut. Zauważyła w pokoju okno. Stała na biurku i szarpnęła za ramę. Bezskutecznie. Okno było zabite gwoździami. Musi rozbić szybę. Kopnęła w nią z całej siły. Odłamki szkła potoczyły się po dachówkach. Wyjrzała na zewnątrz i stwierdziła, że okno jest mansardowe. Jakiś metr pod nim dach stromo opadał w ciemność. Nie wiedziała, czy dalej jest już tylko ulica, czy może dach stojącego obok domu. Nie miała jednak wyjścia.

Dachówki mogą być śliskie, więc zdjęła buty. Ze zdumieniem zauważyła na kostce krwawiącą ranę. Nie czuła jednak bólu. Kolejne dźwięki zabrzmiały jak ostrzegawczy alarm. Kronen dobijał się do drzwi. Stała na zewnętrznym parapecie. Przez chwilę



Tess Gerritsen

233

trzymała się ramy jedną ręką, drugą próbując znaleźć jakieś oparcie, które pozwoliłoby jej podciągnąć się do góry na szczyt dachu. Bezskutecznie. Trzask pękających drzwi zmusił ją do działania. Ma prosty wybór: szybka śmierć albo bolesna.

Drzwi ustąpiły, do pokoju wpadł Kronen z okrzykiem wściekłości. Mając ten krzyk w uszach, Sarah puściła ramię okna.

Spadła na dach' poniżej i zaczęła zsuwać się po śliskiej powierzchni. Nie miała się czego przytrzymać, mokre dachówki wymykały jej się z palców. Wreszcie nogi zawisły jej poza krawędzią. Przez chwilę jeszcze trzymała się rynny, ale dłonie słabły jej coraz bardziej, aż wreszcie odmówiły posłuszeństwa. Runęła w ciemność na spotkanie w wiecznością.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- To tylko powierzchowna rana.

- Wracaj do łóżka, O'Hara - warknął Roy Potter. Nick przeszedł przez pokój i otworzył drzwi szafki.

Była pusta.

- Gdzie jest, do cholery, moja koszula?

- W śmieciach. Była cała pokrwawiona, nie pamiętasz?

Klnąc, Nick zdjął z siebie szpitalne ubranie i popatrzył na bandaż na lewym barku. Przeciwbólowy zastrzyk przestawał już działać. Ból rozsadzał mu pierś niczym uderzenia młota pneumatycznego. Ale nie może tu leżeć i czekać na to, co się wydarzy. I tak stracił wiele cennych godzin.

Tess Gerritsen

235

- Posłuchaj - odezwał się Potter. - Zostań tu, a my się wszystkim zajmujemy. Znajdziemy ją.
- Tak samo jak znaleźliście Eve Fontaine? Twarz Pottera stężała.
- Nie. Mam nadzieję, że nie.
- Więc co zamierzasz zrobić? - krzyknął Nick.
- Na razie czekamy, żeby gość, którego powaliłeś, wreszcie zaczął gadać. Poza tym sprawdzamy trop prowadzący do F. Berkmana.
- Przeszukajcie jego budynek!
- Nie możemy. Musimy mieć pozwolenie od van Dama, a z nim nie ma kontaktu. Potrzebujemy też jakichś dowodów.
- Pieprzę dowody - mruknął Nick, podchodząc do drzwi. - Sam się tam włamię.
- Nie możesz jechać bez żadnego wsparcia. - Potter ruszył za nim.
- Widziałem wasze wsparcie. Wolałbym pistolet.
- Umiesz strzelać?
- Szybko się uczę.
- Muszę mieć pozwolenie od van Dama.
- Od van Dama? - parsknął Nick. - Ten facet nie da pozwolenia nawet na wyjście do kibla. - Nacisnął guzik windy i spojrzał na Pottera. - Daj mi swoją koszulę. Wystarczy, że się chcę włamać, nie potrzebuję oskarżeń o publiczne obnażanie się.
- Zwariowałeś? Nie dam ci koszuli. Będzie cała podziurawiona kulami.
- Dzięki za zaufanie.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

Drzwi windy otworzyły się nagle i wyszedł z nich Tarasoff.

- Coś się ruszyło - powiedział do Pottera. - Policja dostała meldunek o strzelaninie w budynku Berkmana.

Nick i Potter spojrzeli po sobie.

- Gdzie jest van Dam? - spytał ostro Potter.

- Nie mam pojęcia. Nadal nie odbiera telefonu.

- Dość tego. O'Hara, idziemy. - Wszyscy trzej wsiedli do windy i zaczęli zjeżdżać na dół. - Nie wiem, czemu ryzykuję dla ciebie karierę. Nawet cię nie lubię. Ale masz rację. Musimy wkroczyć natychmiast. Kiedy van Dam wyda pozwolenie, my będziemy już w domu starców. - Spojrzał ostro na Tarasoffa. - Tego akurat pan nie słyszał, rozumiemy się?

- Tak jest, proszę pana.

Potter spojrział uważnie na Tarasoffa.

- Jaki ma pan rozmiar?

- Słucham?

- Pytam o rozmiar koszuli.

- Szesnaście.

- To świetnie. Niech pan da swoją koszulę O'Harze. Dopilnuję, żeby za bardzo jej nie zakrwawił.

Tarasoff posłuchał natychmiast, ale czuł się wyraźnie nieswojo jedynie w podkoszulku i marynarce. Byli już w drodze na parking.

- Przekaż naszym ludziom, że spotykamy przed budynkiem Berkmana.

- Mam nadal próbować złapać van Dama? Potter zawahał się, widząc ostrzegawcze spojrzenie

Nicka.

Tess Gerritsen

237

- Nie - powiedział wreszcie. - Niech to będzie na razie nasza mała tajemnica.

Wsiadli do samochodu.

- Wiesz co, Potter - odezwał się Nick, wkładając koszulę Tarasoffa..- Nie jesteś taki tępy, na jakiego wyglądasz.

Roy Potter ponuro pokręcił głową.

- To się dopiero okaże.

Z głuchym uderzeniem Sarah spadła na plecy.

Najpierw poczuła zdziwienie, że wciąż żyje. Leżała przez chwilę w ciemnościach, czekając, aż odzyska normalny oddech. Nie więcej niż pięć metrów nad sobą zobaczyła okno, przez które uciekła. Spadła z niewielkiej wysokości na przylegający dach.

Krzyki Kronena motywowały ją do działania. Stał w oknie, wydając rozkazy. Z mroku na dole odpowiedziały mu jakieś głosy. Jego ludzie przeszukiwali ulicę. Jeżeli nie znajdą ciała, szybko zwrócą uwagę na okoliczne dachy.

Podniosła się na nogi. Jej wzrok przyzwyczył się już do ciemności.

Widziała linię dachu rysującą się na tle nieba. Wtem dotarło do niej, że to nie jej wzrok się wyostrzył.

To niebo pojaśniało. Nadchodzi świt. Za chwilę jej postać stanie się łatwym celem.

Zaczęła wspinać się po kolejnym dachu. Tu nie było już tak stromo i szybko dotarła na szczyt. Przeszła na drugą stronę i szybko zsunęła się na dół. Mokra sukienka przykleiła się do niej jak zimna skorupa. Całe

## TELEFON PO PÓŁNOCY

stopy miała poranione, ale strach znieczulił ją na wszelki ból.

Znalazła, się na płaskim, pokrytym żwirem kawałku dachu. W mroku zobaczyła jakieś drzwi. Podbiegła do nich, ale były zamknięte. Odwróciła się, próbując odnaleźć inną drogę ucieczki - może jakieś inne drzwi, jakieś schody.

Niebo jaśniało z każdą sekundą. Musi się stąd wydostać! Głośne okrzyki powiedziały jej, że została zauważona.

Następny dach był pokryty łupkowymi płytkami, gładkimi jak lód.

Wysoko w górze majaczyło okno, a nad nim kształt anteny zamocowanej na szczycie. Nie miała szans, żeby się tędy wspiąć.

Jak ptak zamknięty w klatce, rozpaczliwie szukała drogi wyjścia. Z jednej strony był jedynie ostry spadek na podwórko. Przebiegła na drugą stronę i spojrzała w dół. Gładka ściana bez balkonów czy schodów

przeciwpożarowych, które mogłyby zamortyzować jej upadek, gdyby zdecydowała się skoczyć. I gdzieś daleko chodnik czekający na jej ciało.

Usłyszała, jak jakiś przedmiot toczy się po dachówkach. Kronen zaklął; jego pistolet spadł na ulicę. Sam przechodził już przez szczyt drugiego dachu.

Sarah wpatrywała się przez łyzy w gładką powierzchnię łupkowego dachu.

Nagle zauważyła czarny przewód zwisający z anteny. Czy jest wystarczająco mocny, by ją utrzymać?

Słyszając odgłos kroków Kronena na żwirze, pozbyła

Tess Gerritsen

239

się wszelkich wahań. Chwytnąjąc przewód, podciągnęła się na dach. Przewód naprężył się, ale nie pękł. Z uwagą natężoną do ostatnich granic posuwała się do góry. Dach wydawał się nie mieć końca. W każdym momencie spodziewała się strzału.

Nie widziała, jak daleko jeszcze będzie musiała się wspinać. Na pewno tylko kawałek, powtarzała z rozpaczą. Czowała, że słabnie.

W pewnym momencie pośliznęła się i straciła oparcie. Siła ciężkości ciągnęła ją bezlitośnie na dół. Czowała, jak przewód zaczyna wysuwać jej się z rąk. Nagle mgła rozviała się w niespodziewanym podmuchu wiatru i Sarah zobaczyła szczyt dachu, który był w odległości zaledwie kilku centymetrów.

Z nadludzkim wysiłkiem podciągnęła się do góry i zacisnęła palce na pręcie anteny. Teraz już może wczołgać się na kalenicę. Leżała tam, oddychając ciężko ze zmęczenia. Ale kiedy spojrzała na drugą stronę, zobaczyła, że nie ma dokąd uciekać. Tu jej ucieczka się skończyła.

Zaczęła płakać jak przerażone dziecko.

Nagle dotarł do niej dziwny dźwięk, najpierw cichy, potem coraz głośniejszy. Wysoki, falujący ton stopniowo rozdzierał ciszę. Syrena policyjna.

Kronen też ją usłyszał. Klnąc, chwycił przewód i zaczął wspinać się na górę.

Sarah patrzyła na niego z niedowierzaniem. Był wysoki i silny, poruszał się niemal jak małpa. Zaczęła rozpaczliwie szarpać przewód, próbując go odłączyć od anteny. Wiedziała jednak, że nie zdąży. Słyszała

## TELEFON PO PÓŁNOCY

już chrapliwy oddech napastnika. Stała na drżących nogach.

Dźwięk syreny był coraz głośniejszy. Jeszcze tylko parę chwil! Nie potrzebuje niczego więcej.

Głowa Kronena wychyliła się ponad krawędź dachu. Rozcapierzonymi palcami Sarah próbowała wymierzyć mu cios w oczy. Cofnął się, chwycił ją na nadgarstek i wykręcił tak mocno, że krzyknęła z bólu. Wyrwała mu się, ale omal nie straciła równowagi.

Kronen stanął wreszcie na szczycie i powoli się do niej zbliżał. W jego dłoni pojawił się nóż. Trzymał go niedbale, jak jakąś zabawkę.

Zrobiła kolejny krok do tyłu. Jak daleko może się jeszcze cofać? Ostrze było coraz bliżej. Zrozumiała, że Kronen nie chce jej żywej. Chce ją zabić. W ostatnich oparach mgły widziała, jak zbiera się do zadania ciosu. Automatycznie zasłoniła się ramionami. Poczwała, jak ostrze rozcina jej skórę. Upadła na kolana. Stał tuż nad nią, przygniatając butem jej sukienkę. Nie mogła uciekać, nie mogła nawet wstać. Widziała jedynie wznoszące się srebrne ostrze.

Dziki instynkt przetrwania podpowiedział jej ostatni rozpaczliwy ruch. Z krzykiem rzuciła się na kolana Kronena. Odchylił się do tyłu i chwiejąc się na jednej nodze, próbował utrzymać równowagę. Wykorzystała ten moment i szarpnęła go za stopę. Stracił ostatni punkt podparcia i runął w dół.

Sarah zamknęła oczy. Ciało Kronena uderzyło o chodnik, a ona nadal miała w uszach jego krzyk.



Tess Gerritsen

**241**

Zrobiło jej się niedobrze, poczuła zawroty głowy. Przycisnęła policzek do chłodnej powierzchni dachu, próbując opanować mdłości. Z dołu rozległ się ryk syreny i głośnie okrzyki. Była zbyt zmęczona i zbyt przemarznięta, żeby się poruszyć. Dopiero głos Nicka wyrwał ją z odrętwienia.

Stał na dole i machał do niej. Nie mogła uwierzyć, że widzi go żywego. Chciała zawołać, że go kocha, że zawsze będzie go kochała, ale wydobyła z siebie jedynie cichy szloch.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Nick. - Straż pożarna zaraz do ciebie dotrze. Wytarła łzy i skinęła głową. To koniec, powtarzała w myślach. Nareszcie ten koszmar się skończył.

Głośnie trzaśnięcie drzwi kazało jej spojrzeć na dół. Na żwirowym tarasie poniżej stał Magus z karabinem w rękach. Dla Nicka i stojących na dole policjantów był niewidoczny. Samotny, stary człowiek owładnięty żądzą zemsty. Stał i patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem powoli podniósł karabin.

Huk wystrzału przetoczył się ponad dachami. Sarah uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że nie czuje żadnego bólu. A potem zobaczyła, że Magus się chwieje, a jego koszula nasiąka krwią. Wydał z siebie przedśmiertny okrzyk, który mógł być jedynie czyimś imieniem. Z szeroko otwartymi oczami upadł na plecy i znieruchomiał.

Niespodziewany błysk przyciągnął jej uwagę. Oderwała wzrok od zakrwawionego ciała i spojrzała w tamtą stronę. Promienie słońca przedarły się przez

## TELEFON PO PÓŁNOCY

mgłę i oświetliły głowę i ramiona mężczyzny stojącego na dachu dwa domy dalej.

Mężczyzna opuścił karabin. W półmroku nie widziała jego twarzy, ale rozpoznała go od razu.

- Geoffrey! - zawołała. - Nie odchodź! Krzyczała histerycznie, chociaż postać mężczyzny

natychmiast rozplynęła się we mgle. Pozostał jedynie pusty dach, połyskujący w pierwszych promieniach słońca.

Na ulicy poniżej strzał karabinu zabrzmiał jak uderzenie gromu.

- Kto to strzelał? - wrzasnął Potter do Tarasoffa.

- Nikt z naszych. Może to gliny.

- Do diabła, przecież to był karabin!

Nick spojrział na górę i zobaczył, że Sarah wciąż żyje. Na dole czuł się kompletnie bezradny.

- Na miłość boską, zrób coś! - krzyknął w panice do Pottera.

- Tarasoff, zabieraj ludzi na górę. Sprawdźcie, skąd padł strzał. - Potter odwrócił się do holenderskiego policjanta. - Kiedy wreszcie będą te drabiny?

- Za jakieś pięć minut.

- Przez ten czas ona może zginąć!

Nick przebiegł przez ulicę i wpadł do budynku. Pędził schodami na górę, bojąc się, że w każdej chwili usłyszy kolejny strzał. Roy Potter biegł parę kroków za nim.

Szeroka klatka schodowa kończyła się wąskimi spiralnymi schodami prowadzącymi na dach. Nick

Tess Gerritsen

243

wbiegł po ostatnich stopniach i szarpnął drzwi. Zatrzymał się nagle, porażony jasnymi promieniami słońca i tym, co zobaczył na żwirowym tarasiku. Patrzyły na niego martwe oczy człowieka bez twarzy. Czerwony jedwabny szalik powiewał na wietrze, nie odróżniając się kolorem od ogromnej plamy krwi rozlanej na piersi mężczyzny. Obok leżał karabin. Drzwi otworzyły się po raz kolejny i rozpędzony Potter wpadł na Nicka. - Dobry Boże! - powiedział, patrząc na martwe ciało. - To Magus. Sam się postrzelił?

Z pobliskiego dachu rozległ się cichy jęk. Nick odwrócił się i zobaczył Sarah wyciągającą ręce w błagalnym geście. Nie zauważyła ani jego, ani Pottera. Wpatrywała się w dal, widząc tam coś, czego nie widział nikt inny.

Jej krzyk przyprawił Nicka o dreszcz. Był to krzyk kobiety na granicy hysterii. Sarah przywoływała mężczyznę, który nigdy nie istniał.

Kiedy wreszcie sprowadzili ją na dół, była spokojna i opanowana. Nick patrzył, jak sanitariusze układają ją na noszach. Była taka drobna, słaba i zziębnięta.

Na ulicy czekała już karetka.

- Muszę z nią jechać. - Nick odtrącił ramię Pottera, który próbował go zatrzymać. - Ona mnie potrzebuje. - Wcisnął się do karetki obok noszy. - Sarah, słyszysz mnie?

- Już myślałam, że cię nigdy nie zobaczę - szepnęła.

Potter zajrzał do ambulansu.

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Na miłość boską, Nick, nie pozwalasz im pracować.

Nick rozejrzał się i zobaczył, że sanitariusze patrzą na niego ze złością.

- On musi ze mną zostać - powiedziała Sarah błagalnie.

Potter wzruszył bezradnie ramionami. Sanitariusze wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Nie lubili dodatkowych pasażerów, ale wiedzieli z doświadczenia, że lepiej nie zadzierać z Nickiem. Wzburzeni mężowie są uparci i nieobliczalni. A ten wyglądał na wyjątkowo wzburzonego.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Roy Potter patrzył z ulgą za odjeżdżającą karetką, a potem wsiadł do drugiego ambulansu stojącego kilka metrów dalej. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin mógł się przyznać do zmęczenia. Był wykończony, ale zadowolony. Operacja zakończyła się sukcesem.

Magus i jego pomocnik nie żyją. Czterech innych ludzi trafiło do aresztu. A przede wszystkim uratowali Sarah Fontaine.

Ta kobieta na pewno zostanie najakiś czas w szpitalu. Miała poważne rany na rękach i na stopach, wymagające pomocy chirurga. Co więcej, będzie też pewnie potrzebowała opieki psychiatrycznej. Miała

## TELEFON PO PÓŁNOCY

halucynacje, widziała na dachu ducha. W jej stanie taki atak hysterii był całkiem zrozumiały. Miną tygodnie albo nawet miesiące, zanim upora się ze wszystkim, przez co przeszła. Ale wyjdzie z tego. Okazała się silniejsza, niż wszyscy myśleli.

Potter patrzył, jak do drugiej karetki sanitariusze wkładają nosze ze zwłokami. Zadrżał, przypominając sobie widok ciała Kronena na chodniku. Dobrze, że szybko je uprzętnięto.

Na drugich noszach było ciało Magusa. Potter jakoś nie mógł uwierzyć, że po tylu latach stary człowiek postanowił odebrać sobie życie. Ale analiza balistyczna na pewno to potwierdzi. Nie umiał znaleźć innego wyjaśnienia.

Na dachu nie było nikogo poza człowiekiem, którego widziała Sarah. Ale ona widziała zjawę.

- Panie Potter! - Holenderski policjant przepychał się przez tłum gapiów. - W środku jest jakiś Amerykanin. Chce z panem rozmawiać.

- Wyślijcie do niego Tarasoffa.

- On mówi, że będzie rozmawiał tylko z panem.

Potter stłumił przekleństwo. Jedyne, o czym marzył, to położyć się wreszcie do łóżka. Wsiadł niechętnie z karetki i poszedł za policjantem do budynku F. Berkmana. Wszędzie roznosił się zapach kawy, co przypomniało mu, że od wczoraj nic nie jadł. Policjant wskazał gestem na biuro.

- Tam.

Przy oknie stał mężczyzna odwrócony do drzwi plecami. Był ubrany na czarno. W jego złotych włosach

Tess Gerritsen

247

sach było coś niepokojąco znajomego. Roy Potter zamknął za sobą drzwi.

- Chciał się pan ze mną widzieć. Mężczyzna odwrócił się z uśmiechem.

- Witam, panie Potter.

Potter oniemiał. Patrzył tępo przed siebie, powtarzając w myślach: Co się ze mną dzieje? Ja też mam halucynacje.

Przed nim stał Simon Dance.

Po godzinie Simon Dance odwrócił się i znów podszedł do okna.

- Oto cała historia - powiedział cicho. - Bardziej skomplikowana, niż sądziłeś. Pomyślałem sobie, że chciałbyś ją poznać. W zamian proszę o tę jedną przysługę.

- Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś?

- Na początku to było jedynie przeczucie. Potem ktoś podłożył mi w hotelu ładunek wybuchowy. Wtedy już byłem pewien. Nie mogłem ci zaufać. Ani nikomu innemu. Mieliście w Firmie jakiś przeciek. I to na samej górze.

Potter nie odpowiedział. Domyślał się, kto to mógł być.

- Van Dam - powiedział Dance.

- Jesteś pewien?

Dance wzruszył ramionami.

- Po co ktoś wychodzi w nocy z hotelu do budki telefonicznej?

- Kiedy to było?

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Wczoraj, zaraz potem, jak zadzwoniłem do O'Hary.
  - To byłeś ty? - Potter zaklął i pokręcił głową. - To częściowo moja wina. Musiałem powiedzieć van Darn owi o tym telefonie.
  - A potem dowiedziałem się, że w Casa Morro pojawił się Kronen ze swoimi ludźmi. Wtedy już wiedziałem, do kogo dzwonił van Dam. Do Magusa.
  - Potrzebuję więcej dowodów. Nie mogę go oskarżyć na podstawie jednego telefonu z budki.
  - Nie martw się, ta sprawa już jest załatwiona.
  - Co to znaczy?
  - Wkrótce się przekonasz.
  - Ale jakie on miał motyw?
- Simon Dance spokojnie przypalił sobie papierosa.
- Każdy z nas ma jakieś tajemnice. O ile wiem, van Dam był bogaty.
  - Jego żona zostawiła mu w spadku miliony.
  - Ile miała lat, kiedy zmarła?
  - Czterdzieści parę. Chodziło o jakiś napad. Van Dam był w tym czasie za granicą.
  - I wcale się nie dziwię.
- Potter zamilkł. To jest motyw. Wystarczy poszukać nieco głębiej, by do niego dotrzeć.
- Każę natychmiast rozpocząć wewnętrzne śledztwo.
- Simon Dance uśmiechnął się.
- Nie musisz się spieszyć. On już ci z pewnością



Tess Gerritsen

**249**

- A co z tobą? - spytał Potter. - Przystaniesz się wreszcie ukrywać?

Dance zaciągnął się papierosem.

- Nie wiem jeszcze, co zrobię. Eve była najważniejszą osobą w moim życiu.

- A Sarah?

Dance potrząsnął głową.

- Sprawilem jej wystarczająco dużo bólu. - Odwrócił się i spojrzął przez okno. - Ekspertyza balistyczna wykaże, że Magus został zabity z dużej odległości. Przyrzeknij mi, że Sarah nigdy się o tym nie dowie.

- Skoro tak sobie życzysz. Nawet się z nią nie pożegnasz?

- Tak będzie lepiej. Poza tym ten O'Hara wygląda na porządnego faceta. Chyba będą ze sobą szczęśliwi.

Potter pokiwał głową. Też musiał przyznać, że O'Hara nie jest wcale taki zły.

- Zamierzasz wrócić do Stanów? Jeżeli tak, to pomożemy ci w załatwieniu nowej tożsamości.

- Dziękuję, ale wolę radzić sobie sam - powiedział Dance, podchodząc do drzwi.

- Jak będę mógł cię znaleźć?

Dance zatrzymał się w progu. Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział z uśmiechem:

- Nie będziesz mógł mnie znaleźć.

Sarah obudziła się późnym popołudniem. Najpierw zobaczyła białe zasłonki poruszające się lekko w otwartym oknie, potem rząd doniczek z tulipanami na

## TELEFON PO PÓŁNOCY

stole. Na krześle obok łóżka spał Nick. Miał na sobie pomiętą i przepoconą koszulę, a na głowie chyba więcej siwych włosów niż przedtem. Lekko dotknęła jego ręki.

Obudził się gwałtownie i spojrzał na nią przekrwionymi ze zmęczenia oczami.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Dziwnie. Bezpiecznie. - Spojrzała na stół z tulipanami. - Ile kwiatów!

- Chyba trochę przesadziłem. Nie wiedziałem, że dwa tuziny to aż tyle.

Roześmieli się oboje, ale ten śmiech szybko zamarł. Wciąż czuli jeszcze strach i napięcie. Za dużo się wydarzyło przez te dni.

- Ja go naprawdę widziałam - powiedziała cicho.

- To już nieważne...

- Dla mnie jest ważne. - Opadła na poduszki. - Nie wiem, czy widziałam ducha, czy realnego człowieka. I teraz już zawsze będę się nad tym zastanawiać.

Nick podniósł jej dłoń i przycisnął ją do ust.

- Jeżeli to był duch, to mam wobec niego dług wdzięczności. Że mi ciebie zostawił. - Kiedy podniósł głowę, Sarah zobaczyła w jego szarych oczach miłość, której tak naprawdę nigdy nie widziała w oczach Geoffreya.

- Kocham cię - powiedziała. - Masz rację. Może rzeczywiście coś mi się wydawało. Byłam przerażona. Nikt mi nie mógł pomóc. Nikt oprócz ducha.

- On nie żyje. To, że zobaczyłaś go w takiej chwili, było jak pożegnanie.

Tess Gerritsen

251

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do pokoju zajrzał Roy Potter.

- Nie przeszkadzam?

- Niech pan wejdzie! - zawołała Sarah z uśmiechem.

Potter popatrzył na rząd doniczek i aż gwizdnął.

- Co to, Nick, będziesz zajmował się ogrodnictwem?

- Chciałem być romantyczny.

- Romantyczny? Z takim wyglądem? - Mrugnął wesoło do Sarah. - Niech mu pani powie, żeby się ogolił, bo aresztują go za włóczęgostwo.

Sarah pogłaskała Nicka po policzku.

- Moim zdaniem wygląda cudownie. Potter pokręcił głową.

- To dowód na to, że miłość jest ślepa. - Spojrzał z troską na Sarah. -

Lekarze mówią, że będzie pani mogła jurto wyjść. Da pani radę?

- Chyba tak. - Pokazała mu zabandażowaną rękę. - Trochę boli. Założyli mi kilkanaście szwów. Ale wszystko będzie dobrze.

- Jak tam wasza operacja? Zakończona? - spytał Nick.

- Prawie. Mamy jeszcze parę rzeczy do wyjaśnienia. Wiecie, jak to jest w tym interesie, są zyski, ale są też straty. Ci agenci w Margate. Eve Fontaine.

- I Geoffrey - dodała Sarah cicho. Potter zamilkł.

- Nieważne - rzekł po chwili. - Co teraz zamierza-

## TELEFON PO PÓŁNOCY

- Wracamy do domu - wyjaśnił Nick, biorąc Sarah za rękę. - Pojutrze mamy samolot.

- A co potem?

Nick spojrzał na Sarah.

- Zawiadomię cię.

W pokoju zapadła cisza. Potter doskonale zrozumiał ten przekaz. Czas zostawić ich samych. Wstał i poklepał Nicka po ramieniu.

- Życzę powodzenia. Wystawię ci u twojego szefa dobrą opinię. O ile chcesz wrócić do pracy.

Nick nie odpowiadał, wciąż patrząc na Sarah.

- W porządku - mruknął Roy Potter, podchodząc do drzwi. - W takim razie powiem staremu Amb-rose'owi, że Nick O'Hara posyła go do diabła. W progu Roy Potter odwrócił się raz jeszcze. Nick trzymał Sarah w ramionach. Nic do siebie nie mówili. Potter potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko. Simon Dance miał rację. Nick i Sarah będą ze sobą szczęśliwi.

Nagle popołudniowe słońce przedarło się przez chmury i zalało pokój jasnym blaskiem. Potter aż zmrużył oczy. Wydawało mu się, że w tych promieniach znikły wszystkie cienie świata, zabierając ze sobą ducha Geoffreya Fontaine'a.

**KONIEC**

# Tess Gerritsen

## Bez odwrotu (Zagrozenie)

*To była przerażająca chwila. Catherine Weaver spokojnie prowadziła samochód, gdy nagle prosto pod jej koła wpadł mężczyzna. Rozdygotana odwozi rannego Victora Hollanda do szpitala i tu doznaje kolejnego szoku – mężczyzna został wcześniej postrzelony. Jest pewna, że to najgorszy dzień jej życia i chce o nim jak najszybciej zapomnieć. Jednak to dopiero początek dramatycznych wydarzeń.*

*Po opuszczeniu szpitala Victor odnajduje Catherine. Wyjaśnia jej, że posiada cenne informacje, które mogą kosztować go życie. Zostawił w samochodzie Catherine dowody na nielegalną produkcję broni biologicznej za rządowe pieniądze, wplątując ją tym samym w niebezpieczną rozgrywkę. Oboje zmuszeni są do ucieczki, a ich tropem podążają bezwzględni zabójcy.*

## PROLOG

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, gałęzie chłostały twarz, ale nie przestawał biec. Czuł na plecach oddech prześladowcy i wyobrażał sobie, jak kula przecina powietrze i wbija mu się w plecy. A może już to się stało? Może zostawia za sobą strugę krwi? Był zbyt sparaliżowany strachem, aby cokolwiek czuć, poza desperackim pragnieniem życia. Lodowata kurtyna deszczu oślepiała go i tłukła w martwe zimowe liście. Potknął się i wylądował w kałuży błota. Szczęk tłumika i świst kuli tuż przy uchu świadczyły o tym, że tamten, zaalarmowany trzaskiem gałęzi, go zauważył. Z trudem zerwał się na nogi i ruszył zygzakiem w stronę autostrady. Tu, w lesie, jest już trupem. Ale gdyby zdołał zatrzymać samochód, miałby jeszcze szansę.

Hałas łamanych gałęzi i przekleństwa uświadomiły mu, że ścigający go mężczyzna się przewrócił. Zyskał kilka cennych sekund przewagi. Biegł dalej, kierując się tylko instynktownym zmysłem orientacji. Poza ponurą poświatą chmur na nocnym niebie nie widział żadnego światła. Droga jednak musi być tuż przed nim.

A jeżeli nie zdoła zatrzymać samochodu?

Chwilę później zobaczył pomiędzy drzewami ledwo widoczne migotanie, dwa zalane wodą snopy światła. Przyspieszył. Płuca płonęły mu żywym ogniem, oczy ślepy od strumieni deszczu i uderzeń gałęzi. Kolejna kula przeleciała obok i z głośnym uderzeniem wbiła się w drzewo, lecz ścigający go strzelec stał się nagle mało ważny. Tylko te światła, nęcące obietnicą ratunku, mają teraz znaczenie.

Przesuwały się gdzieś za drzewami. Czyżby samochód uciekł mu i zniknął już za zakrętem? Nie, jest, coraz wyraźniej widoczny. Biegł mu naprzeciw, cały czas świadomy, że teraz, na otwartej przestrzeni, stanowi łatwy cel. Reflektory auta skrzyły w jego stronę. Usłyszał trzeci strzał. Siła uderzenia sprawiła, że padł na kolana i półprzytomnie zarejestrował, że kula rozdziera mu ramię. Poczł ciepło spływającej krwi, ale nie odczuł bólu. Pragnął tylko przeżyć. Poderwał się na nogi i rzucił naprzód...

Światła oślepiły go. Nie miał czasu, aby usunąć się z drogi czy spanikować. Opony zapiszczały na twardej nawierzchni, rozpryskując kałuże wody.

Nie poczuł uderzenia. Wiedział tylko, że znalazł się nagle na ziemi, deszcz wlewał mu się do ust i było mu bardzo, bardzo zimno. I że ma zrobić coś ważnego.

Sięgnął do kieszeni kurtki i ścisnął palcami mały plastikowy cylinder. Nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego jest taki ważny, ale znalazł go tam i trochę mu z tego powodu ulżyło.

Ktoś go wołał. Kobieta. W strugach deszczu nie mógł dostrzec twarzy, ale słyszał jej ochrypły spanikowany głos. Próbował coś powiedzieć, ostrzec ją, że muszą stąd jak najszybciej uciekać, bo w lesie czai się śmierć. Ale zdołał wydobyć z siebie tylko jęk.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pięć kilometrów za Redwood Valley drogę zablokowało zwalone drzewo, a korki oraz ulewa sprawiły, że przedostanie się poza Willits zajęło Catherine Weaver prawie trzy godziny. Dochodziła już prawie dziesiąta i Catherine wiedziała, że nie dotrze do Garberville przed północą. Miała nadzieję, że Sarah nie będzie na nią czekać. Ale na pewno zostawi jej w piecyku ciepłą kolację i rozpali ogień w kominku. Ciekawe, czy ciąża służy przyjaciółce? Sarah mówiła o dziecku od lat, wybrała nawet imię: Sam albo Emma. Fakt, że nie miała już męża, był bez znaczenia.

- Ile można czekać na właściwego ojca? - mówiła. - W końcu trzeba wziąć sprawy w swoje ręce.

I tak też zrobiła. Kiedy jej zegar biologiczny w szaleńczym tempie odmierzał czas, Sarah odwiedziła Cathy w San Francisco i z książki telefonicznej wybrała klinikę leczenia niepłodności. Oczywiście taką o liberalnym nastawieniu, w której desperackie tęsknoty trzydziestodwuletniej samotnej kobiety spotkają się ze zrozumieniem. Samo zapłodnienie okazało się zwykłą procedurą kliniczną. Proszę się położyć, oprzeć tutaj stopy, i za pięć minut będzie pani w ciąży. No, niezupełnie. Zabieg był prosty, dawca nasienia z udokumentowanym dobrym stanem zdrowia, a co najważniejsze, Sarah mogła w ten sposób zaspokoić swój instynkt macierzyński bez tych wszystkich głupot związanych z małżeństwem.

Ta stara zabawa w małżeństwo. Obie przez nią wiele wycierpiały. Po rozwodzie jakoś obie doszły do siebie, chociaż odniosły niemal wojenne obrażenia.

Dzielna Sarah, pomyślała Cathy. Ma odwagę sama przez to wszystko przejść.

Odczuła przypływ zadawnionej złości, ciągle jeszcze na tyle silny, by sprawić, że jej usta się zacisnęły. Wiele potrafiła wybaczyć swojemu byłemu mężowi Jackowi - egoizm, żądania, zdrady - ale nie mogła mu darować, że nie dał jej dziecka. Mogła je mieć wbrew jego woli, lecz chciała, by i on go pragnął. Czekala więc na właściwy moment. Ale podczas dziesięciu lat ich małżeństwa jej mąż nigdy nie uznał, że jest na to „odpowiedni moment”.

Mam trzydzieści siedem lat, pomyślała. Nie mam już męża. Nie mam nawet stałego partnera. Ale byłabym szczęśliwa, gdybym mogła



trzymać w ramionach własne dziecko. Przynajmniej Sarah dozna niedługo tego błogosławieństwa.

Jeszcze tylko cztery miesiące i dziecko się urodzi. Cathy uśmiechnęła się, mimo że deszcz zalewał szybę. Łało coraz mocniej i chociaż wycieraczki pracowały na najwyższej szybkości, ledwo widziała drogę. Zerknęła na zegarek i zobaczyła, że jest już wpół do dwunastej. Droga była pusta. Gdyby pojawiły się jakieś kłopoty z silnikiem, musiałyby spędzić całą noc na tylnym siedzeniu, czekając, aż nadejdzie pomoc.

Wyteżając wzrok, próbowała dojrzeć na jezdni białą linię, ale nie widziała nic poza ścianą deszczu. Powinna była zatrzymać się w motelu w Willits, ale denerwowała ją myśl, że jest tak blisko celu. Zwłaszcza że przejechała już taki kawał drogi.

Drogowskaz poinformował ją, że do Garberville jest piętnaście kilometrów. Bliżej, niż myślała. Potem jeszcze trzydzieści pięć do zjazdu, i w końcu siedem przez gęsty las do domu Sarah. Dodała staremu datsunowi gazu i przyspieszyła. Było to ryzykowne, szczególnie w tych warunkach, ale wizja ciepłego domu i gorącej czekolady kusiała.

Droga niespodziewanie przeszła w zakręt. Zaskoczona Cathy szarpnęła kierownicą i samochód gwałtownie zjechał w bok. Wiedziała, że nie powinna hamować. Opony straciły przyczepność na kilka metrów, fundując jej przerażającą przejażdżkę, która sprowadziła ją na sam skraj drogi. Myślała już, że zaliczy drzewa, ale koła odzyskały przyczepność. Samochód poruszał się jeszcze z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę, ale przynajmniej jechał prosto. To, co stało się później, zupełnie ją zaskoczyło. Dopiero co gratulowała sobie uniknięcia wypadku, a w chwilę potem przestała dowierzać własnym oczom.

Ten człowiek pojawił się znikąd. Przykucnął na drodze, niczym dzikie zwierzę w świetle reflektorów. Zahamowała, ale było za późno. Piskowi opon towarzyszył głuchy odgłos ciała odbijającego się od maski samochodu.

Odniosła wrażenie, że siedzi tak przez całą wieczność, ściskając kierownicę i wpatrując się tępo w wycieraczki ślizgające się po szybie. Gdy zdała sobie sprawę z tego, co się wydarzyło, otworzyła drzwi i wyskoczyła na drogę.

Wokół panowała ciemność. Gdzie on jest? Woda zalewała jej oczy, ale po chwili poprzez szum deszczu przebił się cichy jęk. Dochodził gdzieś z pobocza.

Skierowała się w tę stronę i utknęła po kostki w leśnej ściółce. Znowu usłyszała jęk, teraz już wyraźniejszy.

- Gdzie jesteś? - zawołała.

- Tutaj... - Odpowiedź była tak słaba, że ledwo ją usłyszała, ale to jej wystarczyło. Odwróciła się, zrobiła kilka kroków i omal się nie potknęła o skulone ciało.

W pierwszej chwili pomyślała, że natknęła się na stos mokrych szmat, w końcu odnalazła jednak rękę i zbadała puls. Był przyspieszony, ale mocny. Palce mężczyzny rozpaczliwie zacisnęły się na jej dłoni. Próbował wstać.

- Nie ruszaj się! - zawołała.

- Nie mogę... nie mogę tu zostać...

- Jesteś ranny?

- Pomóż mi. Szybko...

- Powiedz mi, gdzie cię boli!

Chwycił ją za ramię, niezdarnie usiłując podnieść się na nogi. Ku jej zdumieniu prawie mu się to udało. Na chwilę oboje stracili równowagę i upadli na kolana w błoto. Oddech mężczyzny stał się ciężki i urywany. Jeżeli doznał krwotoku wewnętrznego, może umrzeć w ciągu kilku minut. Trzeba jak najprędzej zawieźć go do szpitala.

- Dobrze. Spróbujmy jeszcze raz - powiedziała, chwytając go za lewą rękę i kładąc ją sobie na karku. Gdy wydał okrzyk bólu, natychmiast ją puściła. Jego ręka pozostawiła na jej szyi lepki ślad. Krew.

- Druga strona jest w porządku.

Stanąła po jego prawej stronie i położyła sobie na szyi jego prawą rękę. Gdyby nie dławiący strach, to całą tę scenę można by uznać za śmieszną. Wyglądali jak para pijaków. Kiedy w końcu zdołali utrzymać równowagę, Cathy nie była pewna, czy mężczyzna będzie w stanie zrobić choćby kilka kroków. Jej z pewnością nie wystarczy sił, by mu pomóc. Mężczyzna był szczupły, lecz wysoki, a ona była drobna.

Przez ich przemoczone ubrania wyczuwała ciepło jego ciała i jakąś wewnętrzną siłę popychającą go do przodu. W głowie kłębiły się

jej najrozmaitsze pytania, ale oddychała z trudem i nie mogła mówić. Musi skoncentrować się na umieszczeniu go w samochodzie i dowiezieniu do szpitala.

Objęła go w pasie. Z wysiłkiem wydostali się na drogę. Cathy czuła, że ramię mężczyzny ściska jej szyję jak naprężony drut. Z jego ciała emanowała panika i rozpacz. Co kilka kroków musiała się zatrzymywać i odgarniać włosy z oczu, by cokolwiek dostrzec. Widziała jednak tylko deszcz.

Nagle w mroku nocy rozjarzyły się rubinowe tylne światła jej samochodu. Mężczyzna stawał się coraz cięższy, jego głowa opierała się o jej policzek, a woda z jego mokrych włosów spływała jej po szyi. Nogi jej miękły w kolanach, na szczęście prosta czynność stawiania jednej stopy przed drugą stała się niemal automatyczna. Nawet nie przyszło jej do głowy, by położyć go na ziemi i podjechać do niego autem. Na szczęście tylne światła samochodu były coraz bliżej.

Kiedy wreszcie zdołała dotrzeć do miejsca dla pasażera, ręka zupełnie jej zdrętwiała. Z trudem otworzyła drzwi, bo mężczyzna osuwał się na ziemię. Uznała, że nie pora na demonstrowanie delikatności i po prostu wepchnęła go do środka. Bezwładnie opadł na siedzenie, lecz nie był w stanie wciągnąć nóg. Pochyliła się, chwyciła go za kostki i umieściła obie nogi wewnątrz auta.

Wśliznęła się za kierownicę, a on wyszeptał:

- Szybko...

Po pierwszym obrocie kluczyka silnik zadławił się i zgasł. Niech to szlag! Cathy policzyła wolno do trzech i spróbowała znowu. Tym razem się udało. Tłumiąc okrzyk ulgi, wrzuciła bieg i z piskiem opon ruszyła w stronę Garberville. Nawet w takim małym miasteczku musi być szpital albo przynajmniej pogotowie. A jeżeli najbliższa pomoc medyczna znajduje się w Willits? Mogą stracić cenne minuty, a ten człowiek wykrwawi się na śmierć.

Spojrzała na swojego pasażera. W słabym świetle z deski rozdzielczej zobaczyła, że głowa zwisa mu bezwładnie. Nie ruszał się.

- Hej! Jak się czujesz? - zawołała.

- Jeszcze żyję - odpowiedział szeptem.

- Musi tu gdzieś być jakiś lekarz...

- Koło Garberville, tam jest szpital...

- Wiesz, jak tam dojechać?

- Mijałem go ze dwadzieścia kilometrów stąd... Jeżeli go mijał, to gdzie jest jego samochód?

- Co się stało? - zapytała. - Miałeś wypadek? Gdy zaczął mówić, mrok w ich aucie rozświetlił jakiś błysk. Mężczyzna podźwignął się, obejrzał i utkwiał wzrok w światłach samochodu daleko za nimi. Zaklął cicho, a Cathy rozejrzała się wokół z niepokojem.

- Co się stało?

- Ten samochód. Zerknęła w lusterko wsteczne.

- Jaki jest z nim problem?

- Od dawna jedzie za nami?

- Nie wiem. Kilka kilometrów. Dlaczego pytasz? Mężczyzna opuścił z jękiem głowę.

- Nie mogę myśleć - wyszeptał. - Jezu, nie mogę myśleć...

Stracił dużo krwi, pomyślała i przerażona nacisnęła mocniej pedał gazu. Wydawało się, że samochód skoczył w mrok, a kiedy spod opon wystrzeliły pióropusze wody, kierownica zawibrowała. Ciemności rozstępowały się przed nimi z prędkością przyprawiającą o zawrót głowy. Zwolnij, zwolnij! Zabijemy się!

Zredukowała prędkość do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Ranny usiłował znów się wyprostować.

- Ten samochód...

- Już go nie ma.

- Jesteś pewna?

Zerknęła w lusterko. Gdzieś daleko migotało jakieś światełko, nie przypominające jednak reflektorów.

- Tak - skłamała i odetchnęła z ulgą, gdy mężczyzna opadł na siedzenie. Daleko jeszcze do tego szpitala? Dziesięć kilometrów? Piętnaście?

A potem poraziła ją inna myśl: on może umrzeć, zanim dojedziemy. Musi słyszeć jego głos, być pewna, że nie osunął się w nicość.

- Mów do mnie. Proszę, mów.

- Jestem zmęczony...

- Nie przestawaj. Mów. Jak masz na imię?

- Victor - odpowiedział szeptem.

- Victor. Piękne imię. Czym się zajmujesz?

Był za słaby, by rozmawiać. Nie mogła jednak dopuścić do tego, by stracił przytomność! To bardzo ważne, by nie zasnął. Obawiała się, że jeśli ta wązła więź zostanie zerwana, straci go bezpowrotnie.

- W porządku. - Starła się, by jej głos nie zadrżał. - To ja ci coś opowiem. Ty nic nie mów, tylko słuchaj. Nazywam się Catherine. Cathy Weaver. Mieszkam w San Francisco, a konkretnie w Richmond. Pracuję dla niezależnej wytwórni filmowej. Właściwie to jest firma Jacka, mojego byłego męża. Robimy horrory. Klasy B, ale przynoszą zyski. Nasz ostatni film to „Gadzi potwór”. Jestem charakteryzatorką, robię efekty specjalne. Makabryczne. Same zielone łuski i dużo śluzu...

Zaśmiała się histerycznie. W jej głosie pobrzmiwała panika. Musi odzyskać panowanie.

Błysk światła sprawił, że spojrzała w lusterko. Strugi deszczu rozświetliła para reflektorów. Przez kilka sekund obserwowała je, zastanawiając się, czy powiedzieć o nich Victorowi. Ale światła zadrżały i znikły jak upiory.

- Victor? - zawołała.

W odpowiedzi usłyszała jęk, ale to jej wystarczyło. Victor żyje i jej słucha. Nie mogę pozwolić mu zasnąć, myślała, szukając tematu do rozmowy. Nigdy nie była dobra w pogawędkach, tej cennej umiejętności podczas przyjęć dla filmowców. A może by opowiedziała mu jakiś kawał? Nawet głupi, choćby tylko trochę śmieszny. Śmiech ma moc uzdrawiającą. Rozśmiesz go, a krwotok w cudowny sposób się zatrzyma...

Niestety, żaden dowcip nie przyszedł jej do głowy, toteż podjęła na nowo temat swojej pracy.

- Nasz następny film zaplanowaliśmy na styczeń. „Upiory”. Zdjęcia będziemy robić w Meksyku, czego nienawidzę, bo ten cholerny upał zawsze psuje charakterystycję...

Spojrzała na Victora, lecz ten nie reagował. Przerażona wyciągnęła dłoń, by sprawdzić puls, i stwierdziła, że schował rękę głęboko do kieszeni kurtki. Spróbowała ją wyciągnąć, ale napotkała silny opór. Mężczyzna wzdrygnął się i obudził, wymierzając cios, jakby chciał się bronić.

- Przestań! - zawołała, starając się zapanować nad kierownicą i jednocześnie uchronić się przed jego razami. - To ja, Cathy! Chcę ci tylko pomóc!

Gdy usłyszał jej głos, odetchnął jakby z ulgą i oparł głowę na jej ramieniu.

- Cathy... - szepnął. - Cathy...

- Tak, to ja. - Wyciągnęła rękę i delikatnie odgarnęła mu włosy. Zastanowiło ją, jakiego są koloru.

Dotknął jej ręki i zamknął ją w uścisku, który był zdumiewająco silny i pokrzepiający. Jeszcze tu jestem, zdawał się mówić. Jestem ciepły, żyję i oddycham. Przycisnął wewnątrz jej dłoni do ust. Gest był przepełniony taką czułością, że zaskoczyła ją szorstkość nieogolonego podbródka. To była pieśczoła pomiędzy dwojgiem obcych sobie ludzi, która wprawiła ją w drżenie.

Przeniosła całą swoją uwagę na drogę. Mężczyzna ucichł, ale ona nie mogła zignorować ciężaru jego głowy na ramieniu ani ciepła jego oddechu w swoich włosach.

Ulewa osłabła i przeszła w uporczywy deszcz, więc Cathy przyspieszyła do osiemdziesiątki. Minęli jadłodajnię „Pod Sadzonym Jajkiem”, zwykły barak postawiony pod samotną lampą uliczną, w świetle której mignęła jej twarz Victora. Zobaczyła go tylko z profilu: wysokie czoło, ostry nos, wystający podbródek, a potem światło znikło, a on pozostał cieniem oddychającym słabo obok niej. Zdołała zobaczyć wystarczająco dużo, by zrozumieć, że nigdy nie zapomni tej twarzy. Nawet teraz, gdy patrzyła w ciemność, jego profil płynął przed nią jak obraz zatopiony w pamięci.

- Musi być już blisko - powiedziała, starając się dodać otuchy im obojgu. - Tam, gdzie jest jadłodajnia, musi być miasteczko. - Nie było odpowiedzi. - Victorze? - Cisza. Dławiąc się od paniki, znowu przyspieszyła.

Chociaż gospoda „Pod Sadzonym Jajkiem” została już za nimi, nadal widziała w lusterku mrugającą do niej latarnię uliczną. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że widzi dwa światła, i że oba się poruszają. A więc są to reflektory. Czyżby to ten sam samochód, który spostrzegła wcześniej?

Zafascynowana przyglądała się światłom tańczącym między drzewami jak bliźniacze zjawy, które nagle znikły i pozostała tylko ciemność. Duch? Pewnie zaraz znowu się zmaterializują i podejmą swoje widmowe migotanie w lesie. Tak intensywnie wpatrywała się w lusterko, że omal nie przegapiła drogowskazu:

Garberville, 5750 mieszkańców Paliwo Posiłki Noclegi

Kilometr dalej pojawiły się lampy uliczne, jarzące się w mżawce niczym żółta mgła. Pomimo ograniczenia prędkości do pięćdziesięciu kilometrów, Cathy trzymała mocno stopę na pedale gazu i po raz pierwszy w życiu modliła się, by zaczęła ją ścigać policja.

Nagle, jakby spod ziemi, pojawiła się przed nią tablica z napisem SZPITAL. Zahamowała i skręciła. Jeszcze kilkaset metrów i czerwony znak ODDZIAŁ RATUNKOWY poprowadził ją do podjazdu przy bocznym wejściu. Zostawiając Victora, wbiegła do środka, pokonała pustą poczekalnię i krzyknęła do pielęgniarki w recepcji:

- Mam rannego w samochodzie!

Pielęgniarka wybiegła za Cathy na dwór, zerknęła na mężczyznę skulonego na przednim siedzeniu i wezwała asystę. Nawet z pomocą dobrze zbudowanego lekarza trudno było wyciągnąć Victora z samochodu. Jego ręka zakleszczyła się pod dźwignią hamulca ręcznego.

- Niech pani wsiądzie z drugiej strony i uwolni mu rękę! - krzyknął lekarz do Cathy.

Wśliznęła się na fotel kierowcy, ujęła rękę rannego i przesunęła ją ponad dźwignią. Mężczyzna zareagował okrzykiem bólu. Ramię opadło bezwładnie.

- W porządku! - orzekł lekarz. - Teraz niech go pani przesunie w moją stronę, a potem już się nim zajmujemy.

Ostrożnie przesunęła głowę i ramiona Victora w kierunku drzwi, a potem wysiadła, by pomóc przenieść go na nosze. Przypięto go do nich pasami.

- Co się stało? - zapytał lekarz przez ramię.

- Potrąciłam go... na szosie...

- Kiedy?

- Piętnaście, dwadzieścia minut temu.

- Jak szybko pani jechała?

- Około pięćdziesięciu.

- Był przytomny, kiedy pani się zatrzymała?

- Tak, z dziesięć minut. Potem odpłynął...

- Koszula jest przesiąknięta krwią - zauważyła pielęgniarka.

Podczas szaleńczej gonitwy przy ostrym świetle jarzeniówek Cathy po raz pierwszy przyjrzała się Victorowi. Zobaczyła pobrudzoną błotem twarz, usta zaciśnięte z bólu i szerokie czoło na

wpół zasłonięte mokrymi włosami o jasnym odcieniu brązu. Wyciągnął do niej dłoń.

- Cathy...

- Jestem przy tobie, Victorze.

Mrużąc oczy z bólu, skoncentrował się na jej twarzy.

- Muszę... muszę ci coś...

- Później! - rzucił ostro lekarz.

- Nie, zaczekajcie! - Victor starał się zatrzymać ją przy sobie.

Usiłował coś powiedzieć, chociaż na jego twarzy malowało się cierpienie.

Cathy pochyliła się nad nim.

- Tak, Victorze - wyszeptła, dotykając delikatnie jego włosów, pragnąc ulżyć jego bólowi. - Mów.

- Nie ma czasu! Do zabiegowego! - krzyknął lekarz. Nosze odjechały na urazówkę, do koszarnej sali

pełnej nierdzewnej stali i oślepiająco jaskrawych świateł. Victora położono na stole chirurgicznym.

- Tętno sto dziesięć - zakomunikowała pielęgniarka. - Ciśnienie osiemdziesiąt pięć na pięćdziesiąt!

- Załóż dwie kroplówki. Sześć jednostek krwi. I znajdź chirurga. Potrzebujemy pomocy - zaordynował lekarz.

Polecenia brzmiały jak seria z karabinu maszynowego, metaliczny szcęk instrumentów, pojemników i stojaków do kroplówek był ogłuszający. Nikt nie zwracał uwagi na Cathy stojącą w drzwiach, obserwującą z przerażeniem, ale i fascynacją, jak pielęgniarka rozcina zakrwawione ubranie Victora i zaczyna je z niego zdzierać. Każde pociągnięcie materiału obnażało coraz więcej ciała, aż koszula i kurtka opadły z niego w strzępach, ukazując szeroką klatkę piersiową pokrytą ciemnymi włosami. Dla lekarzy i pielęgniarek było to z pewnością kolejne ciało, nad którym pracowali, kolejny pacjent do ocalenia.

Dla Cathy był to żywy oddychający człowiek, bliski jej chociażby dlatego, że dzieliła z nim ostatnie krytyczne chwile. Pielęgniarka szybko rozpięła pasek, kilkoma silnymi pociągnięciami ściągnęła spodnie i bokserki i rzuciła je na stos zakrwawionego ubrania. Cathy nie zwracała uwagi na nagość mężczyzny czy na pielęgniarki. Jej oczy spoczęły na lewym ramieniu Victora, z którego tryskała na stół świeża



krw. Pamiętała, jak całe jego ciało zadrżało z bólu, gdy chwyciła go za ramię. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo wtedy musiał cierpieć.

W gardle poczuła obrzydliwy kwaśny smak. Zaraz z wymiotuje. Walcząc z mdłościami, opadła na krzesło, nieświadoma chaosu, jaki się wokół niej przetaczał.

- Tu pani jest. - Pielęgniarka niosąca zawiniątko z przedmiotami należącymi do rannego gestem dłoni zaprosiła Cathy do recepcji. - Proszę nam podać swoje nazwisko na wypadek, gdyby lekarze mieli jakieś pytania. Musimy też zawiadomić policję. Może pani już dzwoniła?

Cathy potrząsnęła przecząco głową.

- Wiem, że powinnam...

- Proszę, tutaj jest telefon.

- Dziękuję.

Po ośmiu dzwonek odezwał się wreszcie czyjś zaspany głos. Najwidoczniej w Garberville policja nie miała wiele nocnych atrakcji. Oficer dyżurny zapisał relację Cathy i obiecał skontaktować się z nią później, po obejrzeniu miejsca wypadku.

Pielęgniarka otworzyła portfel Victora i przeglądała dokumenty w poszukiwaniu informacji, a potem wypełniła puste miejsca w karcie pacjenta. Imię i nazwisko: Victor Holland. Wiek: 41 lat. Zawód: biochemik. Najbliższy krewny: nieznany.

Wzrok Cathy przyciągnął leżący na stosiku kart identyfikator - przepustka firmy o nazwie Viratek. Na kolorowym zdjęciu widniała poważna twarz Victora, zielone oczy patrzyły prosto w aparat. Nawet gdyby nie widziała przedtem jego twarzy, to dokładnie tak by sobie go wyobraziła: stanowcza mina, nieustępliwy wzrok. Dotknęła miejsca na dłoni, które pocałował. Ciągle czuła szorstkość jego podbródka.

- Wyjdzie z tego? - zapytała cicho. Pielęgniarka nie przerwała pisania.

- Stracił dużo krwi. Ale wygląda na silnego faceta. Cathy skinęła głową, pamiętając, że nawet cierpiąc straszliwy ból, Victor zebrał w sobie siły, aby doczołgać się do samochodu. Wiedziała, że jest twardy. Pielęgniarka podała jej pióro i kartę pacjenta.

- Proszę napisać na dołę swoje imię, nazwisko i adres. Na wszelki wypadek.

Cathy znalazła w torebce adres i telefon Sarah.

- Nazywam się Cathy Weaver. Można mnie znaleźć pod tym numerem.

- Zatrzymała się pani w Garberville?

- Tak, na trzy tygodnie. Przyjechałam w odwiedziny.

- Aha. Świetny sposób na rozpoczęcie wakacji, prawda?

Cathy westchnęła i wstała, żeby wyjść.

- Tak. Rzeczywiście.

Zatrzymała się przed drzwiami urazówki, zastanawiając się, co się tam dzieje, i zdając sobie sprawę, że Victor walczy o życie. Czy odzyskał przytomność i czy ją pamięta? To ważne, by jej nie zapomniał.

- Proszę do mnie zadzwonić, dobrze? - zwróciła się do pielęgniarki. - To znaczy, proszę mi dać znać, gdyby...

- Skontaktujemy się z panią.

Na dworze przestało padać, spoza chmur wyjrzały gwiazdy. Dla jej zmęczonych oczu był to porywający widok, ta pierwsza oznaka kończącej się nawałnicy.

Gdy opuszczała parking, dygotała ze zmęczenia. Nie zauważyła samochodu zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy ani wątlej iskierki palącego się papierosa.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Niespełna minutę po tym, jak Cathy opuściła szpital, do izby przyjąć wszedł mężczyzna wnoszący za sobą zapach deszczowej nocy. Dyżurna pielęgniarka była zajęta papierami. Gwałtowny powiew zimnego powietrza sprawił, że spojrzała na człowieka zbliżającego się do biurka. Miał około trzydziestu pięciu lat, pociągłą twarz, jego ciemne włosy przyprószone były siwizną. Na trenczu marki Burberry zatrzymały się krople deszczu.

- W czym mogę pomóc? - zapytała, patrząc mu w oczy, czarne i błyszczące.

- Czy przywieziono tu przed chwilą mężczyznę o nazwisku Victor Holland? - zapytał cicho.

- Tak - odparła. - Czy jest pan krewnym?

- Jestem jego bratem. Jaki jest jego stan?

- Właśnie zajmuje się nim lekarz. Proszę zaczekać, sprawdzę... - Urwała, aby odebrać telefon. Laborantka podawała wyniki badań nowego pacjenta. Kiedy je notowała, zauważyła kątem oka, że mężczyzna wpatruje się w zamknięte drzwi urazówki. Otworzyły się z impetem i ukazał się w nich sanitariusz trzymający pękaty plastikowy worek umazany krwią. Z sali dochodził gwar głosów:

- Ciśnienie wzrosło do stu dziesięciu na siedemdziesiąt!

- Sala operacyjna gotowa.

- Gdzie jest chirurg?

- Już jedzie. Miał problem z samochodem.

- Gotowy do prześwietlenia! Odsunąć się!

Powoli drzwi się zamknęły i zapadła cisza. Pielęgniarka odłożyła słuchawkę w momencie, gdy sanitariusz położył plastikową torbę na jej biurku.

- Co to? - zapytała.

- Ubranie pacjenta. Jest zniszczone. Mam je wyrzucić?

- Zabiorę je do domu - wtrącił się człowiek w trenczu. - Czy to wszystko?

Sanitariusz rzucił pielęgniarce spojrzenie pełne zażenowania.

- Jest trochę brudne...

- Panie Holland, a może my się tym zajmiemy? Nie ma tu nic cennego. Wszystko przedtem schowałam - dodała pielęgniarka i wyjęła z szuflady zaklejoną kopertę z naklejką: Holland, Victor.

Zawartość: portfel, zegarek. - Może pan to zabrać. Proszę tylko pokwitować odbiór.

Mężczyzna skinął głową i podpisał się jako David Holland.

- Czy Victor jest przytomny? Czy coś mówił? - zwrócił się do dziewczyny, wkładając kopertę do kieszeni.

- Obawiam się, że nie.

Mężczyzna przyjął tę informację w milczeniu. Cisza ta wydała się pielęgniarce niepokojąca.

- Przepraszam, panie Holland - odezwała się - ale jak się pan dowiedział, że brat jest ranny? Nie zdążyłam jeszcze zawiadomić żadnych krewnych...

- Miałem telefon z policji. Victor jechał moim samochodem. Znaleźli wrak na poboczu.

- Dobrze, że ktoś się z panem skontaktował. Czy może nam pan podać swój adres i telefon? Na wypadek, gdybyśmy musieli się z panem skontaktować?

- Oczywiście. - Mężczyzna wziął kartę pacjenta i zerknął na nią, zanim w rubryce „Najbliższy krewny” napisał nazwisko, adres i telefon. - Kim jest Catherine Weaver? - zapytał, wskazując na dane u dołu strony.

- To kobieta, która go przywiozła.

- Będę musiał jej podziękować. - Zwrócił dokument.

- Siostró?

Pielęgniarka obejrzała się i zobaczyła, że woła ją lekarz stojący w otwartych drzwiach pokoju zabiegowego.

- Tak, panie doktorze?

- Proszę zadzwonić na policję. Niech przyjadą jak najszybciej.

- Już wiedzą o wypadku.

- Proszę jeszcze raz zadzwonić. To nie jest wypadek.

- Słucham?

- Mamy prześwietlenie. Został postrzelony w ramię.

- Postrzelony? - Dziewczyna poczuła, że przez jej ciało przeszedł dreszcz, niczym zrywający się nocą zimny wiatr.

Powoli zwróciła się w stronę mężczyzny w trenczu, który utrzymywał, że jest bratem Victora Hollanda. Ku jej zdumieniu zniknął.

- Gdzie on się, do cholery, podział? - mruknął pod nosem sanitariusz.

Przez kilka sekund dziewczyna wpatrywała się w drzwi, a potem spuściła wzrok i zobaczyła puste biurko. Worek z ubraniami Victora Hollanda zniknął.

Cathy powoli odłożyła słuchawkę. Chociaż otulona była frotowym szlafrokiem, miała dreszcze.

- Ten człowiek na drodze, znaleźli kulę w jego ramieniu.

Nalewająca właśnie herbatę Sarah podniosła na nią zdziwiony wzrok.

- Ktoś go postrzelił?

Cathy osunęła się na krzesło i tępo wpatrywała w filiżankę herbaty cynamonowej, którą Sarah jej przygotowała. Gorąca kąpiel i godzina spędzona przy kominku zdążyły sprawić, że wypadki tej nocy wydawały się złym snem. Cała agresja świata oddaliła się o milion lat od kuchni Sarah, ozdobionej firankami z angielskiego kretonu, pełnej aromatu przypraw.

- Czy wiedzą, co się stało?

- Właśnie skończyli go operować. - Spojrzała na telefon. - Powinnam zadzwonić do szpitala...

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Herbata ci stygnie. Cathy drżącą ręką odsunęła z twarzy pasmo mokrych

włosów. Kula w ramieniu, pomyślała. Dlaczego? Czy to był przypadkowy atak ze strony drogowego rewolwerowca, strzelającego z samochodu do obcych ludzi? Czytała o tym w gazetach. Czasami kłótnie rozstrzygano na szosach poprzez pociągnięcie spustu. A może to był atak? Czy Victorowi grozi śmierć?

Z dworu doszedł jakiś stukot i szczęknięcie.

- Co to było?

- Na pewno nie duchy - zaśmiała się Sarah. Podeszła do tylnych drzwi i sięgnęła do zasuw.

- Sarah! - zawołała spanikowana Cathy, widząc, że przyjaciółka ją otwiera. - Zaczekaj!

- Zobacz sama. - Sarah otworzyła drzwi. Światło nad framugą zapaliło się i ukazał się rząd kubłów na śmieci stojących pod wiatą dla samochodu. Jakiś cień ześliznął się na ziemię i czmychnął przez podjazd, pozostawiając za sobą rozrzucone opakowania po jedzeniu. - Szopy - wyjaśniła. - Jeżeli nie przywiążę pokryw na pojemnikach, te łobuzy porozrzucają resztki po całym podwórzu. - Jeszcze jeden cień wychynął z kubła i patrzył na nią świecącymi w ciemnościach oczami.

Sarah klasnęła w ręce i zawołała:

- Zjeżdżaj stąd! - Szop nawet nie drgnął. - Nie masz domu? - Zwierzak w końcu wolnym krokiem ruszył między drzewa. - Z roku na rok stają się coraz bezczelniejsze - westchnęła Sarah, zamykając drzwi. Zwróciła się w stronę Cathy i mrugnęła do niej. - Wyluzuj. Nie jesteś w wielkim mieście.

- Przypominaj mi o tym. - Cathy wzięła kawałek ciasta bananowego i zaczęła smarować je konfiturami. - Wiesz co, chyba fajniej będzie spędzić Boże Narodzenie z tobą niż z Jackiem.

- Skoro już mowa o byłych mężach... - Sarah podeszła do szafki - trzeba się wprawić we właściwy nastrój. Sama herbata tutaj nie wystarczy. - Z uśmiechem pomachała butelką brandy.

- Chyba nie pijesz?

- Przecież to nie dla mnie. - Postawiła przed Cathy kieliszek. - Przyda ci się łyczek. To była trudna i zimna noc. Porozmawiajmy o głupkach rodzaju męskiego.

- Za wszystkich głupków na świecie! - Cathy naląła brandy i upiła łyk. Co za przyjemne ciepło!

- Co u starego Jacka?

- To co zwykle.

- Blondynki?

- Przerzucił się na brunetki.

- Przez rok przeleciał wszystkie blondynki świata?

- Może kilka przeoczył. - Cathy wzruszyła ramionami.

Roześmiały się lekkim i łatwym śmiechem, który wskazywał, że ich rany prawie się już zabiły, że mężczyźni to istoty, o których można rozmawiać bez bólu i smutku.

- Myślisz, że są jeszcze na świecie jacyś przyzwoici faceci? Nie ma gdzieś w pobliżu wolnego? Może jakiś mutant? Jeden jedyny mizerny porządny gość?

- Pewnie jest. Gdzieś na Syberii. Ale ma sto dwadzieścia lat.

- Zawsze podobali mi się starsi.

Znowu zaczęły się śmiać, ale tym razem już nie tak bez troski. Tyle lat minęło od czasu, kiedy były razem w college'u, od tych dni, gdy były absolutnie przekonane, że świat jest pełen książąt z bajki.

Cathy wypiła brandy i odstawiła kieliszek.

- Jestem wredną kumpelką! Całą noc nie dać spać ciężarnej! A właściwie to która jest godzina?

- Dopiero wpół do trzeciej.

- Och, Sarah! Natychmiast do łóżka! - Cathy podeszła do zlewu i zmoczyła garść papierowych ręczników.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Sarah.

- Wyczyścić samochód. Nie zmyłam krwi z fotela.

- Już to zrobiłam.

- Naprawdę? Kiedy?

- Jak brałaś kąpiel.

- Sarah, ty idiotko.

- Przecież nie poroniłam. Och, byłabym zapomniała.

- Wskazała na mały pojemnik z filmem leżący na szafce.

- Znalazłam to w twoim samochodzie.

- To pewnie Hickeya. - Cathy pokiwała głową i westchnęła.

- Hickey! Ten facet to tylko zbędna strata miejsca.

- Racja, ale to mój dobry przyjaciel.

- I tym tylko może być dla kobiety. Przyjacielem. Co jest na tej rolce? Gołe baby, jak zwykle?

- Nawet nie chcę wiedzieć. Kiedy zawiozłam go na lotnisko, dał mi kilka rolek i obiecał, że je odbierze po powrocie. Pewnie nie chciał targać ich aż do Nairobi.

- Pojechał do Nairobi?

- Robi zdjęcia „wspaniałych kobiet Afryki” czy coś takiego. - Cathy włożyła pojemnik do kieszeni szlafroka.

- Cholera, mam nadzieję, że to nie jest pornografia.

- Jak znam Hickeya, to chyba jest. Rozśmieszyła je ironia sytuacji. Hickman von Trapp, którego jedynym zajęciem było fotografowanie nagich kobiet w erotycznych pozach, nie interesował się zupełnie płcią przeciwną.

- Taki facet jak Hickey tylko potwierdza moją hipotezę - rzuciła Sarah, idąc w stronę swojej sypialni.

- A co to za hipoteza?

- Że nie ma już na świecie porządnym facetów!

Światło pomogło Victorowi wydobyć się z głębin nieświadomości. Jaśniejsze niż tuzin słońc, bombardowało go przez zamknięte powieki. Nie chciał się obudzić; jakaś ledwo funkcjonująca część jego mózgu wiedziała, że jeżeli zacznie walczyć z błogosławioną nicością, sprawi mu to tylko ból, wywoła mdłości i przyniesie coś znacznie gorszego - strach.

Przed czym? Tego nie pamiętał. Śmiercią? Nie, to jest śmierć, lub stan bliski śmierci, bo jest ciepło, czarno i wygodnie. Jednak ma coś ważnego do zrobienia, i nie wolno mu o tym zapomnieć. Tylko co? Nic nie pamiętał - z wyjątkiem jakiejś ręki, delikatnej, ale także silnej, gładzącej go po czole, i cichego głosu dobiegającego go z ciemności.

Mam na imię Catherine... Kiedy jej dotyk i głos zawładnęły jego pamięcią, przyszedł też strach. Nie bał się o siebie (przecież już nie żyje, prawda?), ale o nią. Silna, dobra Cathy. Tylko przez chwilę widział jej twarz, słabo ją pamiętał, ale wiedział, że jest piękna. I bał się o nią.

Gdzie jesteś? Chciał o to zapytać na głos.

- Odzyskuje przytomność - powiedział kobiecy głos, ale nie była to Cathy, bo brzmiał zbyt twardo.

- Uwaga na kroplówkę!

- Panie Holland, proszę się nie ruszać. Wszystko będzie dobrze...

- Mówiłem uważać na kroplówkę!

- Podać jednostkę krwi...

- Niech się pan nie rusza, panie Holland.

Gdzie jesteś, Catherine? Zwalczając w sobie pokusę ponownej ucieczki w nieświadomość, zmusił się do podniesienia powiek. Na początku widział tylko rozmazane światło. Wbijało mu się przez oczodoły prosto w mózg. Stopniowo obrazy przybrały kształt twarzy ludzi w niebieskich fartuchach, pochylających się nad nim z z troskaniem. Spróbował skupić na nich wzrok, ale wysiłek sprawił, że żołądek mu się zbuntował.

- Panie Holland, spokojnie. Jest pan w szpitalu, wybudzamy pana. Miał pan operację ramienia. Proszę odpoczywać i starać się zasnąć...

Nie, nie, ja nie mogę... - chciał powiedzieć, lecz głos mu uwiązł w krtani.

- Pięć miligramów morfiny, gotowe. - Victor poczuł ciepło rozchodzące się po klatce piersiowej. - To powinno pomóc. Teraz proszę spać. Wszystko poszło dobrze...

Chciał krzyknąć, że nie rozumieją. Trzeba ją ostrzec... To była ostatnia świadoma myśl, zanim łagodne ciemności pochłonęły całe światło.

Sarah leżała w łóżku, w którym brakowało męża, a na jej twarzy błąkał się uśmieszek. Chciało się jej śpiewać i tańczyć. Stanąc w



otwartym oknie i wykrzyzczyć swoją radość! Powiedziano jej, że to hormony powodują tę huśtawkę emocji. Wiedziała, że powinna odpoczywać, ale dzisiaj nie była wcale zmęczona. Biedna wykończona Cathy wdrapała się na poddasze, gdzie był jej pokój. A Sarah nie mogła zasnąć.

Zamknęła oczy i skupiła się na dziecku. Jak się czujesz, moje kochanie? Śpisz czy nasłuchujesz?

Dziecko przekręciło się w jej brzuchu i uspokoiło. To była odpowiedź, ich tajemnica, słowa znane tylko im. Sarah odczuwała niemalże zadowolenie, że nie ma męża, który odwracałby jej uwagę od tej cichej rozmowy, leżałby tu z nimi, zazdrosny i obcy. A tak jest tylko matka i dziecko, odwieczna więź, mistyczne połączenie.

Biedna Cathy, pomyślała, bo huśtawka uczuć przeniosła ją od radości do smutku związanego z osobą przyjaciółki. Wiedziała, że Cathy też bardzo pragnie dziecka, ale w końcu czas zabierze jej szansę na jego posiadanie. Była zbyt wielką romantyczką, aby zaakceptować fakt, że partner może nigdy nie okazać się odpowiedni. Czyż nie zajęło jej dziesięciu długich lat, aby w końcu przyznać, że jej małżeństwo jest porażką? Chociaż pracowała nad tym, by przetrwać. Do tego stopnia, że przestała zauważać wady Jacka, a szczególnie jego egoizm. To niesamowite, że bystra, niepozobawiona intuicji kobieta mogła pozwolić na to, by sprawy tak długo się ciągnęły. Ale to jest cała Cathy. Nawet teraz, gdy ma trzydzieści siedem lat, jest otwarta i ufna, lojalna aż do granic głupoty.

Chrzęst żwiru na podjeździe pobudził jej czujność. Leżąc zupełnie cicho nadśluchiwała i przez moment dochodziło do niej tylko znajome skrzypienie gałęzi objających się o dach. Znowu. Kamyki rozbryzgujące się po drodze, a potem cichy brzęk metalu. Te przeklęte szopy. Jeżeli teraz ich nie przepędzi, to rozwloką śmieci po całym podjeździe.

Westchnęła, usiadła i po ciemku poszukała kapci. Szurając cichutko nogami, wyszła z sypialni i skierowała się w stronę kuchni. Nie chciała atakować światłem oczu przyzwyczajonych do ciemności. Aby nie zapalać lampy pod wiatą, zdjęła latarkę z półki w kuchni i przekręciła klucz w zamku.

Na dworze światło księżycy prześwitywało ponuro poprzez chmury. Skierowała latarkę na kubły, ale strumień światła nie odbił się w oczach szopa i nie omiótł rozsypanych śmieci. Zaskoczona

ruszyła w stronę wiaty i zatrzymała się przy datsunie stojącym na podjeździe.

Zobaczyła blade światło. Zajrzała przez okno, schowek był otwarty. Pomyślała, że sam się otworzył albo że ona, czy Cathy, zapomniała go zamknąć. Na przednim siedzeniu leżały rozrzucone mapy.

W uszach zaświszczał jej strach i odsunęła się, ale nogi miała sztywne i bezwolne. Dopiero wtedy wyczuła, że w ciemności ktoś na nią czeka. Poczowała jego obecność jak powiew zimnego wiatru w nocy.

Rzuciła się w stronę domu. Kiedy się odwracała, światło jej latarki zatoczyło szeroki łuk i zamarło na twarzy mężczyzny. Patrzące na nią oczy były błyszczące i czarne jak kamienie. Nie zdążyła dobrze się przyjrzeć jego twarzy: sepiemu nosowi, wąskim bladym ustom. Widziała tylko te oczy. Należały do człowieka, który nie ma duszy.

- Cześć, Catherine - powiedział szeptem, a ona usłyszała w jego głosie zapowiedź śmierci.

Chciała krzyknąć, kiedy szarpnąwszy ją za włosy, odchylił jej głowę do tyłu, obnażając szyję. Proszę, daj mi żyć! Ale nie wydała żadnego dźwięku. Słowa, tak jak jego nóż, uwięzły jej w gardle.

Cathy obudziła kłótnia sójek za oknem. Opętane tłuczenie skrzydłami o szyby i maniackalny skrzek upierzonych wrogów bardzo się różnił od porannego szumu samochodów, do którego była przyzwyczajona.

Pokój na poddaszu zalało już poranne słońce. Piękne miejsce na sypialnię dla dziecka! Sarah wprowadziła tu różne zmiany - zasłonki z materiału zadrukowanego postaciami Jasia i Małgosi, akwarele z namalowanymi zwierzątkami. Sama myśl o dziecku śpiącym w tym pokoju nappełniała ją taką radością, że usiadła i z uśmiechem objęła rękami okryte kołdrą kolana. Spojrzała na zegarek leżący na nocnej szafce i zobaczyła, że jest wpół do dziesiątej. Połowę ranka ma już za sobą!

Z niechęcią opuściła ciepłe łóżko i zaczęła grzebać w walizce w poszukiwaniu swetra i dżinsów. W domu panowała martwa cisza, która zaczęła potęgować każde uderzenie jej serca, każdy oddech.

W końcu ubrała się, zeszła na dół i znalazła się w pustym salonie. W kominku leżała sterta popiołu z poprzedniego wieczoru. Ze świątecznej choinki spadł srebrny łańcuch, zamigotał srebrnymi

skrzydłami papierowy anioł. Cathy ruszyła do pokoju Sarah, a tam, na widok kołdry odrzuconej na bok, zmarszczyła brwi.

- Sarah? - zawołała.

Jej głos pograżył się w ciszy i bezruchu. Dlaczego ten domek wydaje się taki duży? Wróciła przez salon do kuchni. Filiżanki z ostatniej nocy stały jeszcze w zlewie. Na parapecie drżała paprotka, którą poruszał powiew wiatru płynący od otwartych drzwi.

Cathy wyszła pod wiatę, pod którą zaparkowany był stary dodge należący do właścicielki domu.

- Sarah?

Miała już zawrócić, gdy wzrok jej omiół wyżwirowany podjazd i koło tylnej opony wychwycił plamę. Przez kilka sekund wpatrywała się w rdzawobrazową substancję, nie mogąc pojąć znaczenia swego odkrycia. Powoli przeszła obok samochodu, wzdłuż meandrów plamy.

Kiedy go okrążyła, zobaczyła cały podjazd. Zasnęta brązowa strużka doprowadziła ją do szkarłatnej kałuży. Tam, z szeroko otwartymi oczami, leżała Sarah.

Świergot sójki uciszył się gwałtownie, kiedy inny głos wypełnił cały las. Był to krzyk Cathy.

- Proszę pana.

Victor próbował opędzać się od hałasu, ale dźwięczał mu cały czas w uszach jak natrętna mucha.

- Panie, niech się pan obudzi.

Otworzył oczy i z trudnością skoncentrował się na małej wykrzywionej twarzy zarośniętej siwą szczecina. Zjawa wyszczerzyła się w uśmiechu, w miejscu zębów ukazując pustkę. Victor przyjrzał się tej obrzydliwej czarnej dziurze i skonstatował, że chyba umarł i poszedł do piekła.

- Panie, masz pan papierosa?

Potrząsnął głową i zdołał wydobyć z siebie szept:

- Chyba nie.

- A możesz mi pan pożyczyć dolara?

- Wynoś się - jęknął Victor, zamykając oczy przed światłem dziennym. Próbował przypomnieć sobie, gdzie jest, ale głowa go bolała i przeszkadzało mu gadanie małego człowieczka.

- Nie można tu dostać papierosów. Jak w więzieniu. Człowiek powinienem wstać i stąd wyjść, ale wiesz pan, teraz na ulicach zimno. A tu przynajmniej jest ciepło. Lało przez całą noc...

Nagle Victor przypomniał sobie. Deszcz. Biegnie w deszczu. Otworzył szeroko oczy.

- Gdzie ja jestem?

Usiadł z trudem, a ból sprawił, że aż wstrzymał oddech. Kręciło mu się w głowie, więc skupił wzrok na stojaku z plastikowym workiem, z którego kropla po kropli kapał płyn do przezroczystej rurki. Za oknem już świeciło słońce.

- Która godzina? - zapytał.

- Nie wiem. Jakaś dziewiąta. Przepadło panu śniadanie.

- Muszę się stąd wydostać. - Victor opuścił nogi i stwierdził, że jeśli nie brać pod uwagę cienkiej szpitalnej koszuli, jest zupełnie nagi.

- Gdzie jest moje ubranie? Mój portfel?

Stary człowiek wzruszył tylko ramionami.

- Siostra będzie wiedziała. Niech ją pan zapyta. Victor znalazł przycisk i kilka razy go nacisnął, a potem zajął się odrywaniem plastra mocującego rurkę do ramienia. Drzwi otworzyły się i odezwał się ostry głos:

- Panie Holland! A pan co robi?

- Muszę się stąd wydostać.

Oderwał ostatni kawałek plastra, ale zanim zdążył wyjąć wenflon, pielęgniarka ruszyła przez salę tak szybko, jak jej na to pozwalały krzepkie nogi, i przycisnęła wenflon gazikiem.

- To nie moja wina, panno Redfern! - wychrypiał człowieczek.

- Lenny, włącz do łóżka, i to już! A pan, panie Holland - zwróciła się do Victora i popatrzyła na niego swoimi stalowobłękitnymi oczami - stracił dużo krwi. - Schwyciła jego ramię w swoje silne palce i umocowała wenflon.

- Niech mi pani przyniesie ubranie.

- Proszę się nie upierać, panie Holland. Musi pan tu zostać.

- Dlaczego?

- Bo ma pan kroplówkę, dlatego! - warknęła tak, jakby plastikowa rurka była jakąś nieodwracalną dolegliwością.

- Chcę moje ubranie.  
- Muszę sprawdzić w izbie przyjęć. Tutaj nic nie dotarło.  
- To niech pani tam zadzwoni, do cholery! - Widząc dezaprobatę na twarzy panny Redfern, dodał łagodniejszym tonem: - Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu.

Pół godziny później pokazała się pracownica administracji.

- Obawiam się, że pana ubranie zaginęło - rzekła z pełną zawstydzoną miną.

- Co to znaczy zaginęło?

- Zostało... - odchrząknęła - skradzione. Z recepcji izby przyjęć. Proszę mi wierzyć, nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło. Jest nam szalenie przykro, zapłacimy... - Była zbyt zajęta przeproszeniami, aby zauważyć, że na twarzy Victora ukazało się przerażenie. Jego umysł za wszelką cenę starał się odtworzyć, co się stało z pojemnikiem z filmem. Wiedział, że miał go w kieszeni podczas długiej jazdy do szpitala. Pamiętał, że ścisnął go w rękę, że rzucił się na tę kobietę, kiedy próbowała wyciągnąć mu dłoń z kieszeni. Potem nic już nie było jasne ani pewne. Zgubiłem go? Mój jedyny dowód?

- Pieniędzy nie ma, ale są wszystkie karty kredytowe, i tu chyba mamy szczęście.

- Słucham? - Popatrzył na nią obojętnie.

- Panie Holland, pańskie rzeczy. - Wskazała na portfel, który położyła na stoliku nocnym. - Ochroniarz znalazł je w koszu na śmieci na szpitalnym parkingu. Wygląda na to, że złodziejowi zależało tylko na gotówce.

- I moim ubraniu.

Gdy kobieta wyszła, Victor przywołał pannę Redfern. Weszła, niosąc tacę ze śniadaniem.

- Panie Holland, proszę to zjeść. Może pana zachowanie jest spowodowane hipoglikemią.

- Do szpitala przywiozła mnie kobieta. Ma na imię Catherine. Muszę ją odnaleźć!

Panna Redfern bez słowa odwróciła się i wymaszerowała z sali. Kilka minut później wróciła z kawałkiem papieru i niemalże mu go rzuciła. Na kartce widniało nazwisko Catherine Weaver i miejscowy adres.

- Niech pan szybko zje śniadanie, bo zaraz przyjdzie policjant, żeby z panem porozmawiać.

- Dobrze - stęknął, gmerając w zimnej jajecznicy.  
- I dzwonił ktoś z FBI. Też tu jedzie. Pacjent wyraźnie się zaniepokoił.

- Z FBI? Podał nazwisko?

- Tak, chyba jakieś polskie.

Wpatrując się w nią, Victor powoli odłożył widelec.

- Polowski - rzekł pod nosem.

- Tak, coś takiego. - Odwróciła się. - Jeszcze FBI tu potrzebne. Ciekawe, co przeszkrobał, że się nim zainteresowali...

Zanim drzwi się za nią zamknęły, Victor wyskoczył z łóżka i wyrwał kroplówkę. Prawie nie poczuł, że plaster zerwał mu z ręki włosy; musi zniknąć z tego cholernego szpitala, zanim pojawi się tu Polowski. Był przekonany, że to on wystawił go ubiegłej nocy i przez niego wpadł w pułapkę, i wcale nie miał zamiaru czekać na kolejny atak.

- Lenny, gdzie są twoje ciuchy? - zwrócił się do staruszka.

- Mam tylko to. Panie, i tak nie będą pasowały. Victor szarpnął drzwi szafy, wyciągnął postrzępioną

bawełnianą koszulę i szerokie spodnie. Były za krótkie, z nogawek wystawało mu z piętnaście centymetrów owłosionych nóg, ale przynajmniej bez kłopotu mógł je zapiąć. Jedyne kłopot to buty. Ku swojej uldze odkrył, że w szafie są też klapki Lenny'ego. Pięty wystawały mu ze trzy centymetry poza podeszwę, ale przynajmniej nie będzie nawiewać na bosaka.

- Ale to moje! - protestował Lenny.

- Masz. Weź go sobie. - Victor rzucił staremu zegarek. - Zamienisz go na cały komplet ciuchów.

Lenny z podejrzliwością przytknął zegarek do ucha.

- To śmieć. Nie tyka.

- Bo jest kwarcowy.

- Aaa, tak. Jasne.

Victor schował portfel do kieszeni i podszedł do drzwi. Otworzył je na szerokość dwóch palców i wyjrzał na korytarz w stronę dyżurki pielęgniarek. W porządku. Ostatnim spojrzeniem obrzucił Lenny'ego.

- Cześć, stary. Pozdrów ode mnie pannę Redfern. Wyśliznął się z pokoju i przeszedł na palcach przez

hol. Schody pożarowe znajdowały się na drugim końcu korytarza, a nad drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową wisiała czerwona

tablica ostrzegawcza: OTWARCIE DRZWI URUCHAMIA ALARM. Pewnym krokiem, zmuszając się, by nie biec, podszedł do nich, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Ale gdy znalazł się już blisko celu, usłyszał znajomy głos:

- Panie Holland! Niech pan w tej chwili wraca! Victor wbiegł na klatkę schodową i ruszył prędko na dół. Odgłos jego kroków niósł się echem po betonie. Gdy usłyszał na schodach pannę Redfern, był już na parterze i otwierał ostatnie drzwi do wolności.

- Panie Holland! - wołała za nim.

Biegł przez parking, w uszach dźwięczał mu jej oburzony głos. Osiem przecznic dalej skręcił do K - Martu i po dziesięciu minutach miał już koszulę, dzinsy, bieliznę, skarpetki i tenisówki, za które zapłacił kartą kredytową. Ubranie Lenny'ego wrzucił do kosza na śmieci.

Zanim opuścił hipermarket, wyjrzał jeszcze przez szybę na ulicę. Wydawało się, że jest to zwykły grudniowy poranek w małym miasteczku. Kupujący snuli się pod kiczowatymi girlandami świątecznych dekoracji, kilka samochodów czekało cierpliwie na czerwonych światłach. Już miał wyjść na ulicę, kiedy zauważył jadący wolno wóz policyjny. Natychmiast przykucnął za manekinem i obserwował, jak patrol zakręca obok hipermarketu i jedzie w stronę szpitala. Najwidoczniej kogoś szukają. Czy to on jest osobą, którą policja pragnie znaleźć?

Nie mógł ryzykować spaceru po Main Street. Dotarcie na piechotę do skraju miasteczka zabrało mu prawie godzinę i tak go osłabiło, że z trudem utrzymywał się na nogach. Przyptyw adrenaliny, który dopomógł mu wydostać się ze szpitala, w końcu osłabł. Zbyt zmęczony, aby wykonać choćby jeden krok, przysiadł na kamieniu na poboczu i od niechcienia podniósł kciuk.

Ku jego niewysłowionej uldze pierwszy samochód, który nadjechał - pikap wypełniony drewnem - stanął przy nim. Victor wdrapał się do kabiny i pełen wdzięczności opadł na siedzenie. Kierowca splunął przez okno, a potem spojrzał zezem na Victora spod daszka czapki z napisem „Agawy Nasiona”.

- Daleko?

- Kilka kilometrów. Oak Hill Road.

- Dobra. Jeżdżę tamtędy.

Wjechał na szosę, wypluwając czarne kłęby spalin, i pognął przed siebie przy akompaniamencie muzyki country dobiegającej z radia. Nagle dźwięki muzyki zagłuszyło coś, co sprawiło, że Victor gwałtownie się wyprostował. Syrena. Pokręcił głową i zobaczył wyprzedzający ich wóz patrolowy. To koniec, pomyślał. Zatrzymają nas i mnie zaaresztują...

Ale za co? Za ucieczkę ze szpitala? Za znieważenie panny Redfern? A może Polowskiemu udało się sfabrykować jakieś zarzuty?

W przeczuciu nieszczęścia, czekał, aż patrol włączy migające światło i każe im zjechać na pobocze. Był tak pewien, że ich zatrzymają, że kiedy policja popędziła w dal, nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

- Jakieś kłopoty - zauważył jego towarzysz obojętnie, wskazując na szybko znikający wóz policyjny.

- Kłopoty?

- No. Rzadko im się trafia, żeby zabawić się sygnałem, ale jak już się uda, to lecą na całość.

Victorowi serce łomotało, ale starał się zachować spokój. Nie ma się czym martwić. Policja nie jego szuka, są zajęci czymś innym. Na wycie syren zasługuje jakaś małomiasteczkowa katastrofa. Pewnie kilku szczeniakom zachciało się wybrać na przejażdżkę.

Kiedy zjechali na Oak Hill Road, puls Victora zdążył się unormować. Podziękował kierowcy i ruszył w stronę domu Catherine Weaver. To był długi spacer, a kręta droga wiodła przez sosnowy las. Co jakiś czas mijał skrzynkę pocztową i jego oczom ukazywał się przezierający zza drzew dom. Do domu Catherine było już niedaleko.

Co jej, u licha, powie? Dotąd koncentrował się tylko na tym, jak do niej dotrzeć. A teraz, kiedy jest już prawie na miejscu, musi znaleźć jakieś rozsądne wytłumaczenie faktu, że zwłókł się ze szpitalnego łóżka i zabrnął aż tutaj, by się z nią zobaczyć. Proste podziękowanie za to, że uratowała mu życie, nie wystarczy. Musi się dowiedzieć, czy to ona ma pojemnik z filmem. Będzie ciekawa, dlaczego ten cholerny film jest taki ważny.

Powiedzieć jej prawdę?

Nie, to niemożliwe. Już sobie wyobrażał jej reakcję, gdyby zaczął się zagłębiać w swoją nieprawdopodobną opowieść o wirusach, zamordowanych naukowcach i podwójnych agentach FBI. Ściga pana FBI? Rozumiem. I kto jeszcze, panie Holland? To był taki absurd, że



omal się nie roześmiał w głos. Nie, nie może jej o tym opowiedzieć, bo znowu wylądowałby w szpitalu, i to na oddziale, przy którym drugie piętro, blok A panny Redfern, wyglądałoby jak przedsionek raju.

Cathy nie musi wszystkiego wiedzieć. W rzeczywistości im mniej wie, tym lepiej. Uratowała mu życie i nie trzeba narażać jej na niebezpieczeństwo. Musi tylko wydostać od niej film.

Był tak zajęty roztrząsaniem tego, co ma jej powiedzieć, że wozy policyjne zauważył dopiero za zakrętem. Zamarł na widok trzech samochodów - prawdopodobnie całego kontyngentu policji Garberville - zaparkowanego przed wiejskim domem z bali. Na wyżwirowanym podjeździe kręcili się jacyś ludzie, pewnie sąsiedzi, potrząsający z niedowierzaniem głową. Dobry Boże, czyżby coś się stało Catherine?

Tłumiąc w sobie chęć ucieczki, rzucił się do przodu, pomiędzy wozy policyjne i zgromadzonych gapiów, ale został zatrzymany przez policjanta w mundurze.

- Przykro mi, proszę pana. Nikomu nie wolno tu wchodzić.

Oszołomiony dopiero teraz zobaczył, że policja ogrodziła teren taśmą. Powoli jego wzrok powędrował w kierunku starego datsuna zaparkowanego obok wiaty. Czy to samochód Catherine? Desperacko próbował przypomnieć sobie, czy taki właśnie prowadziła, ale w nocy było tak ciemno i tak wszystko go bolało, że nie zwracał na nic uwagi. Pamiętał tylko, że samochód był mały i że brakowało mu miejsca na nogi. A potem zauważył wypłowiałą naklejkę: Zezwolenie na parkowanie, Studio A.

Pracuję w wytwórni filmowej, powiedziała mu. Przeniósł wzrok na poplamiony żwir, tuż obok datsuna, i chociaż rozsądek podpowiadał mu, że ten szczególny ceglasty odcień czerwieni to zaschnięta krew, nie chciał w to uwierzyć. Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie obecności tej plamy, a także złowieszczej obecności policji.

Próbował coś powiedzieć, ale jego głos zabrzmiał chrapliwie.

- Co pan mówił? - spytał policjant.

- Co... co się stało?

Policjant pokręcił głową ze smutkiem.

- Wczoraj w nocy zabito kobietę. Nasze pierwsze morderstwo od dziesięciu lat.

Morderstwo? Wzrok Victora nadal był utkwiony w przerażającej plamie na podjeździe.

- Ale... dlaczego? Policjant wzruszył ramionami.

- Tego jeszcze nie wiemy. Może to rabunek, chociaż chyba wiele tu nie znalazł. - Kiwnięciem głowy wskazał na datsuna. - Włamał się tylko do samochodu.

Victor poczuł, że nogi same go niosą na powrót w stronę zgromadzonych gapiów, w kierunku drogi. Słońce świeciło tak ostro, że bolały go oczy i prawie nie widział, dokąd idzie. Zabiłem ją, pomyślał. Ocaliła mi życie, a ja ją zabiłem...

Dławiło go poczucie winy i oddychał z trudem. Nie mógł zrobić kroku z powodu bólu, jaki nim zawładnął.

Przez dłuższy czas stał na skraju drogi, z głową odwróconą od słońca, słysząc skrzek sójek w uszach, pogrążony w żalu za kobietą, której nigdy nie poznał.

Zabójca szukał filmu i pewnie znalazł go w datsunie.

I co teraz? Niemożliwe, aby jego teczka - zawierająca większość dowodów - znajdowała się jeszcze w jego rozbitym samochodzie. To na pewno pierwsze miejsce, które zabójca przeszukał. Bez filmu nie miał żadnego dowodu. Jego słowo przeciwko słowu Virateku. Gazety zlekceważyłyby go i potraktowały jak kolejnego pracownika niezadowolonego ze zwolnienia. A ponieważ Polowski działa na dwie strony, Victor nie mógł nawet zaufać FBI.

Na tę myśl przyspieszył kroku. Im szybciej wydostanie się z Garberville, tym lepiej. Kiedy znajdzie się na szosie, złapie następną okazję. A jak będzie za miastem, zastanowi się nad kolejnym krokiem.

Zdecydował, że pojedzie na południe, do San Francisco.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Archibald Black obserwował przez okno w swoim gabinecie w Virateku, jak limuzyna sunie podjazdem i zatrzymuje się przy głównym wejściu. Prychnął pogardliwie. Kowboj znów w mieście, niech go szlag. Po wszystkich gadkach o tym, że jego wizyta powinna być utrzymana w tajemnicy, ten idiota bezczelnie zjawia się w limuzynie, do tego z szoferem w uniformie.

Odwrócił się od okna. Pomimo pogardy dla swojego gościa musiał przyznać, że czuł się przy nim niezręcznie, tak jak przy innych tak zwanych ludziach czynu. Za mało rozumu u tych mięśniaków. Za dużo władzy w rękach imbecyli. Kto rządzi tym krajem?

Zadzwoił wewnętrzny telefon.

- Jest tutaj pan Tyrone - odezwała się sekretarka.

- Niech go pani poprosi - odparł Black, starając się, aby wyraz pogardy zniknął z jego twarzy.

Kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Matthew Tyrone, malował się już na niej tylko szacunek i uprzejmość.

Podali sobie ręce. Uścisk Tyrone'a był niepotrzebnie bardzo silny, jak gdyby chciał on przypomnieć Blackowi, że jego pozycja jest niepewna. Miał wygląd zdyscyplinowanego byłego żołnierza korpusu US Marines, którym rzeczywiście kiedyś był. Tylko nieznaczną nadwagą uwidaczniającą się na jego brzuchu zdradzała fakt, że czasy dawnej świetności już minęły.

- Jak lot z Waszyngtonu? - zapytał Black, gdy usiedli.

- Okropna obsługa. Kiedyś to były linie! I pomyśleć, że przeciętny Amerykanin płaci za to kupę forsy.

- Z pewnością nie można tego porównać z samolotem prezydenckim.

Tyrone uśmiechnął się.

- Przejdźmy do interesów. Proszę mi powiedzieć, jak po waszym małym kryzysie stoją sprawy.

Black odnotował w myśli użycie słówka „waszym”. A więc teraz to jest „nasz” problem, pomyślał. Oczywiście. To właśnie mieli na myśli, mówiąc: jeżeli coś nawali, to nie nasza wina. Jeżeli będzie jakiś przeciek, spadnie głowa Blacka. Ale właśnie dlatego ten kontrakt był tak lukratywny - ponieważ Black, a właściwie Viratek - byli gotowi podjąć ryzyko.

- Odzyskaliśmy dokumenty - zakomunikował Black. - I filmy. Właśnie wywołujemy negatywy.

- A dwaj wasi pracownicy? Black odchrząknął.

- Nie ma potrzeby zajmować się tą sprawą.

- Są zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego.

- Nie możecie ich tak po prostu zabić!

- Nie możemy? - Oczy Tyrone'a były szare jak pociski. Odpowiednie w przypadku kogoś, kto sam siebie nazywał Kowbojem. Nie można kwestionować zdania kogoś, kto ma takie oczy. Jeżeli miało się instynkt samozachowawczy.

Black z szacunkiem spuścił głowę.

- Nie jestem przyzwyczajony do takich... spraw. I nie podoba mi się wasz człowiek, Savitch.

- Pan Savitch już wcześniej pracował dla nas.

- Zabił jednego z moich najbardziej doświadczonych naukowców!

- Widocznie było to konieczne.

Black z nieszczęśliwą miną wpatrywał się w biurko. Już sama myśl o tym potworze Savitchu przyprawiała go o dreszcz.

- A właściwie dlaczego Martinique nawalił? Ponieważ miał sumienie, pomyślał Black.

- Nie można było tego przewidzieć. Pracował przez dziesięć lat w dziale badań komercyjnych. Nigdy przedtem nie było problemów z bezpieczeństwem danych. Dopiero w zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że zabrał tajne dokumenty. A potem wmieszał się Victor Holland...

- Jak dużo Holland wie?

- Nie był związany z projektem, ale jest bystry. Jeżeli zdążył przejrzeć te papiery, to mógł sobie wszystko poskładać do kupy.

Tyrone najwidoczniej zaniepokoił się, bo zaczął nerwowo stukać palcami o blat biurka.

- Co pan o nim wie?

- Przejrzałem jego teczkę. Czterdzieści jeden lat, urodził się i wychował w San Diego. Poszedł do seminarium, ale po roku zrezygnował. Studiował na Stanford University, potem w Massachusetts Institute of Technology. Ma doktorat z biochemii. Pracuje w Virateku od czterech lat. Jeden z naszych najbardziej obiecujących badaczy.

- A jego życie osobiste?

- Żona zmarła trzy lata temu na białaczkę. Spokojny gość, lubi klasyczny jazz. Gra na saksofonie w jakimś amatorskim zespole.

Tyrone roześmiał się.

- Typowy fajtlapowaty profesorek.

Tego rodzaju prostacki komentarz może wygłosić były marine, taki jak Tyrone. Obelga ta mocno dopiekła Blackowi. Wiele lat temu, zanim założył Viratek, sam był biochemikiem i naukowcem.

- Powinniśmy się go łatwo pozbyć - podsumował Tyrone. - Nie ma doświadczenia. I pewnie jest wystraszony. - Sięgnął po swoją teczkę. - Pan Savitch jest ekspertem w tych sprawach. Proponuję, żeby zajął się tym problemem.

- Oczywiście. - W rzeczywistości Black wiedział, że nie ma wyboru. Nicholas Savitch był złą i przerażającą siłą, która raz uwolniona, nie dawała się ujarzmić.

Zadzwieczał dzwonek telefonu wewnętrznego.

- Przyszedł pan Gregorian z laboratorium fotograficznego - zaanonsowała sekretarka.

- Niech wejdzie. - Black zerknął na Tyrone'a. - Wywołali film. Zobaczmy, co Martinique zdołał sfotografować.

Gregorian wszedł, niosąc wypchaną kopertę.

- Tu są odbitki, o które pan prosił - oznajmił, podając pakiet Blackowi. Potem zasłonił usta dłonią, starając się stłumić coś, co podejrzenie przypominało śmiech.

- O co chodzi, panie Gregorian?

- Nic, nic, proszę pana.

- Obejrzyjmy je - wtrącił się Tyrone.

Black wyjął pięć styków i rozłożył je na biurku, tak by wszyscy mogli je obejrzeć. Cała trójka utkwiała w nich wzrok. Gregorian wybuchnął śmiechem.

- Co to jest, do cholery? - zdenerwował się Black.

- To są te negatywy, które pan mi dał. Sam je wywołałem.

- To te zdjęcia odzyskaliście od Hollanda? - Głos Tyrone'a stopniowo podnosił się, aż przeszedł w ryk. - Pięć rolek filmu z gołymi babami?

- Musiała zająć pomyłka. - Black próbował załagodzić sprawę. - To nie te filmy...

Gregorian śmiał się coraz głośniejsze.

- Zamknij się! - krzyknął Black i spojrzał na Tyrone'a. - Nie wiem, jak to się mogło stać.

- A więc nie wiadomo, gdzie jest nasza rolka? Black ze znużeniem kiwnął głową.

Tyrone sięgnął po telefon.

- Trzeba posprzątać. I to szybko.

- Do kogo pan dzwoni?

- Do człowieka, który to robi - odparł Tyrone, wybierając numer. - Savitcha.

Victor niespokojnie przemierzał ciemnozielony dywan w pokoju w motelu na Lombard Street, próbując nakreślić jakiś plan. Jego uporządkowany umysł naukowca zdążył już rozłożyć sytuację na elementy składające się na projekt badawczy. Identyfikacja problemu: Jerry Martinique natrafił na coś niebezpiecznego i został z tego powodu wyeliminowany. Teraz uważają, że to ja jestem w posiadaniu tej informacji - i dowodów. Których nie posiadam. Cel: nie dać się zabić. Metoda: za cholerną wszelką cenę!

Przez ostatnie dwa dni jego jedyną strategią było ukrywanie się w tanich motelach i wydeptywanie dywanów. Nie może to trwać wiecznie. Jeżeli w sprawę włączyli się agenci federalni, a zapewne tak się stało, to wkrótce wyśledzą obciążenia jego kart kredytowych i ustalą, gdzie go szukać.

Musi zaplanować atak. Zawiadomienie FBI nie wchodzi w rachubę. Victor skontaktował się wcześniej z agentem Samem Polowskim, który zaaranżował spotkanie w Garberville. Nikt inny nie mógł o nim wiedzieć. Sam Polowski się nie zjawił, ale za to znalazł się ktoś inny. Bolące ramię Victora przez cały czas przypominało mu o tym niemalże fatalnym spotkaniu.

Mógłby pójść do gazet, ale jak przekonać sceptycznego reportera? Kto uwierzy w jego historyjkę o projekcie tak niebezpiecznym, że mógłby zabić miliony? Pomyśleliby, że jego opowieść to wymysł paranoika.

Podszedł do telewizora i włączył go na wiadomości. Idealnie uczesana prezenterka uśmiechała się z ekranu, czytając coś o szczęśliwych dzieciach i feriach świątecznych. Nagle spoważniała. Victor popatrzył na ekran, kiedy podano następną wiadomość.

- W Garberville w Kalifornii nie odnotowano żadnego postępu w śledztwie w sprawie kobiety, którą znaleziono zamordowaną w środę

rano. Odwiedzająca ją koleżanka znalazła Sarah Boylan, lat 39, leżącą na podjeździe z ranami kłutymi w okolicach szyi. Ofiara była w piątym miesiącu ciąży. Policja mówi, że jest zaskoczona brakiem motywu tej strasznej zbrodni i w chwili obecnej nie ma żadnych podejrzanych. A teraz wiadomości krajowe...

Nie, nie, nie! - pomyślał Victor. Nie była w ciąży. Nie miała na imię Sarah. To pomyłka...

A może?

Mam na imię Catherine, powiedziała mu. Catherine Weaver. Tak, był pewien, że tak się nazywała. Będzie o tym pamiętał aż do śmierci.

Usiadł na łóżku, bo fakty wirowały w jego mózgu. Sarah. Cathy. Morderstwo w Garberville.

W końcu podniósł się, bo zaczęła narastać w nim panika. Złapał hotelową książkę telefoniczną i poszukał litery W. Teraz już rozumiał. Zabójca się pomylił. Jeżeli Cathy Weaver jeszcze żyje, to może mieć ten film - albo wiedzieć, gdzie się znajduje. Musi ją odnaleźć.

Zanim znajdzie ją ktoś inny.

Nic nie mogło przygotować Cathy na tę straszną depresję, która ogarnęła ją po powrocie do mieszkania w San Francisco. Myślała, że tamtej nocy w motelu w Garberville wypłakała już wszystkie łzy po śmierci Sarah, ale tutaj też wybuchała nagle płaczem, a potem pogrążała się w ponurych medytacjach. Dlaczego Sarah?

Spróbowała się rozpakować, a potem zajrzała do lodówki i zobaczyła, że półki są praktycznie puste. To dobra wymówka, by uciec z domu. Włożyła sweter i czując się jak ścigane zwierzę, poszła cztery przecznice dalej do sklepu spożywczego. Kupiła tylko chleb, jajka i owoce. Wystarczy jej na kilka dni, dopóki nie stanie na nogi i nie zacznie myśleć jasno, chociażby o jedzeniu.

Niosąc w obu rękach torby, wracała do mieszkania. Wieczór był chłodny i żałowała, że nie włożyła kurtki. Przez otwarte okno jakaś kobieta zawołała: „Kolacja!” i dwoje dzieci grających na ulicy w piłkę pobiegło do domu.

Kiedy dotarła do swojego budynku, drżała z zimna, a ręce bolały ją od ciężaru zakupów. Wdrapała się po schodach i podtrzymując biodrem jedną z toreb, z trudnością wyjęła klucze. Gdy znalazła się w drzwiach, usłyszała kroki, a potem spostrzegła z boku jakiś ruch. Ktoś ją wepchnął do środka. Torba wypadła jej z ręki, jabłka się rozsypały. Potknęła się i chwyciła za drewnianą balustradę. Drzwi się

zatrzasnęły. Odwróciła się, gotowa walczyć z napastnikiem. Victor Holland.

- To ty! - powiedziała zdumiona.

Ale on nie był pewien, czy to ona. Z niepokojem przyglądał się jej twarzy, jak gdyby szukał w niej potwierdzenia, że znalazł właściwą kobietę.

- Cathy Weaver?

- Co ty wyprawiasz?

- Które jest twoje mieszkanie? - przerwał jej.

- Słucham?

- Nie możemy tutaj stać.

- Na górze...

- Chodźmy. - Chciał schwycić ją za ramię, ale się cofnęła.

- Moje zakupy - powiedziała, patrząc na rozsypane jabłka.

Szybko pozbiierał owoce, wrzucił je do torby i popchnął ją w kierunku schodów.

- Nie mamy dużo czasu.

- Panie Holland, niech mi pan powie, o co w tym wszystkim chodzi, albo nie zrobię ani kroku dalej!

- Daj mi klucze.

- Nie możesz tak po prostu...

- Daj mi klucze!

Wpatrywała się w niego, zszokowana jego rozkazującym tonem. Nagle zdała sobie sprawę, że w jego oczach widzi panikę. To są oczy człowieka ściganego.

Jak automat podała mu klucze.

- Zaczekaj tu - powiedział. - Sprawdzę mieszkanie.

Obserwowała w zdumieniu, jak przekręca klucz w zamku i ostrożnie wsuwa się do środka. Nie jest duże, więc dlaczego zajmuje mu to tyle czasu?

Powoli podeszła do drzwi. Kiedy się przy nich znalazła, wystawił przez nie głowę.

- W porządku. Możesz wejść - oznajmił.

Gdy przekroczyła próg, przekręcił w zamku klucz, okrążył salon i zaciągnął zasłony.

- Czy możesz mi powiedzieć, o co chodzi? - zapytała.

- Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- To znaczy ty jesteś w niebezpieczeństwie.



- Nie. Miałem na myśli nas oboje. - Zwrócił się do niej i popatrzył jej prosto w oczy. - Masz ten film?

- O czym ty mówisz?

- Rolka filmu. Trzydziestka piątka. W czarnym plastikowym pojemniku. Masz ją?

Milczała, ale w jej pamięci pojawił się obraz nocy u Sarah: rolka filmu na kuchennym blacie. Myślały, że film należy do Hickeya. Włożyła go do kieszeni szlafroka, a potem do torebki. Ale nie miała zamiaru tego ujawniać, dopóki się nie dowie, dlaczego Victorowi tak na nim zależy. Popatrzyła na niego obojętnie, jakby nie wiedziała, o czym mówi.

Sfrustrowany zaczął od początku.

- Tej nocy, kiedy mnie znalazłaś... na szosie... miałem go w kieszeni. Kiedy się obudziłem w szpitalu, już go nie było. Mógł mi wypaść u ciebie w samochodzie.

- Po co ci ten film?

- Potrzebuję go. To dowód...

- Na co?

- Za długo by tłumaczyć. Wzruszyła ramionami.

- W tej chwili nie mam nic lepszego do roboty...

- Cholera jasna! - Podeszedł do niej i chwycił ją za ramiona. - Nie rozumiesz? Dlatego zabito twoją przyjaciółkę! Tej nocy, kiedy włamali się do twojego samochodu, szukali tego filmu!

Na jej twarzy pojawił się wyraz nagłego zrozumienia i przerażenia.

- Sarah...

- Znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Zabójca musiał pomyśleć, że to ty.

Cathy poczuła się osaczona. I zagrożona tą prawdą, przed którą nie było ucieczki. Poczwała, że nogi ma jak z waty. Opadła na najbliższe krzesło i siedziała tam otepiała.

- Musisz stąd uciekać, zanim się domyślą prawdy. Nie poruszyła się. Nie mogła się ruszyć.

- Cathy, posłuchaj mnie. Nie ma dużo czasu!

- Co było na tym filmie? - zapytała cicho.

- Już ci mówiłem. Dowody. Przeciwno firmie Viratek. Przez jej twarz przemknął cień.

- Czy... czy to nie firma, w której pracujesz?

- Pracowałem.

- Czym się zajmuje?

- Jest zamieszana w pewien nielegalny projekt badawczy. Nie mogę podać ci szczegółów.

- Dlaczego nie?

- Bo sam ich nie znam. To nie ja zebrałem dowody. Kolega... przyjaciel... przekazał mi je, zanim go zabito.

- Co to znaczy, zabito?

- Policja stwierdziła, że to wypadek. Ja uważam, że było inaczej.

- Chcesz powiedzieć, że został zamordowany z powodu projektu badawczego? Musiał pracować nad czymś bardzo niebezpiecznym.

- Wiem tylko tyle, że dotyczy to broni biologicznej. Co czyni te badania nielegalnymi. I niezwykle niebezpiecznymi.

- Broń? Dla jakiego rządu?

- Naszego.

- Nie rozumiem. Jeżeli jest to projekt federalny, to badania są legalne, prawda?

- Nie do końca. Ludzie na wysokich stanowiskach znani są z łamania zasad.

- O jakich stanowiskach mówimy?

- Tego nie wiem. Nie mam pewności co do nikogo. Ani policji, ani Departamentu Sprawiedliwości. Nawet FBI.

Zmarszczyła czoło. To, co usłyszała, brzmi jak zwierzenia paranoika. Ale głos - i oczy - są przytomne. Zielone jak morska woda. Była w nich uczciwość i jakaś pewność, które sprawiły, że im zawierzyła.

No, nie do końca.

- Chcesz powiedzieć, że szuka cię FBI. Mam rację? W jego oczach zapalił się nagły gniew, który potem zgasł tak szybko, jak się pojawił. Jęknął i osunął się na kanapę.

- Nie mam do ciebie pretensji o to, że uważasz mnie za wariata. Czasami sam się zastanawiam, czy nim nie jestem. Pomyślałem, że jeżeli mogę komuś zaufać, to tylko tobie...

- Dlaczego mnie?

- Ponieważ ocaliłaś mi życie. I jesteś następną osobą, którą spróbują zabić.

Zamarła. Nie, to jest czyste szaleństwo. On chce ją wciągnąć w swoje urojenia, sprawić, aby uwierzyła w jego koszmarny świat. Nie

pozwole na to! Wstała, żeby odejść, ale jego głos zmusił ją, by się zatrzymała.

- Cathy, pomyśl, dlaczego zamordowali Sarah? Bo myśleli, że to ty. Teraz już wiedzą, że zabili niewłaściwą kobietę. Muszą wrócić i wykonać swoją robotę. Na wypadek, gdybyś o czymś wiedziała. Gdybyś była w posiadaniu dowodu...

- To czyste wariactwo! - zawołała, zasłaniając uszy dłońmi. - Nikt nie ma zamiaru...

- Już to zrobili! - Wyciągnął z kieszeni wydarty z gazety kawałek zadrukowanego papieru. - Przechodziłem po drodze obok kiosku, to było na pierwszej stronie.

Zdumiona popatrzyła na zdjęcie obcej kobiety w średnim wieku.

„Mieszkanka San Francisco zastrzelona na progu swojego domu”  
- głosił towarzyszący fotografii tytuł.

- To nie ma ze mną nic wspólnego - odparła.

- Zobacz, jak się nazywała.

Wzrok Cathy ześliznął się do trzeciego akapitu, w którym zidentyfikowano ofiarę. Nazywała się Catherine Weaver. Strzęp gazety opadł na podłogę.

- W książce telefonicznej San Francisco są trzy Catherine Weaver - dodał Victor. - Tę zastrzelono wczoraj. Nie wiem, co się stało z drugą. Może już nie żyje. Jesteś następna na liście. Mieli dosyć czasu, żeby cię znaleźć.

- Nie było mnie. Wróciłam dopiero godzinę temu.

- I dlatego jeszcze żyjesz. Może byli tu wcześniej. Albo postanowili najpierw załatwić tamte dwie kobiety.

Zerwała się na równe nogi.

- Muszę się spakować...

- Nie. Wynośmy się stąd jak najszybciej. Rób, co ci każe! - nakazał jej wewnętrzny głos. Kiwnęła głową i skierowała się ślepo w stronę drzwi.

W połowie drogi zatrzymała się.

- Moja torebka...

- Gdzie jest?

Wróciła i przeszła obok zasłoniętego okna.

- Chyba zostawiłam ją obok...

Nie skończyła, bo jej następne słowa przerwał dźwięk rozpryskującego się szkła. Tylko zasłony uchroniły ją przed

odłamkami. Odruchowo opadła na podłogę, zanim rozległ się drugi strzał. Sekundę później rzucił się na nią Victor, zasłaniając ją własnym ciałem, a w przeciwległą ścianę wbiła się trzecia kula, rozpryskując drewno i kawałki gipsu.

Zasłony drgały jeszcze przez chwilę, a potem wszystko się uspokoiło. Jeszcze przez moment Cathy paraliżował obłędny strach i ciężar ciała Victora. Potem wpadła w panikę. Wydostała się spod niego, by natychmiast uciec.

- Leż! - krzyknął.

- Chcą nas zabić!

- To im nie ułatwaj sprawy! - Pociągnął ją z powrotem na podłogę. - Wiejemy, ale nie przez frontowe drzwi.

- To jak...

- Gdzie są schody przeciwpożarowe?

- Za oknem sypialni.

- Prowadzą na dach?

- Chyba tak...

- Idziemy.

Na czworakach przedostali się przez hol do ciemnej sypialni. Z zewnątrz nie dochodził żaden hałas. Ale z dołu, od strony głównego wejścia, doszedł ich brzęk tłuczonego szkła.

- Są już w budynku! - syknął Victor i otworzył okno. - Wychodzimy!

Ręce się jej trzęsły, ale wydostała się na zewnątrz i opuściła na metalowe schodki. Victor był tuż za nią.

- Na górę - powiedział szeptem. - Na dach.

A co potem? - przemknęło jej przez myśl, kiedy wspinała się na drugie piętro, obok mieszkania pani Chang, które było ciemne, a okna miało zamknięte na głucho.

- Dalej - rzucił Victor, popychając ją do przodu. Jeszcze tylko kilka stopni. Podciągnęła się i wdrapała

na pokryty papą dach. Chwilę później Victor stanął przy niej. Przeczolągali się na przeciwległy skraj dachu.

- Idziemy na całość? - zapytała Cathy.

- Na całość.

Skoczyli na dach przyległego budynku i przebiegli na drugą stronę, skąd metr ziejącej pustki dzielił ich od następnego domu.

Cathy nawet się nie zatrzymała, by pomyśleć o niebezpieczeństwach takiego skoku, tylko po prostu rzuciła się przed siebie i biegła dalej.

Na dachu czwartego budynku przystanęła i wyjrzała na ulicę. Koniec drogi. Teraz zrozumiała, jak duża wysokość dzieli ich od ziemi. Schody przeciwpożarowe wyglądały tak solidnie, jakby były zbudowane z klocków lego.

Przełknęła ślinę.

- Może to nie jest dobry moment, ale muszę ci powiedzieć...

- Co?

- Mam lęk wysokości.

- To nie patrz w dół.

Słusznie, pomyślała, schodząc na drabinę. Dłonie miała tak spocone, że z trudem trzymała się szczebli. Nagle zakreśliło się jej w głowie i zamarła, przywierając całym ciałem do chybliwego stalowego szkieletu.

- Nie zatrzymuj się! - wyszeptał Victor. - Schodź! Oparła twarz o metalowy schodek i poczuła, że ostra krawędź wbija się jej w ciało.

- Cathy, dasz radę! Dalej.

Ogarnął ją przejmujący ból, który zablokował zawroty głowy, a nawet strach. Kiedy znowu otworzyła oczy, świat wokół niej się ustabilizował. Na miękkich nogach zeszła po drabince, zatrzymawszy się tylko na drugim piętrze, by wytrzeć spocone dłonie o dzinsy. Szła dalej, na podest pierwszego piętra. Od ziemi dzieliło ją jeszcze jakieś pięć metrów. Otworzyła ostatni składany segment drabinki i zaczęła opuszczać go na ziemię, ale tak zaskrzypiał, że Victor natychmiast ją powstrzymał.

- Za głośno. Skaczemy!

- Ale...

- Chodź! - syknął z dołu, bo skoczył bez wahania. - Nie jest tak wysoko. Złapię cię.

Modląc się pod nosem, opuściła się na sam brzeg podestu i skoczyła. Victor złapał ją, ale przytrzymał tylko przez chwilę. Z powodu rany od kuli ramię było nadal słabe. Oboje przewrócili się na ziemię. Łądując na nim, znalazła się na jego biodrach, a ich twarze dzieliło kilka centymetrów. Przyjrzeni się sobie, tak zaskoczeni tą sytuacją, że nie mogli złapać oddechu.

Gdzieś na górze otworzyło się okno i ktoś krzyknął:

- Chuligani! Zjeżdżajcie stąd, bo zawołam policję! Cathy natychmiast zsunęła się z Victora i wpadła na kubek ze śmieciami. Uderzająca o chodnik pokrywa zadudniła niczym gong.

- I to by było na tyle, jeżeli chodzi o przerwę na odpoczynek - stęknął Victor. - Ruszaj się.

Skęcili w boczną alejkę i biegli przed siebie przez następnych pięć przecznic, aż w końcu zatrzymali się, aby zaczerpnąć powietrza. Spojrzeli za siebie.

Ulica była pusta. Są bezpieczni!

Nicholas Savitch stał przy starannie zaścielonym łóżku i badawczo przyglądał się pokojowi. To sypialnia kobiety. W szafie wisiało kilka prostych, ale eleganckich sukien, na toaletce stały słodko pachnące pudry oraz płyny. Wystarczyło się rozejrzeć, by dowiedzieć się wiele o kobiecie, która tu mieszkała. Była szczupła i nosiła rozmiar trzydzieści sześć, buty numer pięć. Włosy na szczotce były koloru brązowego i sięgały jej do ramion. Nie miała dużo biżuterii i lubiła perfumy o naturalnym zapachu, wodę różaną i lawendę. Jej ulubionym kolorem była zieleń.

Wrócił do salonu i nadal zbierał informacje. Prenumeruje hollywoodzkie pisma branżowe. Zarówno jej gust muzyczny, jak i dobór lektur, są dość eklektyczne. Zauważył kawałek gazety leżący na podłodze. Podniósł go i spojrzał na artykuł. Interesujące. Śmierć pierwszej Catherine Weaver nie pozostała niezauważona przez Catherine Weaver numer trzy.

Schował papier do kieszeni, a potem zobaczył torebkę leżącą na podłodze obok wybitego okna.

Strzał w dziesiątkę.

Wysypał jej zawartość na stolik przy kanapie. Portfel, książeczka czekowa, drobne i notesik z adresami. Otworzył go na literze B. Tam znalazł nazwisko, którego szukał: Sarah Boylan. Teraz już wiedział, że to ta Catherine Weaver. Co za strata czasu na tamte dwie.

Przerzucił kartki i zauważył kilka adresów w San Francisco. Tym razem mu uciekła, ale ukrywanie się to już inna sprawa. A ten mały notesik z adresami przyjaciół, krewnych i znajomych zaprowadzi go prosto do niej. Gdzieś z oddali doszło go wycie syreny policyjnej. Trzeba się zbierać. Savitch wziął notesik i portfel kobiety, po czym ruszył w stronę drzwi.

Mógł sobie pozwolić na to, by się nie spieszyć. Ale dla Catherine i Victora czas się kończył.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie było czasu na odpoczynek. Przebiegli wolniej sześć następnych przecznic, a Cathy się zdawało, że pokonują całe kilometry. Victor poruszał się lekko, prowadząc ją bocznymi ulicami i unikając większych skrzyżowań. To on myślał i wybierał kierunek. Jej strach powoli przerodził się w ośpienie i ogłupiające uczucie nierzeczywistości. Miała wrażenie, że miasto stało się jakimś pejzażem ze snu, niekończącym się labiryntem z betonu i asfaltu. Tylko ten człowiek biegnący tuż przy niej zdawał się istnieć naprawdę. Też się bał, ale nie widziała jego strachu.

Schwycił ją za rękę.

- Na tej ulicy jest chyba posterunek policji - powiedziała. - Jedną czy dwie przecznice dalej...

- Nie idziemy na policję.

- Co? - Stała jak wryta.

- Muszę najpierw to wszystko przemyśleć.

- Ktoś próbuje nas zabić, a ty chcesz myśleć?

- Słuchaj, nie możemy stać tu i dyskutować. Chodźmy. Mam pokój. To tylko kilka przecznic stąd.

Pozwoliła mu pociągnąć się przez kilka metrów, zanim zebrała w sobie siły, by się uwolnić.

- Zaczekaj chwilę.

- Na co? Na następne kule? Wszystko ci wytłumaczę. Jak już będziemy bezpieczni.

Cofnęła się o krok.

- Dlaczego boisz się policji?

- Nie mam do niej zaufania.

- Czy masz powód, żeby się jej bać? Co zrobiłeś? Dwoma krokami zamknął dzielącą ich przestrzeń i chwycił ją mocno za ramiona.

- Przed chwilą wyciągnąłem cię ze śmiertelnej pułapki, prawda? Strzały padły przez twoje okno, nie moje!

- Ale może były przeznaczone dla ciebie!

- Dobrze! Chcesz spróbować sama? Proszę. Może policja ci pomoże. Ja nie mogę ryzykować.

- Puścisz mnie?

- Nie jesteś moim więźniem.



- Nie. - Nabrała powietrza i spojrzała w stronę posterunku. - Tak nakazuje rozsądek - mruknęła. - Przecież po to są.

- Racja.

- Będą zadawać mnóstwo pytań.

- Co masz zamiar im powiedzieć?

Wytrzymała jego wzrok, nie spuszcżając oczu.

- Prawdę.

- Która w najlepszym wypadku będzie niekompletna. A w najgorszym, niewiarygodna.

- Całe mieszkanie mam zasypane szkłem. Czy to nie dowód?

- Strzelano z jadącego samochodu. To zupełnie przypadkowy atak.

- Ich obowiązkiem jest zapewnić mi bezpieczeństwo.

- A jeżeli uznają, że nie potrzebujesz ochrony?

- Powiem im o Sarah.

- Mogą cię potraktować poważnie, ale nie muszą.

- Muszą! Ktoś próbuje mnie zabić!

Jej przenikliwy i ostry od desperacji głos zdawał się nieść echem w labiryncie ulic.

- Wiem - rzekł ze spokojem.

- A ty co zrobisz? - zapytała.

- Nic. Zostanę sam. Odeszła na dwa kroki.

- Victorze?

- Jeszcze tu jestem.

- Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

Nie zareagował. Usłyszała, jak odchodzi. Stała tam, zastanawiając się, czy dobrze robi. Oczywiście, że tak. Człowiek, który boi się policji - i opowiada taką paranoiczną historyjkę - musi być groźny.

Ale uratował mi życie. A przedtem, tej deszczowej nocy w Garberville, ona uratowała jego życie.

Wydarzenia ostatniego tygodnia przesunęły się jej przed oczami. Zabójstwo Sarah, dotąd niewyjaśnione. Ta druga Catherine Weaver, zastrzelona na schodach przed domem. Pojemnik z filmem, który Sarah przyniosła z jej samochodu...

Kroki Victora ucichły. Zdała sobie sprawę, że straciła jedyne go człowieka, który mógłby jej pomóc znaleźć odpowiedzi na te pytania. Jedyne go człowieka, który ją wsparł i któremu, wiedzioną jakąś przedziwną intuicją, mogłaby zaufać. Patrząc teraz na wyludnioną

ulicę, poczuła się opuszczona i pozbawiona przyjaźni. W nagłej panice odwróciła się i zawołała:

- Victor!

Jakaś postać zatrzymała się przy następnej przecznicy i odwróciła. Wydało się jej, że jest on bezpieczną wysepką na tym zwariowanym groźnym oceanie, jakim jest świat. Ruszyła w jego stronę, pragnąc jak najszybciej schronić się w jego ramionach. Ramiona, które ją przygarnęły i powitały, wcale nie były obce. Czowała bicie jego serca, dłonie na swoich plecach, i coś mówiło jej, że można na nim polegać.

- Jestem tutaj - rzekł półgłosem.

Gładził jej potargane wiatrem włosy, jego palce utonęły w splecionych pasmach. Poczuła na twarzy ciepło jego oddechu, a zaraz potem jego usta zaczęły ją całować. Odpowiedziała pocałunkiem równie pełnym desperacji. Chociaż go nie знаła, to mogła na nim polegać przedtem i teraz, bo jego ramiona osłaniały ją przed całym złem tej nocy. Ukryła twarz na piersi Victora, pragnąc wtulić się w niego jeszcze głębiej.

- Tak się boję, że nie wiem, co mam robić...

- Zastanowimy się nad tym razem, dobrze? - Ujął jej twarz. - Ty i ja razem damy sobie z tym radę.

Kiwnęła głową. Patrząc mu w oczy, odnalazła wszystkie zapewnienia, których potrzebowała. Zadrżała, bo przez ulicę przetoczył się silny wiatr.

- Od czego zaczniemy? - zapytała szeptem.

- Najpierw - zdjął z siebie kurtkę i narzucił jej na ramiona - cię rozgrzejemy. Gorąca kąpiel, dobra kolacja, i znowu będziesz działać na pełnych obrotach.

Jeszcze pięć przecznic i znaleźli się w motelu Kon Tiki. Był bezbarwny i anonimowy. Weszli schodami do pokoju 214, wychodzącego na wypełniony tylko w połowie parking. Victor otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

Powiew ciepła na policzkach był rozkoszny. Stała na środku tej pozbawionej wdzięku przestrzeni i pomyślała, że dobrze jest się znaleźć w czterech ścianach. Umeblowanie było bardzo skromne: podwójne łóżko, toaletka z komodą, dwa stoliki z lampami i pojedyncze krzesło. Na ścianie wisiała oprawiona fotografia przedstawiająca jakąś bliżej nieokreśloną wyspę na Pacyfiku. Jedyne

bagaż stanowiła tania plastikowa torba stojąca na podłodze. Pościel była wygnieciona. Ktoś musiał niedawno w niej leżeć, bo poduszki były jeszcze oparte o wezglowie.

- To nic specjalnego - usprawiedliwił się. - Ale jest ciepło. I jest zapłacony. - Włączył telewizor. - Posłuchajmy lepiej wiadomości. Może powiedzą coś o tej Weaver.

Ta Weaver, pomyślała. To mogłam być ja. Znowu dostała dreszczy, ale tym razem nie z powodu zimna. Usadowiła się na łóżku i niewidzącym wzrokiem patrzyła na ekran. Victor sprawdził okna, pogrzebał przy zamku w drzwiach. Poruszał się spokojnie, w ciszy, która świadczyła tylko o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźli. Większość znanych jej mężczyzn w sytuacji podbramkowej gadała jak nakrecona, Victor zaś po prostu się wyciszał.

Zbliżył się do niej i kiedy wziął ją za rękę, drgnęła. Odwrócił jej wnętrzem do góry i przyjrzał im się. Spojrzała w dół i zobaczyła zadrapania, płatki rdzy z drabinki pożarowej wżarte w skórę.

- Chyba wyglądam okropnie. Uśmiechnął się i pogładził ją po twarzy.

- Przyda ci się kąpiel. Zamówię coś do jedzenia. Poszła do łazienki i przez zamknięte drzwi słyszała

szum telewizora i głos Victora zamawiającego przez telefon pizzę. Puściła gorącą wodę na swoje zimne zgrabiłe ręce. W lustrze nad umywalką zobaczyła, jak okropnie wygląda: rozczochrane włosy, brudne policzki. Umyła twarz, przywracając lodowatej skórze krążenie i dając jej nowe życie.

Na obudowie umywalki zauważyła brzytwę Victora. Widok tego ostrza ukazał jej sytuację w nowym świetle. Podniosła je, myśląc jednocześnie o tym, jak śmiertelne stanowi zagrożenie i w jak niebezpiecznej pozycji ją to stawia. Victor jest postawny, ma przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i silne ramiona. Ona była drobna i w porównaniu z nim słaba. W pokoju znajduje się tylko jedno łóżko. Przyszła tu z własnej woli. Co sobie o niej pomyśli? Że nadaje się na ofiarę? Pomyślała o różnych sposobach, w jakie mógł ją skrzywdzić, zabić. Nie potrzeba brzytwy, by to zrobić.

Co ja tu robię, zastanowiła się. Spędzam noc z człowiekiem, którego prawie nie znam? To nie jest dobry moment na wątpliwości. Podjęła decyzję. Musi kierować się intuicją, a ta mówiła jej, że Victor jej nie zawiedzie. Zdecydowanym ruchem odłożyła brzytwę.

W pokoju trzasnęły drzwi. Wyszedł?

Uchyliła drzwi. Telewizor był włączony, ale Victor zniknął. Gdy wyszła z łazienki i okazało się, że jest sama, zaczęła krążyć po pokoju, szukając czegoś, co powiedziałoby jej coś więcej o tym człowieku. Ale szuflady komody były puste, tak jak i szafa. Najwyraźniej nie zajął tego pokoju na długo. Zaplanował tylko jedną noc, może dwie. Zajrzała do plastikowej torby i znalazła czyste skarpetki, nieotwarte jeszcze opakowanie z bielizną i „San Francisco Chronicle” z poprzedniego dnia. Dowiedziała się tylko tyle, że mężczyzna ma dostęp do najświeższych informacji i że nie lubi podróżować z dużym bagażem.

Jak ktoś, kto ucieka.

Pogrzebała głębiej i znalazła wydruk z bankomatu. Wczoraj próbował wyjąć pieniądze. Maszyna powiadomiła go, że nie może zrealizować transakcji i że powinien skontaktować się ze swoim bankiem. Dlaczego odmówiono mu wypłaty? Debet? Awaria bankomatu?

Dźwięk klucza obracanego w zamku zupełnie ją zaskoczył. Podniosła wzrok, kiedy drzwi się otworzyły.

Spojrzenie, jakie jej rzucił, sprawiło, że się zaczerwieniła. Wstała, nie mogąc znieść widoku oskarżenia w jego oczach. Drzwi same się za nim zatrzasnęły.

- Myślę, że to, co robisz, jest rozsądne - zauważył. - Że przeszukujesz moje rzeczy.

- Przepraszam. Chciałam tylko... dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

- I jakich strasznych spraw się dokopałaś?

- Niczego nie znalazłam!

- Żadnych ciemnych sekretów? Nie bój się, Cathy. Powiedz mi.

- Tylko to, że nie mogłeś podjąć gotówki z konta. Kiwnął głową.

- To strasznie frustrujące. Powinienem mieć na koncie około sześciu tysięcy dolarów, a nie mogę ich ruszyć.

- Usiadł na krześle, nie przestając się jej przyglądać.

- Czego jeszcze się dowiedziałaś?

- Czytałeś... czytałeś gazetę.

- Jak wielu ludzi. Co jeszcze?

- Nosisz bokserki.

- To bardzo osobista uwaga - zauważył z rozbawieniem.

- Uciekasz przed kimś...

Patrzył na nią bez słowa przez dłuższy czas.

- Dlatego nie chcesz iść na policję - dodała. - Tak? Odwrócił głowę i popatrzył na ścianę.

- Mam powody.

- Podaj mi chociaż jeden, Victor. Jeden dobry powód, a potem już się zamknę.

- Wątpię - rzekł z westchnieniem.

- Sprawdź mnie. Mam powody, żeby ci wierzyć.

- Masz wszelkie powody, aby uznać mnie za paranoika. Boże, czasami myślę, że tak jest naprawdę.

Podeszła do niego i uklękła obok krzesła.

- Ci ludzie, którzy próbują mnie zabić, kim oni są?

- Nie wiem.

- Powiedziałeś, że mogą tu być wmieszane osoby na wysokich stanowiskach.

- Tylko się domyślam. Fundusze federalne idą na nielegalne badania, które mogą nieść za sobą śmierć.

- A federalne pieniądze muszą być przyznawane przez kogoś, kto ma władzę.

Potwierdził skinieniem głowy.

- To ktoś, kto nagina przepisy. Ktoś, komu zaszkodzi skandal polityczny. Może próbować się przed tym ochronić, manipulując ludźmi z FBI. Nawet lokalną policją. Dlatego nie mogę do nich się zwrócić. Dlatego wyszedłem, żeby zadzwonić.

- Kiedy?

- Jak byłeś w łazience. Z automatu zadzwoniłem na policję. Nie chcę, żeby ktoś nas namierzył.

- Dopiero mówiłeś, że nie chcesz ich do tego włączać.

- W tej sprawie musiałem zadzwonić. W książce telefonicznej jest trzecia Cathy Weaver. Pamiętasz?

Trzecia ofiara na liście. Zrobiło jej się nagle słabo i musiała usiąść na łóżku.

- Co powiedziałeś? - spytała cicho.

- Że mam powód przypuszczać, że może być w niebezpieczeństwie. Że nie odbiera telefonu.

- Próbowaleś dzwonić?

- Dwa razy.

- Wysłuchali cię?

- Nie tylko wysłuchali, ale zażądali mojego nazwiska. Domyśliłem się, że już coś musiało się jej stać. Przerwałem połączenie i prysnąłem z budki. Rozmowę można namierzyć w kilka sekund. Mogli mnie złapać.

Nagle oboje zamarli ze strachu. Ktoś stukał do drzwi. Patrzyli na siebie, a w ich oczach malowała się panika. Po chwili Victor zapytał:

- Kto tam?

- Domino - rozległ się cienki głosik.

Victor ostrożnie otworzył drzwi. W korytarzu stał kilkunastoletni chłopak trzymający dużą torbę.

- Cześć! Duża pizza z dodatkami i dwie cole.

- Dzięki. - Victor podał chłopakowi parę banknotów. - Reszta dla ciebie - rzekł, zamykając drzwi. - Czasami stukanie do drzwi naprawdę oznacza faceta z pizzerii.

Obydwoje roześmiali się, ale nie z powodu komizmu sytuacji, tylko swego przerażenia. Z twarzy Victora zniknęło napięcie, ostrożność przerodziła się w ciepło.

- Powiem ci coś. Nie myślmy teraz o niczym. Zabierzmy się za to, co ważne. Za jedzenie.

Cathy kiwnęła głową i sięgnęła po pudełko.

- Podaj mi je, bo zaraz zjem kapę z tego cholernego łóżka.

Podczas gdy z telewizora dochodziły wiadomości, oni rzucili się na pizzę jak dwoje wygłodzonych zwierząt. Nie bawili się w żadne konwersacje - byli za bardzo pochłonięci pożeraniem sera i pepperoni. W telewizji szykowny prezenter ogłaszał przetasowania w biurze burmistrza i rezygnację przewodniczącego rady miejskiej, co w tych okolicznościach wydawało się śmiesznie trywialne.

Dzisiejsze zabójstwo pierwszej Catherine Weaver omówiono w pół minuty, dotąd nikogo w tej sprawie nie zatrzymano. Drugiej ofiary o tym samym imieniu i nazwisku nie wymieniono.

- Wygląda na to, że druga ofiara nie trafiła do wiadomości - rzekł Victor z posępną miną.

- A może drugiej Cathy Weaver nic się nie stało?

Może policja zadawała ci tylko rutynowe pytania? Jeżeli jest się w stresie, to łatwo...

- Zacząć sobie coś wyobrazać? - Spojrzenie, jakie jej posłał, sprawiło, że omal nie odgryzła sobie języka.

- Nie - odparła. - Niewłaściwie coś zinterpretować. Policja nie może reagować na wszystkie anonimowe telefony. To naturalne, że pytają o nazwisko.

- To było więcej niż pytanie, Cathy. Aż się rwali do tego, żeby mnie przesłuchać.

- Wierzę ci. Klóczę się tylko tak, dla sportu. Próbuję zachować zdrowy rozsądek w tej zwariowanej sytuacji.

Popatrzył na nią twardym wzrokiem.

- Kobiety głos rozsądku - westchnął. - Właśnie to, czego teraz najbardziej potrzebuję. Żeby mi przypominał, że mam nie podskakiwać na widok własnego cienia.

- I żebyś nie zapominał o jedzeniu. - Podała mu kolejny kawałek pizzy. - To ty zamówiłeś takiego giganta.

Napięcie pomiędzy nimi nagle wyparowało. Usadowił się na łóżku i wziął od niej trójkąt, który mu podała.

- Do twarzy ci z tymi macierzyńskimi uczuciami - zauważył kpiąco - i z tym sosem od pizzy.

- O czym ty mówisz?

- Wyglądasz jak dwulatek, który pomalował sobie twarz farbami.

- Ojej, możesz mi podać serwetki?

- Pozwól, ja to zrobię. - Pochylił się i delikatnie starł jej sos z podbródka.

Skorzystała z okazji, by się przyjrzeć jego twarzy, zmarszczkom w kącikach oczu tworzącym się od śmiechu i srebrnym pasmom przetykającym ciemne włosy.

Przypomniała sobie zdjęcie tej samej twarzy umieszczone na identyfikatorze firmy Viratek. Wyglądał na nim poważnie, jak prawdziwy naukowiec. Teraz wyglądał na kogoś młodszego, pełnego życia i niemalże szczęśliwego.

Zorientował się, że mu się przygląda, podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Jego uśmiech powoli zniknął. Oboje ucichli, jak gdyby zobaczyli w oczach drugiej osoby coś, czego przedtem nie dostrzegli. Głos z telewizora wtapiał się w tło, dalekie i ponadwymiarowe. Poczwała, jak palce Victora obrysowują zarys jej policzka.

- Co teraz będzie, Victorze? Co zrobimy?

- Jest kilka opcji.

- Takich jak?

- Mam przyjaciół w Palo Alto. Moglibyśmy poprosić ich o pomoc.

- Albo?

- Albo zostaniemy tutaj. Na jakiś czas.

Tu gdzie teraz. W tym pokoju, na tym łóżku. Nie miała nic przeciwko temu. Pochyliła się w jego stronę, powodowana siłą, której nie potrafiła się przeciwstawić. Dłonie Victora ujęły jej twarz - takie duże dłonie, a takie nieskończenie delikatne. Zamknęła oczy, bo wiedziała, że pocałunek też będzie delikatny.

Zakołysała się i poczuła, jak jego ramiona ją oplatają i przyciągają jak najbliżej. To był niebezpieczny moment. Poczowała, że znalazła się na krawędzi absolutnego poddania się człowiekowi, którego prawie nie zna.

Jego pocałunki pieściły jej kark, odkrywając wszystkie wzniesienia i zagłębienia. Wszystkie pragnienia, uśpione przez ostatnie lata, cały głód i pożądanie, zdawały się dochodzić teraz do głosu. I nagle, w jednej sekundzie, magia chwili prysła. W pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego Victor tak nagle się odsunął. Wyprostował się, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Zaskoczona powędrowała wzrokiem w kierunku telewizora. Z ekranu patrzyła na nich niepokojąco znajoma twarz.

Rozpoznała logo Virateku, a na jego tle twarz mężczyzny patrzącego prosto w oko kamery. Dlaczego, u licha, pokazują identyfikator Victora Hollanda?

- ...poszukiwany pod zarzutem szpiegostwa przemysłowego. Dowody łączą doktora Hollanda z zabójstwem innego naukowca z Virateku, doktora Gerarda Martinique'a. Prowadzący śledztwo obawiają się, że podejrzany zdołał już sprzedać europejskim konkurentom firmy obszerne dane dotyczące badań...

Żadne z nich się nie poruszyło. Na ekranie pojawiły się reklamy, podskakujące rodziny obwieszczwały światu cuda słonecznej Kalifornii. Skoczna muzyczka była nie do zniesienia. Victor wstał i zgasił telewizor.

Powoli odwrócił się, aby spojrzeć jej w oczy.

- To nie jest prawda - rzekł spokojnie. - Nic tu nie jest prawdą.

Próbowała coś wyczytać w tych niezgłębionych zielonych oczach, pragnąc desperacko mu uwierzyć. Smak jego pocałunków jeszcze błąkał się na jej wargach. To były pocałunki oszusta? Czy



wszystko, o czym mi mówiłeś, jest kłamstwem? Victorze Holland, kim i czym jesteś?

Spojrzała w bok, na telefon stojący na stoliku. Jest tak blisko. Wystarczy wykręcić numer policji i cały ten koszmar się zakończy.

- Wrabiają mnie. Viratek rozpowszechnia fałszywe wiadomości.

- Po co?

- Żeby mnie zapędzić w kozi róg. Czy można mnie łatwiej znaleźć, niż angażując do pomocy policję?

Powoli zbliżała się do telefonu.

- Nie rób tego, Cathy.

Zamarła, zdziwiona groźbą, która zabrzmiała w jego głosie. On zaś zobaczył w jej oczach strach.

- Proszę, nie dzwoń. Nie zrobię ci krzywdy. Zapewniam cię, że możesz w każdej chwili stąd wyjść, ale najpierw mnie wysłuchaj. Daj mi szansę.

Patrzył jej prosto w oczy. Jego spojrzenie nie uciekało w bok i było absolutnie wiarygodne. No i był tuż obok, przygotowany na to, by powstrzymać każdy jej ruch. Albo złamać jej rękę, jeżeli zajdzie potrzeba. Nie miała wyboru. Skinęła głową i usiadła z powrotem na łóżku.

Zaczął wędrowkę po pokoju, wydeptując ścieżkę w brudnozielonej wykładzinie dywanowej.

- To szaleństwo podejrzewać, że go zabiłem. Ja i Jerry byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Obaj pracowaliśmy w Virateku. Ja w dziale badań nad szczepionkami, on był mikrobiologiem. Specjalizował się w doświadczeniach z wirusami. Pomagaliśmy sobie w trudnych sytuacjach. On przeszedł przez bardzo przykry rozwód, a ja... - Urwał, głos mu zadrżał. - Trzy lata temu straciłem żonę. Białaczka.

A zatem był żonaty. Zdziwiło ją to. Wyglądał na mężczyznę, który był zbyt niezależny, aby kiedykolwiek wypowiedzieć sakramentalne „tak”.

- Jakies dwa miesiące temu - ciągnął - Jerry'ego przeniesiono. Viratek otrzymał grant na jakiś projekt dla wojska. Badania były tajne, Jerry nie mógł o nich rozmawiać. Ale ja widziałem, że to, co dzieje się w tym laboratorium, nie daje mu spokoju. Powiedział mi tylko: „Nie zdają sobie sprawy z zagrożenia. Nie wiedzą, w co się wpakowali”. Jerry zajmował się zmianami w genach wirusów. Podejrzewam, że ten projekt miał coś wspólnego z użyciem wirusów do produkcji broni.

Jerry miał pełną świadomość, że taka broń jest nielegalna w świetle prawa międzynarodowego.

- Jeżeli wiedział, że jest nielegalna, to dlaczego brał w tym udział?

- Może na początku nie zdawał sobie sprawy, co było celem tego projektu. Może powiedzieli mu, że to nie przekracza zakresu badań dla celów obronnych. W każdym razie zaniepokoił się na tyle, żeby zrezygnować z pracy. Poszedł aż do szefa, założyciela Virateku. Zagroził, że jeżeli praca nad projektem nie zostanie przerwana, poda wszystko do wiadomości publicznej. Cztery dni później miał wypadek.

W oczach Victora zamigotał gniew.

- Co mu się stało?

- Na poboczu znaleziono rozbity samochód. Jerry nie żył. Myślałem, że śledztwo wyjaśni wszystkie wątpliwości. To była farsa. Lokalni gliniarze robili wszystko, co mogli, ale potem pojawił się jakiś federalny „ekspert” od wypadków i przejął sprawę. Powiedział, że Jerry musiał zasnąć za kierownicą. Sprawę zamknięto. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak daleko sprawy zaszły. Nie wiedziałem, do kogo z tym pójść, więc zadzwoniłem do FBI w San Francisco. Powiedziałem im, że mam dowody.

- Masz na myśli film? - spytała Cathy. Victor skinął głową.

- Zanim zginął, Jerry zdążył mi powiedzieć o kopiach dokumentów, które schował w komórce na narzędzia ogrodnicze. Po tym... wypadku pojechałem do jego domu. Był splądrowany. Ale nie chciało im się przeszukać komórki/Dzięki temu zdobyłem dowody, teczkę z papierami i rolkę filmu. Zaaranżowałem spotkanie z jednym z agentów z San Francisco, facetem o nazwisku Polowski. Wcześniej rozmawiałem z nim kilka razy przez telefon. Zaproponował mi spotkanie w Garberville. Nie chcieliśmy, żeby nas widziano razem, więc umówiliśmy się poza miastem. Pojechałem tam i czekałem. I ktoś się zjawiał. Ktoś, kto zepchnął mnie z drogi. - Przerwał na moment i spojrzał jej w oczy. - To było tej nocy, kiedy mnie znalazłaś.

Ta noc odmieniła całe moje życie, pomyślała.

- Musisz mi uwierzyć - dodał.

Przyglądała mu się bacznie, podczas gdy jej intuicja walczyła ze zdrowym rozsądkiem. Opowieść Victora była mało prawdopodobna,

zawieszona między prawdą a fantazją. On sam jednak wyglądał na solidnego jak opoka.

Była już tym znużona i kiwnęła tylko głową.

- Wierzę ci, Victorze. Chyba zwariowałam. Albo jestem naiwna. Ale wierzę.

Łóżko zachwiało się, bo przysiadł obok niej. Nie dotykali się, ale czuła ciepło krążące pomiędzy nimi.

- To wszystko, na czym mi teraz zależy - powiedział. - Żebyś wiedziała w sercu, że mówię prawdę.

- W sercu? - Potrząsnęła głową i roześmiała się.

- Moje serce zawsze słabo znało się na ludziach. Polegam na fakcie, że trzymasz mnie przy życiu. Na fakcie, że kolejna Cathy Weaver już nie żyje...

Pamiętając twarz tamtej kobiety, twarz w gazecie, zaczęła nagle dygotać. To wszystko składa się na straszliwą prawdę. Strzały w jej mieszkaniu, ta druga zamordowana Cathy. I Sarah, biedna Sarah.

Łapała powietrze płytkimi oddechami, czując, że zaraz wybuchnie płaczem. Pozwoliła mu wziąć się w ramiona. Ukrył twarz w jej włosach i szeptał słowa otuchy. Zgasił lampę. W ciemnościach tulili się do siebie, takie dwie przerażone dusze połączone w jedno przeciwko groźnemu światu. Cathy poczuła się bezpieczna, przytulona do jego piersi. To jest miejsce, w którym nikt nie może jej skrzywdzić. Znalazła schronienie w ramionach obcego człowieka, ale zapach jego ciała i odgłos bijącego serca zrodziły bliskość.

Zadrżała, gdy dotknął wargami jej czoła. Pieścił jej twarz i szyję, ogrzewając ją palcami. Kiedy jego ręka zbłądziła pod bluzkę, nie zaprotestowała. Wydało się jej naturalne, że ta dłoń znajdzie się na jej piersi. Było to tylko delikatne przypomnienie, że jest bezpieczna.

I okazało się, że jest w niej odpowiedź...

Poczuła mrowienie ogarniające całe ciało. Chciała rozpiąć mu koszulę, ale po ciemku szło jej to niezdarnie. Kiedy w końcu zdołała wsunąć dłoń pod materiał, ich oddechy przyspieszyły. Jeżeli jej intencją miało być igranie z ogniem, to właśnie zapaliła zapałkę.

Usta Victora znalazły się na jej wargach. Głowa Cathy spoczęła na poduszce. Victor patrzył na nią z góry, jak gdyby walczył z pokusą.

- To szaleństwo - wyszeptał.

- Tak, masz rację...

- Wybacz, nie chciałem...

- Ja też nie...

- To dlatego, że jesteś wystraszona. Oboje jesteśmy wystraszeni. Nie wiemy, co robimy.

- Nie wiemy. - Zamknęła oczy, poczuwszy w oczach łzy. - Masz rację. Ale boję się. Chcę, żebyś mnie objął.

Przygarnął ją do siebie, szepcząc jej imię. Tym razem jego uścisk był delikatny, pozbawiony gorączki pożądania. Cathy oparła głowę na jego piersi. Tak, on ma rację, jest w nim mądrość. Chyba zwariowali, żeby chcieć teraz się kochać. Ogarnął ją spokój. Zwinęła się obok niego w kłębek i poczuła, jak mięśnie jej wiotczeją i ogarnia ją sen. Nawet gdyby spróbowała, to nie mogłaby poruszyć nogami czy rękami. Mogła tylko płynąć swobodnie, jak duch w mroku, gdzieś na ciepłym niebie koloru atramentu.

Jak przez mgłę uświadomiła sobie nagle, że za zamkniętymi powiekami przesunęło się światło.

Ciepło ogarniające jej ciało zdawało się uchodzić. Nie! Pragnęła znowu się w nim pogrążyć! Chwilę później poczuła, jak Victor nią potrząsa.

- Cathy. Obudź się!

- Victor? - Raptownie przytomniejąc, szukała jego twarzy.

- Na ulicy coś się dzieje.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła z nim do okna. Przez szparę w zasłonie zobaczyła zaparkowany przy recepcji wóz policyjny, z którego dochodził cichy odgłos trzeszczącego radia. Obudziła się na dobre, zastanawiając się, jak opuścić pokój. Wyjście było tylko jedno.

- Idziemy, już! Zanim wpadniemy w pułapkę. Otworzył drzwi i wyszli na dwór. Lodowate powietrze

uderzyło ją w twarz. Już i tak dygotała, bardziej ze strachu niż z zimna. Pochylając się, biegli wzdłuż balkonu otaczającego budynek. Z dołu usłyszeli, jak drzwi do recepcji otwierają się, a potem doszły do nich słowa kierownika motelu:

- Tak, na górze. A wyglądał na takiego sympatycznego faceta...

Zapisały opony, bo pod motel podjechał drugi radiowóz.

- Teraz! - szepnął Victor i ją popchnął.

Wpadli pod wiatę pomiędzy budynkami i przedostali się na drugą stronę. Nie było tu schodów! Wspięli się na balustradę i zeskoczyli na parking. Z oddali doszedł ich odgłos walenia w drzwi, a potem rozkaz:

- Otwierać! Policja!

Instynktownie rzucili się w stronę zarośli. Nikt ich nie widział, nikt nie gonił. Mimo to biegli przed siebie, najpierw za budynki należące do motelu, potem za następne zabudowania, aż ze zmęczenia zaczęli się potykać. W końcu Cathy przystanąła i oparła się o jakieś drzwi, oddychając z trudem.

- Jak oni cię znaleźli? - spytała pomiędzy jednym a drugim urywanym haustem powietrza.

- To nie mogła być ta rozmowa... - Jęknął nagle. - Karta kredytowa! Zapłaciłem nią rachunek.

- Dokąd teraz? Spróbujemy w innym motelu? Potrząsnął przecząco głową.

- Mam już tylko czterdzieści dolarów. Nie mogę znowu ryzykować i użyć karty.

- A ja zostawiłam torebkę w domu. Nie chciałabym tam wracać...

- Nawet nie możesz. Twoje mieszkanie jest obserwowane.

- Jesteśmy splukani - zauważyła bezradnie. Milczał. Stał z rękami w kieszeniach, sfrustrowany.

- Masz przyjaciół, do których mogłabyś pójść?

- Co bym im powiedziała? Jak bym wytłumaczyła twoją obecność?

- To prawda. Nie możemy odpowiadać na pytania. Nie mamy dokąd pójść, pomyślała. Chyba że... Obiecała sobie, że nigdy nie poniży się i nie poprosi o pomoc z tego źródła.

Victor popatrzył przed siebie, na ulicę.

- Tam jest przystanek autobusowy. - Sięgnął do kieszeni i wyjął garść pieniędzy. - Weź to i wyjedź z miasta. Odwiedź kogoś ze znajomych.

- A ty?

- Dam sobie radę.

- Bez pieniędzy? Ścigany przez wszystkich?

- Moja obecność tylko spowoduje większe zagrożenie dla ciebie.

- Wcisnął jej pieniądze do ręki.

Popatrzyła na zwitek banknotów i pomyślała, że dał jej wszystko, co miał.

- Nie mogę - odparła.

- Musisz.

Wyraz jego oczu nie pozostawiał jej wyboru. Z ociąganiem zacisnęła palce na pieniądzach.

- Victorze?

Uciszył ją jednym spojrzeniem. Położył ręce na jej ramionach i popatrzył głęboko w oczy.

- Wszystko będzie w porządku. - Potem pocałował ją w czubek głowy. Na chwilę jego wargi zatrzymały się, a ciepło jego oddechu we włosach sprawiło, że zadrżała.

- Nie zostawiałbym cię, gdybym nie uważał, że tak będzie lepiej. Słyszac warkot autobusu, obydwójce się odwrócili.

- A oto twoja limuzyna, Cathy - powiedział szeptem Victor. - Jedź i uważaj na siebie.

Ruszyła do przystanku. Trzy kroki, cztery. Zwolniła i przystanąła. Obejrzała się, ale on już skrył się w cieniu.

- Wsiadaj! - zawołał.

- Znam jedno miejsce! Możemy się tam zatrzymać oboje! - zawołała.

- Co?

- Nie chciałam z niego korzystać, ale...

Słowa jej utonęły w hałasie spowodowanym hamowaniem autobusu, który podjechał na przystanek, a potem z rykiem silnika ruszył.

- To dłuższy spacer, ale dostaniemy łóżka i jedzenie. I gwarantuję, że nikt nie zadzwoni na policję.

Wyszedł z cienia.

- Dlaczego nie pomyślałaś o tym wcześniej?

- Pomyślałam. Ale aż do tej chwili nie było... takiej palącej potrzeby.

- Palącej potrzeby. - Przysunął się bliżej, na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie. - Mogłabyś mi powiedzieć, co właściwie uznałabyś za palącą potrzebę?

- Musisz zrozumieć, że to jest ostateczność. Nie jest mi łatwo prosić o pomoc w tamtym miejscu.

- Co masz na myśli? Noclegownię?

- Nie, to w Pacific Heights. Można nawet nazwać ten dom pałacem.

- Kto tam mieszka? Jakiś twój przyjaciel?

- Przeciwnie.

Brwi Victora uniosły się w zdziwieniu.

- Mój były mąż.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Jack, otwórz! Jack! - Cathy waliła w drzwi wspaniałego domu w Pacific Heights. Nikt nie otwierał, w oknach było ciemno. - Szlag by cię trafił! - Powodowana frustracją kopnęła z całej siły w drzwi. - Dlaczego nigdy cię nie ma, kiedy jesteś mi potrzebny?

Victor rozejrzał się po sąsiednich eleganckich posesjach otoczonych wypielegnowanymi ogrodami.

- Nie możemy stać tutaj przez całą noc.

- I nie będziemy - mruknęła. Uklękła i zaczęła grzebać w ceramicznej donicy.

- Co robisz?

- Coś, czego przysięgałam sobie nie zrobić nigdy. - Przesiewała w palcach torfową ziemię, szukając zapasowego klucza, który Jack ukrywał pod pelargoniami. No i rzeczywiście, był tam gdzie zawsze. Wstała i otrzepała ręce. - Ale moja duma też ma swoje granice. Zagrożenie śmiercią jest jedną z nich.

Włożyła klucz do zamka i wpadła w panikę, bo nie chciał się przekręcić, ale po chwili zamek poddał się. Drzwi się otworzyły. W ciemnościach powitał ich błysk wypolerowanej podłogi i masywnych poręczy.

Pokazała Victorowi gestem, że ma wejść. Solidne drzwi zamknęły się za nimi z hukiem, jak gdyby chciały ich odciąć od wszystkich zagrożeń tej nocy.

Oboje westchnęli z ulgą.

- W jakich jesteś stosunkach ze swoim byłym? - zapytał Victor, idąc za nią ostrożnie przez nieoświetlony hol.

- Rozmawiamy. Czasami.

- Nie ma nic przeciwko temu, że łazisz mu po domu?

- A co mu to przeszkadza? Połowa rodzaju ludzkiego łazi mu po sypialni.

Znalazła drogę przez ciemny salon i zapaliła światło. A potem zamarła na widok dwóch nagich ciał splecionych ze sobą na leżącej na podłodze niedźwiedziej skórze.

- Jack! - zawołała.

- Cześć, Cathy! - Jack usiadł, przeczesał palcami włosy i uśmiechnął się. - Jak za dawnych lat.

Kobieta leżąca obok niego powiedziała coś niecenzuralnego i pobiegła do sypialni, otoczona aureolą rozwichrzonych rudych włosów.

- To jest Lulu - ziewnął Jack, nie zapominając o przedstawieniu swojego gościa.

Cathy westchnęła.

- Widzę, że twój gust się nie poprawił.

- Nie, moja droga. Mój gust osiągnął szczyty wtedy, kiedy ożeniłem się z tobą. - Nie zwracając uwagi na swą nagość, wstał i przyjrzał się Victorowi.

Kontrast pomiędzy tymi dwoma mężczyznami był widoczny. Chociaż obydwaj byli wysocy i szczupli, to - Jack był uderzająco przystojny, i dobrze o tym wiedział.

- Widzę, że przyprowadziłaś czwartego. - Jack zlustrował Victora wzrokiem - Brydź czy poker?

- Ani jedno, ani drugie - odparła Cathy.

- To otwiera przed nami wiele możliwości.

- Jack, potrzebuję twojej pomocy. Spojrzał na nią z kpiącym niedowierzaniem.

- No nie!

- Wiesz dobrze, że nie byłoby mnie tutaj, gdybym mogła tego uniknąć!

Jack mrugnął do Victora.

- Nie wierz jej. Ona wciąż jest we mnie śmiertelnie zakochana.

- Możemy porozmawiać poważnie?

- Kochanie, nigdy nie miałaś poczucia humoru.

- Jack! Chociaż raz w życiu mnie wysłuchaj!

Cierpliwość Victora też się skończyła. Nie potrzebował doktoratu z psychologii, aby stwierdzić, że Jack to palant. Czy nie widzi, że Cathy jest wykończona i przerażona? Victor podziwiał ją za jej wytrzymałość, ale teraz cierpiał na widok jej słabości. Wziął ją w ramiona i przytulił. Ponad jej ramieniem wyrzucił z siebie przekleństwo, które obrażało nie tylko honor Jacka, ale i jego matki.

Jack nie wziął sobie tego do serca, pewnie dlatego, że obdarowywano go gorszymi epitetami, i to regularnie. Po prostu skrzyżował ramiona i przyglądał się Victorowi.

- Potrzebuje opieki.

- A z jakiegoż to powodu?



- Może nie słyszałeś, ale trzy dni temu zamordowano jej przyjaciółkę, Sarah.

- Sarah... Sarah Boylan? Victor skinął głową.

- Dziś w nocy ktoś próbował zamordować Cathy. Jack spojrzał na swoją byłą żonę.

- To prawda, co on mówi? Cathy, ocierając łzy, kiwnęła głową.

- Dlaczego od razu mi nie powiedzieliście?

- Bo zachowywałeś się jak ostatni osioł!

Gdzieś w holu zastukotały pantofelki na wysokich obcasach.

- Święta racja! - zawołał kobiecy głos. - Jacku Zuckerman, jesteś dupkiem!

Drzwi wejściowe otworzyły się i zatrzęsły. Hałas zdawał się odbijać o ściany pałacyku niekończącym się echem. Zapadła długa cisza.

Nagle poprzez łzy Cathy roześmiała się.

- Wiesz co, Jack? Podoba mi się ta kobieta.

Jack obrzucił swą byłą żonę krytycznym wzrokiem.

- Dlaczego nie poszłaś na policję? Dlaczego zawracasz głowę staremu Jackowi?

Cathy i Victor wymienili spojrzenia.

- Nie możemy iść na policję - powiedziała.

- Przypuszczam, że to ma coś wspólnego z nim? - Wskazał palcem na Victora.

Cathy westchnęła.

- To skomplikowana sprawa...

- Na to wygląda.

- Mogę wyjaśnić - zaproponował Victor.

- No dobrze. - Jack sięgnął po szlafrok leżący obok polarnego niedźwiedzia. - Zawsze podziwiałem kreatywność. Posłuchajmy. - Usiadł na skórzanej kanapie i uśmiechnął się do Victora. - Nawijaj. Czekam.

Agent specjalny Sam Polowski leżał w łóżku i dygotał. Oglądał wiadomości o jedenastej wieczorem. Każdy miesiąc w jego ciele był obolały, w głowie mu łomotało, a termometr wskazywał czterdzieści stopni. Tak się kończy zmienianie koła w ulewnym deszczu. Gdyby tylko dorwał tego dowcipnisia, który wbił mu gwóźdź w oponę, kiedy wpadł na chwilę do przydrożnej knajpki. Winowajca nie tylko uniemożliwił mu stawienie się na spotkanie w Garberville iw ten

sposób zrujnował sprawę Virateku, ale także spowodował, że Sam stracił jedyny swój kontakt w tej sprawie - Victora Hollanda. A teraz jeszcze grypa.

Sięgnął po aspirynę. Połykał właśnie trzy tabletki, kiedy z telewizora usłyszał:

- Nowe dowody łączą podejrzanego z morderstwem doktora Gerarda Martinique'a, który tak jak on prowadził badania w firmie Viratek...

Sam usiadł.

- Co jest, do cholery? - warknął w stronę telewizora, a potem złapał za słuchawkę. Jego przełożony odpowiedział po sześciu dzwonekach. - Dafoe? Mówi Polowski.

- Wiesz, która jest godzina?

- Widziałeś ostatnie wiadomości?

- Jestem już w łóżku.

- Mówią o Virateku. Cisza.

- Tak, wiem. Dałem na to pozwolenie.

- Co to za bzdury o szpiegostwie przemysłowym? Robią z Hollanda...

- Polowski, zostaw to.

- Od kiedy stał się podejrzanym w sprawie o morderstwo?

- Posłuchaj, przyjmij to za przykrywkę. Chcę go mieć. Dla jego własnego dobra.

- I dlatego poszczułeś go policją?

- Powiedziałem ci, żebyś to zostawił.

- Ale...

- Zabieram ci tę sprawę. Dafoe odłożył słuchawkę.

Sam z niedowierzaniem spojrział na telewizor. Zabierasz mi tę sprawę? Rąbnął słuchawką tak mocno, że fiolka z aspiryną spadła ze stolika.

To ci się tylko tak wydaje.

- Chyba już dosyć usłyszałem - powiedział Jack.

- Ten człowiek ma wyjść z mojego domu. I to natychmiast.

- Jack, proszę cię! Daj mu szansę...

- Kupiłeś tę żalną historyjkę?

- Wierzę mu.

- Dlaczego?

- Ponieważ ocalił mi życie.

- Jesteś idiotką, laleczko. - Jack sięgnął po telefon  
- Słyszałaś, co mówili w telewizji. Jest poszukiwany za morderstwo. Jeżeli nie zadzwonisz na policję, ja to zrobię.

Podnosił słuchawkę, gdy Victor złapał go za rękę.

- Nie. - Chociaż jego głos był spokojny, brzmiał w nim jakiś autorytet nie do zakwestionowania.

Mężczyźni patrzyli na siebie.

- To było nie tylko morderstwo - zauważył Victor. - W grę wchodzi śmiertelnie groźne badanie. Produkcja nielegalnej broni. Sprawa może sięgać aż do Waszyngtonu.

- Do kogo w Waszyngtonie?

- Kogoś u władzy. Kogoś, kto ma fundusze federalne i może zlecić takie badania.

- Rozumiem. Jakiś wysoki urzędnik państwowy lata luzem i wykańcza naukowców. Z pomocą FBI.

- Jerry nie był zwykłym naukowcem. Miał sumienie. Był informatorem, który miał przedstawić prasie dowody i spowodować wstrzymanie eksperymentów. Skutki polityczne mogły być katastrofalne dla całej administracji.

- Zaczekaj. Mówimy o Białym Domu?

- Być może. Jack parsknął.

- Holland, ja robię horrory klasy B, ale w nich nie mieszkam.

- To nie jest film. To rzeczywistość. Prawdziwe kule, prawdziwe ofiary.

- Kolejny powód, z jakiego nie chcę mieć z tym nic wspólnego. - Jack zwrócił się do Cathy. - Przepraszam cię, złotko. Nie obrażaj się, ale nie podoba mi się towarzystwo, w którym się obracasz.

- Jack! Musisz nam pomóc!

- Tobie pomogę, ale jemu nigdy w życiu. Wariaci i przestępcy to dla mnie za dużo.

- Słyszałaś, co ci powiedział! Wrabiają go!

- Jesteś taka łatwowierna.

- Tylko w stosunku do ciebie.

- Cathy, w porządku - uspokoił ją Victor. - Wychodzę stąd.

- Nie. - Zerwała się na równe nogi i podeszła do byłego męża. Popatrzyła mu prosto w oczy z takim oskarżeniem, że Jack powinien zapaść się pod ziemię. - Jesteś mi to winien. Za wszystkie lata naszego małżeństwa, które zainwestowałam w twoją karierę, twoją firmę,

twoje idiotyczne filmy. Masz ten dom. Jaguara. Konto w banku. Nigdy cię o nic nie prosiłam, bo nie chciałam niczego ocalić z tego małżeństwa poza swoją własną duszą. Ale teraz cię proszę. Ten człowiek dziś w nocy ocalił mi życie. Jeżeli kiedykolwiek zależało ci na mnie, jeżeli choć trochę mnie kochałeś, to zrobisz to dla mnie.

- Ukryję przestępcę?

- Do czasu, aż ustalimy, co zrobić.

- A jak długo to potrwa? Kilka tygodni? Miesiące?

- Nie wiem.

- To mi się podoba. Zdecydowana odpowiedź.

- Potrzebuję czasu, żeby się dowiedzieć, co Jerry chciał udowodnić. Nad czym pracuje Viratek... - zaczął Victor.

- Miałeś jego papiery - przerwał mu Jack. - Dlaczego nie przejrzałeś tej cholerniej teczki?

- Nie jestem wirusologiem. Nie potrafiłem zinterpretować danych. To był jakiś łańcuch RNA, zapewne genom wirusa. Większość z tych danych była zakodowana. Jednego tylko jestem pewien: ten projekt nosił nazwę „Cerber”.

- Gdzie są teraz te dowody?

- Straciłem teczkę. Była w moim samochodzie wtedy, kiedy zostałem postrzelony. Na pewno ją odzyskali.

- A film?

Victor zapadł się w fotelu, jego twarz jakby się nagle skurczyła ze znużenia.

- Miałem nadzieję, że Cathy... - Westchnął. - Też go straciłem.

- Wiem, gdzie jest film. Zapadła długa cisza.

- Co? - Victor podniósł głowę i wbił w nią wzrok.

- Nie wierzyłam ci, na początku. Nie chciałam ci powiedzieć, zanim nie będę całkiem pewna...

Victor zerwał się na równe nogi.

- Gdzie on jest? - Wzdrygnęła się, słysząc jego ostry ton. Musiał się zorientować, że ją przestraszył, bo następne słowa były już spokojniejsze. - Potrzebuję go, Cathy. Zanim go znajdą. Gdzie jest?

- Sarah znalazła go w moim samochodzie. Nie wiedziałam, że jest twój! Myślałam, że to film Hickeya.

- Kto to jest Hickey?

- To fotograf, mój przyjaciel. Spieszył się na lotnisko - ciągnęła. - W ostatniej chwili zostawił mi kilka rolek filmu. Prosił, żebym mu je

przechowała, dopóki nie wróci z Nairobi. Ale wszystkie jego filmy mi skradziono.

- A moja rolka? - zapytał Victor.

- Była w kieszeni mojego szlafroka tej nocy, kiedy Sarah... -  
Urwała. - Po powrocie do San Francisco wysłałam film pocztą do  
pracowni Hickeya.

- Gdzie ona jest?

- Na Union Street. Wysłałam go dziś po południu.

- Powinien dojść jutro. - Victor zaczął przemierzać pokój. -  
Musimy po prostu zaczekać na listonosza.

- Ale ja nie mam klucza.

- Znajdziemy na to jakiś sposób.

- Świetnie - westchnął Jack. - Teraz zrobi z ciebie włamywaczkę.

- Chcemy tylko odzyskać film! - zawołała Cathy.

- To w dalszym ciągu jest włamanie, rybko.

- Nie musisz brać w tym udziału.

- Ale chcesz, żebym ukrywał włamywaczy.

- Tylko na jedną noc, Jack. O nic więcej cię nie proszę.

- To zabrzmiało jak moja kwestia w scenariuszu.

- A twoje kwestie zawsze działają, prawda?

- Nie tym razem.

- No to zastanów się nad czymś innym. 1988 rok. Zeznanie  
podatkowe. A może raczej jego brak.

Jack rzucił gniewne spojrzenie Victorowi, a potem Cathy.

- To był cios poniżej pasa.

- Twoje najczulsze miejsce. Pomyśl o czymś jeszcze. Badanie  
bilansu. Urząd skarbowy. Więzienie.

- Dobrze, dobrze! - Jack w geście rozpaczy podniósł ręce do  
góry. - Boże, nienawidzę tego słowa.

- Którego? Więzienie?

- Nie śmieć się, kwiatuszku. Może niedługo dotyczyć nas  
wszystkich. - Odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim Cathy.

- Pościelić łóżka. Mam gości, którzy zostają na noc...

- Możemy mu zaufać? - zapytał Victor.

Cathy opadła na kanapę i nagle cała energia z niej wyparowała.  
Zamknęła oczy.

- Musimy. Nie mamy dokąd iść.

Poczuła, że Victor siada przy niej. Nie powiedział ani słowa, ale wiedziała, że się jej przypatruje.

Otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie. Tak mocne, tak intensywne, że dodało jej sił.

- Wiem, że nie było to dla ciebie łatwe - zauważył.

- Poprosić Jacka o przysługę.

Uśmiechnęła się.

- Zawsze chciałam mu wygarnąć. - Z żalem dodała:

- Aż do dzisiaj nigdy mi się to nie udało.

- Coś mi się zdaje, że wygarnianie ludziom nie należy do twojego stałego repertuaru.

- Raczej nie. Jeżeli chodzi o bezpośrednią konfrontację, to zupełnie nie mam jaj.

- Jak na kogoś bez jaj, poszło ci zupełnie dobrze. Szczerze mówiąc, byłaś wspaniała.

- To dlatego, że nie walczyłam o siebie.

- Nie uważasz siebie za kogoś, za kogo warto zawalczyć?

Wzruszyła ramionami.

- Tak mnie wychowano. Walka o swoje nie przystoi damie, natomiast stanąć w obronie innych jest okej.

Skinął głową z ponurą miną.

- Poświęcanie się. Piękna kobieca tradycja.

- Powiedział mężczyzna, który dobrze zna kobiety.

- Tylko dwie. Moją matkę i moją żonę.

Na wspomnienie jego zmarłej żony Cathy zamilkła.

Zastanawiała się, jak miała na imię, jak wyglądała, czy bardzo ją kochał. Pewnie tak, bo wcześniej tego wieczoru, kiedy mówił o jej śmierci, słyszała w jego głosie ból. Poczuła nieoczekiwane ukłucie zazdrości, że ta bezimienna kobieta była tak kochana. Czego ona by nie dała za to, żeby ją ktoś tak pokochał! Stłumiła tę myśl, zawstydzona faktem, że może być zazdrosna o nieżyjącą już kobietę.

- Jack nam pomoże - oznajmiła pewnym głosem. - Przynajmniej dzisiaj.

- Z tym podatkiem to był szantaż, prawda?

- Jest roztrzepany. Po prostu przypomniałam mu o jego przeoczeniu.

Victor potrząsnął głową.

- Zdumiewasz mnie. Skaczesz po dachach i szantażujesz byłych mężów.

- Święta racja - zakonkludował Jack, który znów pojawił się na dole. - Zdumiewająca kobieta. Już się nie mogę doczekać, co nowego wymyśli.

Cathy wstała, ale ledwo trzymała się na nogach.

- Teraz jestem gotowa na wszystko. - Ruszyła w stronę schodów.  
- Byleby tylko utrzymać się przy życiu.

Jej kroki ucichły w głębi holu. Mężczyźni przyjrzeni się sobie w milczeniu.

- No tak - odezwał się Jack z wymuszoną swobodą. - Co robimy teraz? Partyjka scrabble'a?

- Może pasjansa - odrzekł Victor, podnosząc się z kanapy. Nie miał ochoty na przerzucanie się żarcikami z Jackiem Zuckermanem.

Facet jest śliski i egocentryczny, i najwidoczniej zmienia kobiety jak rękawiczki. Victorowi trudno było sobie wyobrazić, co taka kobieta jak Cathy mogła w nim widzieć. Oprócz tego, że jest przystojny i bogaty. Typowy bezmózgowiec z furą kasy. Może to ta kombinacja ją zaślepiała.

- Zuckerman, kochasz jeszcze swoją byłą żonę? Jack wyglądał na lekko zdziwionego tym pytaniem.

- Czy ją kocham? Zaczekaj, pomyślę. Nie, chyba nie. Ale darzę ją sentymentem, po dziesięciu latach małżeństwa. I mam dla niej szacunek.

- Szanujesz ją? Ty?

- Tak. Jej zdolności i umiejętności techniczne. Jest moją najlepszą charakteryzatorką.

Oto co jest dla niego ważne. Atuty, które może obrócić na swoją korzyść. Myśli tylko o sobie, palant. Victor pomyślał, że gdyby był ktoś inny, do kogo mógłby się zwrócić, na pewno by to zrobił. Ale jedyny człowiek, któremu ufał - Jerry - nie żyje. Jego pozostali przyjaciele mogą już być pod obserwacją. A poza tym nie mieszczą się w tym przedziale podatkowym, który pozwalałby na posiadanie ukrytej w lesie prywatnej posiadłości. Jack mógłby też pomóc w przewiezieniu Cathy w bezpieczne miejsce.

- Mam propozycję - powiedział Victor.

Twarz Jacka natychmiast przybrała podejrzliwy wyraz.

- Jaką?

- To mnie szukają, nie Cathy. Nie chcę stawiać jej w bardziej niebezpiecznej sytuacji, niż już jest.

- Ładnie z twojej strony.

- Będzie lepiej, jeżeli się stąd wyniosę. Zostawię ją z tobą, ale dopilnujesz, żeby była bezpieczna?

Jack zaczął się kręcić i przyglądać swoim stopom.

- Tak, chyba tak. Myślę, że tak.

- Nie myśl. Dopilnujesz?

- Słuchaj, w przyszłym miesiącu będziemy kręcić film w Meksyku. Sceny w dżungli, czarne laguny i te rzeczy. Tam chyba będzie bezpiecznie.

- To w przyszłym miesiącu. A teraz?

- Coś wymyślę. Ale najpierw zniknij. Bo to z twojego powodu znalazła się w kłopotach.

Victor nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Jutro już mnie tu nie będzie.

- Dobrze.

- Zajmij się Cathy. Wywieź ją z miasta. Z kraju.

- W porządku.

W sposobie, w jaki Jack to powiedział, w jego beztroskim tonie, było coś, co sprawiło, że Victor zastanowił się, czy ten człowiek dba o kogoś poza sobą. Ale w tym momencie Victor nie miał wyboru. Musiał zaufać Jackowi Zuckermanowi.

Kiedy wszedł na górę, zdał sobie sprawę, że rankiem musi się pożegnać z Cathy. A przecież wytworzyła się pomiędzy nimi jakaś więź. On zawdzięczał jej życie, a ona jemu. Takich zobowiązań nie można łatwo przekreślić. Nawet gdyby mieli się już nigdy nie zobaczyć.

W holu na górze zatrzymał się przed drzwiami. Słyszał, jak Cathy otwiera i zamyka szuflady, a potem zatrzeszczały sprężyny. Zapukał do drzwi.

- Cathy?

Zapadła cisza, a potem usłyszał:

- Wejdz.

Pokój oświetlała tylko mała lampka. Cathy siedziała na łóżku ubrana w męską koszulę. Włosy mokrymi falami spływały jej na ramiona. Pokój pachniał mydłem i szamponem. Przypominał mu żonę, zapach prysznic i kobiecej słodyczy. Stał tak, dręczony uczuciem



tęsknoty, jakiej nie odczuwał od ponad roku, tęsknoty za ciepłem, miłością, kobietą. Nie jakąś kobietą. Nie był taki jak Jack, któremu wystarczało jędrne ciało, byle odpowiednio wyposażone. Victor pragnął serca i duszy.

Lily nie była piękna, lecz nie była też nieatrakcyjna. Nawet pod koniec, gdy choroba ją wyniszczyła, w oczach miała światło, iskierkę tłącego się w niej ducha.

Tę samą iskierkę zobaczył w oczach Catherine tej nocy, gdy uratowała mu życie. I tę samą iskierkę widział teraz.

Siedziała oparta o poduszki. Patrzyła na niego wyczekująco, z odrobiną lęku. Trzymała w garści kilka chusteczek higienicznych. Dlaczego płakała?

Stanął w drzwiach. Ich spojrzenia się spotkały.

- Rozmawiałem z Jackiem - zaczął. Kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała.

- Zgodziliśmy się, że lepiej będzie, jeżeli zniknę stąd jak najszybciej. Wyjadę rano.

- A co z filmem?

- Zdobędę go. Daj mi tylko adres Hickeya.

- Tak. Oczywiście. - Popatrzyła na zmięte chusteczki. Widać było, że chce coś powiedzieć. Podszedł do łóżka i usiadł. Ten słodki zapach kobiecości był urzekający. Dekolt obszernej koszuli sięgał na tyle głęboko, że ukazywał kuszący skrawek ciała kryjący się w półcieniu. Zmusił się, by skoncentrować się na jej twarzy.

- Cathy, wszystko będzie dobrze. Jack powiedział, że zaopiekuje się tobą. Wywiezie cię z miasta.

- Jack? - Zaśmiała się krótko.

- Z nim będziesz bezpieczniejsza. Nawet nie wiem, dokąd pojedę. Nie chcę cię wciągać w tę...

- Już mnie wciągnąłeś. Jestem w tym po szyję. Co mam teraz zrobić? Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać, aż wszystko wyjaśnisz. Jestem to winna Sarah...

- A ja jestem winien tobie, aby nie stała ci się krzywda.

- Myślisz, że możesz przekazać mnie Jackowi i wszystko będzie znów w porządku? Nie. Sarah nie żyje. Jej dziecko nie żyje. I to jest także moja wina.

- Nie, Cathy...

- To moja wina! Czy wiesz, że leżała na podjeździe przez całą noc? W deszczu. W zimnie. Tam umierała, a ja spałam! - Ukryła twarz w dłoniach. Poczucie winy, które torturowało ją od śmierci Sarah, znalazło wreszcie ujście. Nie mogła dłużej powstrzymać łez.

Reakcja Victora była instynktownie męska. Przyciągnął ją do siebie i ofiarował ciepłe miejsce do wypłakania się. Kiedy tylko poczuł, że ulokowała się wygodnie w jego ramionach, zrozumiał, że popełnił błąd. Zbyt dobrze do siebie pasują. To jest jej miejsce, przy jego sercu. Victor przycisnął usta do jej włosów i wciągnął w płuca podniecający zapach mydła i rozgrzanej skóry. I ta miękkość twarzy, ten jedwabisty połysk ramienia wychylającego się spod koszuli. Gładził jej włosy, mrużąc pod nosem słowa pociechy, i myślał, że musi ją opuścić. Dla jej dobra. Bo inaczej zabiją ich oboje.

- Cathy. - Musiał użyć całej siły woli, aby się od niej oderwać. Położył ręce na jej ramionach i zmusił, by na niego popatrzyła. - Musimy jutro o tym porozmawiać.

Kiwnęła głową i starła z policzków łzy.

- Jedź z Jackiem do Meksyku. Gdziekolwiek. Po prostu zniknij.

- A ty co zrobisz?

- Obejrzę ten film, zobaczę, jakie są na nim dowody.

- A potem?

- Jeszcze nie wiem. Może pójde z tym do gazet. Bo z pewnością nie do FBI.

- Skąd będę wiedziała, że nic ci się nie stało? Jak się z tobą skontaktuję?

Zastanawiał się nad tym, chociaż trochę rozpraszał go jej zapach. Przyłapał się na tym, że gładzi skórę jej ramienia, dziwiąc się, jaka jest delikatna. Zatrzymał wzrok na jej twarzy, na jej zmartwionych wyraźnie oczach.

- Co drugą niedzielę dam ogłoszenie w „Los Angeles Times”. Będzie skierowane do, powiedzmy, Cory. Znajdziesz tam wszystko, co będę chciał ci przekazać.

- Cora. Zapamiętam.

Popatrzyli na siebie w cichym porozumieniu, akceptując konieczność tego rozstania. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował jej usta, a potem wstał i ruszył w stronę drzwi. Nie mógł się powstrzymać, aby nie zapytać:

- Naprawdę dasz sobie radę?

Kiwnęła głową, ale zrobiła to zbyt odruchowo. Tak jakby kwitowała jakieś nieważne pytanie.

- Oczywiście. Przecież Jack się mną zaopiekuje. Nie umknęła mu nutka ironii w jej odpowiedzi.

Najwidoczniej Jack nie wzbudza zaufania w żadnym z nich. Ale czy jest wybór? Miałby ciągnąć ją za sobą jak ruchomy cel? Nacisnął klamkę. Nie, tak jest znacznie lepiej. Już zdemolował jej życie; nie miał zamiaru porzucić jeszcze kawałków.

Gdy wychodził, Cathy siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę. Koszula zsunęła się z ramienia. Przez chwilę wydawało mu się, że płacze. Potem podniosła głowę i nie zobaczył już w jej oczach łez. To było coś znacznie bardziej wzruszającego, czystego, jasnego i pięknego. To była odwaga.

W bladym świetle poranka Savitch stanął przed domem Jacka Zuckermana. Poprzez mgiełkę obserwował zasłonięte okna, próbując wyobrazić sobie mieszkańców. Zastanawiał się, kim są, w którym śpią pokoju i czy jest pomiędzy nimi Catherine Weaver. Niedługo się dowie.

Schował czarny notesik, który zabrał z mieszkania kobiety. Na wewnętrznej stronie okładki widniał napis „C. Zuckerman” i adres w Pacific Heights. Nazwisko było przekreślone i zastąpione innym, „Weaver”. Rozwódka, wywnioskował. Pod „Z” znalazł obszerne hasło „Jack”, z kilkoma numerami telefonów i adresami, zarówno zagranicznymi, jak i krajowymi. Jej były mąż, upewnił się po krótkiej rozmowie z inną osobą z notesika. Wyciąganie informacji od obcych ludzi jest proste. Wymaga tylko pewności siebie oraz identyfikatora. Tego samego, którego zamierzał użyć teraz.

Obejrzał dom po raz ostatni, odnotowując w pamięci wypielegnowane trawniki i krzewy, treliaż z rozpiętą na nim, zimującą teraz, wisterią. Człowiek sukcesu, ten Jack Zuckerman. Savitch zawsze podziwiał bogatych mężczyzn. Poprawił marynarkę, by się upewnić, że szelki z bronią nie są widoczne. Potem przeszedł przez ulicę, skierował się do frontowych drzwi i zadzwonił.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obudziły ją pierwsze promienie słońca. Nie było to łagodne odzyskiwanie świadomości, lecz szarpnięcie. Od razu wiedziała, że nie jest w swoim własnym łóżku i że stało się coś okropnego. Zerwała się na równe nogi i zaczęła ubierać się w półmroku. Muszę być gotowa do ucieczki...

Skrzypienie desek podłogowych w sąsiednim pokoju powiedziało jej, że Victor też się już obudził i zapewne robi plany na ten dzień. Pogrzebała w szafie, szukając rzeczy, których mógłby potrzebować. Znalazła jedynie nylonową torbę na zamek błyskawiczny i płaszcz przeciwdeszczowy. W szufladach komody były męskie skarpetki, a także damska bielizna. Do diabła z tobą, Jack, i z wszystkimi twoimi panienkami, pomyślała z nagłą irytacją i zasunęła głośno szufladę. Trzask rezonował w pokoju, kiedy po domu rozniósł się echem inny dźwięk.

To był dzwonek do drzwi.

Siódma rano, za wcześnie na gości. Nagle jej drzwi się otworzyły. Zobaczyła Victora i jego spiętą twarz.

- Co robimy? - zapytała.
- Przygotuj się. Zjeżdżamy stąd. I to szybko.
- Są tylne drzwi...
- Idziemy.

Byli już prawie u szczytu schodów, kiedy usłyszeli zaspany głos Jacka dochodzący z dołu.

- Idę już, do cholery! Przestańcie łomotać, idę... Dzwonek odezwał się znowu.

- Nie otwieraj! - syknęła Cathy. - Jeszcze nie...

W jednej chwili Victor pociągnął Cathy do tyłu, tak by nie było jej widać.

- Tak - usłyszeli. - Nazywam się Jack Zuckerman. Kim pan jest?

Gość mówił bardzo cicho. Słyszeli tylko, że to mężczyzna.

- Naprawdę? - W głosie Jacka usłyszeli panikę. - Pan jest z FBI? A co, do cholery, może chceć FBI od mojej byłej żony?

Cathy spojrzała na Victora. W jego oczach wyczytała przestрах i pytanie: którądy do tylnego wyjścia?

Wskazała na sypialnię na końcu holu. Skinął głową. Oboje przeszli po dywanie na palcach, zdając sobie sprawę, że jeden

falszywy krok, jedno głośniejsze skrzyknięcie może wzbudzić w agencji podejrzenia.

- Mogę zobaczyć pański nakaz? Zaraz, zaraz, nie może pan tu tak po prostu wtargnąć!

Nie ma czasu, pomyślała Cathy, wchodząc do ostatniego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi.

- Okno! - powiedziała szeptem.

- Skaczemy?

- Nie. - Przebiegła przez pokój i szybko otworzyła okno. - Treliaż!

Popatrzył z powątpiewaniem na splecione pnącza wisterii.

- Jesteś pewna, że nas utrzyma?

- Tak, wiem - powiedziała, przekładając nogę przez parapet. - Kiedyś przyłapałam jedną z blondynek Jacka, jak zwisała w nocy z gałęzi. A wierz mi, że to była duża dziewczyna. - Spojrzała w dół i ogarnęła ją fala mdłości spowodowana lękiem wysokości. - Boże - mruknęła - dlaczego ciągle wylazimy przez okna?

Z głębi domu doszedł ich oburzony krzyk Jacka:

- Niech pan tam nie wchodzi! Gdzie jest nakaz?

- Szybciej! - rzucił Victor.

Cathy zsunęła się na treliaż. Gałęzie drapały ją po twarzy, gdy schodziła w dół. W chwilę później wylądowała na mokrej trawie, a Victor obok niej. Natychmiast zerwali się na nogi i rzucili w stronę zarośli. Gdy skryli się za krzewami azalii, usłyszeli, że okno na piętrze otwiera się, a potem doszedł do nich głos Jacka:

- Znam swoje prawa! To przeszukanie jest nielegalne! Zadzwoń do prawnika!

Żeby nas tylko nie zauważył! - modliła się Cathy, chowając się jak najgłębiej w gąszczu. Czowała, jak Victor osłania jej plecy, a jego ręce ciasno ją obejmują. Jego oddech był gorący i urywany. Przez całą wieczność leżeli w mokrej trawie, a wilgotna mgła przyprawiała ich o drżenie.

- Widzi pan? - usłyszeli słowa Jacka. - Nie ma tu nikogo oprócz mnie. A może chce pan sprawdzić garaż?

Okno się zamknęło. Victor lekko popchnął Cathy.

- Idź - wyszeptał. - Do końca żywopłotu.

Mokre dzinsy były lodowate, podrapane dłonie krwawiły, ale była zbyt oziębiała ze strachu, by odczuwać ból. Dobrnęła do ostatniego

krzewu i zatrzymała się, żeby odgarnąć włosy z twarzy. Victor był tuż za nią.

- Biegnij! - usłyszała.

Rzucili się przed siebie jak para wystraszonych królików, pokonując dwadzieścia metrów trawnika. Kiedy zasłonił ich sąsiedni dom, biegli dalej, obok zaparkowanych samochodów i porannych przechodniów. Pięć przecznic dalej wpadli do baru kawowego, skąd przez frontowe okno wyjrzeli na ulicę, wypatrując pościgu. Zobaczyli tylko typowy poniedziałkowy ranek: ruch pojazdów na ulicy, ludzi w płaszczach i szalikach.

Od strony grilla dochodził syk i skwierczenie bekonu, a z kontuaru zapach świeżo zmielonej kawy. Aż zabolą ich myśl, że razem mają tylko czterdzieści dolarów. Cholera jasna, dlaczego nie wyżebrała, nie pożyczyła albo nie ukradła Jackowi trochę pieniędzy?

- I co teraz? - zapytała, mając nadzieję, że Victor zaproponuje jej śniadanie, on tymczasem wyjrzał jeszcze raz na ulicę.

- Chodźmy.

- Dokąd?

- Do studia Hickeya.

- Aha. - Zawiedziona, westchnęła. Kolejny długi spacer, i to wszystko na pusty żołądek.

Za szybą przejechał samochód z naklejką na zderzaku: Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

Boże, mam nadzieję, że będzie lepsza, pomyślała. Potem wyszła za Victorem.

Larry Dafoe siedział przy biurku i regulował swój wspaniały fotel - symbol jego władzy. Zawsze twierdził, że siła górnej połowy ciała jest kluczem do sukcesu. Napompować mięśnie, wypełnić sobą marynarkę rozmiar czterdzieści cztery, i masz klatę, która robi wrażenie na każdej kobiecie i zastraszy każdego rywala. A z fotela za siedemset dolców to nawet nie musisz już wstawać.

Sam Polowski obserwował, jak przełożony męczy się z systemem metalowych linek i bloczków, myśląc, że całe to urządzenie wygląda jak egzotyczne narzędzie tortur.

- Zrozum - Dafoe ledwo łapał powietrze - że chodzi tu o sprawy, o których nie masz pojęcia.

- Takie jak? - zapytał Polowski.

Dafoe puścił dźwignię i popatrzył na niego. Twarz mu błyszczała od potu i zdrowego wysiłku.

- Gdybym mógł ci powiedzieć, to chyba bym to już dawno zrobił, nie uważasz?

- Dalej nie rozumiem - odparł. - Po co ścigać tego całego Victora Hollanda?

- To nie ty decydujesz - rzekł Dafoe.

- Dałem Hollandowi słowo, że nie będzie miał kłopotów.

- On jest częścią tych kłopotów! Najpierw twierdzi, że ma dowody, a potem znika.

- To trochę moja wina. Nie dojechałem na spotkanie.

- To dlaczego nie próbował się z tobą skontaktować?

- Nie wiem. - Polowski westchnął i potrząsnął głową. - Może nie żyje.

- Powinniśmy go odszukać. Popracuj nad aktami sprawy Lanzana. Albo idź do domu. Wyglądasz okropnie.

- Dobrze, dobrze. - Polowski wyszedł z gabinetu szefa, ale w drzwiach jeszcze słyszał, jak Dafoe zrzędzi.

Podszedł do swojego biurka i przyjrzał się kolekcji leków na przeziębienie, aspirynie i syropowi na kaszel. Wziął podwójną dawkę wszystkiego. Potem sięgnął do teczki i wyjął akta sprawy Virateku.

Pogrzebał w prywatnym zbiorze nabazgranych notatek, numerów telefonów i wycinków. Zastanowiło go powiązanie Hollanda z tą Weaver. Pierwszy raz zobaczył jej nazwisko na karcie szpitalnej, a potem zaskoczyło go, gdy usłyszał, że coś ją łączy z ofiarą morderstwa w Garberville. Za wiele zbiegów okoliczności, zawilosci i nagłych zwrotów akcji. Czy jest tu coś oczywistego, czego nie dostrzega? Czy ta kobieta coś wie?

Sięgnął po telefon i nakręcił numer posterunku w Garberville. Powinni wiedzieć, jak dotrzeć do świadka. Może przez nią odnajdzie Victora Hollanda. Szansa nie jest duża, ale...

Człowiek, który zadzwonił do drzwi, wyglądał jak pień drzewa ubrany w brązowy garnitur z poliestru. Jack otworzył drzwi i zakomunikował:

- Niczego od pana nie kupię.

- Niczego nie sprzedaję, panie Zuckerman. Jestem z FBI.

Jack westchnął.

- Co? Znowu?

- Agent specjalny, Sam Polowski. Próbuję znaleźć kobietę. Nazywa się Catherine Weaver, poprzednio nazywała się Zuckerman. Wydaje mi się...

- Jeden z waszych agentów już tu był dzisiaj rano. Niech pan z nim pogada!

- Nasz agent? - Mężczyzna się zasepił.

- Tak. I mam zamiar złożyć przeciwko niemu skargę. Wdarł się tu bez nakazu i przeszukał cały dom.

- Jak wyglądał?

- A czy ja wiem? Ciemne włosy, dobrze zbudowany. Przydałby mu się kurs dobrych manier.

- Mojego wzrostu?

- Wyższy. Chudszy. O wiele więcej włosów.

- Podał nazwisko?

- Nie, nie przedstawił się. Polowski wyciągnął odznakę FBI.

- Pokazał panu taką?

- Nie. Zapytał tylko o Cathy i jakiegoś faceta o nazwisku Victor Holland. Czy wiem, gdzie ich znaleźć.

- Powiedział mu pan?

- Temu chamowi? - Jack roześmiał się. - Nie powiedziałbym mu nawet, która jest godzina. W życiu nie powiedziałbym mu, że... - Jack przerwał i odchrząknął. - Nie miałem zamiaru nic mu mówić, nawet gdybym coś wiedział. Ale nie wiem.

Polowski wsunął odznakę do kieszeni.

- Chyba powinniśmy porozmawiać, panie Zuckerman.

- O czym?

- O pana byłej żonie. Ma duże kłopoty.

- O tym - westchnął Jack - to ja dobrze wiem.

- Grozi jej niebezpieczeństwo. Nie mogę podać panu wszystkich szczegółów, bo ich nie znam. Ale wiem, że jedna kobieta już zginęła. Pańska żona...

- Moja była żona.

- Pańska była żona może być następna.

Jack tylko popatrzył na niego bez przekonania.

- Jest pańskim obowiązkiem obywatelskim powiedzieć mi, co pan wie - przypomniał mu Polowski. - Niech pan posłucha, będzie pan współpracował, to się jakoś dogadamy. - Jack nie odwzajemnił jego



uśmiechu. - Panie Zuckerman, mogę do pana mówić „Jack”? Jack, powie mi pan, gdzie ona jest? Zanim będzie za późno?

Jack skrzywił się. Postukał palcami we framugę, zastanowił się. W końcu szerzej otworzył drzwi.

- Jestem przestrzegającym prawa obywatelem, więc to chyba mój obowiązek. - Niechętnie wskazał agentowi gestem, że ma wejść. - Dobrze, panie Polowski. Powiem panu to, co wiem.

Szyba w oknie rozprysnęła się, sypiąc wokół odłamkami szkła. Cathy aż się wzdrygnęła.

- Przepraszam cię, Hickey - mruknęła pod nosem.

- Jakoś mu to wynagrodzimy - odparł Victor, wyjmując z ramy resztki szyby. - Wyślemy mu czek. Widzisz kogoś?

Zlustrowała wzrokiem pasaż między domami. Poza pogniecioną gazetą walającą się pomiędzy kubłami na śmieci nic się nie poruszyło. Kilka przecznic dalej dźwięczały klaksony w kolejnym korku wzdłuż Union Street.

- W porządku - powiedziała cicho.

- Dobrze. - Victor położył kurtkę na parapecie. - Możesz wchodzić.

Weszła się do środka, lądując pomiędzy odłamkami szkła. Victor znalazł się obok kilka sekund później.

To była garderoba. Przy jednej ścianie stał wieszak z bielizną damską, przy drugiej toaletki i duże lustro.

Victor zmarszczył się na widok różowego jedwabnego peniuaru przewieszzonego przez oparcie krzesła.

- Jakie zdjęcia robi ten twój przyjaciel?

- Hickey specjalizuje się w czymś, co się nazywa, delikatnie mówiąc, portretem buduarowym.

Zdumione spojrzenie Victora napotkało czarny koronkowy negliż wiszący na ścianie.

- Czy to oznacza to, o czym myślę?

- A o czym myślisz?

- Sama wiesz.

Weszła do następnego pomieszczenia.

- Hickey upiera się, że to nie pornografia, tylko sztuka erotyczna w dobrym guście. - Zatrzymała się w pół kroku, bo stanęła twarzą w twarz z powiększonym aktem na ścianie. Nagie kończyny - osiem, a

może więcej - skrecone były niczym jakaś ludzka ośmiornica. Nie pozostawiono nic wyobraźni. Zupełnie nic.

- Bardzo gustowne - zauważył Victor sucho.
- To musi być jedno z jego komercyjnych zamówień.
- Zastanawiam się, jaki produkt sprzedaje.

Obróciła się i znalazła się oko w oko z innym zdjęciem. Przedstawiało dwie nagie kobiety, niezwykle atrakcyjne.

- Kolejne zamówienie komercyjne? - zapytał uprzejmie Victor.

W pokoju od frontu, pod drzwiami, leżał stos poczty z całego tygodnia, katalogi i druki reklamowe. Rolki filmu, który Cathy wysłała dzień wcześniej, nie znaleźli.

- Chyba musimy usiąść i poczekać grzecznie na listonosza - zaproponowała.

Pokiwał głową.

- Czy twój przyjaciel trzyma tu jakieś jedzenie?

- W sąsiednim pokoju jest lodówka. Zaprowadziła Victora do pomieszczenia, które Hickey nazywał „galerią zdjęciową”. Cathy nacisnęła przycisk i wielki pokój w jednej chwili zalały światła reflektorów.

- To tutaj robi zdjęcia - zauważył Victor, oślepiiony nagłym blaskiem. Przeszedł ponad zwojami kabli i powoli okrążył pokój, przyglądając się z żartobliwym niedowierzaniem różnym rekwizytom.

Kolekcja była przedziwna: prawdziwa angielska budka telefoniczna, ławka uliczna, rower treningowy. Honorowe miejsce zajmowało łóżko z baldachimem. Leżała na nim wiktoriańska kapa z falbanami, ale kajdanki zwisające u wezgłowia nie były już z epoki.

Victor podniósł je, a potem wypuścił z ręki.

- A ten Hickey, to bardzo bliski przyjaciel?

- Tych rzeczy wcale tu nie było, kiedy w zeszłym miesiącu robił mi zdjęcie.

- Fotografował cię? - Victor wlepił w nią wzrok.

Zaczerwieniła się, wyobrażając sobie, jakie obrazy muszą mu się przewijać przez myśl. Pewnie już widzi, jak leży rozciągnięta na tym idiotycznym łóżku. Oczywiście w kajdankach.

- Chciałam wyświadczyć mu przysługę...
- Przysługę?
- To było zwykłe komercyjne zdjęcie!
- Rozumiem.

- Byłam ubrana w kombinezon i miałam wyglądać na hydraulika.  
- Kobieta hydraulik?  
- Zastępstwo w ostatniej chwili. Jeden z jego modeli nie zjawił się i potrzebny był ktoś z pospolitą twarzą. A ja taka jestem. Pospolita. To była tylko twarz.

- I twój kombinezon.

- Tak.

Spojrzeni na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Mówiłaś, że jest tu jakieś jedzenie?

Podeszła do lodówki. W środku znalazła całą półkę filmów oraz słoik ogórków, kilka zwiędłych marchewek i pół salami. W zamrażalniku był natomiast prawdziwy skarb: mielona kawa i bochenek chleba.

- Uczta! - zakomunikowała z uśmiechem. Usiedli na łożu z baldachimem i żuli salami z na wpół rozmrożonym chlebem, popijając kawą. Dziwny był ten piknik - marchewka i ogórki na papierowych talerzykach pod gorącym światłem reflektorów.

- Dlaczego to powiedziałaś? - spytał.

- Co powiedziałam?

- Że jesteś pospolita. Tak pospolita, że możesz pozować jako hydraulik.

- Ponieważ jestem pospolita.

- Wcale tak nie uważam. A znam się na ludziach. Spojrzała na plakat z jedną z supermodelek Hickeya.

Dziewczyna patrzyła na nich z wystudowaną pewnością siebie.

- Przecież nie mogę się równać z nią.

- Ona jest czystą fantazją. To nie jest prawdziwa kobieta, tylko makijaż, lakier do włosów i sztuczne rzęsy.

- Wiem. Przecież to moja praca, zamiana aktorów w fantazję widza. Albo koszmar. - Wyłowiła ze słoika ostatni ogórek. - Miałam na myśli to, co jest w środku. Gdzieś w głębi duszy czuję się pospolita.

- Myślę, że jesteś niezwykła. A po ostatniej nocy wiem to już na pewno.

Spuściła wzrok na zwiędłą marchewkę rozciągniętą na papierowym talerzu jak miniaturowe zwłoki.

- Był taki czas... Myślę, że zawsze, kiedy jesteśmy jeszcze młodzi, czujemy się wyjątkowi. Ostatni raz tak się poczułam, kiedy wyszłam za Jacka. - Westchnęła. - Ale nie trwało to długo.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie wiem. Byłam zaślepiona? Miałam tylko dwadzieścia trzy lata, praktykowałam na planie. On był reżyserem. - Zrobiła małą przerwę. - To był car i Bóg.

- Aż takie zrobił na tobie wrażenie?

- Jack to potrafi. Może włączyć siłę, czar i po prostu oszołomić dziewczynę. A potem był szampan, kolacje, kwiaty. Nie od razu dałam się na to złapać i to sprawiło, że się mną poważnie zainteresował. Nie omdlewałam na jego widok. Myślał o mnie jak o wyzwaniu, o tym, że mnie w końcu zdobędzie. - Spojrzała na niego ze smutkiem. - Kiedy już tego dokonał, przerzucił się na większą i lepszą zdobycz. Wtedy zdałam sobie sprawę, że jestem zwykła. To nie jest przykre uczucie. Nie jest tak, że idę przez życie, pragnąc być kimś innym, kimś specjalnym.

- Kogo uważasz za niezwykłą osobę?

- Moją babcię. Ale ona już nie żyje.

- Sędziwe staruszki zawsze trafiają na tę listę.

- No dobrze. Matkę Teresę.

- Ona jest na wszystkich listach.

- Katharine Hepburn. Glorię Steinem. Moją przyjaciółkę Sarah. - Jej głos załamał się. Spojrzała na swoje ręce i dodała cicho: - Ale ona też nie żyje...

Obserwował ją spokojnie i ze współczuciem.

- Opowiedz mi o niej - poprosił. Cathy próbowała zdławić łzy.

- Była absolutnie wspaniała. Ale nie w taki sposób. - Wskazała na zdjęcie modelki Hickeya. - To był ten błysk w oczach. Doskonały spokój. Jak gdyby odkryła w sobie dokładnie to, czego chce, podczas gdy reszta z nas ciągle grzebała w ziemi w poszukiwaniu skarbu. Chyba się taka nie urodziła. Sama do tego doszła. W college'u mało miałyśmy pewności siebie. Małżeństwo nie pomogło żadnej z nas. Mój rozwód mnie zniszczył, ale Sarah stała się po swoim silniejsza. Nauczyła się dbać o siebie. Kiedy w końcu zaszła w ciążę, było to dokładnie tak, jak sobie zaplanowała. Bo widzisz, nie było ojca, tylko próbówka. Anonimowy dawca. Sarah często mówiła, że pierwotna

rodzina to nie był mężczyzna, kobieta i dziecko, tylko sama kobieta i dziecko. Uważałam, że jest odważna, żeby podjąć taki krok.

Odważniej szał ode mnie... W każdym razie była niezwykła. Niektórzy ludzie tacy po prostu są.

- Tak - zgodził się z nią. - Niektórzy. Spojrzała na niego. Patrzył na przeciwległą ścianę wzrokiem nieskończenie smutnym. Co wyłobilo mu na twarzy bruzdy bólu? Zastanawiała się, czy takie głębokie ślady mogą zostać kiedykolwiek wymazane. Są w życiu takie straty, których nigdy nie można przeboleć ani zaakceptować.

- Jaka była twoja żona? - zapytała cichym głosem. W pierwszej chwili nie odpowiedział. Po co o to zapytała? Dlaczego przywołuje takie straszne wspomnienia?

- Była dobra. Zawsze będę pamiętał jej dobroć.

- Jak miała na imię?

- Lily. Lillian Dorinda Cassidy. Długie nazwisko dla takiej małej kobietki. - Uśmiechnął się pod nosem. - Była drobniuteńka. Zawsze mnie to przerażało, że jest taka mała. Jak gdyby mogła się stłuc. Zwłaszcza pod koniec, kiedy straciła dużo na wadze. Wydawało się, że pozostała tylko para brązowych oczu.

- Młodo umarła.

- Miała trzydzieści osiem lat. To takie niesprawiedliwe. Nigdy nie paliła, bardzo rzadko sięgała po kieliszek wina. Nie chciała nawet jeść mięsa. Podejrzewaliśmy, że powodem choroby mogło być to, że dorastała w miasteczku leżącym dokładnie na linii wiatrów wiejących od strony elektrowni atomowej.

- Tak myślisz?

- Nigdy nie ma pewności. Dowiedzieliśmy się, że w tej okolicy w przynajmniej dwudziestu rodzinach zdarzyły się przypadki białaczki. Cztery lata walczyliśmy o wszczęcie śledztwa. Wykryto cały ciąg rażących zaniedbań od chwili otwarcia elektrowni. Cathy pokręciła głową z niedowierzaniem.

- I przez te wszystkie lata działała?

- Przypadki zaniedbań tak sprytnie ukrywano, że nawet komisje federalne nie miały o nich pojęcia.

- Zamknęli ją, prawda? Kiwnął głową.

- Nie odczuwam wielkiej satysfakcji z tego powodu. Lily już nie żyła, a wszystkie rodziny były wyczerpane walką. Chociaż czasami wydawało się nam, że walimy głową o ścianę, musieliśmy to robić.

Dla wszystkich kobiet takich jak Lily, na całym świecie. - Popatrzył w górę, na reflektory. - I znowu walę głową o ściany. Tylko że tym razem jest to chyba Wielki Mur. A stawką jest życie, twoje i moje.

Ich spojrzenia się spotkały. Siedziała bez ruchu, a on delikatnie gładził jej policzek. Przytrzymała jego rękę i przycisnęła ją do ust. Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Ich usta spotkały się w ostrożnym pocałunku.

- Przykro mi, że zostałam w to wmieszana - wyszeptał. - Ty i Sarah, i te dwie Cathy Weaver. Żadna z was nie chciała w tym uczestniczyć. W jakiś sposób udało mi się skrzywdzić was wszystkie.

- To nie twoja wina. To ten wiatrak, z którym walczysz. Ogromny niebezpieczny wiatrak. Nikt inny nie kruszyłby kopii, tylko by uciekł. A ty ciągle walczysz.

- Nie miałem wielkiego wyboru.

- Miałeś. Mogłeś po prostu pogodzić się ze śmiercią swojego przyjaciela. Przymknąć oko na to, co się dzieje w Virateku. Tak postąpiłby Jack.

- Aleja nie jestem Jackiem. Są takie sprawy, których nie można po prostu tak zostawić. Zawsze będę myślał o takich kobietach jak Lily. I tysiącach ludzi, którzy cierpią.

Na kolejną wzmiankę o zmarłej żonie Cathy poczuła, że powstaje między nimi nieprzekraczalna bariera - cień Lily, kobiety, której nigdy nie poznała. Odsunęła się, odczuwając natychmiast tęsknotę za dotykiem Victora.

- Myślisz, że dużo ludzi może zginąć?

- Tak uważał Jerry. Nie można przewidzieć rezultatu. Świat jeszcze nie zna skutków rażenia broni biologicznej. Chciałbym wierzyć, że to dlatego, że jesteśmy za mądrzy, aby igrać z naszym własnym samounicestwieniem. A potem myślę o tych wszystkich idiotycznych rzeczach, jakich ludzie dokonali w ciągu wieków, i to mnie przeraża...

- Czy broń wirusowa jest aż tak niebezpieczna?

- Jeżeli zmienisz kilka genów, sprawisz, że choroba stanie się bardziej zakaźna i podniesiesz ryzyko śmiertelności. Już same eksperymenty są ryzykowne. Mała nieostrożność w laboratorium i można przypadkowo zarazić miliony ludzi. I nie będzie lekarstwa. To jest ten rodzaj światowej katastrofy, o której naukowcy nie chcą nawet myśleć.

- Armagedon. Koniec świata. Nie rozumiem, dlaczego się na to pozwala.

- Konwencje międzynarodowe zabraniają takich prób. Ale zawsze znajdzie się jakiś szaleniec, który zechce mieć przewagę, czyli broń, której nie ma nikt inny.

Szalencie. Trzeba nim być, żeby nawet pomyśleć o użyciu takiej broni. Przypomniała sobie powieść, którą kiedyś czytała, o takiej właśnie epidemii, podczas której wymarły i szczyły miasta, a powietrze stało się trujące. Ale to były tylko koszmary science fiction. Oni zaś mają do czynienia z rzeczywistością.

Z budynku dobiegło ich gwizdanie. Usiedli, nasłuchując. Melodia wędrowała wzdłuż korytarza, coraz bliżej, aż zatrzymała się tuż za drzwiami. Usłyszeli szelest, a potem kłaśnięcie czasopism o podłogę.

- Jest! - zawołała Cathy, zrywając się na nogi. Victor biegł tuż za nią. Zauważyła ją natychmiast, na

samym szczycie stosu poczty: kopertę zaadresowaną jej pismem. Podniosła ją i rozerwała. Wypadła z niej rolka filmu. Karteczka, którą napisała do Hickeya, sfrunęła na podłogę. Z uśmiechem triumfu podniosła do góry plastikowy pojemnik.

- Jest twój dowód!

- Miejmy nadzieję. Gdzie jest ciemnia?

- Obok przebieralni. - Podała mu film. - Wiesz, jak go wywołać?

- Bawiłem się kiedyś w amatorską fotografię. Jeżeli tylko znajdę odczynniki... - Urwał i odwrócił się w stronę biurka.

Dzwonił telefon. Victor potrząsnął głową.

- Nie odbieraj - powiedział i udał się do ciemni. Usłyszeli, że włącza się automatyczna sekretarka.

Z taśmy popłynął gładki niczym jedwab głos Hickeya:

- Studio fotograficzne Hickmana von Trappa. Specjalizujemy się w gustownych i artystycznych zdjęciach form kobiecych...

- Gustownych? - roześmiał się Victor.

Dotarli do ciemni, kiedy nagranie się skończyło. Z głośnika dobiegł ich podenerwowany głos Jacka.

- Halo? Cathy? Jeżeli tam jesteś, podnieś słuchawkę i odezwij się. Szuka cię agent FBI, jakiś Polowski...

Cathy stanęła jak wryta.

- To Jack! - krzyknęła i wróciła do telefonu. Właściciel głosu coraz bardziej panikował.

- Nic nie mogłem na to poradzić, wydusił ze mnie to, co wiem o Hickeyu. Zjeżdżajcie stamtąd natychmiast!

Wiadomość urwała się w chwili, kiedy Cathy złapała za słuchawkę.

- Halo? Jack?

Usłyszała tylko ciągły sygnał. Trzęsącymi się rękami zaczęła wystukiwać numer telefonu Jacka.

- Nie ma czasu! - zawołał Victor.

- Muszę z nim porozmawiać... Wyrwał jej słuchawkę.

- Później! Musimy się stąd wynosić!

Kiwnęła głową i ruszyła w stronę drzwi. Tam się zatrzymała.

- Zaczekaj. Potrzebujemy pieniędzy!

Wróciła do biurka w recepcji i przeszukała szuflady. W pudełku z drobnymi były dwadzieścia dwa dolary.

Schowała pieniądze, a potem zerwała z wieszaka jeden ze starych płaszczy przeciwdeszczowych Hickeya.

- W porządku - oznajmiła. - Chodźmy.

Zatrzymał się tylko na chwilę, aby sprawdzić korytarz. Doszedł ich głuchym echem śmiech, a gdzieś wyżej zastukotały na drewnianej podłodze wysokie obcasy. Przebiegli przez hol i wyszli frontowymi drzwiami.

Słońce stało wysoko i wpatrywało się w nich jak oskarżycielskie oko. Szybko włączyli się w uliczny tłum biznesmenów i artystów korzystających z godziny lunchu, w cały ten szyk Union Street. Nikt nawet na nich nie spojrzał. Wśród tych wszystkich ludzi Cathy czuła się jednak widoczna, jak gdyby w tym jaskrawym miejskim pejzażu, wśród tłumów i betonu, stała się nagle ośrodkiem zainteresowania malarskiego oka.

Schowała się głębiej w fałdy płaszcza, marząc o tym, by zadziałał jak czapka niewidka. Victor przyspieszył i musiała biec, aby dotrzymać mu kroku.

- Dokąd idziemy?

- Mamy film. Chodźmy na dworzec autobusowy.

- A potem?

- Dokądkolwiek. Byle jak najdalej od tego miasta.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ten przeklęty agencik FBI znowu dzwoni do drzwi. Jack westchnął i otworzył.

- Już pan wrócił?

- Już, do cholery, wróciłem. Chcę wiedzieć, gdzie teraz mogę ich znaleźć.

- Powiedziałem panu. Na Union Street jest studio, którego właścicielem jest pan Hickman...

- Byłem w studiu tego von coś - tam - coś - tam.

- I nie znalazł ich pan?

- Jack, pan wiedział, że ich tam nie znajdę. Ostrzegł ich pan, prawda?

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego mnie pan prześladowuje. Próbowałem pomóc...

- Wyszli w pośpiechu. Drzwi były otwarte na oścież.

Zostawili jedzenie. Na biurku stała pusta kasetka na pieniądze.

Oburzony Jack postąpił krok do tyłu.

- Nazywa pan moją byłą żonę złodziejką?

- Nazywam ją kobietą zdesperowaną. A pana imbecylem, bo tyle pan namieszał. A więc gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Do kogo może się zwrócić?

- Nie znam takiej osoby.

- Niech pan pomyśli.

Jack patrzył na arogancką twarz agenta i zastanawiał się, jak istota ludzka może być tak nieatrakcyjna. Przecież proces naturalnej selekcji powinien wyeliminować niekorzystne geny. Jack potrząsnął głową.

- Naprawdę nie mam zielonego pojęcia,

Taka była prawda i Polowski musiał to wyczuć.

- Dlaczego ich pan ostrzegł?

- Bo... - Jack bezradnie wzruszył ramionami. - Nie wiem! Po pana wyjściu nie byłem pewien, czy postąpiłem słusznie. Nie wiedziałem, czy mogę panu zaufać. On panu nie ufa.

- Kto?

- Victor Holland. Myśli, że należy pan do jakiegoś spisku. Szczerze mówiąc, wyglądał mi na paranoika.

- Ma do tego pełne prawo. Biorąc pod uwagę to, co mu się dotychczas przytrafiło.

Polowski skierował się do drzwi.

- No i co teraz będzie?

- Dalej ich będę szukać.

- Gdzie?

- Myśli pan, że panu powiem? Proszę nie opuszczać miasta, panie Zuckerman - rzekł przez ramię. - Jeszcze pogadamy.

- Nie przypuszczam - mruknął Jack pod nosem, patrząc, jak agent wraca do samochodu.

Spojrzał w górę i zobaczył, że na niebie nie ma ani jednej chmurki. Uśmiechając się, zamknął drzwi.

W Meksyku też będzie słonecznie.

Ktoś wychodził stąd w pośpiechu.

Savitch przeszedł przez wszystkie pomieszczenia studia fotograficznego. Zauważył resztki jedzenia na łóżku: okruchy chleba, kawałek salami, pusty słoik po ogórkach. Zarejestrował też kubki po kawie: dwa. To dziwne, bo widział tylko jedną osobę wychodzącą ze studia - małego krępego mężczyznę w poliestrowym garniturze. Ten człowiek nie był tam długo. Savitch obserwował, jak wsiadał on do ciemnozielonego forda zaparkowanego na piętnaście minut. Tarcza parkometru wskazywała, że zostały mu jeszcze trzy minuty.

Savitch podjął obchód studia, odnotowując w myślach kiczowate zdjęcia i zastanawiając się, czy nie marnuje tu czasu. Przecież sprawdził wszystkie adresy z notesika tej kobiety i nic nie znalazł. Dlaczego miałyby być inaczej z adresem Hickmana von Trappa?

Nie mógł jednak pozbyć się uczucia, że jest blisko. Wszędzie były jakieś znaki. Odczytał je i złożył do kupy. Tego dnia do studia przyszły dwie głodne osoby. Weszły przez wybite okno w przebieralni. Zjadły resztki z lodówki. Opróżniły (chyba że zrobił to facet w tym paskudnym garniturze) kasetkę na pieniądze.

Savitch zakończył penetrowanie studia i wrócił do recepcji. Dopiero wtedy zauważył migające światelko na automatycznej sekretarce.

Nacisnął przycisk odtwarzania. Ilość nagranych wiadomości zdawała się nie mieć końca. Dotyczyły kogoś o imieniu Hickey - z pewnością Hickmana von Trappa z książeczki adresowej. Savitch leniwie przechadzał się po pokoju, słuchając kolejnych głosów.

Rozmowy o interesach, pytania o sesje, odbitki i czy nie zechciałby zrobić zdjęć do magazynu „Detektyw”? Przy drzwiach zatrzymał się i schylił, aby przejrzeć pocztę. Same śmieci, wszystko zaadresowane do von Trappa. W pewnej chwili zauważył luźną karteczkę. To był liścik do Hickeya.

„Głupio mi, ale ktoś ukradł wszystkie filmy z mojego samochodu. Został tylko jeden. Pomyślałam, że wyślę go do ciebie, zanim też się zawieruszy. Mam nadzieję, że wystarczy, żeby twoja sesja nie była kompletną stratą”.

Podpisany był „Cathy”.

Teraz rozumiał. Catherine Weaver? To musi być ona! Film - gdzie, do cholery, jest film?

Przerzucił pocztę, ale znalazł tylko rozdartą kopertę z adresem zwrotnym Cathy. Ze złością począł rozrzucać czasopisma po pokoju. Nagle zamarł, bo z automatycznej sekretarki dobiegła go kolejna wiadomość.

„Halo? Cathy? Jeżeli tam jesteś, podnieś słuchawkę i odezwij się. Szuka was agent FBI, jakiś Polowski... Zjeżdżajcie stamtąd natychmiast!”

Savitch podkraść się do telefonu jak dzikie zwierzę i wpatrywał się weń, kiedy mechanizm automatycznie przewijał taśmę do początku. Przesłuchał jeszcze raz ostatnią wiadomość. Zjeżdżajcie stamtąd natychmiast!

Nie miał już wątpliwości. Catherine Weaver była tutaj, a Victor Holland razem z nią. Ale kim jest ten cały Polowski i dlaczego poszukuje Hollanda? Przecież zapewniono go, że FBI odpuści sprawę. Trzeba to sprawdzić. Podszedł do okna i wlepił wzrok w jaskrawe słońce i zatłoczone ulice. Tyle twarzy, tylu obcych ludzi. Gdzie w takim wielkim mieście może się ukryć dwoje przerażonych uciekinierów? Odnalezienie ich będzie trudne, ale nie niemożliwe.

Wyszedł ze studia i udał się w kierunku automatu telefonicznego. Stamtąd nakręcił numer w Waszyngtonie. Nie był zadowolony, że musi prosić o pomoc Kowboja, ale nie miał wyboru. Victor Holland odzyskał dowód i nadszedł czas, aby przyspieszyć pogoń.

- Proszę przejść do następnego okienka! - zawołał kasjer i je zamknął.

- Niech pan zaczeka! - zawołała Cathy i zastukała w szybę. - Ucieknie mi autobus!

- Który?
- 23 do Palo Alto...
- Jest następny o siódmej.
- Ale...
- To moja przerwa na kolację.

Cathy patrzyła bezradnie, jak kasjer odchodzi. Z głośników usłyszała ostatnie wezwanie na pospieszny do Palo Alto. Rozejrzała się i zobaczyła, że właśnie rusza.

- Komunikacja już nie jest taka jak dawniej - mruknął pod nosem jakiś starszy mężczyzna za jej plecami. - Szybciej się dojedzie stopem.

Cathy z westchnieniem przeniosła się do drugiej kolejki, wlokącej się jak ślimak, w której już stało kilka osób. W porządku, pomyślała. No to wyjedziemy o siódmej. Będziemy w Palo Alto o ósmej. I co potem? Spimy w parku? Poprosimy o resztki w restauracji? Co Victor... Rozejrzała się i zobaczyła jego plecy w jednej z budek telefonicznych. Do kogo on może dzwonić?

- Następny, proszę! - Ktoś dotknął ramienia Cathy. - Teraz pani kolej.

Obejrzała się i zobaczyła, że kasjer czeka.

- Dokąd? - zapytał, gdy podeszła do okienka.
- Dwa bilety do... - Jej głos nagle zamarł.
- Dokąd?

Zaniemówiła. Wzrok jej zawisł na plakacie przyklejonym do ściany tuż za kasą. Nad zdjęciem przedstawiającym ponure oblicze Victora Hollanda widniał napis „Poszukiwany”. Na samym dole wymienione były oskarżenia: „szpiegostwo przemysłowe i zabójstwo. Jeżeli posiadasz jakąkolwiek informację o tym człowieku, skontaktuj się z lokalną policją lub FBI”.

- Jedzie pani czy nie?

- Słucham? - Spojrzenie Cathy padło znowu na kasjera, przyglądającego się jej z niechęcią. - Ach, tak. Proszę... dwa bilety. Do Palo Alto. - Otepiła wręczyła mu garść drobnych. - W jedną stronę.

- Dwa do Palo Alto. O siódmej. Stanowisko 11.

- Dziękuję. - Cathy wzięła bilety i wyszła z kolejki. Wtedy zobaczyła dwóch policjantów stojących przy wejściu. Wyglądało na to, że przeszukują wzrokiem halę dworca. W panice skierowała wzrok

na budkę. Była pusta. Zostawił ją! Zostawił ją z dwoma biletami do Pało Alto i pięcioma dolcami w kieszeni!

Gdzie się podziałeś, Victorze?

Nie mogła tak stać jak idiotka. Powinna coś zrobić, ruszyć się. Otuliła się ciasniej trenczem i zmusiła do powolnego przejścia przez halę. Żeby tylko nie zwrócili na mnie uwagi, modliła się. Proszę. Jestem nikim.

Zatrzymała się przy ławce i podniosła porzucony egzemplarz „San Francisco Chronicle”. Potem, udając, że przegląda dział z ogłoszeniami, przemaszerowała wolno obok policjantów. Nawet nie spojrzeli w jej stronę, gdy opuszczała dworzec autobusowy głównym wyjściem.

Co teraz? Jak robot ruszyła przed siebie, ale nie zdążyła zrobić kilku kroków, gdy ktoś wciągnął ją w wąskie przejście między domami. Straciła równowagę i zatoczyła się pomiędzy kubłami na śmieci.

- Victor!

- Widzieli cię?

- Nie. To znaczy tak, ale nie zwrócili na mnie uwagi...

- Jesteś pewna? I co teraz zrobimy?

Odwrócił się i z frustracją uderzył dłonią o ścianę.

- Mam bilety.

- Nie możemy z nich skorzystać.

- To jak się wydostaniemy z miasta? Autostopem? Victor, zostało nam tylko pięć dolarów!

- Będą obserwować każdy odjeżdżający autobus. Cały ten cholerny dworzec jest oblepiony plakatami z moją twarzą! - Oparł się bezradnie o ścianę i jęknął. - Poszukiwany. O Boże, jak jakiś podrzędny gangster.

- Zdjęcie nie jest nadzwyczajne. Roześmiał się z przymusem.

- A widziałaś kiedyś korzystną fotografię na liście gończym?

Oparła się o ścianę tuż obok niego.

- Victorze, musimy się wydostać z miasta.

- Wróć. To ty się musisz stąd wydostać.

- Co to ma oznaczać?

- Policja nie szuka ciebie. Wsiadaj do tego autobusu. Skontaktuję cię ze starymi znajomymi. Dopilnują, żebyś znalazła się w bezpiecznym miejscu.

- Nie.

- Cathy, moja twarz widnieje pewnie w każdej wypożyczalni samochodów! Wydaliśmy prawie wszystkie pieniądze na bilety. Musisz je wykorzystać!

- Nie zostawię cię.

- Nie masz wyboru.

- A właśnie że mam. Postanowiłam przyczepić się do ciebie jak klej. Bo tylko z tobą czuję się bezpieczna. Tylko na ciebie mogę liczyć!

- Sam będę szybszy. Ty mnie spowalniasz. Do diabła, nie chcę, żebyś została ze mną.

- Nie wierzę ci.

- Wcale mi nie zależy, żebyś mi wierzyła.

- Popatrz mi w oczy i powiedz to! - Złapała go za ramię i zmusiła go, by spojrzął jej w twarz. - Powiedz, że nie chcesz, żebym z tobą została!

Zaczął coś mówić, powtarzać swoje kłamstwo. Widziała w jego oczach, że nie mówi prawdy. I dostrzegła jeszcze coś, co odebrało jej dech w piersiach.

- Nie chcę... nie potrzebuję...

Nie spodziewała się jednak pocałunku. Potem nie pamiętała, jak to się stało. Wiedziała tylko, że jego ramiona ogarnęły ją i nagle porwały w jakieś ciepłe, bezpieczne i cudowne miejsce. Na początku był to uścisk powodowany bardziej desperacją niż namiętnością. Znaleźli się poza strachem, poza potrzebą. To było zjednoczenie dusz, którego nic już nie zdoła rozerwać, nawet jeżeli coś ten uścisk rozdzieli, nawet jeżeli już nigdy się nie dotkną.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie i popatrzyli w swoje twarze, czuła jeszcze smak jego warg.

- Widzisz? - szepnęła. - Chcesz, żebym z tobą była. Uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

- Nie umiem kłamać.

- Potrzebujesz mnie. Nie możesz pokazać twarzy, ale ja mogę! Mogę kupować bilety, biegać na posyłki...

- Jedyne, czego teraz potrzebuję - westchnął - to nowej twarzy. - Wyrzwał na ulicę. - A ponieważ nie mamy pod ręką chirurga plastycznego, zasuwamy na stację kolejki. Teraz będzie tłok. Spróbujemy dojechać do East Bay...

- Boże, ale ze mnie idiotka! - jęknęła Cathy. - Naprawdę potrzebujesz nowej twarzy! Chodź! Nie ma dużo czasu...

- Cathy? Dokąd biegniesz?

- Musimy znaleźć budkę telefoniczną.

- A do kogo zadzwonimy?

Odwróciła się i posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Do kogoś, kogo oboje znamy i kochamy.

Jack właśnie pakował walizkę, kiedy zadzwonił telefon. Nie miał zamiaru odbierać, ale wydawało mu się, że w sygnale jest jakieś uporczywe naleganie, więc w końcu podniósł słuchawkę. Natychmiast tego pożałował.

- Jack?

- Powiedz mi, że to nieprawda...

- Jack, będę mówić szybko, bo telefon może być na podsłuchu...

- Nigdy bym nie przypuszczał.

- Potrzebuję mojej walizeczki do charakteryzacji. I trochę gotówki. Przysięgam, że ci wszystko zwrócę. Przywieź ją tam, gdzie kręciliśmy ostatnią scenę „Kretynoida”. Pamiętasz, gdzie to było.

- Zaczekaj, Cathy! Już i tak mam kłopoty!

- Za godzinę. Nie mogę dłużej czekać.

- Jest godzina szczytu! Nie zdążę...

- To ostatnia przysługa, o jaką cię proszę. - Urwała, a potem dodała cichutko: - Proszę!

Westchnął głośno.

- To już naprawdę ostatni raz. Obiecujesz?

- Jack, za godzinę. Będę czekać.

Odłożył słuchawkę i utkwiał wzrok w walizce. Była tylko do połowy spakowana, ale to musi wystarczyć. Na pewno dziś wieczorem tu nie wróci. Zamknął ją i zaniósł do jaguara. Gdy odjeżdżał, nagle zdał sobie sprawę, że zapomniał odwołać swoją dzisiejszą randkę z Lulu.

Teraz nie ma na to czasu, pomyślał. Mam ważniejsze sprawy na głowie: muszę prysnąć z miasta.

Lulu będzie wściekła jak osa, ale jakoś jej to wynagrodzi. Para kolczyków z brylantami powinna załatwić sprawę. Dobra stara Lulu, łatwo jej zrobić przyjemność. Taką kobietę mógł zrozumieć.

Na rogu Piątej i Mission zbierali się ludzie ulicy. Za piętnaście szósta panował tu jeszcze większy zgiełk niż zwykle. Ktoś puścił

plotkę, że w darmowej jadłodajni będą serwować gulasz z wołowiny a la Bourguignonne, który, jak twierdzili ci, którzy pamiętali lepsze czasy, przygotowywano z dodatkiem czerwonego wina. Nikt nie mógł przepuścić takiej okazji, nawet jeżeli alkohol wyparował podczas gotowania. Tak więc stali i opowiadali sobie o posiłkach, które kiedyś jedli, o pogodzie, o długich kolejkach w urzędzie do spraw bezrobotnych.

Nikt nie zauważył dwojga nieszczęśników skulonych we wnęce drzwi wiodących do lombardu.

Mamy fart, pomyślała Cathy, chowając się w fałdach płaszcza przeciwdeszczowego. Smutna prawda brzmiała, że oboje zaczęli już wtapiać się w ten tłum. Chwilę wcześniej złapała swoje odbicie w szybie wystawowej lombardu i prawie siebie nie poznała. Ile to już czasu nie zdążyłam dotknąć grzebieniem włosów? Nie jadłam przyzwoitego posiłku ani nie przespałam spokojnie nocy?

Victor wcale nie wyglądał lepiej. Podarta koszula i dwudniowy zarost podkreślały wygląd człowieka wyczerpanego, niemożliwy do pomylenia. Mógł pójść po zupę dla bezdomnych i nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Będzie wyglądał jeszcze gorzej, kiedy się za niego zabiorę, pomyślała w przyływie wisielczego poczucia humoru.

Jeżeli Jack w ogóle się pojawi.

- Jest pięć po szóstej - mruknął Victor. - Daj mu jeszcze chwilę.

- Nie mamy dużo czasu.

- Możemy jeszcze zdążyć na autobus.

Wyjrzała na ulicę, jakby chciała przywołać swojego byłego męża samą siłą woli. Szybciej, Jack!

- Popatrz! - usłyszała niski pomruk, a potem wyrazy uznania ze strony sporej grupki zebranych.

- Hej, panie ładny! - zawołał jeden ze zgromadzonych. - Co robiłeś, że masz taki wózek?

Poprzez tłumek Cathy dostrzegła błysk chromu i coś w kolorze burgunda.

- Odwal się od mojego samochodu! - zabrzmiał zdenerwowany głos. - Dopiero był umyty!

- Widać, że elegancik się zgubił. Wjechałeś nie w tę przecznicę, co, panie ładny?

Cathy aż podskoczyła.

- Jest! Przyjechał!



Przepchnęła się wraz z Victorem przez tłumek i zobaczyła, że Jack stoi obok jaguara.

- Nie dotykaj! - wrzasnął, kiedy jeden z gapiów przejechał brudnym paluchem po karoserii. - Nie możecie się wziąć do jakiejś uczciwej roboty?

- Roboty? - krzyknął któryś. - A co to jest?

- Jack! - zawołała Cathy.

Na jej widok wydał głośne westchnienie ulgi.

- To już ostatnia przysługa. Naprawdę koniec... Podszedł do bagażnika i odepchnął kolejną łapę głaszczącą bordową tylną flankę jaguara.

- Proszę. Walizeczka i cały twój kram. Doręczono zgodnie z obietnicą. Muszę lecieć.

- Dokąd jedziesz? - zapytała.

- Nie wiem. - Wsiadł z powrotem do samochodu. - Dokądś. Gdziekolwiek!

- Widzę, że jedziemy w tym samym kierunku.

- O Boże. Mam nadzieję, że nie. - Zapalił silnik.

- Do zobaczenia, panie ładny! - zakrzyknął któryś z gapiów.

- Naprawdę powinnaś zastanowić się nad towarzystwem, w którym przebywasz. Cześć, kurczątko - powiedział Jack sucho.

Jaguar ruszył z jękiem opon, wóz wziął zakręt i wtopił się w ruch uliczny. Cathy odwróciła się i zauważyła, że jest przedmiotem obserwacji licznie zebranych meneli. Victor zbliżył się do niej, zmęczony i głodny, i stanął twarzą w twarz ze zmęczonym i głodnym tłumem.

- Kim był ten palant w jagu? - zawołał ktoś.

- To mój były - odparła Cathy.

- Lepiej mu się powodzi niż tobie, kochana.

- Bez żartów. - Podniosła walizeczkę i roześmiała się z pozorną beztroską. - Proszę gnojka o jakieś ciuchy, a ten mi z łaski przywozi zmianę bielizny.

- Kochaniutka, zawsze tak jest.

Mężczyźni zaczęli się rozchodzić, tworząc małe grupki w bramach i przy narożnym kiosku z gazetami. Ich zainteresowanie zniknęło w siennej dali, tak jak jaguar.

Przy Cathy i Victorze został tylko jeden człowiek, który przyglądał im się ze współczuciem.

- To wszystko, co ci zostawił? Ten palant z taką bryką? - Już miał odejść, gdy coś go tknęło. - Potrzebujecie chaty, żeby przenocować? Mam dużo znajomych. Taka laleczka nie powinna zostać na noc na łodzi.

- Dzięki za propozycję - wykręcił się Victor, wzięwszy Cathy za rękę. - Spieszmy się na autobus.

Facet kiwnął głową i odszedł, powłócząc nogami.

Życzliwa ale niefartowna dusza, której ulica nie odarła jeszcze z elementarnej przyzwoitości.

- Mamy pół godziny. Lepiej bierzmy się do roboty - Victor ponaglił Cathy.

Ruszyli przed siebie, pragnąc skryć się w pasażu pomiędzy domami, kiedy Cathy nagle przystanąła.

- Victor...

- Co się stało?

- Spójrz. - Wskazała drżącą ręką na kiosk z gazetami.

Pod plastikową osłoną widniał egzemplarz popołudniówki „San Francisco Examiner”. Z pierwszej strony bił w oczy tytuł: „Dwie ofiary, to samo nazwisko. Policja sprawdza, czy to przypadek”. Poniżej widniało zdjęcie młodej blondynki, podpis był ukryty. Cathy jednak wcale nie musiała go czytać. Znała jej nazwisko.

- Już dwie - wyszeptała. - Victorze, miałeś rację.

- Tym bardziej musimy się stąd wynieść.

Szli ulicą, oddalając się od stoiska z gazetami, ale przed oczami miała obraz młodej kobiety o blond włosach, kolejnej ofiary. Drugiej Catherine Weaver.

W przeciwieństwie do większości kolegów, O'Hanley przyszedł do służby z chęcią niesienia pomocy. Za plecami koledzy mówili o nim Harcerzyk. Przewisko to jednocześnie denerwowało go i sprawiało mu przyjemność. Wskazywało na to, że nie pasuje do tej zbieraniny. A także na to, że jest ponad intrygami i zabiegami o awans. Nie po to wychodził na ulice, by świecić policyjną odznaką na mundurze.

I dlatego ostatnie zadanie było dla niego tak frustrujące.

Całe to wystawanie na dworcu autobusowym, i to tylko dlatego, że ktoś podobno kilka godzin temu tego człowieka widział. O'Hanley nikogo takiego nie zauważył. Przyglądał się wszystkim, którzy wchodzili. Większość z nich stanowiła żałosny widok. I nic dziwnego, bo teraz każdy, kto ma parę dolców w kieszeni, leci samolotem.

Sądząc po tym, jak większość z nich wyglądała, to ci mieli niewiele więcej niż kilka centów.

Na przykład ta para skulona na ławce w poczekalni. Pewnie ojciec i córka, widać, że szczęście im nie sprzyja. Córka w starym płaszczu, z kołnierzem postawionym tak, że widać tylko strzechę potarganych włosów. Ojciec w jeszcze gorszym stanie, wychudzona twarz, siwe wąsy i broda, stary jak Matuzalem. Mimo wszystko była w tym starym dziadku jakaś resztką dumy - O'Hanley zauważył, że trzyma się prosto i z godnością. Za młodych lat musiał to być gość imponującej postury, jeszcze teraz miał z metr dziewięćdziesiąt.

Przez głośnik wezwano ostatnich pasażerów autobusu do Pało Alto. Staruszek z córką wstali.

O'Hanley z niepokojem przyglądał się, jak para przeszła przez halę dworca w stronę stanowisk, z których odjeżdżały autobusy. Kobieta miała ze sobą tylko małą walizeczkę, która musiała być dość ciężka. Miała pełne ręce roboty, bo starała się prowadzić starego człowieka. Wszystko było w porządku do momentu, kiedy wpadł na nich jakiś dzieciak.

Miał może z sześć lat, typ, do jakiego żadna matka nie lubi się przyznawać, taki, który robi złą opinię wszystkim sześciolatkom. Przez ostatnie pół godziny chłopak ganiał po dworcu, rozsypując popiół z popielniczek, przewracając walizki, zatraskując drzwiczki szafek na bagaż. Teraz biegał. Tyle że tyłem.

O'Hanley wiedział, że tak się stanie. Stary człowiek i jego córka szli wolno w stronę autobusu. Szczeniak zbliżał się do nich. Kolizja nie do uniknięcia. Dzieciak rąbnął w kolana kobiety, walizeczka wypadła jej z rąk. Kobieta straciła równowagę i oparła się o swojego towarzysza. O'Hanley zamarł, oczekując, że staruszek się przewróci. Ku jego zdumieniu starzec po prostu złapał kobietę w ramiona i postawił ją na ziemi.

O'Hanley ruszył im z pomocą.

- W porządku, proszę pani?

Kobieta zareagowała tak, jakby ją uderzył. Wpatrywała się w niego wzrokiem zaszczutego zwierzęcia.

- Słucham? - zapytała.

- Czy wszystko dobrze? Chyba mocno panią uderzył. Skinęła głową.

- A wy, dziadku?

- Nic się nie stało - odpowiedziała szybko. - Chodźmy, tato, bo ucieknie nam autobus.

- Może pani pomóc?

- Bardzo pan uprzejmy, ale damy sobie radę. Kobieta uśmiechnęła się do policjanta. Coś tu się nie

zgadza. Ten uśmiech... O'Hanley patrzył, jak drepczą w stronę czternastki, i marszczył czoło. Coś tu nie gra... Odwrócił się i omal się nie potknął o walizeczkę. Kobieta musiała o niej zapomnieć. Schwycił ją i pobiegł do autobusu. Za późno, czternastka do Palo Alto właśnie odjeżdżała. O'Hanley stał bezradnie na krawężniku i patrzył na znikające za rogiem tylne światła. Zaniósł walizeczkę do Działu Rzeczy Znalezionych, a potem znowu zajął miejsce przy wejściu. Już siódma, a podejrzanego Victora Hollanda ani widu, ani słyhu. O'Hanley westchnął. Żeby tak marnować czas policjanta.

Pięć minut po opuszczeniu San Francisco stary człowiek siedzący w autobusie zwrócił się do kobiety w płaszczu przeciwdeszczowym i powiedział:

- Ta broda mnie zamorduje.

- Ale spełniła swoje zadanie, prawda? - Cathy roześmiała się i pociągnęła za fałszywe baczki.

- Daj spokój. Do końca mieliśmy policyjną eskortę. - Podrapał się po brodzie. - Szlag by trafił, jak ci aktorzy to wytrzymują? Swędzi mnie tak, że zwariuję.

- Mam ci ją zdjąć?

- Lepiej nie. Zaczekaj, aż dojedziemy do Palo Alto. Jeszcze godzina, pomyślała. Oparła się wygodniej i spojrzała na autostradę przesuwającą się za oknem.

- A co potem? - zapytała cicho.

- Postukam do paru drzwi. Może znajdę jakichś starych kumpli. Minęło sporo czasu, ale jeszcze kilku zostało.

- Mieszkałeś tam kiedyś?

- Wieki temu. Kiedy jeszcze byłem w college'u.

- Absolwent Stanfordu.

- Dlaczego zabrzmiało to trochę pogardliwie?

- Bo ja kibicowałam Bearsom z Berkeley.

- Czyli że zadaję się ze swoim śmiertelnym wrogiem? Chichocząc, przytuliła się do niego i wciągnęła w płuca ciepły, znajomy zapach jego ciała.

- To było inne życie. Uniwersytet w Berkeley i dzinsy.  
- Piłka nożna. Wariackie balangi.  
- Wariackie balangi? - zdziwiła się. - Ty?  
- No nie, znam je tylko z opowiadań...  
- Gra we frisbee. Seminaia na trawniku...  
- Wiek niewinności - powiedział cicho. Oboje umilkli.  
- Victorze? - zapytała. - A jeżeli twoich przyjaciół już tam nie ma? Albo jeżeli nas nie przyjmą?

- Powoli. Podejdziemy do sprawy z marszu. Inaczej to wszystko nas przytłoczy.

- Tak już się chyba stało. Przytulił ją do siebie mocno.

- Hej, wszystko jest dobrze. Wyjechaliśmy z miasta. Pod samym nosem policji. Myślę, że to duży sukces.

Nie mogła się powstrzymać, aby nie uśmiechnąć się pod nosem na wspomnienie młodego gorliwego policjanta.

- Wszyscy gliniarze powinni być tacy uczynni.

- Lub ślepi - parsknął Victor. - Nie mogę uwierzyć, że nazwał mnie dziadkiem.

- Kiedy zabieram się do charakteryzacji, robię to przyzwoicie.

- Jak widać.

Włożyła mu rękę pod ramię i pocałowała w siwe bokobrody.

- Zdradzić ci pewną tajemnicę?

- No pewnie.

- Szaleję na punkcie starszych panów. Rozpogodził się i uśmiechnął dwuznacznie.

- Mówimy o dużo starszych? Pocałowała go znowu, tym razem w usta.

- Dużo, dużo starszych. Sędziwych.

- No tak. Może ta broda ma jakieś dobre strony. Ujął jej twarz w dłonie. Tym razem to on ją całował,

długo i namiętnie, nie myśląc wcale o tym, gdzie są i dokąd jada. Cathy poczuła, że zapada się w fotelu, w jakąś przestrzeń, z której nie ma ucieczki, ale jest bezpieczna.

- Tak trzymaj, dziadku! - zawołał ktoś z głębi autobusu.

W migającym oświetleniu autobusu Cathy zobaczyła błysk w oku Victora i cień kpiącego uśmiešku. Odwzajemniła go i szepnęła:

- Tak trzymaj, dziadku.

Cały dworzec autobusowy oblepiony był listami gończymi z twarzą Victora Hollanda. Polowski zachnął się z irytacji na widok zdjęcia człowieka, co do którego niewinności miał nieodparte przekonanie. To wszystko przeobraziło się w jakieś cholerne polowanie z nagonką. Jeżeli Holland nie jest dotąd wystarczająco przerażony, to ukryje się jeszcze lepiej i znajdzie się poza zasięgiem osób, które mogłyby mu pomóc. Polowski miał nadzieję, że także poza zasięgiem tych, którzy mają mniej niewinne zamiary.

Holland byłby idiotą, gdyby spacerował po dworcu wśród tych wszystkich listów gończych. Ale Polowski miał instynkt w takich sprawach, wiedział, jak zachowują się desperaci. Gdyby był na miejscu Hollanda, miał na karku zabójcę, a u boku kobietę, którą musi się opiekować, to wiedziałby, co zrobić - przede wszystkim zniknąć z San Francisco. Samolot nie wchodził w rachubę, Holland miał mało kasy. Karta kredytowa - wykluczona. To przekreśla również wypożyczenie samochodu. Co pozostaje? Jazda stopem lub autobus. Polowski postawił na autobus.

Ostatnie informacje potwierdzały jego przeczucie. Podsluch założony na telefonie Zuckermana zasygnalizował rozmowę z Cathy Weaver. Ustaliła miejsce spotkania, którego w pierwszej chwili Polowski nie potrafił zidentyfikować. Stracił w biurze całą godzinę na to, by znaleźć kogoś, kto nie tylko widział film Zuckermana „Kretynoid”, ale mógł do tego zidentyfikować miejsce sfilmowania ostatniej sceny. W okolicach Mission, oznajmiła w końcu jakaś maniaczka kina pracująca w archiwum. Tak, była tego pewna. Potwór wydostał się przez studzienkę kanalizacyjną na samym rogu Piątej i Mission i pożarł jednego czy dwóch meneli, zanim główny bohater nie rozwalił go fortepianem zapakowanym w skrzynię. Polowski nie czekał, by się dowiedzieć, jak to się skończyło, bo pobiegł do samochodu.

Ale było już za późno. Holland, kobieta i Zuckerman zniknęli. Polowski krążył po Mission z zamkniętymi oknami i zablokowanymi drzwiami, zastanawiając się, kiedy lokalna policja oczyści wreszcie te ulice.

Wtedy przypomniał sobie, że dworzec autobusowy znajduje się tylko kilka przecznic dalej.

Stał teraz w hali pomiędzy zmęczonymi i przymulonymi podróżnymi i zaczynał myśleć, że tylko traci czas. Przy automacie do kawy zobaczył gliniarza popijającego kawę ze styropianowego kubka.

Polowski podszedł do niego.

- FBI - powiedział, mignawszy odznaką.

Policjant wyprostował się jak struna.

- Szeregowy O'Hanley, szefie.

- Coś się dzieje?

- Znaczy... dzisiaj?

- Tak. Tutaj.

- Nie, szefie - westchnął O'Hanley. - Kompletna klapa. To znaczy, mógłbym pójść na patrol. A kazali mi tu sterczeć i przyglądać się ludziom.

- Obserwacja?

- Tak, szefie. - Kiwnął głową w stronę plakatu z listem gończym.

- Chodzi o tego faceta. Strasznie są na niego napaleni. Mówią, że to szpieg.

- Taka jest teraz wersja? - Polowski rozejrzył się leniwie. - Widziałeś tu kogoś, kto by go przypominał?

- Nikogo. A pilnuję przez cały czas. Najwidoczniej Hollanda tu nie było. Sam odwrócił

się, by odejść, ale coś jeszcze wpadło mu do głowy.

- Podejrzany może podróżować z kobietą - dodał i wyciągnął zdjęcie Cathy, to, które za jego namową Jack Zuckerman wspaniałomyślnie ofiarował FBI. - Nie widziałeś jej?

O'Hanley zmarszczył czoło.

- O holender! Podobna do... Nieee. To nie mogła być ona.

- Kto?

- No, była tu kobieta, z godzinę temu. Bezdomna. Jakiś szczeniak na nią wpadł. Pomogłem jej się pozbierać. Była podobna do tej, ale wyglądała znacznie gorzej.

- Podróżowała sama?

- Był z nią taki starszy gościu. Chyba ojciec.

Polowski nadstawił uszu.

- Jak ten stary wyglądał?

- Był bardzo stary. Mógł mieć z siedemdziesiąt lat. Krzaczasta broda, dużo siwych włosów.

- Wysoki?

- Dosyć. Z metr dziewięćdziesiąt. - Głos policjanta zamarł, kiedy jego spojrzenie utkwilo w zdjęciu na plakacie. Victor Holland miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu. O'Hanley zbladł. - O Boże...

- To był on?

- Nie wiem, nie jestem pewien...

- Zastanów się!

- Nie wiem. Niech pan zaczeka, szefie. Ta kobieta upuściła walizeczkę! Zostawiłem ją w tamtym okienku...

Wystarczyło mignięcie odznaką FBI i urzędnik w Dziale Rzeczy Znalezionych podał mu walizeczkę. Gdy Polowski zobaczył jej zawartość, wiedział, że trafił w dziesiątkę. Wypełniona była materiałami do charakteryzacji. Na wewnętrznej stronie pokrywy widniała nalepka: „Własność Firmy Producentkiej Jack Zuckerman”.

- Dokąd poszli? - warknął w stronę O'Hanleya.

- Eee... Wsiadli do autobusu, o tam. O siódmej. Polowski spojrzał na rozkład. O siódmej odjeżdża czternastka do Palo Alto.

Dziesięć minut zabrało mu zlokalizowanie kierownika dworca w Palo Alto, a kolejne pięć przekonanie go, że to nie jakiś żart telefoniczny.

- Czternastka z San Francisco? - brzmiała odpowiedź. - Przyjechał dwadzieścia minut temu.

- A pasażerowie? Może jeszcze się kręcą?

Kierownik tylko się roześmiał.

- Panie, gdyby to od pana zależało, kręciłby się pan po śmierdzącym dworcu autobusowym?

Sam zaklął i rozłączył się.

- Szefie? - O'Hanley nie wyglądał dobrze. - Nawaliłem, co? Przeszedł mi przed nosem. Nie mogę uwierzyć, że...

- Olej to.

- Ale...

Polowski skierował się do wyjścia.

- Dopiero zaczynasz - zawołał przez ramię. - Nabierzesz doświadczenia.

- Mam złożyć raport?

- Ja się tym zajmę. Zresztą i tak tam jadę.

- Dokąd?

- Do Palo Alto.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Drzwi otworzyła starsza kobieta o orientalnej urodzie i ograniczonej znajomości angielskiego.

- Pani Lum? Pamięta mnie pani? Victor Holland. Przyjaźniłem się z pani synem.

- Tak, tak!

- Czy zastałem go?

- Tak. - Przeniosła wzrok na Cathy, jak gdyby nie chciała wyłączać swojego drugiego gościa z rozmowy.

- Muszę się z nim zobaczyć - nalegał Victor. - Czy Milo jest tutaj?

- Milo? - Przynajmniej to słowo zdawała się rozpoznawać. Odwróciła się i zawołała coś po chińsku.

Skrzypnęły drzwi i na schodach zadudniły kroki. Mężczyzna koło czterdziestki, w dżinsach i bawełnianej koszuli, podszedł do drzwi frontowych. Wyglądał jak kluseczka i towarzyszył mu lekki zapach chemikaliów, czegoś ostrego i kwaśnego. Wycierał ręce w ścierkę.

- W czym mogę pomóc?

- Milo Lum! - Victor rozpromienił się. - Dalej ukrywasz się w piwnicy swojej mamy?

- Słucham? - spytał grzecznie Milo. - Czy my się znamy, proszę pana?

- Nie poznajesz dawnego członka zespołu Fałszywa Nuta?

Milo wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Gershwin? To niemożliwe...

- Tak, wiem - odparł Victor, śmiejąc się. - Czas nie obszedł się ze mną łaskawie.

- Nie chciałem nic mówić, ale...

- Nie będę brał tego do siebie, bo - Victor odkleił fałszywą brode - ta twarz nie jest moja.

Milo spojrzał na kłęb sztucznych włosów zwisających z ręki Victora jak zdechłe zwierzę, a potem na jego podbródek podrażniony od kleju.

- Robisz sobie żarty ze starego Mila? - Wystawił głowę przez drzwi i zerknął na chodnik. - A inni faceci gdzie się chowają, żeby wrzasnąć „Niespodzianka"! Prawda? To jakiś kawał.

- Chciałbym, żeby tak było - mruknął Victor. Milo natychmiast zauważył cień niepokoju w jego głosie. Popatrzył na Cathy, a potem znowu na Victora. Kiwając głową, odsunął się na bok.

- Wejdźcie. Widzę, że mamy dużo do nadrobienia. Przy późnej kolacji składającej się z chińskiej zupy z kaczki z makaronem sojowym i jaśminowej herbaty, Milo usłyszał całą historię. Nie mówił wiele; wydawało się, że jest głównie skupiony na siorbaniu resztek ze swej miseczki. Dopiero kiedy uśmiechająca się przez cały czas pani Lum ukloniła się im na dobranoc i podreptała do sypialni, Milo skomentował sytuację.

- Muszę przyznać, stary, że jak już wpadasz w tarapaty, to robisz to starannie. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o glinach. Gdyby tylko popytali, toby się dowiedzieli, że jesteś całkowicie nieszkodliwy. O ile wiem, to jesteś winien tylko jednej, poważnej zbrodni.

Cathy, zaskoczona, podniosła wzrok.

- Jakiej zbrodni?

- Napaści na uszy słuchaczy, którzy mieli to nieszczęście, że byli świadkami twojej gry na saksofonie.

- I kto to mówi, wirtuoz harmonijki ustnej, który ćwiczy z zatyczkami w uszach? - odciął się Victor.

- Tylko po to, żeby się odseparować od hałasu z zewnątrz.

- Jasne. Głównie własnego. Cathy uśmiechnęła się pod nosem.

- Zaczynam się domyślać, dlaczego daliście swojej grupie nazwę Fałszywa Nuta.

- To tylko takie żarty z siebie - wyjaśnił Milo. - Potrzebowaliśmy tego, kiedy nas nie przyjęto do orkiestry na Stanfordzie. Zobaczmy, co jest na tej rolce filmu.

Poprowadził ich rozklekotanymi schodami do piwnicy. W powietrzu unosił się zapach chemikaliów, na blatach z nierdzewnej stali stał rząd kuwet, z kranu powoli kapiała woda. Do ścian poprzypinane były rozmaite zdjęcia. W większości były to twarze uchwycone na całym świecie. Gdziekolwiek widniały zdjęcia jakby pochodzące z serwisu prasowego - żołnierzy szturmujących lotnisko, demonstrantów rozwijających transparent.

- Czy to twoja praca, Milo? - zapytała Cathy.

- Dobrze by było - odparł Milo, kołysząc kuwetą z wywoływaczem. - Nie, pracuję w starym interesie rodzinnym.

- To znaczy?

- Buty. Włoskie. Brazylijskie. Skóra, aligator, sprowadzimy, co zechcesz. - Przyjrzał się fotografiom. - Tak znajduję te egzotyczne twarze. Podczas podróży służbowych, kiedy zamawiamy buty. Jestem ekspertem ód damskiego podbicia.

- I po to - rzekł Victor - spędziłeś cztery lata na Stanfordzie.

- A dlaczego nie? Takie samo dobre miejsce jak każde inne, żeby studiować budowę delikatnej stópki należącej do płci pięknej. - Zadzwoił minutnik. Milo wylał wywoływacz, wyjął film i powiesił, żeby wysechł. - Właściwie - ciągnął, zezując w stronę negatywów - to było życzenie mojego umierającego ojca. Pragnął, żeby jego syn miał dyplom ze Stanfordu. A ja chciałem nieprzerwanego balowania przez cztery lata. Nasze życzenia się spełniły.

Zamilkł i popatrzył smutno na swoje zdjęcia.

- Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o następnych latach.

- Co masz na myśli? - zapytała Cathy.

- To, że balowanie się skończyło. Trzeba dbać o zyski, podnosić sprzedaż. Nigdy nie przypuszczałem, że tak nisko upadnę. Co się stało z naszym entuzjazmem? Zgubił się gdzieś po drodze. W końcu Fałszywa Nuta zaczęła grać tak jak wszyscy. Maszerujemy teraz zgodnie z rytmem nadawanym przez tego samego nudnego perkusistę.

- Westchnął i zerknął w kierunku Victora. - Rozumiesz coś z tych negatywów? Victor potrząsnął przecząco głową.

- Potrzebujemy odbitek.

Milo zgasił światło, pozostawiając czerwoną lampę.

- Już się robi.

Kiedy wyjmował papier fotograficzny, Victor zapytał:

- A co się stało z resztą chłopaków? Masz z nimi kontakt?

- Roger jest wiceprezesem jakiegoś banku w Tokio. Cały w jedwabnych garniturach i krawatach. Bach ma firmę komputerową w San Jose.

- A Ollie?

- Dalej czai się gdzieś w laboratorium Wydziału Medycznego na Stanfordzie. - Milo wykopał pierwszą odbitkę. - Nie wiem nawet, czy wychodzi na światło dzienne. Podejrzewam, że ma jakąś sekretną celę w piwnicy, gdzie trzyma swojego asystenta, Igora, przykutego do ściany.

- Muszę poznać tego faceta - rzekła Cathy.  
- Spodobałabyś się mu. - Victor zaśmiał się i uściśnął jej ramię. -  
Zwłaszcza że pewnie już zapomniał, jak wyglądają kobiety.

Milo włożył odbitkę do następnej kuwety.

- Tak, Ollie nic się nie zmienił. Dalej jest sową. I dobrze gra na  
klarnecie. A twój saks, Gersh? Grasz?

- Nie grałem od miesiący.

- Twoi sąsiedzi to szczęściarze.

- Skąd ta ksywka? Gersh? - zapytała Cathy.

- Stąd - odparł Milo, machając szczypcami, którymi przenosił  
kolejne odbitki z jednej kuwety do drugiej - że zawsze głęboko  
wierzył we władzę, jaką miał George Gershwin nad sercami kobiet.  
„Someone to Watch Over Me”. Czy to nie z powodu tej melodii Lily  
zgodziła się... - Nagle urwał i popatrzył z żalem na przyjaciela.

- Masz rację - odparł Victor spokojnie. - To była ta melodia. A  
Lily powiedziała „tak”.

Milo pokręcił głową.

- Przepraszam. Chyba ciągle trudno mi się pogodzić z tym, że jej  
nie ma.

- Rzeczywiście nie ma - odrzekł Victor obojętnie. Cathy zdawała  
sobie sprawę z jego bólu. - Ale teraz musimy zastanowić się nad  
czymś innym.

- Tak. - Milo przeniósł uwagę na odbitki, które właśnie skończył  
wywoływać. Wyłowił je i przypiął kilka do linki, by się wysuszyły. -  
Dobra, Gersh. Teraz powiedz, co jest na tym filmie i dlaczego warto  
za to zabić.

Zapalił światło. Victor stał przez chwilę w zupełnej ciszy,  
marszcząc czoło na widok pierwszych pięciu odbitek. Cathy widziała  
tylko serię liczb i kodów, zapisaną dosyć nieczytelnym pismem.

- Rzeczywiście - burknął Milo. - Dużo mi to mówi. Victor  
zatrzymał się przy piątej odbitce, na której

kolumna cyfr zajmowała całą długość strony. Zawierała  
dwadzieścia siedem pozycji: każda z nich stanowiła datę, a po niej  
następowały dwie litery: MA.

- Victorze? - spytała Cathy. - Co to oznacza?

Odwrócił się do nich. Wyraz jego oczu szczerze ją zaniepokoił.  
Były jak martwe.

- Musimy zadzwonić do Olliego - rzekł spokojnie.

- Jeszcze dzisiaj? - zdziwił się Milo. - Dlaczego?

- To nie jest zwykły eksperyment naukowy w próbkach i kolbach laboratoryjnych. Posunęli się już dalej, do badań klinicznych.

- Victor wskazał na ostatnią stronę. - To są małpy. Każda z nich została zarażona nowym wirusem, stworzonym przez człowieka. I we wszystkich przypadkach wynik był ten sam.

- To masz na myśli? - Milo pokazał mu ostatnią kolumnę. - MA?

- Tak. Skrót od „martwy”. Wszystkie zdechły.

Sam Polowski siedział na ławce w hali dworca autobusowego w Palo Alto i myślał: gdybym chciał zniknąć, co bym teraz zrobił? Przyglądał się kilkunastu pasażerom wsiadającym do autobusu 210 z San Jose, odnotowując w myśli, że w większości to brygada plecakowiczów i trampkarzy. Pewnie studenci ze Stanfordu wyjeżdżający na ferie świąteczne. Zastanawiał się, dlaczego studenci, których stać na taki drogi uniwersytet, nie mogą sobie pozwolić na przyzwoitą parę dzinsów. Albo na to, żeby się porządnie ostrzyc.

W końcu wstał i poszedł zadzwonić - zawiadomił automatyczną sekretarkę swojego szefa, Dafoe, że Victor Holland przeniósł się do Palo Alto. Winien jest przecież przełożonemu informację. Ucieszył się, że rozmawia tylko z maszyną, a nie z nim samym.

Wyszedł z dworca i ruszył przed siebie, sam nie wiedząc dokąd, w poszukiwaniu jakiegoś przeczucia. To była przyjemna dzielnica, miłe miasteczko. W Palo Alto były stare domy profesorów, księgarnie i kawiarnie, gdzie uniwersyteckie typki, tacy z brodami i w okularkach w drucianej oprawie, lubili siedzieć i dyskutować na temat znaczenia Prousta, Brechta i Goethego. Polowski pamiętał swoje czasy studenckie, kiedy po godzinie takich gadek dochodzących z sąsiedniego stolika wrzasnął: może Brecht miał to na myśli, a może coś zupełnie innego. Ale powiedzcie mi, dupki: jakie to ma, do cholery, znaczenie?

Trzeba powiedzieć, że nie wzmocniło to jego opinii poważnego naukowca.

A teraz, przemierzając ulice niewątpliwie po śladach poważniejszych od niego filozofów, Polowski przetwarzał w swojej głowie problem Hollanda. A dokładniej pytanie, gdzie taki zdesperowany człowiek jak on mógł się ukryć.

Holland był naukowcem, muzykiem, człowiekiem nielicznych, ale trwałych przyjaźni. Miał doktorat z Massachusetts Institute of

Technology, licencjat ze Stanfordu. Uniwersytet znajduje się niedaleko. Musi wiedzieć, jak się tu poruszać. Z pewnością ciągle ma przyjaciół w tej okolicy, ludzi, którzy dadzą mu schronienie, dochowają jego tajemnic.

Postanowił przyjrzeć się jeszcze raz aktom sprawy Hollanda. Gdzieś w dokumentach Virateku musi być jakiś papier dotyczący zatrudnienia, jakiś list polecający od kogoś ze Stanfordu. Wzmianka o przyjacielu, do którego Holland może się zwrócić.

Bo prędzej czy później zwróci się do kogoś.

Było już po północy, kiedy Dafoe wrócił z żoną do domu. Był w doskonałym nastroju, w głowie miał lekki szmerek od szampana, w uszach dźwięczała mu jeszcze rozdzierająca serce aria z „Samsona i Dalili”. Opera była jego pasją, błyskotliwą inscenizacją odwagi, intrygi i miłości, wizji życia o wiele wspanialszego niż ten małostkowy świat, w którym przyszło mu żyć.

Opera wynosiła go na taki poziom porywającej intensywności, że nawet jego własna żona stawała się podniecająca. Przyglądał się, jak zdejmuje płaszcz i zrzuca buty. Dwadzieścia kilo nadwagi, włosy przyprószone siwizną, ale było w niej coś atrakcyjnego. To już trzy tygodnie. Z pewnością dziś pozwoli mi...

Ale ona zignorowała jego zaloty i powędrowała do kuchni. W chwilę później szum zmywarki zaanonsował, że dostała kolejnego ataku utrzymywania domu w czystości.

Pełen frustracji sięgnął po telefon i nacisnął mrugający przycisk sekretarki. Wiadomość od Polowskiego kompletnie zniweczyła wszelkie erotyczne zamiary, które się jeszcze w nim tliły.

- Mam powód przypuszczać, że Holland znajduje się, lub właśnie opuścił, teren Palo Alto. Będę informować...

Polowski, kretynie jeden. Czy wykonywanie poleceń jest takie cholernie trudne?

W Waszyngtonie była trzecia nad ranem. To nie jest przyzwoita godzina, mimo to zadzwonił. Głos, który mu odpowiedział, był zaspany.

- Tyrone, słucham.

- Kowboju, tu Dafoe. Przepraszam, że cię budzę. Mężczyzna po drugiej stronie linii oprzytomniał.

- Co się dzieje?

- Nowe wieści na temat Hollanda. Nie znam szczegółów, ale pojechał do Palo Alto. Może tam jeszcze być.

- Na uniwersytecie?

- Gdzieś w pobliżu.

- To nam może pomóc.

- Dla starego kolesia wszystko. Będę cię informował.

- Dafoe, jeszcze jedno.

- Tak?

- I żeby nikt mi nie przeszkadzał. Odwołaj swoich ludzi. Przejmujemy sprawę.

- Tu... może być pewien problem.

- Jaki?

W głosie Kowboja, chociaż spokojnym, zabrzmiał ton ostry jak brzytwa.

- To... jeden z moich ludzi. Czasem działa na własną rękę. Polowski. Zawził się na Hollanda i go szuka.

- Istnieje coś takiego jak rozkaz.

- W tej chwili Polowski jest poza moim zasięgiem. Jest w Palo Alto i kopie nie wiadomo w czym.

- Wolny strzelec. Nie lubię takich.

- Zdejmę go ze sprawy, jak tylko będzie to możliwe.

- Zrób to. I siedź cicho. To sprawa o najwyższym stopniu tajności.

Kiedy Dafoe rozłączył się, jego wzrok automatycznie powędrował w stronę fotografii na kominku. Na zdjęciu z sześćdziesiątego ósmego roku Kowboj i on, młodzi żołnierze piechoty morskiej, z bronią przewieszoną przez ramię stali po kostki w wodzie na polu ryżowym. Od lojalności współtowarzyszy zależało życie.

Matt Tyrone był bohaterem wtedy i teraz. Dafoe wpatrywał się w uśmiechniętą twarz na zdjęciu z odrobiną zazdrości, która wkradała się w podziw dla tego człowieka. Chociaż Dafoe sam miał powód do dumy - osiemnaście lat nienagannej służby w FBI, szansę na stanowisko zastępcy dyrektora, nie mógł się jednak równać z widowiskowym awansem Matta Tyrone'a w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Chociaż Dafoe nie wiedział dokładnie, jakie stanowisko Kowboj tam zajmuje, dochodziły do niego wieści, że Tyrone regularnie bierze udział w posiedzeniach rządu i cieszy się zaufaniem prezydenta. To człowiek, którego kraj potrzebuje, człowiek, dla

którego patriotyzm nie oznacza tylko powiewania flagą i pustej retoryki, ale jest sposobem na życie.

Nie wolno go zawieść. Nakręcił numer domowego telefonu Polowskiego i nagrał swoją wiadomość.

- To jest rozkaz. Masz się natychmiast wycofać ze sprawy Hollanda. Jesteś zawieszony aż do odwołania.

Kusiło go, aby dodać, że to na szczególną prośbę jego przyjaciół z Waszyngtonu, ale zmienił zdanie. To nie miejsce na próżność. Sam Kowboj powiedział, że wchodzi tu w grę bezpieczeństwo narodowe.

Dafoe nie miał co do tego wątpliwości. Miał na to słowo Matta Tyrone'a. A władza Matta pochodzi bezpośrednio od samego prezydenta.

- To wcale nie wygląda dobrze.

Ollie Wozniak zmrużył oczy osłonięte okularami w drucianej oprawie i popatrzył na dwadzieścia cztery fotografie rozrzucone na kuchennym stole. Wziął jedną, by lepiej jej się przyjrzeć. Bładoniebieskie oko przezierające zza szkła grubego jak dno od butelki stało się wyłupiaste i ogromne. Potrząsnął głową i przyjrzał się kolejnemu zdjęciu.

- Niektórych nie potrafię zinterpretować. Przyjrzę im się później. Ale te dotyczą prowizorycznych danych na temat śmiertelności. Mały rezusy, podejrzewam, że to o nie chodzi.

- Chyba nie używaliby ludzi do takich rzeczy - zauważyła Cathy.

- Może nie oficjalnie. - Ollie odłożył zdjęcie. - Były już takie przypadki.

- Może w nazistowskich Niemczech.

- Tutaj też - wtrącił Victor.

- Co? - Cathy patrzyła na nich z niedowierzaniem.

- Badania wojska nad bronią bakteriologiczną. Wypuszczano kolonie *serratia marcescens* nad San Francisco i czekano, jak daleko się rozprzestrzenia. W wielu szpitalach nad Zatoką rozwijały się infekcje. Niektóre przypadki kończyły się śmiercią.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła Cathy.

- Skutki śmiertelne były oczywiście niezamierzone, ale jednak ludzie umierali.

- A pamiętacie ten przypadek w Nowym Jorku? - zapytał Ollie. - Opóźnione umysłowo dzieci celowo wystawiano na kontakt z żółtaczką. Żadne z nich nie zmarło, ale podstawy etyczne takiego



badania są również wątpliwe. Czasami postępowano tak w imię dobra ludzkości.

- A czasami nie - dodał Victor. Ollie przytaknął.

- Tak jak w tym konkretnym wypadku.

- O czym właściwie mówimy? - zapytała Cathy, wskazując na fotografię. - Czy są to badania medyczne? Czy prace nad nową bronią?

- I to, i to. - Ollie wskazał na jedno ze zdjęć. - Wszystko wskazuje na to, że pracują nad wirusem niezwykle złośliwym i zaraźliwym, prowadzącym do śmiertelności na poziomie ponad osiemdziesięciu procent w warunkach laboratoryjnych. To zdjęcie pokazuje pęcherzykowate zmiany tworzące się na zainfekowanych osobnikach. Pęcherzyki, a raczej obecny w nich płyn, mogą być jedną z dróg przenoszenia się infekcji.

Przerzucił odbitki i wyjął jedną z nich.

- Oto tabela z czasem trwania choroby. Prawie w każdym przypadku jest ten sam. Tutaj osobnik zostaje zarażony. - Wskazał palcem na podpis „Dzień pierwszy”. - „Drobne oznaki choroby” tutaj, przy „Dniu siódmym”. „Obfita wysypka” przy „Dniu dwunastym”. A tutaj... - postukał palcem w wykres przy „Dniu czternastym” - zaczynają się zejścia śmiertelne. Rezultat jest ten sam, choć o różnym czasie. Wszystkie osobniki umierają.

- Użyłeś słowa „wysypka” - zauważyła Cathy. Ollie popatrzył na nią swoimi niebieskimi oczami.

- Bo tak to wygląda - powiedział.

- Jak wietrzna ospa?

- Dobrze by było. Bo wtedy nie byłaby to śmiertelna choroba. Prawie wszyscy przechodzimy wietrzną ospę jako dzieci i większość z nas się na nią uodpornia.

- Czy to jest nowy wirus? - zapytał Milo.

- I tak, i nie. - Ollie sięgnął po mikrogram elektroniczny. - Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem, że jest w tym wszystkim coś dziwnie znajomego. Wygląd tych organizmów, zmiany na skórze, przebieg choroby. Coś mi to przypominało. Coś, o czym czytałem parę dziesiątków lat temu. Coś, czego w najśmielszych snach nie spodziewałem się znowu zobaczyć.

- Chcesz przez to powiedzieć, że to stary wirus? - zapytał Milo.

- I to bardzo, ale zmodyfikowano go i stał się bardziej zaraźliwy. I jeszcze bardziej zjadliwy. Co uczyni go naprawdę straszliwą bronią, mając na uwadze miliony ludzi, które już zdołał zabić.

- Miliony? - Cathy wpatrywała się w niego. - O czym ty mówisz?

- O zabójcy znanym od wieków. O czarnej ospie.

- To niemożliwe! - zawołała. - Czytałam, że ospa już nie występuje. Wygasła.

- Praktycznie tak - odrzekł Victor. - Szczepienia na całym świecie doprowadziły do tego, że nie ma jej od dziesiątków lat. Nawet nie wiem, czy produkują jeszcze szczepionki. Ollie?

- Nie ma takiej potrzeby, bo wirus nie istnieje.

- To skąd się ten wziął? - dopytywała się Cathy. Ollie wzruszył ramionami.

- Pewnie z czyjejsz szafy.

- Daj spokój.

- Mówię serio. Po zwalczeniu ospy w laboratoriach państwowych pozostawiono kilka szczepów wirusa, na wypadek, gdyby były potrzebne w przyszłości do jakichś badań. Można powiedzieć, że to taki naukowy trup w szafie. W takich laboratoriach obowiązują nadzwyczajne środki ostrożności. Bo gdyby wirus wydostał się na zewnątrz, mogłoby dojść do wielkiej epidemii. - Popatrzył na stos zdjęć. - Wygląda na to, że zabezpieczenia zostały złamane. Ktoś musiał zdobyć wirusa.

- Albo zwyczajnie go dostał - zasugerował Victor. - Dzięki wsparciu rządu Stanów Zjednoczonych.

- Nie mogę w to uwierzyć - odparł Ollie. - To jest igranie z ogniem na beczce dynamitu. Żadna komisja nie zaaprobowałaby takiego przedsięwzięcia.

- Racja. Dlatego uważam, że to jest niezależna operacja. Łatwo rozszyfrować scenariusz. Grupka konserwatystów w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego wpada na pomysł. Albo kilku facetów z połączonego kolegium szefów sztabu. A może nawet z Gabinetu Ovalnego. Wystarczy, że ktoś powie: „Sytuacja światowa zmieniła się. Nie da się puścić atomówki na wroga. Potrzebujemy nowej broni, takiej, która będzie skuteczna w walce z armią trzeciego świata. Opracujmy coś nowego”. I jakiś facet w tym gabinecie, czerwono - biało - granatowy robot, potraktuje to jako przyzwolenie. A prawo międzynarodowe niech trafi szlag.

- A ponieważ sprawa nie jest oficjalna - dodała Cathy - w razie czego można całkowicie się wszystkiego wyprzeć.

- Racja. Władze stwierdzą, że nikt nic nie wiedział. Jeżeli nawali coś w Projekcie Cerber, zginie kilka milionów ludzi.

- Zostałem zaszczepiony na ospę, kiedy byłem dzieciakiem. Czy to oznacza, że jestem odporny?

- Zapewne tak. Zakładając, że wirus nie został zmutowany. Faktem jest, że osoby powyżej trzydziestego piątego roku życia prawdopodobnie nie są zagrożone. Ale pamiętajcie, że całe następne pokolenie nie dostało tej szczepionki. Młode osoby i dzieciaki. Do chwili, kiedy zdołalibyśmy wyprodukować ilość dostateczną dla wszystkich, epidemia już by się rozszalała.

- Zaczynam dostrzegać w tym jakąś logikę - powiedział Victor. - Kim jest większość żołnierzy biorących bezpośredni udział w każdej wojnie? To młodzi ludzie.

Ollie kiwnął głową.

- Oni ucierpieliby najbardziej. I dzieciaki.

- Całe pokolenie - rzekła cicho Cathy. - Ocaleliby tylko starzy ludzie. - Spojrzała Victorowi w oczy i zobaczyła odbicie swojego strachu.

- Wybrali właściwy kryptonim - rzucił Milo.

- Słucham? - Ollie zachmurzył się.

- Cerber. Trójgłowy pies z Hadesu. - Widać było, że Milo jest roztrzęsiony. - Strażnik zmarłych.

Dopiero gdy Cathy twardo zasnęła, a Milo poszedł na górę, Victor zdecydował się przedstawić sprawę Olliemu. Męczyło go to przez cały wieczór. Nie mógł spojrzeć Cathy w oczy, nie mógł znieść dźwięku jej głosu ani chłonąć zapachu jej włosów, nie myśląc jednocześnie o tej straszliwej możliwości. I w tej najczarniejszej godzinie nocnej, kiedy zdawało się, że cały świat - prócz niego i Olliego - jest pogrążony we śnie, podjął decyzję.

- Muszę cię poprosić o przysługę.

Ollie spojrzał na niego przez stół, nad którym unosiła się para nad jego czwartej filiżanki kawy. . - Co to za przysługa?

- W związku z Cathy.

Ollie przeniósł wzrok na kobietę śpiącą na podłodze. Pod kołdrą wyglądała na małą i bezbronną.

- Fajna dziewczyna - stwierdził Ollie.

- Wiem.

- Od śmierci Lily nie było żadnej innej, prawda? Victor potrząsnął głową.

- Chyba nie byłem gotowy. Ollie uśmiechnął się.

- Zawsze są jakieś wymówki. Wiem coś o tym. Wszyscy mi mówią, że są tłumy wolnych kobiet. Nie zauważyłem.

- A mnie się nie chciało zauważyć, aż do teraz.

- Co zrobisz?

- Nie jestem facetem, z którym jest się teraz bezpiecznie prowadzić. Dziewczyna może oberwać.

Ollie zaśmiał się.

- Facet też.

- Czuję się za nią odpowiedzialny. Gdyby coś się jej stało, nie wiem, czy mógłbym... - Westchnął i potarł zaczerwienione oczy. - Chyba byłoby najlepiej, gdyby wyjechała.

- Dokąd?

- Jej były mąż przez kilka miesięcy będzie pracował w Meksyku. Myślę, że byłaby tam bezpieczna.

- Chcesz ją wysłać do byłego męża?

- Znam go. To palant, ale nie byłaby sama.

- Czy Cathy się na to zgadza?

- Nie pytałem.

- Może powinieneś.

- Nie chcę jej dawać wyboru.

- A jeżeli chciałaby mieć wybór?

- Nie jestem teraz w nastroju, żeby się tym przejmować. Robię to dla jej dobra.

Ollie zdjął okulary i przetarł je rogiem obrusa.

- Przepraszam, że to mówię, Gersh, ale na twoim miejscu chciałbym mieć ją blisko, żeby mieć na nią oko.

- To znaczy tam, gdzie będę mógł zobaczyć, jak ją zabijają? - Victor potrząsnął głową. - Wystarczyła mi Lily. Nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić z Cathy.

Ollie pomyślał przez chwilę, a potem skinął głową.

- Co mam zrobić?

- Chciałbym, żebyś jutro zawiózł ją na lotnisko. Kup jej bilet do Meksyku. Niech użyje twojego nazwiska. Pani Wozniak. Upewnij się, że odleci. Zwrócę ci pieniądze, jak tylko będę mógł.

- A jeżeli nie będzie chciała wsiąść do samolotu? Mam ją po prostu wnieść na pokład?

- Zrób, co należy. Ollie, liczę na ciebie.

- Może mi się uda. Powiem jutro w pracy, że jestem chory. Będę miał wolny cały dzień. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Ja też, pomyślał Victor.

- Zadzwoń rano. - Ollie schował kopertę ze zdjęciami. - Najpierw pokażę dwie ostatnie odbitki Bachowi. Może on będzie wiedział, czego dotyczą te tabele.

- Jeżeli to ma coś wspólnego z elektroniką, Bach to wygłówkuje.

Razem podeszli do drzwi. Tam zatrzymali się na chwilę, dwaj starzy przyjaciele, którzy trochę posiwili i trochę, miał nadzieję Victor, zmądrzeli.

- Jakoś się to ułoży - powiedział Ollie. - Pamiętaj, system jest po to, żeby go pokonać.

- Jakbym znowu słyszał starego radykała ze Stanfordu.

- Minęło sporo czasu... - Ollie uśmiechnął się i poklepał Victora po plecach. - Ale nie jesteśmy jeszcze za starzy, żeby nie dać trochę czadu. Do zobaczenia rano.

Victor pomachał mu i Ollie zniknął. Potem zamknął drzwi i pogasił wszystkie światła.

Usiadł w salonie obok Cathy i patrzył, jak śpi. Światło dobiegające z ulicznej latarni sączyło się przez okno na jej włosy. Mówi, że jest pospolita. Może gdyby jej nie znał i minął ją na ulicy, też by tak pomyślał. Przypadkowe spotkanie na szosie w Garberville sprawiło, że nie był w stanie uznać tej kobiety za pospolitą. Swoją delikatnością i łagodnością przypominała Lily.

Chociaż był bardzo przywiązany do swojej żony, uważał, że Lily była przedziwnie pozbawiona pasji. Była czystą uduchowioną istotą uwięzioną w ludzkim ciele. Rozbierała się po ciemku, kochała się - z rzadka - w ciemnościach. A potem choroba pozbawiła ją całkowicie tej odrobiny pożądania, jakie kiedyś w niej się tliło.

Patrząc na Cathy, zaczął zgadywać, jakie pokłady namiętności tkwią w tym nieruchomym ciele. Szybko przerwał te rozważania. Jakie to ma znaczenie? Jutro wyśle ją stąd gdzieś daleko. To konieczne. Nie mógł myśleć rozsądnie, kiedy była obok. Nie mógł się skoncentrować na tym, co teraz jest najważniejsze. Jerry Martinique kiedyś na niego liczył. Tysiące potencjalnych ofiar na niego liczy. Jest

naukowcem, człowiekiem, który czerpie dumę ze swojego wycucia logiki. Jego pociąg do tej kobiety, w całym tym wielkim planie, nie ma żadnego znaczenia.

Postanowił, że póki może, odpocznie trochę. Zrzucił buty i wyciągnął się obok niej, by się zdrzemnąć. Kołdra była wystarczająco duża dla obojga. Okrył się i leżał tak przez chwilę, nie dotykając Cathy, jak gdyby lękał się dzielić z nią ciepło jej ciała.

Jęknęła przez sen, jej jedwabiste włosy omiotły jego twarz. Nie był w stanie jej się oprzeć. Westchnąwszy wziął ją w ramiona i poczuł, że tuli się do niego. To ich ostatnia wspólna noc. Przynajmniej rozgrzeją się nawzajem. I tak zasnął, z nią w ramionach.

Obudził się tylko raz. Śniła mu się Lily. Spacerowali razem w ogrodzie pełnym śnieżnobiałych kwiatów. Milczała. Patrzyła tylko z głębokim smutkiem, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jestem, Victorze. Wróciłam. Dlaczego nie jesteś szczęśliwy?”. Nie potrafił jej odpowiedzieć. Po prostu wziął ją w ramiona. A gdy się obudził, okazało się, że zamiast niej obejmuje Cathy.

Jego serce przepełniła radość. Zagrzała najciemniejsze zakamarki jego duszy. Ten nagły przyływ szczęścia zaskoczył go i wzbudził poczucie winy. Ale radość trwała krótko. Przypomniawszy sobie, że Cathy dziś wyjedzie.

Cathy, Cathy. Przez ciebie wszystko się skomplikowało. Odwrócił się od niej, budując w myślach ścianę między nimi.

Skoncentrował się na swoim śnie, próbując przypomnieć sobie, co się stało. Spacerował z Lily. Starał się przywołać obraz jej twarzy, brązowych oczu, kręconych czarnych włosów. Twarzy kobiety, której mężem był przez dziesięć lat, twarzy, którą powinien dobrze znać. Ale jedyną twarzą, którą widział, gdy zamknął oczy, była twarz Catherine Weaver.

Tylko dwie godziny zajęło Nicholasowi Savitchowi spakowanie torby i jazda do Palo Alto. Matt Tyrone przekazał mu wiadomość, że Holland wymknął się na południe, w okolice Stanfordu, prawdopodobnie w celu odnalezienia starych przyjaciół. Dawne więzy z czasów studenckich łączą ludzi na zawsze. Savitch tego tylko się domyślał, bo sam nie wyszedł poza szkołę średnią. Jego wykształcenie składało się z tego, co głodny i ambitny chłopak mógł sobie przyswoić w południowych dzielnicach Chicago. Głównie niesamowity dryg do tego, aby wejść w położenie drugiego człowieka i domyślić się, co

zrobi w danej sytuacji. Można to nazwać zaawansowaną psychologią uliczną.

Nicholas Savitch, czarodziej ludzkich dusz, myśliwy, który potrafi wykurzyć człowieka z jego najprzemysłniejszej kryjówki. W większości przypadków była to tylko kwestia logiki. Nawet uciekając, większość osób trzyma się dawnych przyzwyczajzeń. Wynika to ze strachu. W obcym mieście to, co znane, jest cenne, nawet jeżeli miałyby to być kolejny MacDonald. Jak każdy zbieg, Victor Holland też będzie szukał tego, co zna.

Savitch skręcił na Palm Drive i zatrzymał się przy Stanford Arch. Na kampusie uniwersyteckim panowała cisza; była druga nad ranem. Savitch posiedział chwilę, przyglądając się opustoszałym budynkom. Alma Mater Hollanda. To tutaj Holland zwróci się o pomoc do swoich dawnych przyjaciół, odwiedzi miejsca, w których kiedyś przesiadywał. Savitch zdażył odrobić lekcje. W teczce miał listę z nazwiskami, które wytypował, przeglądając dane personalne Victora. Rano zapuka do drzwi sąsiadów, mignie identyfikatorem, zapyta o nowe twarze w okolicy.

Jedyną komplikację może stanowić Polowski. Z ostatniego raportu wynika, że tu jest. Polowski to uparciuch. Nieprzyjemna sprawa, załatwienie agenta. Ale w końcu Polowski to tylko mały trybik, tak jak ta cała Weaver, tyle tylko że w znacznie większej maszynie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

O zimnej i ponurej godzinie tuż przed świtem Cathy obudziła się w sidłach nocnego koszmaru. Śniło się jej, że spacerowała w świecie betonu i cienia, gdzie wyszczerzały się na nią jamy otwartych drzwi, a na rogach ulic czyhały pozbawione twarzy skulone sylwetki. Snuła się pomiędzy nimi, korzystając z mroku i instynktownie unikając światła. Nikt jej nie ścigał, z ciemnych uliczek nie groził żaden atak. Prawdziwe zagrożenie leżało w niekończącym się labiryncie betonu, twardym echu dobywającym się z ulic, frenetycznym poszukiwaniu bezpiecznego miejsca.

I pewności, że nigdy go nie znajdzie.

Przez chwilę leżała w ciemnościach, zwinięta w kłębek pod puchową kołdrą na dywanie w salonie Mila.

Musiałoby być już po trzeciej, gdy zasnęła. Ostatnie co zapamiętała to widok Olliego i Victora pochylonych nad stołem ze zdjęciami. Teraz panowała cisza. Jadalnia, tak jak reszta domu, pogrążona była w półmroku.

Przewróciła się na plecy, a jej ramiona natrafiły na coś twardego i ciepłego. Victor. Poruszył się i coś mruknął.

- Nie śpisz? - zapytała.

Odwrócił się i zaspany zamknął ją w ramionach. Wiedziała, że to tylko instynkt popchnął go do niej, tylko pragnienie ciepłego ciała. A może była to pamięć o żonie śpiącej obok niego, która w jego myślach była z nim zawsze i czekała, by ją objął. Na chwilę pozwoliła mu pogrążyć się w tym śnie. Póki jeszcze jest na wpół przytomny, niech wierzy, że to Lily, pomyślała. Nie ma w tym nic złego. Potrzebuje takiego wspomnienia. A ja pociechy.

Ukryła się w jego ramionach, w tym bezpiecznym miejscu, które kiedyś należało do innej. Zajęła je, nie zważając na konsekwencje, pragnąc dać się ponieść fantazji, że przynajmniej w tej chwili jest jedyną kobietą na świecie, którą Victor kocha. To wspaniałe uczucie, że ktoś ją chroni. Szorstki materiał jego koszuli stał się dla niej rajem. Victor oddychał głęboko, ukrywając usta w jej włosach i szepcząc słowa, które przecież były przeznaczone dla innej. Uwięził jej twarz w dłoniach i przyłgnął ustami do jej warg, w pocałunku pełnym takiej żądzy, że zapalił w niej ogień. Odpowiedziała mu pożądaniem kobiety, dla której miłość była obca od zbyt dawna. Natychmiast



zagubiła się i pograżyła w cudownej kipieli. Poddała mu się, pragnąc jego dotyku. To już tak długo, tak dawno.

Nie wiedziała, kiedy palce Victora jeszcze muskały materiał bluzki, a kiedy jej skórę. To ten nieoczekiwany kontakt dwóch ciał, magiczna tortura jego pieszczot, sprawiły, że ostatni opór został przełamany. Jaka szansa im została? Ile wspólnych nocy? Pragnęła wieczności, ale może uda im się zyskać zaledwie kilka chwil. Przywitała go z wdzięcznością, z całą namiętnością kobiety, której dano posmakować miłości po raz ostatni.

Razem niezdarnie walczyli z guzikami i suwakami, bo oboje nagle zapragnęli wolności. Wszelkie opory opadły z nich w szamotaninie bawelny i koronki. I kiedy nic już ich nie dzieliło poza aksamitną czernią ciemności, przyciągnęła go ku sobie. Wypełnił ją radością, jak gdyby w tej jednej chwili zdołał zaspokoić pustkę jej duszy.

- Proszę... - Jej szept przeszedł w jęk. Zamarł na chwilę.

- Cathy? Co...

- Proszę. Nie...

Jego cichy śmiech był całym zapewnieniem, jakiego potrzebowała.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - szepnął i zabrał ją ze sobą daleko, w miejsce poza myślą czy rozsądkiem. Dopiero kiedy przyszło wybawienie, fala zalała kolejną falę, zrozumiała, jak wysoko się wspięli.

Zapadli się w słodkie wyczerpanie. A tymczasem na dworze, w szarości poranka, zaśpiewał ptak. Ale tu, w domu, ciszę przerywał tylko rytm ich oddechu.

Cathy westchnęła, wtulona w ciepło jego ramienia.

- Dziękuję ci.

- Za co? - Victor dotknął jej twarzy.

- Za to, że poczułam, że ktoś mnie znowu pragnie.

- Och, Cathy.

- Minęło już tyle czasu. Jack i ja przestaliśmy być ze sobą na długo przed rozводом. Właściwie to ja... Nie mogłam znieść... - Zaczepnęła powietrza. - Kiedy już kogoś nie kochasz, i kiedy ta druga osoba cię nie kocha, trudno jest pozwolić, żeby cię... dotykano.

- Dalej ci trudno? Nie chcesz, żeby cię dotykać?

- Nie chodzi o ciebie. Kiedy ty mnie dotykasz, to jest tak... jakby to się działo po raz pierwszy.

W łagodnym świetle poranka zobaczyła jego uśmiech.

- Mam nadzieję, że twój pierwszy raz nie był taki straszny.

Teraz ona obdarowała go uśmiechem.

- Nie pamiętam dokładnie. To było coś wariackiego i śmiesznego na podłodze w akademiku.

Wyciągnął rękę spod kołdry i poklepał dywan.

- Widzę, że zrobiłaś duży krok do przodu.

- Prawda? - Roześmiała się. - Ale podłoga może stać się bardzo romantycznym miejscem.

- O Boże. Znawczyni dywanów. Czy jest jakaś różnica pomiędzy podłogą w akademiku i dywanem w salonie?

- Nie odpowiem ci na to pytanie. Minęło tyle czasu od chwili, kiedy miałam osiemnaście lat. Chodzi o to... że minęło dużo czasu od chwili, kiedy z kimś byłam.

- To dotyczy nas obojga - odparł cicho.

Ten ich wspólny sekret zawisł na chwilę w powietrzu.

- Chyba nie... od czasów Lily? - zapytała.

- Tak.

Jedno słowo, a wyjawilo tak wiele. Trzy lata lojalności w stosunku do nieżyjącej kobiety. Smutek i samotność.

Tak bardzo pragnęła wypełnić tę przerażającą pustkę! Ocalić i jego, i siebie. Czy mogłaby dać mu zapomnienie? Nie, nie chciała, by zapomniał; nie może oczekiwać, że zapomni Lily. Ale pragnęła miejsca w jego sercu dla siebie, dużo miejsca, aby starczyło jej na całe życie. Przestrzeni, której żadna kobieta, żywa lub martwa, nigdy jej nie odbierze.

- Musiała być wspaniałą kobietą - powiedziała.

- Miała w sobie wiele mądrości. I była dobra. To coś, co rzadko w ludziach odnajduję.

Ciągle jest częścią ciebie. Ciągle ją kochasz, prawda?

- Tę samą dobroć odnajduję w tobie - dodał. Dłoń Victora zsunęła się ku twarzy Cathy i pieściła teraz jej policzki. Zamknęła oczy, rozkoszując się jego dotykiem i ciepłem.

- Przecież wcale mnie nie znasz - szepnęła.

- Znam cię dobrze. Tej nocy, po wypadku, przeżyłem tylko dzięki twojemu głosowi. I twoim rękami. Wszędzie bym je poznał.

- Naprawdę?

Przyłgął wargami do jej czoła.

- Nawet we śnie.

- Ale ja nie jestem taka jak Lily. Nigdy się nią nie stanę.

- To prawda. Żadna kobieta nie będzie taka jak ona.

- Nie mogę zastąpić tego, co utraciłeś.

- A skąd wiesz, że tego właśnie pragnę? Kogoś, kto ją zastąpi.

Była moją żoną. Tak, kochałem ją. - Sposób, w jaki to powiedział, wskazywał na to, że nie oczekuje żadnych pytań.

I nie próbowała ich zadawać.

Gdzieś w domu zadzwonił telefon. Usłyszeli dochodzący z góry przytłumiony głos Mila.

Cathy usiadła i sięgnęła po ubranie. Włożyła je po ciemku, odwrócona plecami do Victora. Zawiązała się pomiędzy nimi jakaś nowa nieśmiałość obcych sobie ludzi.

- Cathy - powiedział. - Ludzie idą naprzód.

- Wiem.

- Doszłaś do siebie po rozstaniu z Jackiem. Parsknęła krótkim śmieszkiem.

- Tak naprawdę to żadna kobieta nie dochodzi do siebie po rozstaniu z Jackiem. Tak, najgorsze już za mną. Ale za każdym razem, kiedy kobieta się zakochuje na poważnie, traci jakąś część siebie. Coś, czego nie może już odzyskać.

- Ale też coś zyskuje.

- To zależy od tego, w kim się zakocha, prawda?

Niespodziewanie usłyszeli pospieszne kroki na schodach. W drzwiach stanął rozbudzony już na dobre Milo z włosami nastroszonymi jak szczotka.

- Hej, wy dwoje! - syknął. - Wstawać! Szybko! Zaniepokojona Cathy zerwała się na równe nogi.

- Co się stało?

- Dzwonił Ollie. Mówił, że jakiś facet zadaje pytania na wasz temat. Był już u sąsiadów Bacha.

- Co? - Teraz podniósł się błyskawicznie Victor.

- Ollie wyglówkował, że facet będzie zaraz tutaj. Widocznie wiedzą, z kim się przyjaźniłeś.

- Kto to był?

- Twierdzi, że jest z FBI.

- To Polowski - mruknął Victor, wkładając koszulę. - To na pewno on.

- Znasz go?

- To ten gość, który mnie wrobił. Od tego czasu nas śledzi.

- Skąd wiedział, że tu jesteśmy? - spytała Cathy. - Nikt nie mógł za nami...

- Nikt nie musiał. Mają moje dane. Wiedzą, że mam tu przyjaciół. - Victor zerknął w stronę Mila. - Przepraszam, stary. Mam nadzieję, że nie ściągnąłem na ciebie kłopotów.

Śmiech Mila był wyraźnie wymuszony.

- No, nic złego nie zrobiłem. Ukrywałem tylko przestępcę. - Ale brawura szybko się skończyła. - A właściwie to jakich kłopotów mogę oczekiwać?

- Pytań. Szczegółowych. Może będą chcieli się rozejrzeć. Zachowaj spokój, powiedz, że dawno nie miałeś ze mną kontaktu. Myślisz, że dasz sobie radę?

- No jasne. Ale nie wiem jak mama...

- To nie problem. Powiedz jej, żeby trzymała się chińskiego. - Victor złapał kopertę ze zdjęciami i spojrzał na Cathy. - Gotowa?

- Tak. Zabierajmy się stąd.

- Tylnymi drzwiami - rzucił Milo.

Pobiegli za nim przez kuchnię. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że droga jest wolna.

- Byłbym zapomniał. Ollie chce się z wami zobaczyć dziś po południu. Chodzi o te zdjęcia - dodał Milo.

- Gdzie?

- Nad jeziorem. Za hangarem dla łodzi. Znasz to miejsce.

Powitała ich chłodna wilgoć poranka. W powietrzu wisiała cisza. Czy nigdy nie przestaniemy uciekać?

- pomyślała Cathy. Nigdy nie przestaniemy nadśłuchiwać kroków?

Victor poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Dzięki, Milo. Jestem twoim dłużnikiem.

- Wkrótce zgłoszę się po zapłatę! Victor podniósł dłoń w geście pożegnania.

- Do zobaczenia.

- O, tak - mruknął Milo w stronę otulającej ich mgły.

- Mam nadzieję, że nie w więzieniu.

Chińczyk kłamie. Choć jego głos nie zdradzał żadnego wahania, Savitch wiedział, że pan Milo Lum coś ukrywa. Zdradziły go oczy.

Siedział na kanapie w salonie, a z boku, w fotelu, siedziała uśmiechnięta pani Lum.

- Nie rozumiem, dlaczego go szukacie - rzekł Milo.

- Victor jest zupełnie czysty. A przynajmniej taki był, kiedy go znałem. Ale to było dawno temu.

- Kiedy? - zapytał grzecznie Savitch.

- Och, wieki temu. Tak. Od tego czasu go nie widziałem, proszę pana.

Savitch podniósł brwi. Milo założył nogę na nogę i rozejrzał się po pokoju bez widocznego powodu.

- Mieszka pan tylko z matką? - zapytał Savitch.

- Tak, od czasu śmierci ojca.

- Żadnych lokatorów? Nikt więcej tu nie mieszka?

- Nie. Dlaczego?

- Mieliśmy raport, że mężczyzna o wyglądzie Hollanda pojawił się w tej okolicy.

- Niech mi pan wierzy, że gdyby Victor był poszukiwany przez policję, to z pewnością nie kręciłby się tutaj. Myśli pan, że wpuściłbym do domu kogoś podejrzanego o morderstwo? Tu, gdzie mieszkanie sam, tylko ze starą matką?

Savitch zerknął na panią Lum, która tylko się uśmiechała. Stara kobieta miała bystre, wszystkowiedzące oczy. Oczy osoby, która przeszła wiele. Nadszedł czas, aby Savitch potwierdził swoje przypuszczenia.

- Przepraszam - powiedział, wstając - miałem długą podróż. Czy mógłbym skorzystać z toalety?

- Oczywiście. Na końcu korytarza.

Savitch wszedł do łazienki i zamknął drzwi. W ciągu sekundy zauważył dowód, którego szukał. Na wykafelkowanej podłodze leżał długi włos koloru brązowego. Bardzo jedwabisty, bardzo cienki.

Jak włosy Catherine Weaver. To był cały dowód, jakiego potrzebował, by przedsięwziąć dalsze kroki. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął z futerału pistolet półautomatyczny. Potem poklepał gors swojej wykrochmalonej białej koszuli. Brudna sprawa, takie przesłuchanie. Trzeba uważać na plamy z krwi.

Wyszedł na korytarz z pistoletem w rękę. Najpierw załatwi starą. Lufa do skroni, zagrozi, że pociągnie za spust. Między matką a synem istniała niezwykle silna więź. Będą osłaniać siebie nawzajem za wszelką cenę.

Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Zatrzymał się.

- Pan Milo Lum?

- A pan kim jest? - Savitch usłyszał znużony głos gospodarza.

- Sam Polowski. FBI.

Mięśnie w ciele Savitcha się napięły. Teraz nie ma wyjścia, musi pozbyć się faceta. Podniósł broń i bezszelestnie ruszył w stronę salonu.

- Jeszcze jeden? - zabrzmiał zirytowany głos Mila. - Niech pan posłucha, jeden z waszych ludzi już tu jest...

- Co?

- Jest tam, w...

Savitch pokazał się i skierował broń w stronę drzwi frontowych, kiedy pani Lum krzyknęła.

Milo zastygł, lecz Polowski rzucił się w bok, zanim kula z hukiem utwiła we framudze, roztrzaskując drewno na kawałki. Zanim Savitch wystrzelił po raz drugi, Polowski był już za kanapą i druga kula utkwiała w tapicerce. Savitch zdecydował, że pora zniknąć.

Odwrócił się i prysnął w korytarz, do najbardziej oddalonej sypialni. Był to pokój matki; pachniał kadzidełkami i perfumami starej kobiety. Okno otworzyło się łatwo. Savitch jednym kopnięciem zrobił dziurę w siatce przeciwko owadom i wyskoczył. Zapadł się w błotnistą rabatkę kwiatową. Przeklinając, powłókł się przez trawnik, pozostawiając za sobą ślady błota.

- Stać! FBI! - usłyszał jeszcze z oddali. Przez całą drogę do samochodu aż kipiał z wściekłości.

Milo w zdumieniu wpatrywał się w podeptane bratki.

- O co tu, do cholery, chodziło? - zażądał wyjaśnień. - Czy FBI robi mi jakiś kawał?

Polowski milczał, zbyt zajęty obserwowaniem śladów butów w trawie. Wiodły do chodnika, a potem znikły na asfaltowej nawierzchni drogi.

- Hej! - zawołał Milo. - Co tu się dzieje? Polowski odwrócił się.

- Właściwie nie widziałem go. Jak wyglądał?

- Nie wiem. Tak jak ten aktor w tym policyjnym serialu, no wie pan... Wysoki, zadbany, dobrze zbudowany. Typowy agent FBI. - Milo wzruszył ramionami.

Zapadła cisza, bo Milo zauważył nadwagę Polowskiego i jego wystający brzuch.

- No, może nie typowy... - A twarz?

- Niech pomyślę. Ciemne włosy. Oczy chyba brązowe?

- Nie jest pan pewien?

- Wie pan, jak to jest. Wy wszyscy biali faceci jesteście dla mnie jednakowi.

Zalał ich nagle potok chińszczyzny. To pani Lum wyszła na trawnik i teraz coś mówiła, obficie przy tym gestykulując.

- Co ona mówi? - zapytał Polowski.

- Że miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, proste włosy koloru ciemnobrązowego z przedziałkiem po lewej stronie, brązowe oczy, prawie czarne, wysokie czoło, wąski nos i cienkie wargi, mały tatuaż na wewnętrznej stronie lewego nadgarstka.

- Hm, to wszystko?

- Miał wytatuowane litery PJX. Polowski potrząsnął głową ze zdumieniem

- Zawsze miała taki zmysł obserwacji?

- Nie mówi po angielsku, więc dużo się przygląda.

- Najwidoczniej.

Polowski wyjął długopis i zapisał informacje.

- Kim był ten facet? - dopytywał się Milo.

- Na pewno nie agentem.

- Skąd mam wiedzieć, czy pan jest naprawdę z FBI?

- A wyglądam?

- Nie.

- To znaczy, że jestem. Gdybym chciał udawać agenta, to czy nie próbowałbym przynajmniej na niego wyglądać? A jeżeli nim jestem, to mi nie zależy na wyglądzie.

- Aha.

- No dobrze. - Polowski wsunął notes do kieszeni. - Czy dalej będzie się pan upierał, że nie miał pan kontaktu z Victorem Hollandem?

- Oczywiście. - Milo wyprostował się.

- I nie wie pan, jak się z nim skontaktować?

- Nie mam pojęcia.

- To niedobrze. Bo tak się składa, że mogę ocalić mu życie. Bo już ocaliłem pańskie.

Milo nie odpowiedział.

- Jak pan myśli, po jaką cholere ten facet tu przyjechał? Z towarzyską wizytą? Nie, szukał informacji. - Polowski zamilkł, po czym dodał złowieszczo: - I niech mi pan wierzy, uzyskałby ją.

Milo potrząsnął głową.

- Nie wiem już, co o tym wszystkim myśleć.

- Ja też nie. I dlatego potrzebny mi jest Holland. On ma w zanadrzu odpowiedzi. Ale potrzebuję go żywego. A to oznacza, że muszę go odnaleźć, zanim to zrobi tamten.

Polowski i Milo patrzyli sobie w oczy.

- Nie wiem, co mam zrobić - mruknął Milo.

Pani Lum znowu zaczęła mówić. Wskazała na Polowskiego i kiwnęła głową.

- Co teraz powiedziała? - zapytał Polowski.

- Mówi, że ma pan duże uszy.

- Wystarczy mi lustro, żeby się tego dowiedzieć.

- Ma na myśli, że wielkość pana uszu wskazuje na roztropność i że jest pan sprytnym gościem. Uważa, że powinienem pana posłuchać.

Polowski zwrócił się z uśmiechem w stronę pani Lum.

- Pańska matka zna się na ludziach. Nie chciałbym, żeby coś się jej stało. Albo panu. Musicie wyjechać z miasta.

Milo kiwnął głową.

- W tej sprawie zgadzam się z panem - odparł i zaczął iść w kierunku domu.

- A co z Hollandem? - zawołał Polowski. - Pomoże mi pan go znaleźć?

Milo wziął matkę pod ramię i poprowadził przez trawnik. Nie oglądając się za siebie, odpowiedział:

- Zastanowię się nad tym.

- To te dwie fotografie. Zupełnie nie mogłem ich zrozumieć - oznajmił Ollie.

Stali przy hangarze dla łodzi, na pomoście schodzącym na dno jeziora Lagunita. Wodę spuszczone i wyglądało teraz na błotniste bagno zarośnięte trzcinami. Wiosną będzie to idylliczne miejsce, z wodą pluszczącą przy brzegach, parami kochanków na łodziach, a pod



drzewami tu i ówdzie zasiądzie poeta. Lecz teraz, pod czarnymi chmurami, gdy zimna mgła wydobywała się spomiędzy trzciny, panował tu ostateczny smutek.

- Wiedziałem, że nie są to dane biologiczne - ciągnął Ollie. - Myślałem, że to przypomina jakiś elektryczny wykres. Więc dziś rano, po wyjściu z domu Mila, zabrałem je do Bacha, w San Jose. Złapałem go przy śniadaniu.

- Do Bacha? - zapytała Cathy.

- To jeden z członków grupy Fałszywa Nuta. Grał na fagocie. Założył kilka lat temu firmę elektroniczną i teraz współpracuje z dużymi graczami na rynku. W każdym razie, kiedy tylko wszedłem, zapytał, czy rozmawiał już ze mną FBI. Powiedział, że właśnie dzwonił i pytali o Gershwin'a i że pewnie teraz zwrócą się do mnie. Pomyślałem, że muszę was wyciągnąć z domu Mila, i to szybko.

- Ale co mówił o tych zdjęciach?

- To alarm elektroniczny. - Ollie sięgnął do teczki i wyjął fotografię. - Bardzo skomplikowany, bardzo bezpieczny. Zaprojektowany tak, że można go unieruchomić przy użyciu kodu, na klawiaturze, tu, w tym miejscu. Prawdopodobnie przy wejściu. Widziałeś kiedyś coś takiego w Virateku?

Victor potwierdził skinieniem głowy.

- Budynek C - 2. Tam gdzie pracował Jerry. Klawiatura jest umieszczona w holu, tuż przy drzwiach do Sekcji Projektów Specjalnych.

- Byłeś tam kiedyś?

- Nie. Mogą tam wejść tylko osoby dopuszczone do spraw tajnych.

- Wnioskując z diagramu, tutaj jest kolejny punkt kontrolny, chyba kolejna klawiatura. Przy pierwszych drzwiach zainstalowano system kamer.

- Taki jaki stosują w bankach? - zainteresowała się Cathy.

- Podobny. Przypuszczam tylko, że ten jest monitorowany przez całą dobę.

- Nie żalowali sobie, prawda? System pierwsza klasa - rzekł Victor. - Dwoje zabezpieczonych drzwi, strażnik. Nie licząc strzeżonej bramy zewnętrznej.

- Nie zapomnij o siatce laserowej.

- Co to jest?

- W tym wewnętrznym pokoju. - Ollie wskazał na środek diagramu. - Strumienie laserowe skierowane pod różnymi kątami. Wyłapią ruch wszystkiego, co jest większe od szczura.

- Jak się je wyłącza?

- Na konsoli ochroniarza są wyłączniki. Victor potrząsnął głową.

- To niemożliwe. Nigdy się tam nie przedostaniemy. Cathy nagle spoważniała.

- Zaczekajcie. O czym wy właściwie mówicie? Chyba nie macie zamiaru wejść do tego budynku?

- Rozmawialiśmy o tym wczoraj w nocy - przyznał Victor. - To może być jedyny sposób...

- Zwariowałeś? Viratek chce nas zabić, a ty chcesz się do nich włamać?

- Potrzebujemy dowodów - wtrącił Ollie. - Jeżeli zechcesz pójść z tym do gazet albo Departamentu Sprawiedliwości, zażądamy dowodów. Viratek na pewno wszystkiemu zaprzeczy. Nawet jeżeli ktoś rozpocznie śledztwo, Viratek musi tylko pozbyć się wirusa i puf! brak dowodów. Nikt już niczego nie udowodni.

- Masz zdjęcia...

- Kilka stron badań na zwierzętach. Nazwa wirusa nie jest ani razu wymieniona. I powiedzą, że wszystkie dowody zostały sfabrykowane przez, na przykład, jakiegoś niezadowolonego byłego pracownika.

- To co wreszcie jest dowodem? Czego jeszcze potrzebujesz? Kolejnej ofiary? Na przykład Victora?

- Potrzebujemy wirusa, tego, który został uznany za wygasłego. Jedna próbówka i sprawa jest zamknięta.

- Tylko jedna próbówka. - Cathy potrząsnęła głową.

- Czym ja się martwię? Nikt nie przedostanie się przez te zabezpieczenia. Bez kodów.

- Ale my je mamy! - Ollie pokazał drugie zdjęcie.

- Te tajemnicze sekwencje cyfr. Zobacz, wreszcie nabrały sensu. Dwa zestawy siedmiocyfrowych liczb. To nie są numery telefonów! Jerry wskazał nam drogę do sekretów Virateku.

- A co z laserami? - wytknęła im Cathy, bo jej zdenerwowanie rosło. Chyba nie mówią serio! Przecież muszą widzieć beznadziejność swojej misji. - A do tego jeszcze strażnicy. Dwóch. Jak obok nich przejście? A może Jerry zostawił wam patent na czapkę niewidkę?

Ollie spojrział zakłopotany na Victora.

- Może powinniście to wszystko najpierw sami przedyskutować. Zanim zrobimy następne plany.

- Myślałam, że moje zdanie też się liczy. Widzę, że się myliłam. - Cisza, jaka zapadła, wzmogła złość Cathy. A więc wyłączyliście mnie z tego, pomyślała. Nie szanujecie mojego zdania na tyle, żeby zapytać, co o tym myślę.

Bez słowa odwróciła się i odeszła.

Chwilę potem Victor ją dogonił. Stała na ścieżce, obejmując się ramionami, by ochronić się przed zimnem. Słyszała, że się zbliża, wyczuła jego niepewność, walkę o znalezienie właściwych słów.

- Uważam, że powinniśmy uciekać - oznajmiła.

Popatrzyła w przestrzeń ponad dnem suchego jeziora. Ostry i przenikliwy wiatr, który szumiał w trzcinach, przenikał przez jej sweter.

- Chcę się stąd wydostać - powiedziała. - Pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło. Gdzie świeci słońce, gdzie mogłabym się położyć na plaży i nie martwić się, czy ktoś mnie nie śledzi zza krzaków...

Nagle przypomniała sobie o takiej strasznej możliwości, obejrzała się i zerknęła na gęstwinę drzew. Zobaczyła tylko drżące martwe liście.

- Zgadzam się z tobą - rzekł po cichu Victor.

- Naprawdę? - Z ulgą zwróciła się w jego stronę. - Chodźmy, Victorze! Zapomnij o tym wariackim pomysle. Możemy złapać następny autobus na południe...

- Dziś po południu będziesz już w drodze.

- Ja? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, bo w pierwszej chwili nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Potem znaczenie jego słów dotarło do niej. - A ty?

- Nie mogę.

- To znaczy nie chcesz.

- Nie rozumiesz? - Schwycił ją za ramiona, jak gdyby potrząśnięcie nią miało dodać jej rozsądku. - Zapędzili nas w kozi róg. Jeżeli czegoś nie zrobimy, zawsze już będziemy uciekać.

- No to uciekajmy! - Wyciągnęła do niego rękę i złapała za kurtkę. Chciało się jej krzyżeć, zerwać mu tę spokojną maskę rozsądku i dostać się do uczuć, które kłębiły się pod nią. Muszą tam być, ukryte głęboko w tym jego logicznym mózgu.

- Moglibyśmy pojechać do Meksyku - zaproponowała. - Znam miejsce na wybrzeżu, w Baji. Mały hotelik przy plaży. Moglibyśmy tam zostać, poczekać, aż zrobi się bezpieczniej...

- Nigdy nie będzie bezpieczniej.

- Mylisz się! Zapomną o nas...

- Nie mówisz poważnie.

- Mówię. Chcę żyć.

- I właśnie dlatego muszę to zrobić. - Uwięził jej twarz w dłoniach tak, że mogła patrzeć tylko na niego. Nie był już kochankiem ani przyjacielem. Jego głos był teraz zimny i władczy, wzbudzał lęk. - Staram się ocalić twoje życie, dać ci przyszłość. I jedyny sposób to rozdmuchać tę sprawę tak, żeby cały świat się o niej dowiedział. Jestem ci to winien. I Jerry'emu.

Chciała z nim się kłócić, błagać, aby jechał z nią, ale wiedziała, że to beznadziejne. Ucieczka byłaby rozwiązaniem tymczasowym, które dałoby im tylko kilka słodkich miesięcy bezpieczeństwa, na krótko.

- Wybacz mi, Cathy. Nie ma innego sposobu...

- ...żeby się mnie pozbyć - dokończyła.

Ten nagły rozdźwięk pomiędzy nimi sprawił jej ból. Nie mogła patrzeć na niego, wiedząc, że nie zobaczy odbicia swojego cierpienia w jego oczach.

- Jak to zrobisz? - zapytała głucho. - Mam wyjechać dzisiaj? Samolotem?

- Ollie zawiezie cię na lotnisko. Prosiłem, żeby ci kupił bilet dla pani Wozniak. Będzie bezpieczniej, jeżeli nie pojedę z wami.

- Oczywiście.

- Dostaniesz się do Meksyku. Ollie da ci pieniądze, które powinny na jakiś czas wystarczyć. Żebyś mogła pojechać stamtąd, dokąd zechcesz, do Baji albo Acapulco. Albo dołączyć do Jacka, jeżeli uznasz, że tak będzie lepiej.

- Do Jacka. - Odwróciła się, by ukryć łzy. - Dobrze.

- Cathy... - Poczowała jego rękę na ramieniu. Usłyszeli jakieś kroki. To był Ollie.

- Jedziemy?

Nastąpiła długa cisza. Potem Victor skinął głową.

- Cathy jest gotowa.

- Posłuchajcie - bąknął Ollie, zdawszy sobie sprawę, że im przerwał. - Samochód stoi przy hangarze. Jeżeli chcecie, to poczekam...

Cathy gniewnie otarła łzy.

- Nie - odparła z gwałtowną determinacją. - Już idę. Victor patrzył na nią wzrokiem przyćmionym przez jakąś chłodną, nieprzeniknioną mgłę.

- Zegnaj, Victorze - powiedziała, lecz on dalej milczał. - Jeżeli... już cię nigdy nie zobaczę... - Urwała, chcąc dodać sobie odwagi. - Uważaj na siebie - dokończyła, a potem odwróciła się i poszła za Olliem.

Przez okno samochodu dostrzegła jeszcze Victora stojącego nad jeziorem, z rękoma w kieszeniach, zgarbionego w podmuchach wiatru. Nie pomachał im, tylko obserwował, jak odjeżdżają. To był obraz, jaki Cathy pragnęła zachować na zawsze, ten ostatni znikający widok mężczyzny, którego kochała. Tego, który się jej pozbył.

Ollie wyjechał na główną drogę, ale Cathy siedziała w milczeniu, z takim bólem, że trudno jej było oddychać. Został w tyle, już go nie widziała, ale czuła, że tam stoi, nieporuszony jak te dęby, które go otaczały. Kocham cię, pomyślała. I nigdy więcej już cię nie zobaczę.

Po raz ostatni obejrzała się za siebie. Victor był już daleko, prawie zniknął między drzewami. W geście pożegnania podniosła rękę i dotknęła szyby.

Była zimna.

- Muszę wstąpić do laboratorium - powiedział Ollie, skręcając na szpitalny parking. - Przypomniało mi się, że zostawiłem w biurku książeczkę czekową. Bez niej nie kupię ci biletu.

Cathy ponuro kiwnęła głową. Ciągle jeszcze była w szoku i próbowała zaakceptować fakt, że została sama.

Ollie zatrzymał się na miejscu z tabliczką „Zarezerwowane, Wozniak”.

- To potrwa tylko chwilę.

- Mam iść z tobą?

- Lepiej zaczekaj w samochodzie. Pracuję z ciekawskimi. Zobaczą mnie z dziewczyną, to zaraz będą chcieli o wszystkim wiedzieć. Zaraz wracam.

Cathy patrzyła, jak znika w bocznym wejściu. Uśmiechnęła się na myśl o Olliem w towarzystwie kobiety. No, chyba żeby to była babka z doktoratem, która wytrzymałaby jego naukowe wywody.

Minęła minuta. Na zewnątrz zaskrzeczał ptak. Cathy rozejrzała się i w drzewach otaczających wjazd do szpitala zauważyła sójkę przycupniętą na gałęzi. Nic więcej nie poruszyło się, nawet liście.

Oparła się wygodniej i zamknęła oczy.

Za mało snu, ciągle w biegu, oto rezultat. Plaża, pomyślała. Ciepły piasek. Fale u stóp...

Wrzask sójki zamilkł nagle. Cathy nie zauważyła nagłej ciszy. A potem wyczuła jakiś cień w oknie, jak gdyby chmura przesłoniła słońce. Otworzyła oczy i zobaczyła twarz wpatrującą się w nią przez szybę. W panice usiłowała zablokować drzwi, ale się otworzyły. Przed oczami mignęła jej odznaka.

- FBI! Wysiadać!

Powoli wysiadła, chociaż kolana się pod nią uginały. Ollie, gdzie jesteś? Jeżeli się pojawi, to pryśnie przez parking pomiędzy drzewa. Wątpliwe, aby facet z odznaką zdołał ją dogonić; krótkie nogi i wydatny brzuch nie wskazywały na sportowca. Ale musi mieć broń. Jeżeli zacznę uciekać, to strzeli mi w plecy?

- Niech pani nawet o tym nie myśli, panno Weaver.

- Wziął ją pod rękę i lekko popchnął w stronę wejścia do szpitala.

- Naprzód. Idziemy.

- Ale...

- Doktor Wozniak czeka na nas w laboratorium. Czekanie to nie było właściwe słowo. Ollie, zgięty wpół, przykuty był kajdankami do nóg biurka, a jego trzech kolegów przyglądało mu się ze zdumieniem.

- Wracajcie do pracy, panowie - powiedział agent i wyprowadził ich z pokoju. - To rutynowa sprawa.

- Zamknął drzwi i przekreślił klucz. Potem zwrócił się do Cathy i Olliego. - Muszę znaleźć Hollanda. I to szybko.

- Człowieku - mruknął pod nosem Ollie - jesteś jak zepsuta płyta.

- Kim pan jest? - spytała Cathy.

- Sam Polowski. Z biura w San Francisco. - Wyjął odznakę i klapnął nią o biurko. - Przyjrzyjcie się bliżej. Jest prawdziwa.

- Przepraszam - zawołał Ollie - nie mógłby pan przykuć mnie w wygodniejszej pozycji?

Polowski udał, że nie słyszy.

- Chyba nie muszę pani tego tłumaczyć, panno Weaver. Holland ma kłopoty.

- To pan sprawia mu największy kłopot - odparowała.

- I tu się pani myli. - Polowski przysunął się bliżej niej. - Jestem dla niego jedyną szansą.

- Próbuje pan go zabić.

- Nie ja. Ktoś inny, komu to się w końcu uda. Chyba że zdołam go powstrzymać.

Potrząsnęła głową.

- Nie jestem idiotką! Wiem o tym. Ale pan próbuje...

- To nie ja. To ten drugi facet. - Sięgnął do telefonu i podał jej słuchawkę. - Niech pani zadzwoni do Mila Luma i zapyta go, co się dziś stało u niego w domu. Może on zdoła panią przekonać, że jestem po waszej stronie.

Cathy zastanawiała się, co to za gra. I dlaczego daje się w nią wciągnąć.

- Jest sam - rzekł Polowski. - Samotny człowiek, który usiłuje wykołować rząd Stanów Zjednoczonych. Nie zna się na tym. Prędzej czy później potknie się, zrobi coś głupiego. I tak się to skończy. - Wykręcił numer i znowu podał jej słuchawkę. - Proszę.

Usłyszała trzy dzwonki, a potem głos Mila.

- Halo?

- Milo?

- To ty, Cathy? O Boże, myślałem, że zadzwonisz.

- Posłuchaj, Milo. Muszę cię o coś zapytać. O faceta, który nazywa się Polowski...

- Znam go.

- Naprawdę?

- Miałem szczęście. Ten facet ma tyle wdzięku ile stary but, ale uratował mi życie.

- Dzięki, Milo - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

- Pomoże mi pani?

- Jeszcze nie wiem. Niech mnie pan przekona. Polowski skinął głową.

- Właśnie mam ten zamiar.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dla Victora było to długie i nieprzyjemne popołudnie. Po wycieczce nad jezioro błąkał się przez jakiś czas po kampusie, aż dotarł do głównego placu. Stał tam teraz i starał się skupić na najważniejszym, czyli na zdemaskowaniu Virateku. Ale jego myśli uciekały do Cathy, pełnej urazy i smutku. Jak gdyby ją zdradził.

Gdyby tylko zrozumiała, co się kryje pod jego decyzją. Był naukowcem, człowiekiem, którego życiem i pracą steruje logika. Jej wyjazd to logiczne wyjście. Pogoń przybliżyła się coraz bardziej, stryczek się zaciska. Mógł zaakceptować niebezpieczeństwo, które grozi jemu. W końcu to on zdecydował się podjąć walkę Jerry'ego, doprowadzić ją do końca.

Nie może jednak stawiać Cathy w groźnej sytuacji.

Ale już wydobyła się z tego bagna i jest w drodze do bezpiecznego miejsca. Jedno zmartwienie mniej. Czas przestać o niej myśleć.

Jak gdyby to było możliwe. Popatrzył na jeden z krużganków dziedzińca i jeszcze raz powtórzył sobie, że postąpił mądrze. Nieprzyjemne uczucie jednak pozostało. Gdzie ona jest? Nie ma jej dopiero od godziny, a już za nią tęskni. Wzruszył ramionami, jak gdyby ten gest miał mu ułatwić pozbycie się całego strachu. Ale on pozostał. Victor przycupnął na schodach, by poczekać na powrót Olliego.

Nadszedł zmierzch, a on jeszcze czekał. Dodał Olliemu trochę czasu na korki, czerwone światła i kolejkę po bilet. Trzy godziny powinno wystarczyć. Cathy siedzi w samolocie, w drodze do cieplejszego kraju.

Ale gdzie jest Ollie?

Na dźwięk kroków odwrócił się gwałtownie. Przez chwilę nie wierzył własnym oczom.

- Cathy? - spytał zdumiony.

- Victorze - powiedziała cicho i w radosnym uniesieniu pobiegła w stronę jego wyciągniętych ramion. Podniósł ją do góry, okręcił w powietrzu i całował jej włosy i twarz. Cieszył się, że jest. - Nie wiem, czy dobrze zrobiłam - wyszeptała - ale mam nadzieję, że tak.

- Dlaczego wróciłaś?

- Nie byłam pewna... Dalej nie jestem pewna...

- Cathy, co ty tu robisz?



- Nie dasz sobie rady! A on ci pomoże.

- Kto?

Jakiś mężczyzna wyłonił się z cienia i wolno do nich podszedł.

- Cześć, Holland. Cieszę się, że się w końcu spotkaliśmy. Nazywam się Polowski.

Victor spojrział na Cathy, nie wierząc sam sobie.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Był wściekły. - Dlaczego? Zareagowała tak, jak gdyby ją uderzył. Chciała go schwycić za ramię, ale się odsunął.

- Chce nam pomóc - powiedziała z bólem w głosie.

- Wysłuchaj go!

- Nie jestem pewien, czy słuchanie go ma jakiś sens. Nie teraz. - Uczuł, że jego ciało wiotczeje, że został pokonany. To koniec ucieczki, strachu i nadziei. Cathy go zdradziła. - Rozumiem, że jestem aresztowany - zwrócił się do Polowskiego.

- Wcale nie. Szczególnie że on ma moją broń.

- Co?

- Hej, Gersh! Tutaj! - zawołał Ollie. - Pilnuję go! Polowski wzdrygnął się.

- Cholera, musisz tym wymachiwać?

- Przepraszam - bąknął Ollie.

- Czy to cię przekonuje, Holland? Czy myślisz, że oddałbym swojego gnata takiemu idiocie jak on, gdybym nie chciał tylko z tobą porozmawiać?

- Mówi prawdę - wtrąciła Cathy. - Oddał broń Olliemu. Gotów był podjąć ryzyko, żeby tylko spotkać się z tobą twarz w twarz.

- To błąd, Polowski - zauważył Victor z goryczą. - Przecież jestem poszukiwany za morderstwo, chyba wiesz? I szpiegostwo przemysłowe.

- Wiem, że jesteś niewinny. Wplątałeś się w coś większego, Holland. Coś, co pożre cię żywcem. Mój szef aż staje na głowie, żeby tylko zdjąć mnie z tej sprawy. Nie lubię tego. To rani moje delikatne ego.

Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. W końcu Viktor kiwnął głową. Spojrział na Cathy z cichą prośbą o wybaczenie. Kiedy wreszcie znalazła się w jego ramionach, poczuł, że w świecie znowu zapanował ład.

Usłyszał, że ktoś znacząco chrząka. Odwracając się, zobaczył, że Polowski wyciąga rękę. Victor ujął ją w uścisku, który mógł oznaczać dla niego katastrofę - albo wybawienie.

- Zafundowałeś mi długą i ciężką pogoń - rzekł Polowski. - Chyba już czas, żebyśmy pracowali razem.

- Mamy zadanie niemożliwe do wykonania - powiedział Ollie. - Mission impossible.

Siedzieli w pokoju hotelowym Polowskiego, cała pięcioosobowa drużyna, którą Milo nazwał Jeszcze Bardziej Zwariowaną Fałszywą Nutą. Środek stołu zawalony był paczkami chipsów, puszkami piwa i zdjęciami pokazującymi system bezpieczeństwa Virateku. Był też plan budynków Virateku, rozrzuconych na czterdziestu akrach zalesionego terenu, otoczonego płotem pod napięciem. Studiowali już te zdjęcia od godziny, ale zadanie, które mieli wykonać, wyglądało beznadziejnie.

- Nie ma drogi do środka - oznajmił Ollie, potrząsając głową. - Nawet jeżeli kody są w dalszym ciągu ważne, jest jeszcze problem z rozpoznaniem przez element ludzki. Dwóch strażników, dwa miejsca. Nie ma mowy, żeby przejść.

- Musi być jakiś sposób - przerwał mu Polowski.

- Dawaj, Holland, przecież należysz do jajogłowych.

Cathy zerknęła na Victora. Podczas gdy inni przerzucali się pomysłami, on się nie odzywał. A ma najwięcej do stracenia, swoje życie, pomyślała. Wymaga to niezwykłej odwagi, wręcz brawury, by choćby brać pod uwagę taki desperacki krok. Mimo to ze spokojem analizował mapę, jak gdyby planował niedzielną przejażdżkę.

Musiał poczuć na sobie wzrok Cathy, bo objął ją i przytulił. Teraz, kiedy znowu byli razem, mogła się cieszyć każdą chwilą, zapamiętywać każde spojrzenie i pieszczotę. Pocałował ją w czubek głowy, a potem znów skierował uwagę na mapę.

- O elektronikę się nie martwię - powiedział. - Najtrudniejsza rzecz to ludzie. Strażnicy. Dalej twierdzę, że FBI - kiwnął głową w stronę Polowskiego - powinno postarać się o nakaz i przeszukać tę budę.

- Racja - prychnął Polowski - tylko że zanim nakaz przejdzie przez sędziego, Viratek przerobi to laboratorium na fabrykę mleka w proszku dla niemowląt. Musimy tam wejść sami. I nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- Zerknął na Olliego. - Jesteś pewien, że to jedyne dowody, jakich potrzebujemy?

Ollie kiwnął głową.

- Jedna próbówka wystarczy. Bierzemy ją potem do renomowanego laboratorium, potwierdzają, że to czarna ospa, i sprawa jest prosta jak drut.

- I nie wykręcą się?

- Nie. Wirus oficjalnie nie istnieje. Każda firma, która bawi się żywymi koloniami, ma przerabane.

- To mi się podoba - odparł Polowski. - Żaden wypasiony prawnik Virateku tego nie oprotestuje.

- Ale najpierw musimy się dorwać do tej próbówki

- zmartwił się Ollie. - Na moje oko to zupełnie niemożliwe.

Chyba że spróbujemy włamania z bronią w rękę.

Przez jedną przerażającą chwilę Polowski zdawał się brać tę możliwość pod uwagę.

- Nieee - zdecydował w końcu. - To nie wyglądałoby dobrze w sądzie.

- A poza tym - dodał Ollie - strzelanie do człowieka jest przeciwne moim zasadom.

- Moim też - zadeklarował Milo.

- Ale kradzież - ciągnął Ollie - jest w porządku. Polowski popatrzył na Victora.

- Oto grupa o wysokim standardzie moralnym. Victor zaśmiał się.

- Relikt lat sześćdziesiątych.

- A więc wracamy do pierwszej propozycji - rzekła Cathy. - Musimy ukraść wirusa. - Skoncentrowała się na mapie terenu. Droga dojazdowa wiodła prosto do głównej bramy. Poza niewybrukowaną drogą pożarową, oznaczoną jako „Nieużywana”, nie było innego wjazdu. - W porządku - dodała. - Założmy, że przedostaniecie się przez główną bramę. Musicie jeszcze przejść przez dwoje zamkniętych drzwi, zmylić dwóch strażników i blokadę laserową. Dajcie sobie spokój.

- Drzwi nie stanowią problemu - powtórzył Victor.

- Tylko ci strażnicy.

- A może odwrócimy ich uwagę? - zaproponował Milo. - Na przykład wzniciemy pożar?

- I sprowadzimy sobie na głowę straż pożarną?  
- zapytał Victor. - To nie najlepszy pomysł. A zresztą miałem już do czynienia ze strażnikiem przy głównej bramie. Znam go. To służbista. Nigdy nie wychodzi z budki. Przy najmniejszym podejrzeniu włączy alarm.

- A może Milo mógłby wyprodukować fałszywą przepustkę? - wyskoczył Ollie. - Pamiętacie, jak nam robił fałszywe prawa jazdy?  
- Fałszował dowody tożsamości? - oburzył się Polowski.  
- Tylko zmieniałem wiek na dwadzieścia jeden lat! - zaprotestował Milo.  
- Robił też świetne paszporty - rozczulił się Ollie.  
- Mój był z królestwa Booga Booga. Przeszedłem z nim przez cło na lotnisku w Atenach.  
- Naprawdę? - Polowski był pod wrażeniem. - No to jak, Holland? Czy to by podziałało?  
- Nie ma szans. Strażnik ma listę pracowników dopuszczonych do tajnych badań. Jeżeli nie zna kogoś osobiście, sprawdza kilkakrotnie.  
- Ale są osoby, które wpuszcza automatycznie?  
- Oczywiście. Tych, których poznaje... - Victor nagle urwał i odwrócił się w stronę Cathy - na pierwszy rzut oka. O Boże! To chyba mogłoby się udać.

Cathy zobaczyła jego minę i odgadła, o co mu chodzi.  
- Nie - odparła. - To nie takie łatwe! Muszę zobaczyć tę osobę! Potrzebuję odlewów jej twarzy. Dokładnych zdjęć zrobionych pod różnym kątem.  
- Przecież jesteś w tym dobra.  
- To działa na filmie! Ale nie w życiu!  
- Będzie noc, strażnik spojrzy przez okno samochodu. Lub na ekran monitora. Jeżeli mogłabyś upodobnić mnie do jednego z szefów...  
- O czym ty mówisz? - zaniepokoił się Polowski.  
- Cathy jest charakteryzatorką. Rozumiesz, horrory, efekty specjalne.  
- To coś zupełnie innego! - zaprotestowała Cathy. Chodzi o życie Victora, i tu jest różnica. Nie, nie może jej o to prosić. Gdyby coś się nie udało, to byłaby jej wina. Nie mogłaby żyć, mając jego śmierć na sumieniu.

Potrząsnęła głową.

- Zbyt wiele od tego zależy. To nie takie proste jak... sfilmowanie „Władców błota”.

- Ty robiłaś „Władców błota”? - zainteresował się Milo. - Super film!

- Odtworzenie twarzy wcale nie jest takie łatwe. Muszę zrobić odlew i potrzebuję modelu.

- Masz na myśli prawdziwego faceta? - zapytał Sam.

- Tak. I nie przypuszczam, żebyście mogli zmusić któregoś z szefów Virateku, żeby dał sobie okleić twarz gipsem.

- No to mamy problem - zakomunikował Miło.

- Niekoniecznie.

Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na Olliego.

- Co masz na myśli?

- Myślę o facecie, który od czasu do czasu ze mną pracuje. W laboratorium. - Ollie wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. - Jest weterynarzem.

Wypadki ostatnich paru tygodni odbiły się na Archibaldzie Blacku poważnie, i to tak poważnie, że trudno mu było zajmować się sprawami codziennymi. Już sama jazda do biura Virateku była męką. A potem trzeba było zasiąść przy biurku, stawić czoło sekretarce i udawać, że wszystko jest w porządku. Ledwie sobie z tym radził. Był naukowcem, a nie aktorem.

Ani przestępcą.

Ale skończy jak przestępca, jeżeli eksperymenty w skrzydle C wyjdą na jaw. Instynkt mu podpowiadał, aby zamknąć laboratorium i zniszczyć zawartość inkubatorów. Matthew Tyrone jednak upierał się, by kontynuować pracę. Byli już tak blisko zakończenia. W końcu Departament Obrony zatwierdził projekt i oczekuje produktu. Sprawa Victora Hollanda jest tylko drobnym zgrzytem i niedługo zostanie rozwiązana. Trzeba brnąć dalej.

Łatwo Mattowi mówić, pomyślał Black. Tyrone nie ma sumienia, więc go nie prześladowuje.

Te myśli gnębiły go przez cały dzień. Teraz, kiedy spakował już teczkę, chciał uciec stąd jak najszybciej. Wzdychając z ulgą, wyszedł z biura.

Było już ciemno, kiedy wjeżdżał na swój wysypiany żwirem podjazd. Dom wyglądał jak solniczka z cedru i szkła, schowana

pomiędzy drzewami; był zimny, pusty i potrzebował kobiety. Może powinien zadzwonić do swojej sąsiadki, Muriel. Zawsze cieszyła ją wspólna, naprędce przygotowana kolacja. Jej błyskotliwy dowcip i sałatka równoważyły fakt, że miała siedemdziesiąt pięć lat. Szkoda, że jego pokolenie nie wyprodukowało wielu takich egzemplarzy jak ona.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę drzwi wejściowych. W połowie drogi usłyszał jakieś miękkie szszsz i prawie jednocześnie poczuł ostre ukłucie w szyję. Odruchowo klepnął w to miejsce i coś mu zostało w ręce. Ze zdumieniem popatrzył na strzałkę, próbując zrozumieć, skąd się wzięła. Ale poczuł, że nie może rozsądnie myśleć. A potem, że ma kłopoty ze wzrokiem. Zmrok przerodził się w gęstą czerń, nogi zaczęły się zapadać w bagno. Teczka wysliznęła się z ręki i z głuchym stukiem upadła na ziemię. Umieram, pomyślał.

To była jego ostatnia świadoma myśl, zanim osunął się na zasypaną liśćmi ścieżkę.

- Nie żyje?

Ollie pochylił się, żeby posłuchać oddechu.

- Żyje, żyje. Ale jest nieprzytomny. - Spojrzał na Victora i Polowskiego. - Pospieszmy się. To działa mniej więcej godzinę.

Victor złapał Blacka za nogi, Ollie i Polowski za ramiona. Razem zanieśli nieprzytomnego kilkadziesiąt metrów dalej, przez lasek, w stronę przecinki, gdzie zaparkowana była furgonetka.

- Jesteś pewien, że mamy godzinę? - Polowski z trudem łapał powietrze.

- Plus minus - odparł Ollie. - Środek uspokajający jest obliczony na duże zwierzęta, więc dawka jest przybliżona. Ale ten gość jest cięższy, niż myślałem.

Samochód był otwarty. Wepchnęli ciało Blacka do środka i zasunęli drzwi. Nagle rozbłysło jaskrawe światło, ale nieprzytomny mężczyzna nawet nie drgnął. Cathy uklękła i przyjrzała się jego twarzy.

- Dasz radę to zrobić? - spytał Victor.

- Oczywiście. - Obrzuciła wzrokiem sylwetkę mężczyzny. - Jest twojego wzrostu i budowy. Przyciemnimy ci włosy, zrobimy zakola. Myślę, że się uda. - Popatrzyła na Mila, który już czekał z aparatem. - Możesz robić zdjęcia. Kilka ujęć pod każdym kątem. Dużo szczegółów dotyczących włosów. - Cathy włożyła rękawiczki i

fartuch, a tymczasem flesz migał. - Okryj go prześcieradłem. Całego, poza twarzą. Nie chcę, żeby się obudził posypany gipsem.

- Jeżeli w ogóle się obudzi - mruknął Milo, zmarszczywszy się na widok nieruchomego ciała.

- Obudzi, obudzi. - Ollie machnął ręką. - Tam, gdzie go znaleźliśmy. Nawet się nie zorientuje, co się działo.

Obudził go deszcz. Zimne krople uderzały go w twarz i spływały mu do ust. Jęcząc, Black obrócił się na drugi bok i poczuł, jak żwir wbija mu się w ramię. Kręciło mu się w głowie, ale pomyślał, że coś nie jest w porządku: z sufitu pada deszcz, kamyki w łóżku, on sam w butach...

W końcu się otrząsnął. Ku swemu zdumieniu zobaczył, że siedzi na podjeździe, a obok niego leży teczka. Deszcz przerodził się w ulewę. Czołgając się, dotarł do stopni na ganku i dostał się do domu.

Godzinę później siedział skulony w kuchni i próbował pojać, co się stało. Pamiętał, że zaparkował samochód. Wyjął teczkę i szedł do domu. A potem...?

W jego świadomość wdarł się jakiś nieokreślony dyskomfort. Potarł dłonią szyję i wtedy przypomniał sobie, że zanim stracił przytomność, stało się coś dziwnego.

Podszedł do lustra i zobaczył małą dziurkę w skórze. Do głowy przyszła mu absurdalna myśl: wampiry. Do cholery, Archibaldzie. Jesteś naukowcem. Znajdź racjonalne wyjaśnienie.

Podszedł do kosza na brudną bieliznę i wyjął z niego wilgotną koszulę. Zaniepokoił się, bo dostrzegł na kołnierzyku mały ślad krwi. Potem zobaczył, co go spowodowało: była to zwykła szpilka krawiecka. Tkwiła jeszcze w kołnierzyku, pozostawiona tam bez wątplenia przez pralnię. I oto ma wytłumaczenie. Ukłuł się szpilką, a ból spowodował omdlenie. Zdegustowany rzucił koszulę. Rano poskarży się w pralni i zażąda, by w ramach przeprosin oczyścili mu garnitur za darmo.

Wampiry, no rzeczywiście.

- Nawet przy marnym oświetleniu musisz mieć dużo szczęścia, żeby ci się udało - powiedziała Cathy.

Postąpiła krok do tyłu i przyglądała mu się długo i krytycznie. Obeszła go dookoła, wpatrując się w przyciemnione świeżo włosy, uformowaną twarz i nowy kolor oczu. Upodobniła go, ale niezbyt dobrze.

- Uważam, że wygląda jak skóra zdarta z tamtego - zapewnił ją Polowski. - Czym się teraz martwisz?

- Martwię się, bo nagle zrozumiałam, że to czyste wariactwo. Odwołajmy to.

- Pracowałeś nad nim przez całe popołudnie. Zrobiłaś mu nawet piegi na nosie. Co jeszcze chcesz poprawić?

- Nie wiem. Jakoś mi się to wszystko nie podoba! Ollie potrząsnął głową.

- Kobieca intuicja. Powinno się brać ją pod uwagę.

- A oto moja intuicja - odparł Sam. - Uważam, że się uda. To jedyna szansa, aby zakończyć sprawę.

Cathy zwróciła się do Victora.

- To twoje życie będzie zagrożone, i to twoja decyzja. - Chciała poprosić go, by tego nie robił, by został z nią. Ale widziała w jego oczach, że już się zdecydował.

- Cathy, uda się. Uwierz mi - zapewnił ją.

- Wierzę tylko, że cię zabiją, i nie chcę znaleźć się w pobliżu, żeby to oglądać.

Odwróciła się i wyszła. Stała na parkingu motelu Rockabye i otuliła się ramionami. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a potem zbliżające się kroki.

- Nie musisz tu zostawać - powiedział. - Ta plaża w Meksyku czeka. Możesz tam polecieć dziś wieczorem, żeby znaleźć się daleko od tego zamętu.

- Chcesz, żebym pojechała?

- Tak - odrzekł po namyśle. Wzruszyła ramionami, udając nonszalancję.

- W porządku. Myślę, że masz rację.

- Ocaliłaś mi życie, więc powinienem zapewnić ci bezpieczeństwo. Jestem gotów dostać się do Virateku. Gotów zrobić dużo głupstw. Ale nie jestem gotów patrzeć na to, jak stanie ci się coś złego. - Przyciągnął ją do siebie. - Cathy, Cathy. Nie jestem wariatem. Nie chcę umierać. Ale nie widzę innego sposobu...

Wtuliła się twarzą w jego pierś i poczuła bicie serca, równe i regularne. Bała się myśleć, że może ono zamilknąć, że nie przygarną już jej te ramiona. Był na tyle odważny, aby przeprowadzić ten szaleńczy plan; czy ona nie może wykrzesać w sobie takiej samej



odwagi? Zaszliśmy razem tak daleko. Jak mogę nawet pomyśleć o tym, żeby cię zostawić? Teraz, kiedy wiem, że cię Kocham?

Drzwi otworzyły się i na parking padł snop światła.

- Gersh? - zawołał Ollie. - Już późno. Musimy jechać.

- Chcesz, żeby Ollie zawiózł cię na lotnisko?

- Nie. Jadę z wami.

- Jesteś pewna?

- Ostatnio nie jestem już niczego pewna. Ale jakoś to wytrzymam. - Spróbowała się uśmiechnąć. - A poza tym mogę być potrzebna na planie. Jeśli twarz ci odpadnie...

- Potrzebuję cię nie tylko do tego.

- Gersh?

Victor wziął Cathy za rękę.

- Idziemy - odparł. - Oboje.

- Zbliżam się do bramy głównej. Jeden strażnik w budce. Poza tym nikogo. Słyszysz mnie?

- Głośno i wyraźnie - odezwał się głos Polowskiego.

- Okej. Idę. Życz mi szczęścia.

- Będziemy na odbiorze. Połamania.

Skulili się we czwórkę w furgonetce zaparkowanej o kilkaset metrów od głównej bramy Virateku. Wystarczająco blisko, by słyszeć komunikaty Victora, ale zbyt daleko, by mu pomóc. Mając połączenie, mogli śledzić jego drogę. Mogli również zostać świadkami jego śmierci. W ciszy czekali na pierwszą przeszkodę.

- ...wieczór - rzekł Victor, zatrzymując się. Strażnik wyjrzał z budki przez okienko. Dwadzieścia parę lat, czapka prosto, zapięty po szyję. Pete Zahn, służbista pierwszej kategorii. Jeżeli ktoś może zniweczyć całą akcję, to na pewno on. Victor podjął odważny wysiłek, by się uśmiechnąć, i modlił się, żeby maska nie popękała. Wymiana spojrzeń trwała całą wieczność. Potem, ku wielkiej uldze Victora, chłopak się uśmiechnął.

- Będzie pan pracował do późna, doktorze Black?

- Zapomniałem czegoś w laboratorium.

- Musi być coś ważnego, że przyjeżdża pan o północy.

- To te rządowe kontrakty. Czas nas goni.

- Racja. - Strażnik machnął ręką. - Powodzenia.

Z bijącym sercem Victor przejechał bramę. Dopiero na pustym parkingu wydał z siebie westchnienie ulgi.

- Pierwsza przeszkoda - powiedział do mikrofonu. - Dalej, chłopaki, rozmawiajcie ze mną.

- Jesteśmy - odezwał się Polowski.

- Wchodzę do budynku. Nie wiem, czy sygnał przedostanie się przez mury. Więc jeżeli przestaniecie mnie słyszeć...

- Będziemy na nasłuchu.

- Mam wiadomość dla Cathy. Daj mi ją. Nastąpiła przerwa, a potem usłyszał:

- Jestem, Victorze.

- Chcę ci tylko jedno powiedzieć. Wrócę. Obiecuję. Słyszysz mnie?

Nie był pewien, czy to osłabił sygnał, czy w jej głosie słychać było łązy.

- Słyszę.

- Wchodzę. Nie odjeżdżajcie beze mnie.

Tylko minutę zabrało Zahnowi sprawdzenie numeru rejestracyjnego samochodu Blacka. W budce był spis, do którego Pete sięgał rzadko, bo znał na pamięć numery samochodów należących do szefostwa. To była dla niego gimnastyka umysłu, sprawdzian dla jego sprytu. A numer na samochodzie doktora Blacka nie był prawidłowy.

Znalazł spis. Samochód się zgadza, szary lincoln z 1991, sedan. Był prawie pewien, że to doktor Black był kierowcą. Ale numer był inny. Pomyślał przez chwilę, próbując znaleźć jakieś wytłumaczenie. Black mógł jechać innym autem albo robił mu kawał, wystawiając go na próbę. A może to wcale nie był Archibald Black.

Pete sięgnął po telefon. Jedyne sposob, żeby sprawę wyjaśnić, to zadzwonić do Blacka do domu. Już po północy, ale musi to zrobić. Jeżeli Black nie odpowie, to znaczy, że to on siedział w lincolnie. A jeżeli odbierze telefon, to znaczy, że dzieje się coś niedobrego.

Dwa dzwonki.

- Halo? - odezwał się półprzytomny głos.

- Tu Pete Zahn, nocny strażnik w Virateku. Czy mówię z doktorem Blackiem?

- Tak.

- Czy to doktor Archibald Black?

- Jest późno! O co chodzi?

- Panie doktorze, nie wiem, jak mam to panu powiedzieć, ale... - Pete odkaslnął. - Pański sobowtór właśnie przejechał przez bramę.

- Przeszedłem przez główne wejście. Idę przez hol do stanowiska ochrony. - Victor nie oczekiwał odpowiedzi i żadnej też nie usłyszał. Budynek był betonowym szkaradzieństwem, zaprojektowanym, aby przetrwać przez całą wieczność. Sygnał radiowy nie przenika przez te mury. Teraz był naprawdę sam.

Podszedł do zamkniętych drzwi z napisem „Tylko dla upoważnionego personelu”. Z sufitu patrzyła skierowana prosto na niego kamera. Zignorował ją demonstracyjnie i przeniósł uwagę na klawiaturę zamka zamontowanego na ścianie. Kod, który pozostawił mu Jerry, otworzył główne wejście; czy druga kombinacja otworzy kolejne drzwi? Ręce mu się spociły, kiedy wbijał siedem cyfr. Wpadł w panikę, kiedy rozległ się pulsujący sygnał, a na ekraniku pokazała się informacja: „Kod bezpieczeństwa nieprawidłowy. Brak dostępu”.

Pod maską poczuł kropelki, a potem strużki potu. Może przestawił kolejność cyfr? Wiedział, że ktoś go obserwuje przez kamerę, i zastanawiał się, dlaczego ten człowiek tak długo nie reaguje. Wziął głęboki oddech i spróbował jeszcze raz. Tym razem wystukał kod powoli i dokładnie. Przygotował się na ostrzegawczy alarm. Ale ku jego uldze, na ekraniku pojawił się napis: „Kod bezpieczeństwa przyjęty. Proszę wejść”.

I tak znalazł się w następnym pomieszczeniu.

Trzecia przeszkoda, odetchnął, kiedy drzwi się za nim zamknęły. Ostatni etap.

Kolejna kamera, zamontowana w rogu, skierowana znów była w jego stronę. Zdając sobie sprawę, że mu się przygląda, przeszedł przez pokój i podszedł do wewnętrznych drzwi do laboratorium. Kiedy nacisnął na klamkę, zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek.

Co teraz? Dopiero wtedy zauważył czerwone światełko palące się nad drzwiami i ostrzeżenie: „Blokada laserowa aktywna”. Potrzebował klucza, żeby ją wyłączyć.

Nadszedł właściwy moment, aby podjąć desperacki krok. Czas na odrobinę bezczelności. Poklepał się po kieszeniach, a potem odwrócił i spojrzał w oko kamery.

- Halo - pomachał. Doszedł go głos z interkomu.
- Doktorze Black, jakiś problem?
- Tak, nie mogę znaleźć kluczy. Musiałem je zostawić w domu...
- Mogę stąd wyłączyć lasery.
- Proszę. Nie rozumiem, jak mogłem zapomnieć...

- Żaden problem.

Czerwone światło ostrzegawcze natychmiast zgasło. Victor ostrożnie popchnął drzwi - otworzyły się. Pomachał w stronę kamery i wszedł do ostatniej sali.

Tutaj, ku jego wielkiej uldze, nie było kamer, a przynajmniej żadnej nie widział. Zobaczył kosmiczną aparaturę - żadnych wirówek i mikroskopów, ale przyrządy były nowe i błyszczące. Przeszedł przez komorę odkażającą, stację przepływu laminarnego i podszedł prosto do inkubatorów. Otworzył drzwiczki.

W przedziałkach stały probówki. Wyjął jedną z nich. Pełna była różowawego płynu. Na naklejce napisano: „Próbka nr 341. Aktywna”.

To musi być to. Przynajmniej czegoś takiego kazał mu szukać Ollie. Koszmar, czarna kostucha wydestylowana i zamieniona w mikroskopijne cząsteczki.

Wyjął dwie fiołki, umieścił je w miękko wyścielonej papierošnicy i włożył do kieszeni. Zadanie wykonane, pomyślał z triumfem i skierował się w stronę wyjścia. Pozostał mu tylko spacer do samochodu. A potem szampan...

Był już w połowie drogi przez laboratorium, kiedy zadźwięczał alarm. Victor zastygł w miejscu.

- Doktorze Black? - odezwał się z interkomu głos strażnika. - Proszę nie wychodzić.

- Co się stało?

- Dostałem polecenie, żeby pana zatrzymać. Proszę zaczekać, zaraz sprawdzę...

Victora nie interesował powód zatrzymania. Ruszył pędem do drzwi i gdy znalazł się przy nich, usłyszał jękliwy dźwięk uruchamianych laserów. Coś przecięło mu ramię. Przebiegł przez sąsiadujące pomieszczenie, otworzył drzwi zabezpieczone kodem i znalazł się w holu.

W całym budynku rozbrzmiewało wycie alarmu. Zerknął w stronę głównego wejścia. Nie, tam jest strażnik.

Skierował się do wyjścia ewakuacyjnego. Gdzieś za sobą usłyszał: „Stać!”. Zignorował to i biegł dalej. Na końcu holu znalazł drzwi wiodące na klatkę przeciwpożarową. Żadnego wyjścia, tylko schody. Nie da się schwytać w pułapkę w piwnicy, jak szczur. Pobiegł w górę. Kiedy znalazł się piętro wyżej, usłyszał, jak trzasnęły drzwi wiodące z holu na parterze.

- Stać, bo strzelam! - ktoś zawołał. To blef, pomyślał.

Rozległ się huk wystrzału i poszedł echem po betonowych ścianach. Powodowany desperacją Victor ruszył do holu na piętrze. Zobaczył pozamykane drzwi. Które, które? Nie było czasu na zastanawianie się. Wpadł do trzecich z kolei i cicho zamknął je za sobą.

W półmroku ujrzał połyskujące blaty szafek z nierdzewnej stali i szklane naczynia. Kolejne laboratorium. Tyle że miało duże okno, zalane teraz światłem księżyca.

Od strony holu dobiegło go trzaskanie drzwiami, w które ktoś przedtem kopał, i krzyk strażnika: „Ręce do góry!”. Pozostała mu już tylko jedyna droga ucieczki. Victor złapał krzesło i rzucił nim w okno. Szkło rozprysnęło się, wyrzucając deszcz połyskujących w księżycowej poświacie kawałeczków. Nawet nie spojrzał, gdzie skacze. Wylądował w gąszczu krzewów.

- Stać! - usłyszał krzyk z góry.

To wystarczyło, aby zerwał się na równe nogi. Śmignął przez trawnik i ukrył się w drzewach. Kiedy się obejrzał, nie było widać pogoni. Strażnik nie chciał ryzykować i nie wyskoczył za nim. Byle tylko za bramę...

Victor okrążył budynek, skacząc pomiędzy krzakami i drzewami. Nagle jego serce zamarło.

Wjazd zatarasowały cztery samochody należące do ochroniarzy, zalewając go światłem reflektorów. Potem nadjechała furgonetka. Kierowca podszedł do tylnych drzwi i gdy je otworzył, na jego komendę wyskoczyły dwa owczarki alzackie, pełne entuzjazmu.

Victor wycofał się, starając się ukryć jak najgłębiej w gęstwinie młodych dębów. Nie ma wyjścia, pomyślał, spoglądając na płot zwieńczony obręczami drutu kolczastego. Psy, szczekając głośno, zbliżały się. Jeżeli nie wyrosną mi skrzydła, to już nie żyję...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Coś się stało! - zawołała Cathy, kiedy przejechał obok nich pierwszy samochód ochrony.

Polowski dotknął jej ramienia.

- Wszystko w porządku. To tylko rutynowy patrol.

- Nie. Spójrz! - Poprzez drzewa zobaczyli trzy kolejne samochody pędzące w stronę Virateku.

Ollie przeklął i sięgnął po mikrofon.

- Zaczekaj! - Polowski złapał go za rękę. - Nie możemy ryzykować. Niech się odezwie pierwszy.

- Może ma kłopoty.

- To już o tym wie. Dajmy mu szansę, żeby wyszedł z tego sam.

- A jeżeli jest w pułapce? - spytała Cathy. - Będziemy tak siedzieć?

- Nie mamy wyboru. Zablokowali główną bramę.

- Mamy wybór! - zawołała Cathy i przedostała się na fotel kierowcy.

- Co ty, do cholery, robisz? - wściekł się Polowski.

- Chcę mu dać szansę. Jeżeli nie...

Wszyscy nagle zamilkli, bo z odbiornika doszły ich trzaski.

- Chyba wpadłem. Nie mogę się wydostać. Słyszycie mnie?

Ollie złapał za mikrofon.

- Tak. Co się dzieje?

- Brama główna zablokowana i oświetlona jak boisko. Włączyły się alarmy. A teraz przywieźli psy...

- Możesz przejść przez płot?

- Nie. Jest pod napięciem. Chyba musicie wiać beze mnie.

Polowski złapał za mikrofon i krzyknął:

- Holland? Gdzie jesteś?

- Na północnym wschodzie ogrodzenia. Jedźcie. Dam sobie radę...

- Powiedz mu, żeby biegł na wschód, do środkowej części płotu.

- Słyszałem.

Polowski spojrział ze zdumieniem na Cathy.

- Co ty, do cholery, knujesz? Wrzuciła bieg i wjechała na drogę.

- Hej, jedziesz w złą stronę! - krzyknął Milo.

- Nie. Tu gdzieś jest droga pożarowa. - Zjechała gwałtownie na coś, co przypominało leśny trakt. Samochód zaczął podskakiwać.

- Jak znalazłaś tę wspaniałą drogę? - zapytał Sam.  
- Widziałam ją na mapie Virateku.  
- Czy to droga krajobrazowa, czy może dokądś prowadzi?  
- Do ogrodzenia przy wschodniej ścianie. Tędy dowożono materiały budowlane. Mam nadzieję, że nie zarosła na tyle, żebyśmy nie mogli się przedostać...

- I co dalej?

- Nie pytaj.

Cathy skręciła kierownicą, aby ominąć krzak, który wyrósł przed nią na drodze, i wjechała na małe drzewko. Pasażerowie spadli na podłogę.

- Przepraszam - mruknęła. Wycofała się i wróciła na trakt. - Zaraz znajdziemy...

Ich oczom ukazała się bariera z połączonych łańcuchów. W ciemnościach usłyszeli przybliżające się szczekanie psów. Gdzie on jest?

Nagle zobaczyli w świetle księżyca, jak biegnie w ich stronę. Z boku ktoś krzyknął i rozległ się strzał.

- Trzymać się! - zawołała Cathy.

Zapięła pas i mocniej schwyciła za kierownicę. A potem z całej siły nacisnęła na pedał gazu. Furgon podskoczył jak mustang ponad poszyciem leśnym i rąbnął w barierę. Łańcuch spadł, iskry zaskwierczały w powietrzu. Cathy włączyła wsteczny bieg, wycofała się i znów nacisnęła na gaz. Ogrodzenie przewróciło się; na przedniej szybie zachrobotyła obręcz drutu kolczastego.

- Przejechaliśmy! - wrzasnął Ollie. Odsunął boczne drzwi i krzyczał: - Gazu, Gersh! Gazu!

Victor biegł zakosami przez trawę. Obok niego świstały kule. Zrobił ostatni skok przez zwoje drutu i potknął się.

- Szybciej!

Kule dosięgły furgonu.

Victor z trudem pozbiierał się i stanął na nogi. Usłyszeli dźwięk rozdieranego ubrania, zobaczyli wyciągające się do nich ręce i wciągnęli go do środka.

Cathy wycofała samochód, zakręciła i nacisnęła z całej siły na gaz. Ruszyli przed siebie, podskakując na przyginanych krzakach i grzęznąc w koleinach. Kolejna seria strzałów zagrzechotała o karoserię. Cathy nie zważała na to. Skoncentrowała się na dotarciu do

głównej drogi. Dźwięk kanonady ucichł. Wjechała na asfalt i dodała gazu, pragnąc jak najbardziej zwiększyć dystans pomiędzy nimi a Viratekiem. Gdzieś w oddali zawyły syreny.

- Mamy towarzystwo! - zauważył Polowski.

- W którą stronę? - zawołała Cathy. Viratek został za nimi, a syreny zbliżały się od przodu.

- Nie wiem! Po prostu zjeżdżajmy stąd!

Widok policyjnych wozów zasłaniały jeszcze drzewa, ale usłyszeli, że sygnał szybko się zbliża. Dadzą nam przejechać, czy nas zatrzymają?

O mało nie przeoczyła przecinki. Pod wpływem nagiego impulsu gwałtownie skręciła z twardej nawierzchni i furgon w podskokach zjechał na pole.

- Tylko mi nie mów - jęknął Polowski - że to jeszcze jedna droga pożarowa.

- Zamknij się! - warknęła i wjechała prosto w krzaki, po czym wyłączyła światła.

To był ostatni moment, bo kilka sekund później dwa patrole z migającymi światłami przemknęły obok nich. Cathy siedziała jak zamurowana, nadsluchując ryku oddalających się syren. A potem usłyszała, jak Milo odzywa się po cichu w ciemnościach:

- Nazywa się Bond. Jane Bond.

Pół śmiejąc się, pół płacząc odwróciła się do Victora, który przedostał się na przednie siedzenie. Natychmiast znalazła się w jego ramionach. Któryś z mężczyzn siedzących z tyłu odchrząknął znacząco.

- Posłuchaj, Gersh - odezwał się grzecznie Ollie. - Nie uważasz, że powinniśmy już jechać?

Victor niechętnie oderwał się od Cathy, ale jego wzrok nie opuszczał jej twarzy.

- Jasne - mruknął, po czym znów przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Ale może ktoś inny by poprowadził?

- I teraz zaczynają się schody. Robi się naprawdę groźnie - oznajmił Polowski.

To on był teraz przy kierownicy. Jechali na południe, w stronę San Francisco. Cathy i Victor siedzieli obok niego, a z tyłu Milo i Ollie leżeli zwinięci w kłębek jak dwa wyczerpane zabawą szczeniaki.



Z radia dochodził cichy dźwięk muzyki country. Zegary na desce rozdzielczej świeciły zielonym światłem.

- Mamy w końcu dowody - ciągnął. - Musimy je tylko ujawnić. Będą zdesperowani. Spróbują wszystkiego. Od tej chwili, moi drodzy, zaczyna się prawdziwe polowanie.

A dotąd to było co? - pomyślała Cathy, przytulając się do Victora. Marzyła o tym, żeby zostać z nim sam na sam. Nie było czasu na pełne łez powitanie ani miłosne wyznania. Ostatnie dwie godziny spędzili na bocznych drogach, unikając policji. Z pewnością o włamaniu do Virateku powiadomiono już władze. Policja stanowa poszukuje już furgonu z uszkodzoną przednią częścią karoserii. Polowski ma rację. Robi się groźnie.

- Jak tylko dojedziemy do miasta - zapowiedział Polowski - oddamy próbki do różnych laboratoriów. Żeby uzyskać niezależne opinie. W ten sposób wyeliminujemy wątpliwości. Holland, znasz kogoś, komu możemy ufać?

- Tak, kolegę ze studiów jeszcze w New Haven. Prowadzi laboratorium szpitalne. Mam do niego zaufanie.

- Ktoś z Yale? Świetnie. To duży prestiż.

- Ollie ma kolegę na Uniwersytecie w San Francisco. Zajmą się drugą próbką.

- A kiedy dostaniemy wyniki, porozmawiam z pewnym dziennikarzem, który kocha takie sprawy. - Sam z satysfakcją uderzył dłonią w kierownicę. - Viratek, z wami koniec.

- Jesteś w swoim żywiole, prawda? - zapytała Cathy.

- Kobiety, wy tego nie zrozumiecie. Holland właśnie otrzymał największy zastrzyk adrenaliny w życiu.

Victor w milczeniu patrzył przed siebie.

- Czy to nie było wspaniałe? - ciągnął Polowski. - Wedrzeć się pazurami do piekła i wydostać z powrotem?

- Nie - odparł Victor. - Bo to jeszcze nie koniec. Uśmiech znikł z twarzy Sama.

- Prawie - odparł. - To prawie koniec. Minęli znak: San Francisco 15 kilometrów.

Czwarta rano. W kafejce z pączkami w North Beach przycupnęło nad kawą i drożdżówkami pięć umęczonych dusz. Tylko przy jednym stoliku jeszcze ktoś siedział - człowiek z przekrwionymi oczami i

drżącymi rękami. Dziewczyna za ladą wsadziła nos w gazetę. W tle szumiał ekspres do kawy.

- Za nowego i najładniejszego członka grupy... piękną i nieustraszoną... - zaczął Milo.

- Och, proszę cię - zaprotestowała Cathy. Victor otoczył ją ramieniem.

- Wyluzuj i poczuj się zaszczycona. To bardzo ekskluzywna grupa.

- Jedyne wymóg to ten - dodał Ollie - że musisz źle grać na jakimś instrumencie.

- Nie gram na żadnym.

- To żaden problem. - Ollie oderwał kawałek papieru, w który zawinięte były drożdżówki, i owinał nim swój grzebień. - Proszę, fujarka.

Cathy przyłożyła grzebień do ust i wymruczała stosownie fałszywą wersję Yankee Doodle. Słuchacze roześmiali się i posłali jej brawka, nawet Victor. Ale kiedy aplauz ucichł, spostrzegła zmęczony wyraz jego oczu.

Ulicą przemknęła ciężarówka dostawcza. Piąta, miasto budziło się do życia.

- No dobrze, kochani - powiedział Sam i położył na stoliku dolara napiwku. - Musimy wyrwać z łóżka tego ważniaka reportera. A potem przesyłki do dostarczenia. O której jest lot do New Haven?

- Piętnaście po dziesiątej - odparł Victor.

- Dobrze, kupię bilety. Ale przedtem spróbuj zapuścić nowe wąsy czy brodę. Cathy, jedziesz z nim?

- Nie.

Oczekiwała jakiejś reakcji. Zobaczyła ulgę. I rezygnację. Nie próbował jej przekonywać.

- Co zrobisz? - zapytał tylko. Wzruszyła ramionami.

- Może powinnam trzymać się naszego pierwszego planu i pojechać na południe, do Jacka.

Miał teraz szansę powstrzymać ją, powiedzieć, że chce ją mieć koło siebie. Gdyby naprawdę ją kochał...

Ale on tylko kiwnął głową i powiedział, że to dobry pomysł. Zamrugnęła, żeby ukryć łzy, zanim ktoś je spostrzeże. Popatrzyła na Olliego z obojętnym uśmiechem.

- Kiedy ty i Milo wracacie do domu?

- Myślę, że zaraz. Wykonaliśmy swoje zadanie.  
- Zabierzecie mnie? Złapię autobus w Paño Alto.  
- Nie ma problemu. Możesz nawet usiąść na honorowym miejscu, z przodu.

- Tylko nie za kierownicą - mruknął Milo. - Jeżeli pozwolicie, to chciałbym spokojnie dojechać do domu.

Sam wstał.

- Czyli że wszyscy wiedzą, co robić.

Na ulicy, która budziła się już do życia, Cathy i Victor pożegnali się. Victor włożył ręce do kieszeni i utkwiał wzrok w przejeżdżającym autobusie.

- Będę tęsknił za tobą, ale rozumiesz, że nie możemy w tych okolicznościach być razem.

Zostałabym z tobą, gdybyś tylko tego chciał.

- Dam ci znać, kiedy znowu zrobi się bezpiecznie. Kiedy będziesz mogła wrócić do domu.

- A potem?

- Potem zaczniemy wszystko od początku. Pocałowali się jak para przyjaciół, spiesząc się ze względu na przyglądających im się kolegów. Nie było tu namiętności.

- Uważaj na siebie, Victorze. - Wyprostowała się i dołączyła do Mila i Olliego. - Możemy jechać.

- Opowiedzcie mi o Lily - poprosiła.

Pierwsze światło poranka malowało już smugi na niebie, kiedy jechali wzdłuż domów miasteczka Pacifica i klifowego wybrzeża.

- Co chcesz wiedzieć?

- Jaką była kobietą?

- Była miła i mądra - odparł Ollie. - Nigdy jej nie zależało, żeby robić dobre wrażenie. Chyba była najbystrzejsza z nas. A już na pewno bystrzejsza od Mila.

- I przystojniejsza niż Ollie - pisnął głosik z tylnego siedzenia.

- Prawdziwie dobra i przyzwoita. Kiedy pobrali się, pomyślałem, że ożenił się ze świętą. Ale nie każdemu facetowi zależy na świętej. Ja z pewnością byłbym szczęśliwszy z jakąś zwariowaną kobietą. Na przykład z kimś, kto rozwali samochodem ogrodzenie pod napięciem, ot tak sobie, dla zabawy.

To było miłe z jego strony, że tak powiedział, że chciał ją rozśmieszyć. Ale nie mógł złagodzić jej bólu.

Musi się stąd wyrwać! Pomyślała o Meksyku, o ciepłej wodzie i gorącym piasku, zapachu świeżych ryb i limonek. Pograży się w pracy nad nowym filmem. Jack będzie na planie ze swoją nową panienką, ale z tym sobie poradzi. Jack nie jest w stanie jej skrzywdzić. Jest ponad to, żaden mężczyzna już jej nie skrzywdzi.

Kiedy wjechali na podjazd domu Mila, świt zdążył się przerodzić w jasny zimny poranek.

- Ty, Cathy, do Meksyku, prawda? - zapytał Milo.

- Tak, do Puerto Vallarta. A ty?

- Chyba dołączę do mamy na Florydzie. Pojedziesz ze mną, Ollie?

- Innym razem. Muszę odespać.

- To była wspaniała przygoda. Niemal żałuję, że się skończyła. - Milo wszedł na ganek i pomachał im. - Do zobaczenia! - A potem zniknął w drzwiach frontowych.

- Następny przystanek dworzec autobusowy - rzekł Ollie, ale nie zdołał nawet ruszyć. W otwartym oknie auta ukazała się lufa pistoletu i dotknęła jego skroni.

- Doktorze Wozniak, niech pan wysiada.

- Czego chcesz? - wychrypiał Ollie. Kliknięcie odbezpieczanej broni wystarczyło. - Dobra, wysiadam.

Cathy też chciała wysiąść, ale usłyszała:

- Ty nie! Zostań w środku.

- Posłuchaj - zaproponował Ollie. - Oddam ci ten cholerny samochód! Jej nie potrzebujesz...

- Potrzebuję. Powiedz Hollandowi, że się z nim skontaktuję w sprawie przyszłości panny Weaver. - Obszedł furgon dookoła i otworzył drzwi z prawej strony. - A ty za kierownicę!

- Nie, proszę... - Poczwała na karku chłód lufy.

- Mam cię prosić?

Przeniosła się na fotel kierowcy. Mężczyzna usiadł obok niej. Chociaż ciągle czuła pistolet przystawiony do karku, utkwiała wzrok w oczach napastnika. Były czarne i zdawały się nie mieć dna. Jeżeli drzemała w nich jakaś iskierka człowieczeństwa, to nie mogła jej dostrzec.

- Zapal silnik.

- Dokąd... dokąd jedziemy?

- Na przejażdżkę. W jakieś ładne miejsce. Gorączkowo szukała w myślach jakiegoś sposobu

ucieczki, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Hej! - zawołał Ollie, łapiąc za drzwi samochodu. - Nie możesz tego zrobić!

- Ollie, nie! - krzyknęła Cathy. Napastnik wycelował przez okno.

- Puść ją! Pu...

Rozległ się strzał. Ollie zatoczył się, na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

Ze zwierzęcą furją, napędzana jeszcze instynktem samozachowawczym, rzuciła się z pazurami do oczu bandyty, który w ostatniej chwili się uchylił. Podrapała mu twarz do krwi. Zanim zdążył zareagować, złapała go za nadgarstek, próbując wyrwać mu broń, ale był od niej silniejszy. Nie mogła go powstrzymać.

Ostatni obraz, jaki zarejestrowała, to była czarna dziura, powoli obracająca się w stronę jej twarzy.

Coś uderzyło ją z boku. W głowie eksplodował potworny ból i świat roztrzaskał się na miliony błyskawic.

Gasły jedna po drugiej, aż zapadła ciemność.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Przyszedł Victor - oznajmił Milo.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Ollie zdał sobie sprawę z ich obecności. Victor ledwo się powstrzymał, by nim nie potrząsnąć, aby oprzytomniał. Musiał czekać w ciszy przerywanej tylko sykiem tlenu i bulgotaniem rurki odsysającej. Wreszcie Ollie poruszył się i jego oczy, w których szklili się ból, zarejestrowały obecność trzech mężczyzn.

- Gersh, nie mogłem... - Urwał wyczerpany.

- Powoli, Ollie, powoli.

- Próbowałem go powstrzymać. Miał broń... - Ollie przerwał, zbierając siły.

Victor ze strachem wyczekiwał następnych słów.

Ciągle nie dowierzał temu, co usłyszał od Mila, mając nadzieję, że to jakaś koszmarna pomyłka, że Cathy siedzi w tej chwili w autobusie wiozącym ją w bezpieczne miejsce. Jeszcze dwie godziny temu gotów był wsiąść do samolotu do New Haven. Przy stanowisku United Airlines dostał wiadomość. Przeznaczona była dla pasażera o nazwisku Sam Polowski, bo na takie nazwisko wystawiony był bilet. Składała się tylko z trzech słów: „Zadzwoń natychmiast. Milo”.

Pasazer Polowski nie wsiadł do samolotu. Dwie godziny. Co zdążyli jej zrobić przez te dwie godziny?

- Ten człowiek, jak on wyglądał? - zapytał Sam.

- Dobrze go nie widziałem. Ciemne włosy. Twarz... pociągła.

- Wysoki? Niski?

- Wysoki.

- Odjechał twoim samochodem? Ollie kiwnął głową.

- A co z Cathy? - zapytał Victor. - Nie zranił jej? Zapadła cisza, która dla Victora była wiecznością.

- Nie wiem.

Aha. Istnieje szansa, że jeszcze żyje. Nagle, pobudzony, zaczął przemierzać szpitalny pokój.

- Wiem, czego chce, co mam mu dać.

- Chyba nie mówisz poważnie - rzekł Polowski. - To nasz jedyny dowód! Nie możesz się go pozbyć...

- Właśnie to zamierzam zrobić.

- Nie wiesz nawet, jak się z nim skontaktować!

- On skontaktuje się ze mną. Musiał obserwować twój dom, Milo. Czekał, aż ktoś się pojawi. Zadzwoń do ciebie. - Victor dotknął kieszeni swojej kurtki, w której znajdowały się próbki z Virateku. - Mam to, czego chce. Obaj jesteśmy gotowi na wymianę.

Słońce, jaskrawe i nieustępliwe, świeciło jej prosto w oczy. Zacisnęła mocno powieki, aby promienie nie wbijały się jej w mózg.

- Obudź się!

Poczuła na twarzy lodowatą wodę. Zakrztusiła się, z włosów popłynęły strużki. Próbowwała zatrzymać wzrok na twarzy, którą zobaczyła. Najpierw widziała tylko ciemny owal na tle oślepiającego kręgu światła. Potem mężczyzna odsunął się i dostrzegła czarne oczy i zaciśnięte usta. Krzyk podniósł się w jej gardle, ale zamarł, gdy na policzku poczuła chłód lufy pistoletu.

- Cisza - powiedział. - Usiądź.

Przerażona, podniosła się. Pokój zaczął wirować. Objęła rękami bolącą głowę, strach na chwilę przyćmił fale bólu i mdłości. Nagle uświadomiła sobie obecność drugiego mężczyzny, potężnego, o szerokich ramionach, którego nigdy przedtem nie widziała. Siedział w rogu i w milczeniu śledził każdy jej ruch. Sam pokój był mały i bez okien. Nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc. Całym umeblowaniem było krzesło, karciany stolik i prycza, na której siedziała. Podłoga z betonu. Jesteśmy w piwnicy, pomyślała. Czy są jeszcze w Palo Alto?

Człowiek siedzący na krześle skrzyżował ramiona i uśmiechnął się. W innych okolicznościach mogłaby uznać ten uśmiech za czarujący. Teraz był nieludzki.

- Chyba już oprzytomniała. Niech pan zaczyna, panie Savitch.

- Gdzie on jest?

- Kto?

Savitch uderzył ją w twarz. Przewróciła się na plecy.

- Spróbujmy jeszcze raz. - Pociągnął ją za rękę do pozycji siedzącej. - Gdzie jest Victor Holland?

- Nie wiem.

- Byłaś z nim.

- Rozdzieliliśmy się.

- Dlaczego?

Dotknęła ust. Widok krwi na palcach zszokował ją tak, że na chwilę zamilkła.

- Nie chciał... żebym z nim została.

- Szybko się tobą znudził. Nie wiem dlaczego.

Zadrzała, kiedy przejechał palcem po jej policzku i szyi. Zatrzymał się na górnym guziku jej bluzki. Nie, pomyślała. Tylko nie to. Odetchnęła z ulgą, kiedy człowiek siedzący na krześle nagle się wtrącił.

- To do niczego nie prowadzi. Savitch zwrócił się w jego stronę.

- Ma pan inną propozycję, panie Tyrone?

- Tak. Posłużymy się nią w inny sposób. Jeżeli my nie możemy do niego dotrzeć, to musimy go ściągnąć tutaj. Z twoją pomocą, kochana.

Cathy zobaczyła, że trzyma w ręku komórkę.

- Mówiłam wam. Nie wiem, gdzie jest.

- Jesteśmy pewni, że koledzy go znajdą.

- On nie jest taki głupi. Dla mnie tu nie przyjdzie.

- Masz rację. Nie jest głupi. - Tyrone zaczął wybierać numer. -

Ale ma sumienie. A to śmiertelna wada. - Urwał, a potem powiedział do telefonu: - Halo? Milo Lum? Proszę przekazać panu Hollandowi wiadomość ode mnie. Mam coś, co do niego należy. Coś, co nie przetrwa długo...

- To on! - syknął Milo. - Chce negocjować. Victor zerwał się na równe nogi.

- Chcę z nim porozmawiać...

- Zaczekaj! - Polowski złapał go za rękę. - Powoli. Pomyśl...

Victor wyrwał się i złapał komórkę.

- Tu Holland. Gdzie ona jest?

- Jest ze mną. Żyje.

- Skąd mam wiedzieć, że...

- Musisz mi uwierzyć na słowo.

- Muszę mieć dowód!

Zapadła cisza, a potem usłyszał głos tak drżący i wystraszony, że o mało serce mu nie pękło.

- Victorze, to ja.

- Cathy? Jesteś zdrowa i cała?

- Tak... w porządku.

- Gdzie jesteś?

- Nie wiem... - Urwała. - Nie jestem pewna.

- Nic ci nie zrobił? Pauza.

- Nie.



Nie mówi mi prawdy, pomyślał. Skrzywdził ją...

- Cathy, obiecuję ci, wszystko będzie dobrze. Przysięgam, że...

- Porozmawiajmy o interesach. - Victor usłyszał w słuchawce męski głos.

- Jeżeli jej tylko dotkniesz - krzyknął ogarnięty furia - przysięgam, że...

- Nie można powiedzieć, żebyś miał dobrą pozycję negocjacyjną.

Victor poczuł, że czyjaś ręka chwyta go za ramię.

Odwrócił się i napotkał wzrok Polowskiego. Układaj się z nim, to jedyny sposób, aby zyskać na czasie, zobaczył w jego oczach. Gdy odezwał się znowu, jego głos był już spokojny.

- Okej, chcesz mieć próbówki. Są twoje.

- To za mało.

- Mogę dorzucić siebie. Zgadzasz się?

- Tak. Ty i próbówki w zamian za jej życie.

- Nie! - Udręczony krzyk przerwał rozmowę. To Cathy wołała gdzieś z oddali. - Nie, Victorze! Oni cię...

Victor usłyszał w słuchawce odgłos ciosu, a potem jęk bólu. Całe jego opanowanie legło w gruzach. Teraz krzyczał, przeklinał, błagał, żeby tylko ten człowiek przestał ją torturować. I znowu Sam potrząsnął go za rękę, a jego oczy mówiły: Układaj się.

Victor, oddychając ciężko, patrzył na niego przez łyzy. Boże, daj mi siłę, pomyślał.

- Kiedy zrobimy zamianę? - zdołał wykrztusić.

- Dziś w nocy. O drugiej nad ranem.

- Gdzie?

- We wschodnim Palo Alto. W starym teatrze Saracen.

- Przecież jest nieczynny. Zamknięto go...

- Będzie otwarty. Bądź sam. Jeżeli zobaczę jeszcze kogoś, to pierwsza kula jest dla niej. Jasne?

- Chcę mieć gwarancję! Chcę wiedzieć, że będzie... Usłyszał w telefonie ciągły sygnał.

- Jak się umówiliście? - spytał Sam.

- O drugiej w nocy, teatr Saracen.

- To za pół godziny. Za mało czasu, żeby zastawić...

- Jadę sam.

Milo i Polowski wlepili w niego wzrok. Victor sięgnął po marynarkę i sprawdził kieszeń; papierośnica ciągle tam była. Podszedł do drzwi.

- Przecież on cię zabije! - zawołał Milo.
- Pewnie tak. Ale to jedyna szansa dla Cathy.
- Nie przyjedzie - oznajmiła Cathy.
- Zamknij się - krzyknął Tyrone i ją popchnął.

Szli wąskim przejściem na tyłach teatru. Cathy rozpaczliwie poszukiwała sposobu, by nie dopuścić do spotkania. Skończy się źle nie tylko dla Victora, ale i dla niej. Ci dwaj nie mają zamiaru pozwolić jej przeżyć. Może tylko liczyć na to, że Victor ocali życie. Musi zrobić wszystko, by zwiększyć jego szanse.

- Ma dowody. Myślicie, że poświęci je dla mnie? Tyrone zerknął na Savitcha.

- A jeżeli ona ma rację?
- On nie zostawi swojej kobietki. - Savitch dotknął pieszczotliwie policzka Cathy. - Wie, co z nią zrobimy.

Cathy wzdrygnęła się z obrzydzeniem. A jeżeli rzeczywiście nie przyjdzie? Jeżeli zrobi to co najrozsądniejsze i pozwoli jej zginąć? Wcale by mu się nie dziwiła.

Tyrone popchnął ją na schody.

- Do środka.
- Nie widzę - zaprotestowała. Potknęła się o jakieś skrzynki, otarła o coś przypominającego ciężkie zasłony. - Za ciemno...
- Zaraz będzie jaśniej - zabrzmiał czyjś głos. Zapaliły się światła tak mocne, że ją oślepiły. Zasłoniła oczy dłonią. Przez palce zobaczyła przed sobą jakiegoś człowieka. Tuż za nim podłoga zdawała się opadać.

Stali na scenie. Było oczywiste, że od lat nie odbywały się tu przedstawienia. Podarta kurtyna zwisała jak pajęczyna. Resztki starych dekoracji, porośnięte bluszczem mury obronne średniowiecznego zamku, opierały się jeszcze o ściany zastawione starymi miotłami.

- Jakież problemy, Dafoe? - zawołał Tyrone.
- Żadnych. Sprawdziłem budynek, jedno drzwi od frontu, jedno za sceną. Drzwi pożarowe są zamknięte na kłódkę. Jeżeli zablokujemy oba wyjścia, Holland będzie w pułapce.
- Widzę, że FBI zasłużyła na swoją świetną reputację.

Dafoe uśmiechnął się i pochylił głowę.

- Wiedziałem, że Kowboj zaakceptuje tylko to, co najlepsze.

- Okej, panno Weaver. - Tyrone popchnął Cathy w kierunku krzesła stojącego tuż pod reflektorem. - Na środek sceny. Tak, żeby mógł panią zobaczyć.

Savitch przywiązał ją do krzesła. Dobrze wiedział, co robi. Nie miała możliwości uwolnienia rąk z takich ciasnych, profesjonalnie wykonanych więzów. Zrobił krok do tyłu, zadowolony z wykonanej pracy.

- Żeby nie było niespodzianek - powiedział, a po namyśle oderwał kawałek taśmy i przykleił jej na ustach.

Tyrone spojrział na zegarek.

- Zero minus piętnaście. Na miejsca, panowie. Cała trójka ukryła się w ciemnościach, zostawiając

Cathy na pustej scenie. Światło reflektora bijące w jej twarz było gorące jak ostre słońce. Czowała, jak na jej czole zbierają się kropelki potu. Chociaż nie widziała ich, po głosach ustalała ich obecność. Tyrone był blisko. Savitch na tyłach teatru, niedaleko od wejścia głównego. A człowiek o nazwisku Dafoe zajął miejsce w jednej z łóż. Trzy linie ognia. Nie ma ucieczki.

Victorze, nie bądź głupcem. Trzymaj się z dała...

A jeżeli nie przyjdzie? Tej możliwości też nie mogła znieść, bo oznaczałoby to, że ją opuścił. Że nie dba o nią nawet na tyle, by chociaż spróbować ją ocalić.

Zamknęła oczy przed światłem i przed łzami. Kocham cię. Wszystko bym zniosła, gdybym wiedziała, że mnie kochasz. Ręce jej zdrętwiały. Spróbowała się uwolnić, ale tylko obtarła nadgarstki do krwi. Starła się zachować spokój, ale z każdą minutą serce zdawało się bić głośniejsze. Po skroni spłynęła jej kropla potu.

Gdzieś w ciemnościach skrzypnęły drzwi, zbliżyły się kroki, rytmem powolnym, ale zdecydowanym. Wysiliła wzrok, aby coś zobaczyć w świetle reflektora.

Zza kulis wyszedł Tyrone.

- Panie Holland, niech się pan zatrzyma.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rozbłysnął jeszcze jeden reflektor i schwycił w obręcz światła Victora, który zatrzymał się na środku sali.

Przyszedłeś po mnie! Wiedziałam, wiedziałam...

Gdyby tylko mogła krzyknąć, ostrzec go, że są jeszcze dwaj... Ale taśma ścisnęła ją tak mocno, że mogła z siebie wydobyć tylko jęk.

- Puść ją!

- Najpierw daj nam to, czego chcemy.

- Powiedziałem, puść ją!

- To nie ty dyktujesz warunki. - Tyrone wyszedł na scenę. Cathy wzdrygnęła się, kiedy poczuła na skroni zimny metal pistoletu. - Zobaczmy, co masz, Holland.

- Najpierw ją rozwiąż.

- Mogę zabić was oboje i zakończyć sprawę.

- To już do tego doszło? - krzyknął Victor. - Zabijacie cywili za państwowe pieniądze?

- To tylko sprawa kosztów i zysku. Może kilku będzie musiało teraz zginąć. Ale jeżeli kraj pójdzie na wojnę, pomyśl o milionach Amerykanów, którym uratuje to życie!

- Myślę o tych Amerykanach, których pozbawiliście już życia.

- To było konieczne. Ale ty tego nie zrozumiesz. Nigdy nie widziałeś umierającego żołnierza, przyjaciela, prawda, Holland? Nie znasz tego uczucia bezradności, bo nie oglądałeś porządnych amerykańskich chłopców z przyzwoitych amerykańskich miasteczek, rozerwanych na kawałki. Kiedy będziemy mieć tę broń, tylko wrogowie będą ginąć, nie my.

- Kto wam dał przyzwolenie?

- Sam sobie je dałem.

- A kim ty, do cholery, jesteś?

- Patriotą! Wykonuję robotę, której nikt inny we władzach nie tknie. Ktoś mówi, że szkoda, że nasza broń nie ma wyższego współczynnika śmiertelności. I to dla mnie wskazówka, że muszę taką opracować. Nawet nie muszą mnie prosić. Mogą twierdzić, że nic o tym nie wiedzieli.

- Znaleźli sobie jelenia. Tyrone wzruszył ramionami.

- Jestem tylko dobrym żołnierzem. Potrafiłbym zginąć za sprawę. Ale jeszcze nie teraz.

Cathy zeszywniała na dźwięk odbezpieczanej broni.

- Jak widzisz - zauważył Tyrone - karty nie układają się po twojej myśli.

- Skąd wiesz, czy przyniosłem próbówki? - zapytał Victor ze spokojem. - A może są gdzieś schowane, a bomba tyka już w mediach? Zabij ją, a nigdy się nie dowiesz.

Martwy punkt. Tyrone opuścił broń. Przez chwilę mierzyli się z Victorem wzrokiem. Potem Tyrone sięgnął do kieszeni i wyjął scyzoryk.

- Holland, ta runda dla ciebie - powiedział i przeciął więzy. Nagły przypływ krwi do rąk i stóp Cathy był niemalże bolesny. - Zabieraj ją!

Ledwo wygramoliła się ze sceny. Na niepewnych nogach poszła między rzędami, w kierunku plamy światła, do Victora. Porwał ją w ramiona. Tylko łomot jego serca uświadomił jej, jaki był spanikowany.

- Twoja kolej! - zawołał Tyrone.

- Idź - szepnął Victor. - Zabieraj się stąd.

- Victorze, jest jeszcze dwóch...

Victor sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę.

- Będą mnie obserwować - szepnął. - Idź do drzwi. Cathy stała jak sparaliżowana, nie mogąc podjąć decyzji. Miała go tu zostawić, na pewną śmierć?

- Zostaje tam, gdzie jest! A ty, Holland, chodź tu. Próbówka!

Victor postąpił krok do przodu, potem drugi.

- Stań! - rozkazał Tyrone. - Połóż ją na ziemi. Victor powoli położył papierośnicę u swych stóp.

- Popchnij w moją stronę.

Papierośnica przejechała po podłodze i zatrzymała się przy kanale dla orkiestry. Tyrone zeskoczył ze sceny.

Victor wziął Cathy za rękę i zaczął się wycofywać w kierunku wyjścia. Jakby na komendę po teatrze rozeszło się echem odbezpieczenie dwóch pistoletów. Victor odwrócił się, lecz oślepiło go światło reflektora.

- Jeszcze nie wychodzicie - oznajmił Tyrone, sięgając po papierośnicę. Ostrożnie podniósł wieczko i w ciszy przyglądał się zawartości pudełeczka.

To koniec, pomyślała Cathy. Teraz nie ma powodu, by utrzymać nas przy życiu, bo już ma to, czego chciał... Tyrone szarpnął głową.

- Oszukał nas - powiedział. - Zabić ich!

Jego głos rozbrzmiewał w każdym kącie sali, gdy nagle zgasły wszystkie światła. Zapadły tak nieprzeniknione ciemności, że Cathy musiała wyciągnąć przed siebie ręce, by nie stracić równowagi. I właśnie wtedy Victor pociągnął ją w bok, pomiędzy rzędy krzeseł.

- Zatrzymajcie ich! - wrzeszczał Tyrone.

Ze wszystkich stron rozległy się strzały. Cathy i Victor na czworakach poruszali się między rzędami, słysząc, jak kule więzną w obitych aksamitem oparciach foteli. Ogień nagle przycichł, tylko od czasu do czasu rozlegał się pojedynczy strzał.

- Nie strzelać! Posłuchajcie, gdzie są!

Ogień ucichł. Cathy i Victor zamarli, bojąc się zdradzić. Panowała absolutna cisza. Cathy słyszała własny puls. Znaleźliśmy się w pułapce. Jeden ruch i będą wiedzieli, gdzie jesteśmy. Bojąc się oddychać, zdjęła but i rzuciła go na oślep w poprzek widowni. Hałas wywołał natychmiastową strzelaninę. Korzystając z tego, Cathy i Victor zdążyli dobiec do bocznych krzeseł.

I znów ogień ucichł.

- Nie masz wyjścia, Holland! Pilnujemy drzwi! Gdzieś wysoko, na jednym z balkonów, zapaliło się nagle światelko. To Dafoe trzymał w ręku zapalniczkę. Victor popchnął Cathy na podłogę.

- Dafoe, widzisz ich? - krzyczał Tyrone.

- Zaraz ich znajdę. Zaczekaj. Zdaje się, że... Rozległ się strzał i Dafoe odskoczył nagle w bok.

Wyciągnął rękę, aby się oprzeć, ale przegniłe drewno balustrady ustąpiło pod ciężarem jego ciała. Przechylił się do przodu i zwałił na rzędy foteli.

- Dafoe! - wrzeszczał Tyrone. - Kto do cholery... Z podłogi uniósł się jęczyczek ognia. Od zapalniczki

zajęła się kurtyna. Płomienie rozprzestrzeniały się szybko, tańcząc po ciężkim aksamicie i biegnąc w kierunku belek sufitowych. Kiedy dotknęły drewna, szum zamienił się w ryk. Jasność bijąca od ognia oświetliła widownię. Cathy i Victor stali się widoczni. Savitch stojący przy wejściu przygotował swój pistolet półautomatyczny. Na scenie, oświetlony piekłem płomieni, stał z demonicznym wyrazem twarzy Tyrone.

- Savitch, bierz ich! - rzucił rozkaz.

Savith wycelował broń. Tym razem nie mieli gdzie się schować. Cathy poczuła, jak ramię Victora obejmuje ją w ostatnim opiekuńczym uścisku.

Odgłos strzału sprawił, że oboje podskoczyli. Jeszcze jeden, ale też nie poczuła bólu. Spojrzeli na siebie, jak gdyby nie mogli uwierzyć, że żyją. Jednocześnie zobaczyli, że na koszuli Savitcha ukazała się abstrakcyjna plama krwi, a on sam osuwa się na kolana.

- Teraz masz szansę! - zawołał ktoś. - Holland, rusz się!

Odwrócili się, aby zobaczyć znajomą sylwetkę na tle płomieni. W jakiś magiczny sposób Polowski wyłonił się zza kurtyny. Trzymając pistolet w obydwu dłoniach, okręcił się wokół własnej osi i wycelował w stronę Tyrone'a. Nie zdążył nacisnąć na spust, bo Tyrone strzelił pierwszy. Kula odrzuciła Polowskiego w tył. Spadł ze sceny na tłące się już aksamitne siedzenia.

- Uciekaj! - rzucił Victor i popchnął Cathy do wyjścia. - Idę po niego...

- Victorze, nie możesz...

Ale już był w drodze. Widziała poprzez kłęby dymu, jak skrada się pomiędzy rzędami. Potrzebuje pomocy. A czas ucieka... Od gorąca paliło ją w gardle. Kaszląc, opadła na podłogę i nabrała kilka oddechów względnie jeszcze czystego powietrza. Ma jeszcze czas uciec. Musiałaby tylko doczołgać się do drzwi. Ale zamiast tego odwróciła się plecami do wyjścia i poszła za Victorem w piekło.

Ledwo widziała go poprzez ścianę ognia. Podniosła ramię, żeby zasłonić twarz przed żarem.

- Victor!

Odpowiedział jej ryk płomieni i jeszcze groźniejszy odgłos trzeszczących belek. Spojrzała w górę. Ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że w każdej chwili mogły spaść.

W panice rzuciła się do przodu, do miejsca, gdzie ostatnio widziała Victora. Nie było go. Znalazła tylko kłębowisko dymu i ognia. Czy zdołał uciec? Czy została sama w tej płonącej beczce prochu? Nagle coś otarło się o jej twarz. Zobaczyła ludzką rękę wiszącą tuż obok swojej głowy. Powoli powiodła wzrokiem wzdłuż skrwawionego ramienia, do martwych oczu Dafoe. Jej krzyk przerażenia prześwidrował na wylot cyklon ognia.

- Cathy?

Odwróciła się w kierunku, z którego napłynął głos Victora. Przykucnięty w przejściu kilka metrów od niej trzymał Polowskiego pod pachy i ciągnął go do wyjścia. Ale gorąco i dym odcisnęły już na nim swoje piętno.

- Zaraz zawali się dach! - krzyknęła.

- Uciekaj!

- Bez ciebie? - Złapała Polowskiego za stopy. Razem przeciągnęli go po dywanie, na którym pojawiły się już iskry. Jeszcze tylko kilka metrów!

- Trzymam go. - Victor z trudem łapał oddech. - Idź... otwórz drzwi.

Wyprostowała się i odwróciła. Przed nią stał Matt Tyrone.

- Victorze! - zaszlochała.

Victor - stanął z nim twarz w twarz. Żaden z nich nie powiedział słowa. Obaj wiedzieli, że gra się skończyła. Nadszedł czas na finał. Tyrone podniósł broń.

W tej samej chwili usłyszeli głośny trzask pękającego drewna. Tyrone odwrócił na chwilę wzrok, aby popatrzeć na jedną z belek, która obsunęła się, ciągnąc za sobą deszcz płonących drzazg. Cathy tylko czekała na taką chwilę nieuwagi. W odruchu skrajnej desperacji rzuciła się do przodu, podcinając mu nogi. Tyrone wypuścił z ręki broń i ześliznął się pod rząd foteli.

Natychmiast jednak zerwał się na równe nogi i kopnął ją z całej siły. Trafił w żebra tak mocno, że zabrakło jej powietrza, by krzyknąć. Upadła ogłuszona.

Poprzez ciemność, jaka przesłoniła jej oczy, na tle szalejącego ognia, zobaczyła, że obaj mężczyźni rzucili się sobie do gardła. Tyrone wymierzył cios, a Victor się zatoczył. Tyrone zaszarżował, Victor uskoczył w bok, Tyrone potknął się i upadł na tłący się dywan, lecz wściekły poderwał się na kolana, gotów do ataku.

Trzeszczenie walących się belek spowodowało, że zerknął do góry. Ciągle miał na twarzy wyraz zdumienia, kiedy jedna z belek przygniotła mu głowę.

Cathy próbowała krzyknąć, ale nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Gardło miała wysuszone i opuchnięte. Z trudem podniosła się na kolana. Tuż obok niej leżał Polowski, jęcząc. Ogień był wszędzie, strzelał już z podłogi, liżąc resztki draperii, które jeszcze nie zdążyły się zapalić. Poprzez całe to piekło zbliżał się do niej,



potykając, Victor. Schwycił ją za ramię i popchnął w stronę wyjścia. Zdołali jakoś przedostać się przez drzwi, ciągnąc za sobą Sama. Kaszłąc, wywlekli go na ulicę, a potem na przeciwległy chodnik. Tam już zostali.

Nocne niebo zapaliło się nagle od eksplozji, która rozdarła teatr. Dach zawalił się, wyrzucając w górę wachlarze fajerwerków. Victor rzucił się całym ciałem na Cathy, by ją zasłonić przed odłamkami szkła lecącymi z okien budynku, koło którego się schronili.

Przez chwilę słychać było tylko szum i trzask płomieni. Potem, gdzieś z daleka, doszło ich wycie syreny.

Polowski poruszył się i jęknął.

- Sam! Trzymasz się, stary?

- Trafił mnie... w bok...

- Wyjdiesz z tego. - Victor posłał mu niepewny uśmiech. - Posłuchaj! Już jadą. Słyszysz syreny?

- Tak. - Oczy Sama zwięzły się z bólu.

- Dziękuję - powiedział Victor.

- Musiałem. Byłeś... za głupi, żeby posłuchać...

- Wróciliśmy do punktu wyjścia. Straciłem dowody.

- Milo...

- Są tam. - Victor patrzył na płomienie ogarniające stary teatr.

- Milo je ma.

- Słucham?

- Nie widziałeś, jak mu je dałem?

- Zabrałeś je? Zabrałeś próbówki? Polowski kiwnął głową.

- Ty idioto!

- Victorze! - oburzyła się Cathy.

- Ukradł moją kartę przetargową!

- Ocalił nam życie!

Victor nie odrywał wzroku od Sama, który odwzajemnił się zbolalym uśmiechem.

- Ta dziewczyna ma głowę na karku. Słuchaj jej. Wycie syren nasiliło się, a potem nagle urwało. Krzyki mężczyzn zagłuszyły huk ognia. Krzepki strażak zeskoczył z wozu i uklęknął przy Polowskim.

- Co my tu mamy? - zapytał.

- Rana postrzałowa - odparł Victor. - A pacjent straszny mądrała.

- Nie ma problemu. Damy sobie radę i z jednym, i z drugim.

Zanim zdolali wsadzić Sama do karetki, z teatru pozostał dopalający się stos popiołu. Victor i Cathy patrzyli na znikające tylne światła karetki, słyszeli cichnącą syrenę i syk wody na resztkach ognia.

Victor bez słowa przyciągnął ją do siebie i oplótł ramionami. Stali cicho na tle przygasających płomieni i chaosu. Oboje byli tak zmęczeni, że żadne z nich nie wiedziało, kto podtrzymuje kogo. Ale mimo ogromnego wyczerpania Cathy czuła magię chwili. W jakiś upiorny sposób była piękna, przerażająca i ostateczna. Strzelały ostatnie iskry, a na ścianach pobliskich domów tańczyły refleksy światła i cienia.

- Przyszedłeś po mnie - szepnęła. - Och, Victorze, tak się bałam, że...

- Cathy, musiałś wiedzieć, że przyjdę!

- Nie, nie byłam pewna. Miałaś swój dowód. Mogłaś mnie zostawić...

- Nie, nie mogłem. - Ukrył twarz w jej nadpalonych włosach i pocałował. - Dzięki Bogu, że nie zdążyłem wsiąść do samolotu. Oni mieliby ciebie, a ja byłbym trzy tysiące kilometrów stąd.

Na chodniku zasypanym potłuczonym szkłem zatrzeszczały kroki.

- Czy pan Victor Holland?

Przed nimi stał jakiś człowiek w pogniecionej kurtce, z aparatem przewieszonym przez ramię.

- Kim pan jest? - zdziwił się Victor. Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Jay Wallace, „San Francisco Chronicle”. Dzwonił do mnie Sam Polowski i powiedział, że będą tu jakieś fajerwerki, które mogą mnie zainteresować. - Popatrzył na pozostałości teatru i potrząsnął głową. - Wygląda na to, że się trochę spóźniłem.

- Proszę zaczekać. Sam do pana dzwonił? Kiedy?

- Jakież dwie godziny temu. Gdyby nie był moim byłym szwagrem, odłożyłbym słuchawkę. Od kilku dni dawał mi do zrozumienia, że ma w zanadrzu bombową sprawę, ale nie wyjaśnił, o co chodzi. Już miałem nie przyjeżdżać. To cholernie daleko od centrum miasta.

- Powiedział panu o mnie?

- Podobno to pan ma jakąś historię do opowiedzenia.

- Wszyscy mają jakąś historię.

- Niektóre są lepsze od innych. - Reporter rozejrzył się. - A gdzie jest Sam? Pewnie się wcale ten frajer nie pokazał.

- Ten frajer - rzekł Victor poirytowanym głosem - jest bohaterem. I wsadź pan to do swojego artykułu.

Usłyszeli jeszcze czyjeś kroki, tym razem było to dwóch policjantów. Cathy poczuła, że Victor zeszywniał na ich widok.

- Poinformowano nas, że ofiarę strzelaniny zabrano na oddział ratunkowy - oświadczył starszy rangą. - A was znaleziono na miejscu pożaru.

Victor skinął głową ze znużeniem.

- Byłem przy tym. Kiedy przeszukacie budynek, znajdziecie jeszcze trzy ciała.

- Proszę nam podać swoje dane - rzekł oficer.

Victor spojrział na Cathy. Wyczytała w jego zmęczonych oczach, że to koniec. Teraz nas rozdzielią i Bóg jeden wie, kiedy się znowu zobaczymy...

- Nazywam się Victor Holland.

- Holland - powtórzył policjant. - Czy nie...

A Victor nie odrywał od niej wzroku. Nawet kiedy zakładali mu kajdanki i pociągnęli za sobą do wozu patrolowego, wpatrywał się w Cathy. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, tylko stała obok pogorzelniska.

- Proszę pani, musi pani pojechać z nami.

Oszołomiona podniosła wzrok.

- Słucham?

- Hej, wcale nie musi! - wtrącił się Jay Wallace.

- Nie jest o nic oskarżona!

- Zamknij się, Wallace.

- Byłem reporterem sądowym. Wiem, jakie kto ma prawa!

- To bez znaczenia, pojedę z wami - odparła Cathy.

- Zaczekaj! - zawołał Jay. - Chcę z tobą porozmawiać! Tylko kilka pytań...

- Później - warknął policjant, biorąc ją za ramię.

- Najpierw porozmawia z nami.

Policjanci byli dla niej uprzejmi, nawet mili. Może wyczuli, że funkcjonuje ostatkiem sił. Odpowiedziała na wszystkie pytania. Pozwoliła zbadać rany od sznura na nadgarstkach. Wyjaśniła sprawę Sarah i pierwszej oraz drugiej Catherine Weaver. I cały czas, kiedy

siedziała na policji w Palo Alto, miała nadzieję, że choć przez chwilę zobaczy Victora. Wiedziała, że musi być gdzieś blisko.

O świcie wypuścili ją. Na zewnątrz, na schodach, czekał na nią Jay Wallace.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Proszę, nie teraz. Jestem zmęczona.

- Tylko kilka pytań.

- Nie mogę. Muszę... - Stojąc na zimnej i pustej ulicy, wybuchnęła płaczem. - Nie wiem, co robić - szlochała. - Nie wiem, jak mu pomóc.

- Hollandowi? Zabrali go do San Francisco.

- Co?

- Godzinę temu. Jacyś ważni faceci z Departamentu Sprawiedliwości przyjechali go eskortować. Stamtąd poleci do Waszyngtonu. Czerwony dywan, bajery szmajery.

- To nie jest... aresztowany?

- Kochana - zaśmiał się Wallace. - Ten gość jest teraz bohaterem.

Było jej wszystko jedno, ważne, że był bezpieczny. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Panie Wallace, jest pan samochodem?

- Zaparkowałem za rogiem.

- To niech mnie pan podwiezie.

- Dokąd?

- Do... - Zastanowiła się przez chwilę, gdzie Victor będzie jej szukał. Oczywiście. U Milo. - Do przyjaciela. Chcę być tam, jak Victor zadzwoni.

- Mam nadzieję, że to daleko. Muszę wiele wyjaśnić, zanim ta historia pójdzie do druku.

Victor nie zadzwonił. Przez cztery dni siedziała przy telefonie. Przez cztery dni Milo i jego matka przynosili jej herbatę i ciasteczka, obsypywali uśmiechami i współczuli. Piątego dnia zaczęły ją dręczyć koszmarnie myśli. Przypomniła sobie ten dzień nad wyschniętym jeziorem, gdy prosił, aby pojechała z Olliem na lotnisko. To prawda, że przyszedł po nią. Świadomie wszedł w pułapkę w teatrze Saracen. Ale czy nie zrobiłby tego dla wszystkich swych przyjaciół? On taki jest. Ocalił mu życie, a on pamięta o swoich długach i je spłaca. To kwestia honoru.

I nie ma to nic wspólnego z miłością.

Przestała czekać. Wróciła do swojego mieszkania w San Francisco, sprzątnęła potłuczone szkło, kazała wstawić nowe szyby w oknach, odnowiła ściany. Chodziła na długie spacery i często odwiedzała Olliego i Polowskiego w szpitalu. Jak najdalej od telefonu.

Któregoś dnia zadzwonił Jack.

- W przyszłym tygodniu zaczynamy zdjęcia - narzekał. - Potwór wygląda fatalnie. To przez wilgotność powietrza! Jego twarz rozpływa się w zieloną galaretę. Przyjeżdżaj i zrób coś z tym, zgoda?

Odpowiedziała mu, że pomyśli.

Tydzień później podjęła decyzję. Praca, oto czego potrzebuje. Zielona galareta i humorzaści aktorzy - to jest znacznie lepsze niż czekanie na telefon, który nigdy nie zadzwoni. Zarezerwowała bilet w jedną stronę z San Jose do Puerto Vallarta. Potem spakowała się, wrzucając do walizki całą swoją garderobę.

Ale zanim wyjedzie, wstąpi jeszcze do Palo Alto. Obiecała Samowi, że go odwiedzi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„Rzecznik administracji państwowej Richard Jungkuntz złożył w dniu dzisiejszym ponowne oświadczenie stwierdzające, że ani Prezydent, ani żadna osoba z jego bezpośredniego otoczenia nie posiadali żadnej wiedzy na temat badań nad bronią biologiczną, prowadzonych przez firmę Viratek Industries w Kalifornii. Projekt Cerber, którego celem było stworzenie genetycznie zmutowanych wirusów, jest niewątpliwym naruszeniem prawa międzynarodowego. Ostatnie dowody zebrane przez reportera „San Francisco Chronicle” wykazały, że projekt był bezpośrednio finansowany z funduszy przyznanych przez zmarłego niedawno Matthew Tyrone'a, starszego doradcę Sekretarza Departamentu Obrony.

Podczas dzisiejszych przesłuchań w Departamencie Sprawiedliwości, opóźnionych o cztery godziny z uwagi na uporczywe zamiecie, prezes Virateku Archibald Black zeznawał po raz pierwszy, zapowiadając, że ujawni bezpośrednio powiązania pomiędzy administracją państwową a Projektem Cerber. Wczorajsze zeznania złożone przez byłego pracownika Virateku, doktora Victora Hollanda, ukazały niepokojący obraz oszustw, tuszowania faktów i zapewne zabójstw.

Biuro Prokuratora Generalnego w dalszym ciągu opiera się żądaniom kongresmana Leo D. Fanellego, aby powołać specjalną komisję do zbadania...”

Cathy odłożyła gazetę i uśmiechnęła się do swoich przyjaciół, z którymi siedziała w szpitalnej oranżerii.

- Widzicie, chłopcy? Macie szczęście, że siedzicie sobie tutaj, w słonecznej Kalifornii, i nie odmrażacie sobie sami wiecie czego w zasypanym śniegiem Waszyngtonie.

- Żartujesz? - narzekał Sam. - Dałbym wszystko, aby uczestniczyć w tych przesłuchaniach, zamiast być podłączonym do tej maszyny.

- Cierpliwości - odparł Milo. - Jeszcze cię wezwą do Waszyngtonu.

- Ale Holland już im przekazał ciekawsze kawałki. Zanim złożę zeznanie, to będzie sprawa z ostatniej strony.

- Nie sądzę - wtrąciła Cathy. - To będzie sprawa z pierwszych stron gazet przez dłuższy czas. - I przez cały ten czas ona nie zobaczy Victora.

Minęły już trzy tygodnie od chwili, gdy się rozstali. Wiedziała od Wallace'a, że każde pojawienie się Victora w publicznym miejscu przeradza się w scenę przypominającą karmienie rekinów. Towarzyszyły mu tłumy reporterów, prokuratorów i śledczych, urzędników Departamentu Sprawiedliwości. Nikt nie mógłby się do niego przedrzeć. Nawet ja, pomyślała.

Pewną pociechą była możliwość porozmawiania z trójką przyjaciół. Ollie pozbierał się szybko i został wypisany ze szpitala osiem dni po postrzale. Z Polowskim sprawa wyglądała poważniej. Infekcja pooperacyjna i powikłania po zatruciu dymem przedłużyły jego pobyt aż do punktu, kiedy każdy kolejny dzień stawał się dla niego ciężką próbą. Chciał już wyjść. I wrócić do pracy.

Jeszcze tydzień, zdecydowali lekarze.

Przynajmniej ma jakiś termin, pomyślała Cathy. A ja nie wiem, kiedy zobaczę albo usłyszę Victora.

Ta cisza to zupełnie normalna rzecz, powiedział jej już dawno Sam. Odosobnienie świadka. Kuratela mająca na celu zapewnienie bezpieczeństwa. Departament Sprawiedliwości chce mieć sprawę dopiętą na ostatni guzik i dlatego izoluje głównego świadka od świata zewnętrznego. Reszta może tylko złożyć zeznania. Cathy złożyła już swoje dwa tygodnie wcześniej. Powiedziano jej, że w każdej chwili może wyjechać.

I teraz miała w torebce bilet na samolot do Meksyku. Przestała już czekać na telefon i zastanawiać się, czy Victor ją kocha i czy tęskni. Wcześniej przechodziła przez to z Jackiem, знаła wątpliwości i strach, że dzieje się coś niedobrego. Była zbyt doświadczona, aby ją to zraniło.

Przynajmniej odkryłam, że mam trzech nowych przyjaciół. Ollie, Polowski i Milo, najdziwniejsze trio pod słońcem.

- Zobacz, Sam - powiedział Milo, sięgając do plecaka. - Przyniosłem ci coś.

- Kolejne bokserki w gołe tancerczki? Ale mi pielęgniarce dały za to w kość.

- Nieee. Coś na twoje płuca. Żeby ci przypominało, że masz głęboko oddychać.

- Papierosy? - zapytał Polowski z nadzieją w głosie.

- Fularkę!

- Tego mi naprawdę brakowało!

- Brakowało, brakowało. - Ollie otworzył futerał na klarnet. - Przypadkowo mamy przy sobie instrumenty i nie wyjdziemy stąd, dopóki z nami nie zagrasz.

- Chyba żartujecie.

- Czy jest lepsze miejsce, żeby zagrać? Chorzy pacjenci, trzeba ich trochę rozweselić.

- Nie mówicie serio. - Sam spojrzał błagalnie na Cathy.

- Zupełnie serio. - Cathy wyjęła swoją fujarkę.

- Dobrze, kochani - rzucił Ollie. - Gramy! Nigdy dotąd świat nie słyszał takiej wersji „California, Here I Come!”. I jeżeli świat ma szczęście, to już nie usłyszy. Kiedy brzmiały ostatnie dźwięki, kilka pielęgniarek i kilku pacjentów zgromadziło się w oranżerii, by sprawdzić, co jest źródłem tej okropnej kakofonii.

- Panie Polowski! - huknęła przełożona. - Jeżeli pańscy goście nie umieją się zachować...

- To ich pani wyrzuci? - spytał Sam z nadzieją w głosie.

- Nie ma potrzeby - zapewnił Ollie. - Pakujemy instrumenty. A przy okazji, oferujemy swoje usługi na prywatne przyjęcia, urodziny, koktajle. Wystarczy skontaktować się z naszym menedżerem, żeby ustalić datę...

- Chciałbym wrócić do łóżka - zajęczał Polowski.

- O nie. Jeszcze nie - zaprotestowała jedna z pielęgniarek. - Potrzebuje pan rozrywki. - Potem mrugnęła porozumiewawczo do Olliego i wyszła.

- Zrobiłam swoje, żeby cię rozbawić. Teraz już czas na mnie - rzekła Cathy.

Polowski spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Zostawiasz mnie z tymi wariatami?

- Muszę złapać samolot.

- Dokąd jedziesz?

- Do Meksyku. Jack dzwonił, że już kręcą. Pomyślałam, że pojedę i wyprodukuję kilka potworów.

- A co z Victorem?

- Jak to co?

- Myślałem... to znaczy... - Sam spojrzał na kolegów, ale oni wzruszyli ramionami. - Będzie za tobą tęsknił.

- Nie sądzę.



Wiedziała, że nie mogą nic powiedzieć, bo jest ich przyjacielem. Ani go bronić, ani potępiać. Tak jak ona. Ona po prostu kocha go i właśnie dlatego powinna wyjechać. W przeszłości była już zakochana i zdawała sobie sprawę, że najgorsze, co może spotkać kobietę, to obojętność ukochanego. Nie chciała jej zobaczyć w oczach Victora.

Wzięła torebkę i wstała, by się pożegnać.

- Powinnaś zostać. On w każdej chwili może wrócić. A poza tym rozleci się nasz kwartet - rzekł Ollie.

- Sam mnie zastąpi. - Pocałowała go w łysiejącą głowę. - Kuruj się. Jesteś nam potrzebny. Napiszę do was z Meksyku! - Zrzuciła torebkę na ramię i stanęła jak wryta.

W drzwiach stał Victor z walizką w ręku.

- Dlaczego mówicie o Meksyku? - zapytał.

Wpatrywała się w niego, myśląc, że to takie niesprawiedliwe, że mężczyzna, przed którym starała się uciec, wygląda tak cudownie, że mógłby łamać serca.

- Wróciłeś w ostatniej chwili - Ollie oprzytomniał jako pierwszy - bo ona wyjeżdża.

- Co? - Victor spojrzał na nią z niepokojem. Dopiero wtedy zauważyła jego pogniecione ubranie i cień zarostu na twarzy. Z walizki wystawała pięta skarpetki. - Nie możesz wyjechać - oświadczył.

- To coś nieoczekiwanego. Jack mnie potrzebuje.

- Czy coś się stało?

- Nie, sprawy na planie się skomplikowały. - Zerknęła na zegarek. - Spóźnię się na samolot. Obiecuję, że zadzwonię, jak przyjadę...

- Nie jesteś jego jedyną charakteryzatorką.

- Nie, ale...

- Poradzi sobie bez ciebie.

- Tak, ale...

- Chcesz jechać? O to chodzi?

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego w milczeniu, a w jej oczach malowała się udręka.

- Wybaczcie, chłopcy - delikatnie, ale zdecydowanie wziął ją za rękę - ale ta dama i ja idziemy na mały spacer.

Na zewnątrz ostry wiatr roznosił liście po trawniku. Poszli w stronę dębowej alejki. Nagle Victor zatrzymał się i odwrócił ją do siebie.

- Powiedz mi, jak wpadłaś na ten wariacki pomysł, żeby wyjechać?

- Myślałam, że cię to nie obchodzi.

- Nie obchodzi mnie? Cathy, chodziłem po ścianach, zastanawiając się, jak się stamtąd wyrwać! Nie masz pojęcia, jak się martwiłem. Nie wiedziałem, czy jesteś bezpieczna, czy ta cholerna sprawa wreszcie się skończyła. Prawnicy nie pozwalali mi dzwonić, dopóki nie zakończą przesłuchań. Udało mi się wykraść i zadzwonić do domu Mila, ale nikt nie odpowiadał.

- Byliśmy pewnie tutaj, z wizytą u Sama.

- Odchodziłem od zmysłów. Kazali mi odpowiadać na te same pytania po kilka razy. A ja mogłem myśleć tylko o tobie. Przy pierwszej okazji, jaka się nadarzyła, uciekłem. Potem nas zasypało podczas przesiadki w Chicago. Ale jestem. I w samą porę. Powiedz mi, jedziesz do Jacka?

- Nie, nie do Jacka. Wyjeżdżam dla siebie. Bo wiem, że to nie ma sensu.

- Cathy, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, wszystko ma sens, i damy sobie radę. Ta noc, kiedy kochaliśmy się, czy nic dla ciebie nie znaczyła?

- Nie kochałeś się ze mną, tylko z Lily!

- Lily? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Byłeś w niej taki zakochany...

- A ty kochałaś kiedyś Jacka. Pamiętasz?

- Ja się odkochałam, a ty nie. Żebym nie wiem jak próbowała, nigdy jej nie dorównam. Nigdy nie będę ani taka mądra, ani taka dobra...

- Cathy, przestań.

- Nie stanę się nią.

- Nie chcę, żebyś się nią stała! Chcę kobiety, która ucieka ze mną po drabince pożarowej i tej, która uratowała mi życie. Która mówi, że jest pospolita, bo nie wie, że jest nadzwyczajna. - Wziął jej twarz w dłonie. - Masz rację, Lily była wspaniałą kobietą. Mądrą, dobrą i wrażliwą. Ale nie byliśmy doskonałą parą. Zawsze uważałem, że to moja wina, że gdybym był lepszym kochankiem...

- Jesteś cudownym kochankiem, Victorze.

- Nie rozumiesz. To ty ze mnie wydobywasz całe pożądanie. - Przyciągnął jej twarz do swojej i zniżył głos do szeptu. - Kiedy kochaliśmy się, to było dla mnie tak, jakby się to stało po raz pierwszy. A nawet lepiej, bo cię kochałem.

- A ja kochałam ciebie. Wziął ją w ramiona i pocałował.

- Cathy, Cathy - mruzczał. - Byliśmy tacy zajęci tym, aby nie zginąć, że nie mieliśmy czasu powiedzieć sobie tego wszystkiego, co powinniśmy...

Ramiona Victora zeszywniały nagle na odgłos oklasków. Z góry, ze szpitalnego balkonu obserwowały ich trzy osoby.

- Dawajcie, kochani! - zawołał Ollie.

Klarnet, pikolo i fujarka rozpoczęły swój koncert. Melodia była bardzo chwiejna. Mimo to Cathy wydawało się, że rozpoznaje „Someone to Watch Over Me” Gershwina. Victor jęknął.

- Spróbujmy jeszcze raz. Ale z inną orkiestrą i bez widzów.

- W Meksyku? - zaśmiała się.

- Koniecznie. - Złapał ją za rękę i pociągnął do taksówki stojącej przy chodniku.

- Ależ Victorze! - zaprotestowała. - A nasz bagaż? Wszystkie moje ubrania...

Zamknął jej usta pocałunkiem, i to takim, że zakreśliło się jej w głowie, odebrało oddech i pozostawiło głód następnych.

- Zapomnijmy o bagażu - szepnęła. - Zapomnijmy o wszystkim. Jedźmy...

Wsiedli do taksówki. Orkiestra na balkonie szybko zmieniła melodię, której Cathy w pierwszej chwili nie rozpoznała. Ale w pewnym momencie fujarka przebiła się ze swoją solówką, przez kilka taktów brzmiąc zupełnie czysto. To był „Marsz weselny” Mendelssohna.

- Co to za okropny hałas? - zapytał taksówkarz.

- Muzyka - odparł Victor, uśmiechając się do Cathy porozumiewawczo. - Najpiękniejsza muzyka na świecie.

Padła w jego ramiona i tak już pozostała.

Taksówka ruszyła. Gdy odjeżdżali, pozostawiając za sobą szpital, wydawało im się, że ciągle słyszą w oddali dźwięk fujarki Sama Polowskiego i tę ostatnią gasnącą nutę pożegnania.